

TYLKO JEDEN TURNUS, A TYLE TAJEMNIC...



BARBARA
TOMASZEWSKA

TURNUS

NOVAE RES

**BARBARA
TOMASZEWSKA**

TURNUS

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU



NOVAE RES

Spis treści

Strona tytułowa

Cytat

Przedmowa

Rozdział I PRZERWANE ŚLEDZTWO

Rozdział II ALTER EGO

Rozdział III REKONESANS

Rozdział IV UPIORY I LONY P.

Rozdział V CARNAVAL SCHUMANNA

Rozdział VI KLĄTWA PRAPRADZIADKA

Rozdział VII WRACA SPRAWA „POCIĄG”

Rozdział VIII MÓWMY O UCZUCIACH

Rozdział IX PUSTELNIK Z CIERNIAKA

Rozdział X KIEDY WSTYD CHCE ZABIĆ!

Rozdział XI WIECZÓR ZAPOZNAWCZY

Rozdział XII I PO UWENALIACH

Rozdział XIII KIEDY SIĘ ŚCIEMNI, WSZYSTKO SIĘ WYJAŚNI

Rozdział XIV ROZTERKI I WIEDZA TAJEMNA

Rozdział XV SPRAWY DO ZAŁATWIENIA

Rozdział XVI TRZECIA STRONA KARTKI

Rozdział XVII ZE W KRWI

Rozdział XVIII BEZ HAPPY ENDU

Rozdział XIX NIEDOKOŃCZONY RYTUAŁ PRZEJŚCIA

Rozdział XX ŻNIWO FENOWEGO WIATRU

Zakończenie

Karta redakcyjna

„Ja doszedłem do wieku, w którym trzeba wybierać;
trzeba zdecydować raz na zawsze, kogo się kocha, a kim
się gardzi; trzymać się tych, których się kocha, i nie
opuszczać ich aż do śmierci, aby odrobić czas stracony
z innymi”.

Marcel Proust, *W stronę Swanna*

Przedmowa

Patrząc przez kraty w oknie, starałam się przebić wzrokiem ciemności okalające szpital dla nerwowo i psychicznie chorych, dokąd wyrokiem sądu trafiłam na obserwację. Od tego czasu upłynął rok, jednak lekarze wciąż nie wiedzieli, jak zdiagnozować mój przypadek. Nie mogli się zdecydować, czy uznać mnie za pacjentkę o rozdwojonej osobowości, czy może za osobę niepoczytalną, której pod wpływem silnego wzburzenia przydarzył się incydent. Choć byli wśród nich też tacy, którzy całkowicie wykluczali jakąkolwiek niepoczytalność i uważali, że zajście, do którego doszło, było wynikiem mojego świadomego działania. I że tego czynu dokonałam z premedytacją. Wszyscy zgadzali się tylko co do jednego, że nie należy przeciwstawiać się mojej potrzebie zapisywania myśli, którą poczułam pewnego dnia, widząc pusty zeszyt leżący na stole w świetlicy. Zapelniałam więc kartkę po kartce i po jakimś czasie zauważyłam, że przypadkowe słowa zaczynają przeradzać się w coś bardziej uporządkowanego: w jakieś krótkie formy, humoreski, szkice; co więcej – składać się w rozdziały. W tej niby-powieści, kronice, która mnie z czasem wciągnęła (jak gdyby ktoś inny ją opowiadał, próbując zabić szpitalną nudę), różne postaci – bardziej lub mniej nachalnie – chciały mieć swoje pięć minut; zagęszczały się w niej ich historie. Kłębiły się też obrazy w zmiennych nastrojach i rytmach, które – na tyle, na ile było to możliwe – obłaskawiałam fikcją, bo tylko tak mogłam z tym jakoś żyć. Zanikające granice, labilny styl językowy. Tonacja buffo przeplatająca się z żywym lirycznym wyznaniem, prześmiewcza groteska z niemal nabożną skwapliwością, hulaszczce roztańczenie i poszukujący ascetyzm. W środku tego jednostka ludzka uwikłana

w mechanizmy życia społecznego. A wszystko to w krzywym zwierciadle, wszystko dwuznaczne i mętne, by nie ułatwić psychiatrom dojścia do mojej prawdy. Bowiem medycy, pozał się Boże, uznali, że piszę dla nich pamiętnik, rozprawkę z życia w stosunku jeden do jednego, by mogli w końcu, poddani presji ze strony sądu, postawić diagnozę i – wóz albo przewóz. Albo za kratę więzienną ze mną, albo do domu wariatów o zaostrożnym rygorze, gdzieś tam... nieważne gdzie, w Polsce. Lecz ile było w tym prawdy? Ile przemilczeń? A ile zwykłego łgarstwa? Niech ruszą głową i sami do tego dojdą.

Rozdział I

PRZERWANE ŚLEDZTWO

No i w końcu czwartego maja zajechałem pod dom sanatoryjny Turnia, wielkie poniemieckie budyniszcze z cegły porośnięte bluszczem, w Łądku-Zdroju. „W Łądku nie ma Turni i nigdy nie było!” – krzyknie ktoś, prostując. Inny ktoś zawoła z wzbierającą złością: „Kiedy tak naprawdę to wszystko się dzieje?!” i „Kto tu jest kim?”, gdy wałkując treści i zgłębiając wątki, jako fan bezwzględnych, sztywnych ram konwencji, uzna, że intryga kupy się nie trzyma z racji swej konstrukcji (skleconej z równą finezją jak bloki mieszkalne na wszystkich osiedlach typu miejskiego w Polsce) i z palca wysanej rzeczywistości. Dbałość o realia, owszem, cenna rzecz, ale bez znaczenia dla ciężaru sprawy, dla której się tu znalazłem. Istotne jest tylko to, że fatalna, pod każdym względem rujnująca mnie przeszłość została za mną, a wizja świetlanej przyszłości dodała mi sił i pchnęła do działania.

Kilka lat temu straciłem pracę w policji. „Kapitanie Konieczko, jest pan zwolniony ze służby w następstwie weryfikacji kadr, jako komuch” – oświadczył mój przełożony, wręczając papier z decyzją władzy zwierzchniej. W tej jakże trudnej dla mnie osobistej sytuacji opuściła mnie żona. „Nie będę z tobą klepała biedy. Aż tak cię nie kocham, Marku” – rzekła na odchodne. Odeszła do kogoś z przyszłością w nowym porządku świata i daczą gdzieś na Mazurach. Przyjaciele również zaczęli mnie opuszczać, jeden po drugim. Pierwszym był sparingpartner do gry w tenisa: „Sam wiesz, jak jest... Szpicle są wszędzie, zobaczą, doniosą” – wystękał ze wzrokiem

utkwionym w kuflu przy pożegnalnym piwie. Mówi się, że szczury uciekają z tonącego okrętu... Kiedyś jako ciekawostkę przeczytałem, że przypowiadka o szczurach i okrętach dotyczy tylko tych szczurów, które schodziły z pokładu w porcie, intuicyjnie czując, że statek już nigdy nie powróci z rejsu. Natomiast te, którym zabrakło zmysłu przewidywania przyszłości, uciekały ze statku dopiero wtedy, gdy statek pograżał się już w głębinach, na środku oceanu. Jakkolwiek na to spojrzeć, moja małżonka i serdeczni kumple, nie czekając na koniec, zwinęli manatki na czas. I jakby tego było mało, w ramach bezprawnych represji państwo polskie zabrało mi większą część świadczeń. To już naprawdę koniec. Budziłem się w nocy zlany potem. Aż wreszcie los się nade mną zlitował. Na równi pochyłej, po której staczałem się w rekordowym tempie, postawił Ilonę P., którą poznałem swego czasu jako ofiarę napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia. „Nożownik w areszcie” – brzmiał tytuł notatki z tego zdarzenia w lokalnej popołudniówce.

„W czwartek około godziny 15.20 na ulicy Wrocławskiej w pobliżu sklepu nasiennego kobietę zaatakował z tyłu młody mężczyzna. Przystawił jej nóż do szyi i zażądał oddania torebki oraz torby foliowej, w której miała łopatkę, grabki i dezodorant w sprayu. Zastraszona kobieta spełniła polecenia rabusia, jednak gdy ten uciekł, ze wspomnianego sklepu natychmiast wezwała policję. Oficer dyżurny komendy miejskiej kpt. Marek Konieczko skierował na miejsce napadu najbliższe radiowozy. Policjanci wspólnie z ofiarą napaści (Iloną P.) penetrowali pobliski teren. Gdy dostrzegli przestępcę, ten był kompletnie zaskoczony szybkością działania stróżów prawa i nie stawiał oporu podczas zatrzymania”.

- To była błyskawiczna akcja - powiedział dziennikarzom rzecznik tamtejszej policji. - Od momentu napadu do ujęcia sprawcy upłynęło raptem siedem minut.

Tego typu operacji miałem na swoim koncie, jakby chcieć policzyć... W każdym razie mnóstwo. Ale tak naprawdę w obszarze

moich zainteresowań były mrozące krew w żyłach anomalne zjawiska mentalne, jak zgodnie z najnowszą terminologią określano sprawy nadprzyrodzone; intrygowały mnie też kwestie natury społeczno-obyczajowej, w które włączałem się wbrew przepisom, wchodząc w kompetencje kolegów z tak zwanej obyczajówki. I choć w obu tych obszarach czułem się jak w swoim żywiole, a prośba o przeniesienie od dawna leżała u komendanta głównego policji, to w mgnieniu oka wylądowała w koszu, gdy reflektanta w mojej osobie do zmiany sekcji, z kryminalnej na którąś ze wspomnianych wyżej, z dnia na dzień zwolniono ze służby, łamiąc mi karierę. Co tam karierę... Życie! Musiałem odejść, choć byłem w trakcie postępowania wyjaśniającego dotyczącego dwóch spraw. Tej pierwszej o kryptonimie „Pociąg” sprzed dwunastu lat nie mogli ruszyć nawet funkcjonariusze od spraw beznadziejnych, agenci z Archiwum X, z czwartego piętra komendy wojewódzkiej w K. Gdyby nie jej tragiczny wymiar, można by nazwać ją nawet farsą i jeździć z nią po odpustach. Wszystko dlatego, że głowę postronnego świadka tamtych wypadków wraz z szyją, której obrzeże przypominało bok kartki wyrwanej z kołonotesu, znaleziono na półce nad siedzeniem w wagonie pociągu relacji Gliwice–Bytom. Druga, też z pogranicza mrocznego science fiction, od ponad ćwierć wieku zaprzętała najtęższe umysły specjalistów z branży, a nadto jasnowidzących, fantastów i innych obsesjonatów – bez większych sukcesów śledczych. W tej sprawie jednak hamulcowym w pracy państwowych organów ścigania był rozkaz z góry: „Zachować pozory śledztwa! Ani kroku naprzód!”. Władza zmieniła się parę razy, lecz rozkaz jak był, tak wciąż był.

Wracając do pierwszej sprawy: dopiero po pięciu latach dotarłem do wspomnianego wyżej świadka, który wkrótce po przesłuchaniu w wydziale zabójstw miał stać się denatem słynnym na całą Polskę, a który podczas czynności śledczych zrelacjonował wypadki tak:

– W mroźną bezksiężycową noc z dwudziestego drugiego na dwudziesty trzeci stycznia wracałem pociągiem podmiejskim z pracy

do domu w Gliwicach. Pociąg jechał bardzo wolno, można powiedzieć, że się włókł. Jak to u nas. Było duszno. Ogrzewanie było włączone na maksa, ale żadnego okna nie dało się nawet uchylić. W połowie drogi, z głową opartą o szybę, zasnąłem, a gdy otwarłem oczy, w zaokiennej ciemności odbijały się trzy niewyraźne męskie twarze, składające się na całość drużyny konduktorskiej: kierownika pociągu i dwóch konduktorów. Naprzeciw mnie siedział mężczyzna, który mimo że pociąg kończył bieg, nie ruszył się, żeby wysiąść. Nie sięgnął ani po bagaż, ani po wiszący z boku ciężki, kolejarski płaszcz. Miał wygląd mumii: żywej i strasznej, i śmiesznej zarazem, jak z pierwszych produkcji niemego kina z początków dwudziestego wieku. Następnego dnia, kiedy jechałem do pracy, czyli w odwrotną stronę, i znów się zdrzemnąłem po drodze, ponownie ujrzałem – tym razem przed stacją Bytom – tego samego mężczyznę, siedzącego przede mną, z konduktorską torbą i latarką kolejową (model francuski) przy boku, mającego w dłoniach ciężki kasownik biletów, tak zwany dziurkacz, którym obracał z zawrotną prędkością, jak kostką Rubika w zawodach sportowych na czas. Podobnie było w drodze powrotnej. Wyglądało to tak, jakby ten fiksat przemieszczał się w tę i z powrotem, nie wysiadając z pociągu; nie jedząc, nie pijąc i wciąż z tym dziurkaczem w dłoniach. Ki czort?

Trzy lata wcześniej w pociągu na tej trasie odkryto znieruchomiąle, siedzące ciało mężczyzny wyglądające jak żywe, wyposażone dokładnie tak samo, jak według zeznań wspomnianego świadka. Tyle że znikło bez śladu, nim prokurator dojechał na miejsce, a śledztwo w tej jakże zagadkowej sprawie z nieznanych przyczyn utknęło w martwym punkcie. Z czasem umarło śmiercią naturalną. Nigdy jednak nie umarło dla mnie, bowiem po latach, znalazłszy świadka, połączyłem ze sobą obie te sprawy. Jego zeznania, choć późne, ruszyły śledztwo do przodu.

Celem rozplątania tego kryminalnego węzła gordyjskiego udałem się tropem drużyny konduktorskiej. Tak podpowiadał mi nos. Zadanie

okazało się trudne, ponieważ kolej – również w wyniku przemian – przeszła gruntowną reorganizację, dzieląc się na spółki. Opłaciło się jednak. Odnalazłem jednego z nich, który po latach sprawował zaszczytną funkcję wiceprezesa Kolei Śląskich ds. taboru kolejowego. Niewiele jednak wynikało z tego dla dalszego śledztwa, bowiem prezesa chroniły układy i macierzysta partia. Musiałem więc o tym zapomnieć do czasu, aż nie odnajdę dwóch pozostałych ze składu konduktorskiej trójki. Daj Boże, by zeszedli na psy – modliłem się w duchu, nim z dnia na dzień, z hukiem, wyleciałem z polcji.

Od strony okolicznych łądeckich wzgórz powiało chłodem. Wracając do spraw bieżących, pchnąłem obrotowe drzwi i koniec końców znalazłem się w holu Turni. Szyby okienne upstrzone przez muchy i znajdująca się w rogu sztuczna palma pod sufit nie pozwalały na entuzjazm. Celem załatwienia formalności zatrzymałem się chwilę w recepcji, a potem windą wjechałem na trzecie piętro. Korytarz prowadził do wyjścia na taras na końcu budynku, na wysokości mojego pokoju. Stojące tam popielniczki wskazywały na to, że było to miejsce spotkań, głośnych polemik i flirtów w oparach dymu papierosowego. Pewnie mało kto cieszył się z takich atrakcji, bo ani to spania, ani relaksu pośród harmidru i wrzasków, i w takim gęstym powietrzu, że tylko siekierę wieszać. A jednak zdarzali się też i tacy, którzy za dostęp do tych wątpliwej jakości dóbr gotowi byli dopłacić – co uczyniłem, wciskając recepcjonistce na wejściu dwa zmięte banknoty w kieszeń. W pokoju z torby wyjąłem dyktafon i włączyłem nagrywanie. Bez zbędnych wstępów zameldowałem Ilonie, że właśnie dotarłem na miejsce. Potem poszło ciurkiem. O tym, że zdobyć tu pokój wedle potrzeby to niemal jak sen wariata. Tyle dobrego, że dziewczę z recepcji kieszonkę miała dokładnie w tym miejscu, gdzie mają ją łapówkarze. Dalej, stojąc w otwartych drzwiach balkonowych wychodzących na taras, donosiłem, że jak na razie nie natknąłem się na ani jednego kuracjusza. Ale gdy tylko zobaczę kogoś, z miejsca dam o tym znać. Jeśli wystarczy czasu, opowiem o wszystkich: z kim

się zadają i po co naprawdę tu są. Opowiem o każdym ich ruchu, szybciej, niż zdążą pomyśleć. Na tym skończyłem swój wstępny raport i pogрузyłem się w myślach.

Ilona P. – i to był bezsporny fakt – swą propozycją pracy uratowała mi życie. Gdy ją poznałem przed laty, gdy już przywieźli ją na komendę, wciąż była w szoku po napadzie. I choć ocenianie kogokolwiek w podobnych okolicznościach jest zawsze na wyrost i zwykłą głupotą, musiałem przyznać, że jak na niewiastę trzymała się dzielnie, odpowiadając w miarę rozsądnie i zwięźle na dziesiątki pytań w czasie przesłuchania. To właśnie w ramach tych czynności dowiedziałem się między innymi, że jest związana z mężczyzną, z którym była umówiona po pracy na cmentarzu, przy grobie swoich rodziców. Stąd ta łopatka i grabki. Niestety spotkanie nie doszło do skutku. Uległa napaści jakieś sto metrów wcześniej. Może gdyby krzyczała, zamiast rzeźić swoim słabym głosem, spłoszyłaby napastnika, a tak to stało się, jak się stało. Oddała wszystko, co miało jakąś wartość. Moje pochlebne wrażenie zatarło się jednak po tym, gdy w procedurze zawiadomienia bliskich udostępniłem jej policyjną gorącą linię. Widziałem postępującą zmianę na jej twarzy, gdy już opowiedziała swojemu rozmówcy o tym, co przytrafiło jej się w drodze. I o tym, że siedzi w tej sprawie w komendzie policji i nie wie, ile jej jeszcze tu zejdzie. I jeszcze o tym, że nie ma fajek, które zostały w skradzionej torbie, i ani grosza w kieszeni, żeby kupić. Reakcja gościa po drugiej stronie przewodu musiała ją dotknąć bardziej niż ostrze noża bandyty, gdy je poczuła na szyi.

– Nie przyjdzie – mruknęła drewnianym głosem, odkładając słuchawkę. I zaraz zwróciła się do mnie: – Pożycz mi pan dwie dychy? Jutro oddam.

Ilekróć do tego wracałem, zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że tak logicznie myślące kobiety – bo te z zaburzoną percepcją to wiadomo – pod każdym innym względem niedające sobie w kaszę dmuchać, wikłają się w tego rodzaju związki, często na długie lata.

Często aż do śmierci. Rodzaj fiksacji, uzależnienia czy co? Ilona, mimo celności spostrzeżeń przy rozpoznaniu sprawcy, podobnie noża jako narzędzia przestępstwa, na który wskazała bezbłędnie spośród pięciu innych, w moim przekonaniu wpisywała się w tę teorię. Niemniej tylko ekspert do spraw uzależnień mógłby to ocenić z wojskową precyzją. Domysły to grząski grunt.

Rozdział II

ALTER EGO

Gdy sanatoria otwarły się na klienta z grubym portfelem i można było wyjeżdżać, dokąd i na jak długo się chciało, zimą czy latem, Roman oszalał. Nim wydał jedną złotówkę, oglądał ją parę razy i spekulował na giełdzie, by raz do roku znaleźć się w uzdrowisku na krótszej lub dłuższej kuracji. Brał urlop w pracy, pakował się w kwadrans i jechał. Wracał z tych wyjazdów coraz to później, a kiedy w końcu przyjeżdżał do domu, ja żyłam w trójkącie tak długo, aż obiekt jego aktualnej żądzy nie stracił uroku nowości na tyle, by o nim czym prędzej zapomnieć. Obecność „tej drugiej” czułam na każdym kroku. Znosiłam tę patologię coraz trudniej, zwłaszcza że postęp technologii łącznościowych sprzyjał kontynuacji „sercowych” związków Romana mimo oddalenia. Nie to, co dawniej, gdy odłączałam aparat telefoniczny z gniazdka i zabierałam ze sobą, wychodząc na dłużej niż pół godziny z domu – do pracy albo gdziekolwiek indziej. Do dziś mam w uszach kosmiczną burdę, którą urządził mi z tego powodu. Pamiętam też własne, uwłaczające mi jeszcze bardziej czynności dochodzeniowo-śledcze, kiedy przychodził biling. Nie było mu więc tak łatwo, jak miało to miejsce teraz.

W tym roku, w kwietniu, Roman wyjechał do Łądko-Zdroju. Krótko po długich majowych świątach coś mnie ścisnęło w gardle. Stało się – pomyślałam. Wrócił po dwóch miesiącach, woniejący spermą i mokrą sierścią jak stary, złachany kundel, z włóczgi na stare śmieci. Traciłam na wadze i brzydłam. W oczach sąsiadów widziałam litość: „Potrzebny on pani jak dziwce majtki, wygnąć go

z domu w chuj!” – czy aby na pewno były to słowa sąsiada z piętra, czy uderzyła mnie własna myśl, w której celowość nagle zaczęłam wierzyć? O instynkcie samozachowawczym wiedziałam tylko tyle, że kiedy uzna jakąś ideę za swoją, z miejsca przejmuje inicjatywę. W zwierzęcym odruchu, jak dywersant, angażując swe nieprzebrane środki z pnia mózgu, zaczyna działać po swojemu. Czymkolwiek to było, ziarno zostało zasiane... Niby kolejny raz stanęłam do walki o Romana, ale tym razem zabrałam się do tego bez energii i przekonania, niczym aktorka rutynowo odgrywająca swoją rolę w przedstawieniu, o którym sama marzy, by wreszcie spadło z afisza. Niedawno skończyłam pięćdziesiąt lat i po raz pierwszy poczułam, że nie jestem już młoda. Świadomość, że się starzeję, dotknęła mnie w najmniej oczekiwanej chwili, kiedy uczynny znajomy po drobnej naprawie pralki wystawił rachunek za pracę, a nie zaprosił na kawę, jak to robił wcześniej.

Mijały kolejne dni i ani się spostrzegłam, a zakwitły lipy. Pewnego razu, koło północy, ze stanu pół snu, pół jawy na wąskiej kanapie w salonie wyrwał mnie teatralny, świszczący szept:

– Elżbieto, ja ciebie kocham... Ja się z tobą ożenię...

W przeciwnym rogu pod ścianą, w świetle stojącej lampy ujrzałam Romana zapadniętego w fotel. Miał opuszczone spodnie od piżamy, przymknięte oczy i półotwarte usta, a jego twarz przywodziła na myśl kota po obfitym posiłku. Między udami ścisnął komórkę. Obok na biurku stała w połowie pusta litrowa butla z mieszanką toniku Kinley w stosunku jeden do jednego ze spirytusem. Tak jak lubił.

Wstrzymałam oddech. Sen, mara, omam? Czy tylko mi się wydawało? Albo – i tak być mogło – mówił do siebie po pijanemu, gwizdząc na moją obecność. W najgorszym razie zrobił to naumyślnie. Bo nie zdarzyło się nigdy wcześniej, by przy mnie zdradził się z uczuciami, które zamierzał ukryć – nawet kiedy urywał mu się film, nawet z rozpędu, gdy po powrocie z kolejnej kuracji sypał dykteryjkami z życia turnusu; więcej o innych, o sobie tylko trochę;

pół żartem, pół serio – dla niepoznaki. Taki był ostrożny i sprytny. Za każdym więc razem szukałam poszlak na własną rękę: w jego kieszeniach, notesie i w innych miejscach, typując kobiety z grupowych zdjęć i gubiąc się w podejrzeniach. Utarty schemat. Operetkowe śledztwa. Ze strzępów dostępnych mi danych aranżowałam w głowie wypadki i obsadzałam role, tak bzdurne i pokręcone, na ile starczało mi wyobraźni, a gdy go brałam na spytki, próbując skłonić do zeznań, to śmiał się i pukając się w czoło, mówił: „Ilona, nie chrzań!”.

Na długie lata wpisałam się w ten scenariusz, śmiejąc się z jego min, które stroił i o których wiedział, że rozładują każdy mój gniew, i z dowcipów, w kółko tych samych, o radzieckim Hansie Klossie – Stirlitzu z *Siedemnastu mgnień wiosny*. Tym razem jednak to cudze imię i deklaracja w sprawie ożenku – nie żaden tam mglisty zamiar – dotknęły mnie do żywego. Na karku poczułam chłód. Z policzkiem wtulonym w baranią skórę czekałam na rozwój sprawy. Łomot rozsadał mi skronie, sterzący kołtun łaskotał w nosie. Byle nie kichnąć, byle nie teraz – wstrzymywałam się z całych sił. Wszystko na nic.

– Jasna cholera! – zakląłam.

Z fotela dobiegł mnie głos nad wyraz trzeźwy, zważywszy na rangę wyznania sprzed chwili.

– A co ty, Ilona? Nie śpisz?

– Nic. Nic. Kichnięcie mnie obudziło. To lipy, akurat pyłą – odpowiedziałam dość wiarygodnie. – Na drugi boczek i śpię.

– Byle nie tutaj, idź spać do łóżka. Rano nie wstajesz do pracy – napomniał mnie po ojcowsku, wciągając spodnie. – Ja jeszcze trochę posiedzę, zobaczę, co w telewizji.

– Nie idę jutro do pracy. Mam urlop.

– Znowu? Z dnia na dzień? – Chwycił pilota. – Rób, jak uważasz. Tylko pamiętaj, że jak cię w końcu wywałą z roboty, to na mnie nie licz. Nie będę cię utrzymywał.

Głośnik telewizora zaryczał. Sprawdzony sposób Romana, by pozbyć się mnie z pokoju, zadziałał.

Licząc minuty, skulona w łóżku czułam jedynie pustkę. O drugiej zerwał się wietrzyk i przywiał zapach lipowych kwiatów. *Fuck, fuck, fuck me!* – niosło się zza drzwi. Roman oglądał film erotyczny. Prorocze słowa z przeszłości tłukły się po mojej głowie:

„Sanatoria to takie, można powiedzieć, burdele wyjazdowe dla chłopów – skonstatowała wiele lat temu znajoma z pracy, wbijając we mnie znaczący wzrok. – Raz mu pozwolisz i jest po tobie! Będzie się woził co roku, aż koniec końców odbije mu szajba i cię zostawi dla innej. Ja tam mojego nie puszczę nigdy. Niech siedzi na dupie w domu!”. „Głupot się nasłuchiłaś i robisz dramat, jakby *de facto* wszyscy mężczyźni jechali tam w jednym celu! – skwitowałam ostro. – Przecież i oni chorują. Jakieś wyjątki pewnie się i zdarzają, lecz moim zdaniem jak chłop chce zdradzić, to zdradzi. Do tego nie trzeba wyjeżdżać, a i na romans, porządny romans, za mało czasu. Co to te trzy tygodnie...”

Wtedy nic nie wiedziałam o sanatoriach, ale poczułam niepokój, gdy wkrótce po tej rozmowie Roman wyciągnął z torby kopertę ze skierowaniem nad Bałtyk.

– Zadzwoń, jak tylko dojadę, i wyślę ci kartkę znad morza – obiecał przy pożegnaniu na dworcu z nogą na stopniu wagonu, ślizgając się wzrokiem po pasażerkach spieszących do pociągu.

Konduktor machnął lizakiem, a ja zostałam na zimnym peronie, z gilem zwisającym z nosa i wiarą w przyszłość z Romanem malejącą razem ze znikającym w tunelu pociągiem. Przeszłość podpowiadała mi dalszy ciąg...

O świcie pomruki miasta, wycie pędzącej dokądś erki i ryk alarmu pod oknem przyniosły mi w końcu ulgę. Zwolniłam męczący nasłuch i leżąc na boku, okryłam się szczelniej kołdrą. Jeżeli jeszcze na coś czekałam, to chyba tylko na to, żeby wreszcie zasnąć. Nawet nie wiem, czy sen zdążył mnie zmorzyć, gdy doszedł mnie cichy odgłos

zamykanych drzwi. Materac za mną się ugiął. Poczułam kwaśny alkoholowy odór, kiedy Roman wyciągnął się w łóżku i zapytał:

– Śpisz?

Drgnęłam, gdy przylgnął do moich pleców i ugryził mnie lekko w ucho. Zawsze tak robił, gdy wracał z *Różowych nocy* w TV, rozgrzany do czerwoności.

– Wypnij dupę, kruszynko – poprosił cicho.

Jeszcze wczoraj zrobiłabym to bezwiednie, dziś tylko odburknęłam:

– Zostaw mnie, śpię.

Potem wróciłam do wspomnień.

Wciąż pamiętałam pocztówkę znad morza, której nie wysłał mi „z braku czasu”, a którą wręczył mi osobiście dzień po powrocie. Był na niej budynek z zakreślonym oknem.

– Tutaj mieszkałem! O tutaj! Widzisz? – powtarzał drżącym z emocji głosem i stukał palcem w to miejsce, wymuszając na mnie skupienie uwagi. – Sto metrów od morza, czujesz?

Dzień później wyciągnął jeszcze zdjęcia. On jeden wśród kobiet na plaży.

– A twoja to która? – spytałam chytrze. A nuż tym razem go poniesie, straci czujność i się wyłoży jak uczeń. Ale gdzieżby tam... Na to był za sprytny.

Wieczorem wśród jego rzeczy znalazłam damską bieliznę i obcą gąbkę o kształcie serca, nasiąkłą zapachem zdrady.

– To są pamiątki z kuracji?! – krzyczałam, drąc czyjeś figi z wyciętym otworem w kroku. – Znamy się raptem cztery miesiące. Co będzie dalej? Czyja to gąbka?! – Cisnęłam mu w klatę myjkę. – Koniec wyjazdów do sanatorium. Słyszysz? Słyszysz?!

Przyglądał mi się z politowaniem. I nagle wybuchnął śmiechem. A potem wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Jeździłem i będę jeździł. Nie ośmieszaj się.

Już wtedy powinnam powiedzieć twardo, że proszę bardzo, niech sobie jeździ, ale na pewno nie przy mnie, i zerwać znajomość, nim zabrnę w ślepą uliczkę, z której nie będzie wyjścia.

We śnie, w który wreszcie zapadłam, pojawił się Marek Konieczko ze swą fatalną historią. Tysięczny raz opowiadał o tym, jak stracił pracę w policji. I o tym, jak to, nie chcąc się stoczyć w bezdomność i skończyć pod mostem jak śmieć, musiał gdzieś podjąć pracę, choćby na pół, choćby na ćwierć etatu. Niewielki miał wybór, biorąc pod uwagę jego CV. A do galerii na ochroniarza to ani chciał, ani się nadawał, by tam z takimi jak on, w zabawnej czapeczce z daszkiem, beczynnienie stać w wejściu czy obchodzić piętra, wytykany palcami przez byłych kolegów z sekcji kryminalnej przychodzących w to miejsce na zakupy. Ale żyć jakoś musiał. Praca na czarno dawała mu ten komfort. To zrzucił komuś węgiel do piwnicy, to znów dołączył do firmy „Transport i przeprowadzki” jako tragarz. Wysiłek fizyczny i spadek formy psychicznej sprawiły w końcu, że mocno zaniedbał swój wygląd i higienę osobistą. Przestał też czytać gazety – bo w żadnej nie było odpowiadających mu intelektualnie ofert zatrudnienia – i, co zupełnie nie do przyjęcia, zarzucił też mycie zębów. Pasta wszak kosztuje.

W dniu, w którym go spotkałam, siedział na ławce w głębi przystanku komunikacji miejskiej i mamlął czerstwego pączka. Podeszłam, pytając z troską, co się z nim ostatnio dzieje. Czy ma na dentystę i czynsz? Na jedzenie? Gdy uniósł swe ciężkie powieki, w jego bezdennym spojrzeniu bujał się gruby stryczek. O czym on myśli, do diabła?! I wtedy olśniła mnie myśl. Zatrudnię go, choćby dziś! Mam oszczędności, dam chłopu zarobić. Czysta robota, na miarę jego talentów. Niech jedzie do Łądka, do Turni, i na bieżąco melduje o każdym kroku Romana, chęciach i intencjach. Od tego momentu oczy i uszy kapitana Konieczki miały zastąpić moje, niesprawne od kilku dekad. A jego umysł, czujny i otwarty, miał dodać mi swej śmiałości. Krótko mówiąc zatem, moje alter ego, oko przebudzenia –

jak zwał, tak zwał – w osobie byłego policjanta miało mnie wyciągnąć z zakłętego kręgu kłamstw i bezradności. W głębi duszy bowiem byłam wciąż tą samą rozważną dziewczynką, której się wyrzekłam wraz z jej uczuciami, które pod postacią czułych i wrażliwych, delikatnych mały powciskałam w muszle i zamroziłam w żołądku.

Rozdział III

REKONESANS

Obudziłem się wcześniej rano i pierwszym, co zobaczyłem, były wielkie, wlepione we mnie oczy Emila, współlokatora, który do Turni dotarł w środku nocy i wyrwał mnie ze snu wyłącznie po to, by się przedstawić i wymóc to samo na mnie. Gwałtownie usiadłem na łóżku.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - spytałem, podciągając kołdrę. - Doprawdy... aż boję się myśleć...

- Nie, nie! Nic z tych rzeczy. No coś pan! - Zaśmiał się Emil ze swojego łóżka. - Patrzyłem na pana z zazdrością, że można tak twardo spać. Tylko nieliczni tak mogą. Istnieje nawet taka teoria, że tylko ludzie o czystych intencjach i rękach potrafią spać jak zabici. Ja też bym może tak mógł, gdyby nie pociąg do polityki, o której, jak pewnie pan wie, ludzie różnie mówią, ale głównie to, że czysta to ona nie jest.

- Hmm, hmm - wymruczałem i nastawiłem uszu.

Emil, który okazał się gadatliwym gościem, zaczął opowieść o swojej pracy w Urzędzie Miasta Żyrardów, o aktywności w partii i o żonie, którą opisał w dwóch krótkich słowach na P i na K. Kończąc, zaproponował piwo wieczorem w kawiarni, by tam mnie wprowadzić w swój plan, z którym przyjechał do Łądka. Następnie założył kapcie, wziął czajnik i tak jak stał, w piżamie wyszedł z pokoju. Wyjrzałem za nim zza drzwi. Zmierzał do punktu gotowania wody we wnęce na korytarzu. Wrócił po dwóch kwadransach.

- Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny! - zakrzyknął po wejściu głosem kaznodziei. - A może przejdziemy na ty? - spytał

nagle. – Będzie się lepiej gadało.

– Okej, czemu nie? – zgodziłem się chętnie. – A co z tą sentencją dnia?

Zamieszał łyżeczką w kubku, dosypał cukru i znów zaczął mieszać, i trwało to a trwało, nim zaczął mówić po przerwie.

Że gdy już dotarł do wnęki, próbując osadzić czajnik na chyboczącym się bolcu w podstawce, usłyszał kobiecy głos. „Zaraz tam będę, pomogę!” – wołała z głębi korytarza kobieta w zwiewnym peniuarze. Zbliżyła się szybko. Z daleka miała na oko trzydziestkę, ale każdy krok dodawał jej lat, i to całkiem sporo. Stanęło na „po czterdziestce”. Wzięła od niego czajnik i już po chwili rozległ się szum. Czekając na wrzątek, wdał się z nią w rozmowę, z której posiadł wiedzę, że uczynna pani pochodzi z Sopotu i że ma na imię... Emil zmarszczył czoło i popatrzył w sufit.

Roześmiałem się.

– Nie no, nie, nie wierzę. Nie pamiętasz imienia?!

– Zaraz, czekaj – burknął. – A, już wiem! Bożenka.

Pokręciłem głową.

– I co? To już wszystko?

– Marek! – zachnął się. – Wszystko po kolei. Jak okazało się wkrótce, Bożenka to, co istotne dla mnie, zostawiła na koniec. To było to! Gdyby tylko była młodsza... – Emil zmarszczył nos. – Ale o tym później.

Wieczorem wyszedłem z pokoju spotkać się z Emilem w kawiarni na drugim półpiętrze.

– To dawaj, Emil. U mnie jak na spowiedzi u księdza! – krzyknąłem wesoło, odsuwając krzesło.

Stał pot z wysokiego czoła. Był fioletowy ze strachu.

– Ciszej, do cholery! – syknął, patrząc wkoło. – Czemu tak się drzesz? Usłyszą i zaraz się tu wszyscy zbiegną. Tylko czekają na takie okazje.

Postawiłem oczy.

- Ty o kuracjuszach? Że wiedzą, kim jesteś? Gwarantuję, Emil, że nikt cię tu nie zna. Nie dodawaj sobie.

Jednak on się zaciął. Kiedy w końcu wrócił do swej opowieści, to mówił i mówił... Zanim dla porządku nie wszedłem mu w słowo.

- Czekaj, Emil, czekaj... Czy dobrze rozumiem, że chcesz tutaj znaleźć naiwną dziewczynę, by użyć jej jako narzędzie w swojej kampanii wyborczej do parlamentu w Brukseli, na jej terenie? W mieście? Człowieku, na jakim ty żyjesz świecie? Po pierwsze w Turni na pewno nie znajdziesz młodych. Szukaj ich na pielgrzymkach do świętych miejsc. Nabierz ulotek, wygodne buty i heja! Lub stacjonarnie, jak wolisz: na Woodstock czy Pola Lednickie. Po drugie: jak taki facet jak ty, sterany życiem i nałogami – sądząc po twoim nosie – zdoła do tego przekonać młodkę?

Popatrzył na mnie z politowaniem

- Strateg z ciebie żaden, choć policjant – stwierdził. – Każesz mi jechać na Woodstock, gdzie faktycznie aż się roi od młodych, lecz kto ma tam głowę do polityki. Zdzierać sobie gardła i tarzać się w błocie to tak. Jak najbardziej! Albo do Lednicy, gdzie nic tylko modły, a modłami... Sam wiesz. Tutaj co innego, gdzie nudy na pudy i tylko się gada o chorobach. Więc gdyby przypadkiem trafiła się jakaś młodka, wystarczy siła pieniądza, parę frazesów... Wszystkie się na to łapią.

Nie miałem sił zbijać jego argumentów, więc zapytałem tylko:

- Nie łatwiej ci będzie we własnym okręgu? Bliżej rodziny, przyjaciół?

Pokręcił głową ze złością.

- Od Ciechanowa po Końskie zajęte przez konkurencję – odparł. - Żyrardów to mała enklawa w tej strefie. Więc dupa błada. Odpada!

- To na czym w tej chwili stoisz?

Ożywił się lekko.

- Młodych faktycznie tu brak, muszę więc zejść z wymagań. Bożenka chyba się nada, ale z takimi strach. Za wygadana, za bystra. Te są najcwańsze. Trzeba uważać. Ale jak wszystko dobrze pójdzie, to zrobi mi taką kampanię w Trójmieście latem, że mucha nie siada. I rejon pomorski mój! - Emil z emocji dostawał wypieków. - Bo musisz wiedzieć, że na Monciaku w Sopocie Bożenka ma swój interes: dwie budy z chińską tandetą. Pamiątki i takie tam... I to jest właśnie ten nius! W podobnych miejscach na całym świecie zawsze jest pełno ludzi. A to oznacza kontakt z wyborcą, i to na wielką skalę. Jest jeden szkopuł. - Emil posmutniał. - Wygląda na to, że będę z nią musiał, no wiesz... Ale coś za coś. Zaraz tu będzie.

Jakby na potwierdzenie tych słów w drzwiach pojawiła się szczupła, wysoka szatynka o cechujących ludzi sukcesu blisko osadzonych oczach i czujnym wzrokiem obrzuciła wewnątrz. Widząc ją, Emil poderwał się z krzesła i przyprowadził kobietę do stołu.

- Bożenko, pozwól. To jest kapitan policji Marek Konieczko, mój współlokator z pokoju.

Od razu przeszedłem do rzeczy.

- A pani to w którym pokoju mieszka?

Rzuciła mi złe spojrzenie.

- Ja? Po sąsiedzku. W trzysta dwadzieścia jeden - mruknęła bez entuzjazmu.

- Sama czy z kimś, jeśli wolno wiedzieć?

Tym razem jednak odpowiedziała chętniej.

- Mieszkam z takimi dwiema: Urszulą z Wrocławia i Elką, zdaje się, że z Rzeszowa. Już sam ich widok działa mi na nerwy. Ale cóż, trzeba zacisnąć zęby i jakoś wytrzymać te trzy tygodnie.

Uznałem, że warto pociągnąć temat.

- A może to jednak przedwczesny sąd? Jak ma się zły dzień albo człowieka coś boli, brzuch na ten przykład czy ząb...

- Nie, nie, znam się na ludziach. Od lat patrzę na nich w moich pawilonach... Był taki jeden, niby układny i grzeczny... - rozpędziała się.

- Będę z panią szczerą - wszedłem jej szybko w słowo. - Chciałbym tu kogoś poznać, jakąś fajną babkę. Samotność to dramat dla mężczyzny w moim wieku. Można wpaść w dewocję - tak, tak, moja pani, szybciej niż kobieta. Albo w alkoholizm. I zawsze to raźniej, jak ktoś się kręci po domu... Poda kolacyjkę, termofor do łóżka albo natrze plecy, jak coś trzaśnie w krzyżu. Niemniej byłbym wdzięczny za kilka słów więcej o tych paniach, by nie narobić sobie przez to jeszcze większych kłopotów. Zakocha się jedna z drugą, później to odkręcać...

- Powiem, co wiem. - Bożenka usiadła wygodniej. - Elkę może pan sobie darować. Tyle, co przyjechała, a już kręci się koło niej taki jeden w kapeluszu, chyba Roman. Typ zwierzęco-męski. Jucha, pot i sperma. Fuj! Kelnerki mówią, że jest tu od dwóch tygodni. Mówią też, że na podryw. Z kolei Urszula to świr. Niewydarzona poetka, wdowa. Nie polecam.

Dobra nasza - ucieszyłem się. W końcu coś drgnęło w sprawie. A ta - uważnie przyjrzałem się Bożence - ciekawe, czy jest wolna.

Od czasu, gdy straciłem robotę i razem z tym żoną, znajomość z każdą, ale to z każdą kobietą rozpoczynałem od tego pytania. Nie wiedzieć kiedy weszło mi to w nawyk. I ledwo słuchając rozmowy Emila z Bożenką, odpląnąłem w świat wyobraźni.

Zatoka Gdańska stanęła przede mną otworem. Po prawej ręce na horyzoncie, nad samą wodą, jak marabuty sterczały wysokie do nieba dźwigi, symbole Stoczni Gdańskiej walczącej o drugą szansę; po lewej zamglony Półwysep Helski wcinął się w głąb Bałtyku. Ja sam w upalny letni dzień stanąłem na plaży w Sopocie pod parasolem w pasy. Mógłbym położyć się pod nim, odpocząć. Mógłbym oddalić się boso po piasku wzdłuż linii brzegowej morza, mógłbym... Ale nagliły mnie sprawy niecierpiące zwłoki. Za moimi plecami był Monciak, faktyczny

cel ekspedycji. Zaraz po wyjściu z plaży natknąłem się na billboard. „Emil Kozibąk, kandydat do Parlamentu Europejskiego, miejsce 7, lista nr 4. Służyć Polsce, słuchać Polaków”. Logo partyjne ktoś zatarł i czymś napisał w jego miejsce „Jebać Lechię Gdańsk!”. Poszedłem dalej deptakiem w górę, szukając budy Bożenki. Dostrzegłem ją już z daleka. Ściany baraku w pełni pokrywał materiał wyborczy Emila w barwach narodowych: ulotki, plakaty i – trudne do uwierzenia – biało-czerwone parawany plażowe z orłem w koronie, jak w godle. W środku nie było inaczej. I ani śladu pamiątek. Bożenka siedziała za ladą, wachlując się plikiem broszur.

– Mógłbym coś tutaj nabyć, jakąś pamiątkę znad morza? – spytałem.

– Jaką pamiątkę! – Bożenka zerwała się z miejsca. – Pełnia kampanii wyborczej! Ślepy pan jest czy co? Przyjdź pan za miesiąc, może coś się znajdzie. Mogą być klapki na plażę? Chińskie, w pierwszym sorcie. Który pan nosi rozmiar? – Narastający szum morza zagłuszył jej dalsze słowa, a do mnie przedarł się głos Emila.

– Marek, no co ty... Śpisz?

Otwarłem półprzymknięte oczy i z miejsca spytałem Bożenkę:

– Przepraszam, czy pani jest wolna?

* * *

Realizując zlecenie Ilony niejako przy okazji, prócz Romana – wszak nie kręciłem się w próżni – musiałem mieć na oku pozostałych gości. Niemniej przed innymi, z oczywistych względów, skupiłem się na Elżbiecie – tlenionej blondynce o wydatnym czole, grubych rysach twarzy i wieku, w którym kobiety z głową w piekarniku częstokroć trują się gazem lub tną sobie żyły w poczuciu pustki i beznadziei bez faceta. Elżbieta na moje oko wpisywała się w tę teorię. Jak wiele innych w jej wieku do sanatorium jeździła po to, by poznać wolnego mężczyznę, a potem – najszybciej, jak to możliwe – zawrzeć z nim związek małżeński. Tyle że według statystyk tego rodzaju zamysły

spełniały się raczej nielicznym z nich, fantazującym o stałym związku oraz wieńczącym go ślubie. Zwłaszcza że Narodowy Fundusz Zdrowia, dostrzegając nową tendencję, a także uginając się pod naciskiem frakcji i stowarzyszeń stojących na straży tak zwanych wartości, otworzył się na możliwość wspólnej kuracji małżeństw. Męski osobnik nie hulał zatem po uzdrowisku jak pies na gigancie, ale doświadczał pożytków z terapii pod czujnym okiem małżonki. Zmierzchała era tak zwanych kawalerów do wzięcia i mężów w separacji. Tym samym faktycznie wolnych mężczyzn było jak na lekarstwo. „Sanatoryjne małżeństwa...” – naigrawali się starzy sanatoryjni wyjadacze, których znalazłem na tematycznym czacie w necie pod nazwą: „Kuracjusze, łączcie się... (w pary) he, he”, w ramach czynności przygotowawczych przed wyjazdem. Z ich rozmów dowiedziałem się tego i owego. Bywało śmiesznie – opowiadali sobie na tym czacie – gdy stali życiowi partnerzy rzekomych małżonków w ramach odwiedzin zjawiali się w uzdrowisku. Jeszcze weselej się działo, gdy ich legalne połówki zjawiały się nagle, bez zapowiedzi. Ale już szczytem rozrywki było, gdy na domiar złego przyłapywali małżonków na zdradzie. Wówczas sielanka kończyła się awanturą (co dodawało historii kolorów i pikanterii) albo przedwczesnym wyjazdem. Nie było jeszcze najgorzej, gdy celem najścia był męski osobnik: mąż, narzeczony czy, dajmy na to, konkubent. Jednak w przypadku płci pięknej ostracyzm wtrącał kobietę w niebyt, gdzie każdy, nawet i mąż zastępczy, mógł ją wytykać paluchem.

Swoją pierwszą relację z sam na sam Romana z Elżbietą, w kawiarni na drugim półpiętrze, zdałem Ilonie na żywo. Turystycznie zadzierając głowę – wpatrzony w sufit, jakbym tam ujrzał freski opowiadające historię ludzkości od stworzenia świata aż do biblijnego potopu, autorstwa samego Michała Anioła – z komórką przy uchu opisywałem, co widzę i słyszę. To, co usłyszałem, zszokowało mnie. Czegoś tak płytkiego, tak żenującego w ustach podrywacza nie słyszałem nigdy. Dno i wodorosty.

- Jeśli i do pani – sączyłem Ilonie jad do ucha – trafił takim tekstem, że sam robi wino, bo nie chce przepłacać, to naprawdę nie wiem, co wy macie w głowach...

Na koniec spytałem Ilonę, czy zechce o coś dopytać, a gdy odparła, że wszystko jasne, tyle że Roman ją zawiódł, bo spodziewała się po nim większej finezji w „tych sprawach” na wyjeździe, rozłączyłem się. Następnie pobiegłem do wyjścia.

Musiałem być wszędzie. We wszystko się wsłuchać i dostrzec najmniejszy detal. Sam nie wiem, kiedy znalazłem się w holu, skąd doszły mnie podniesione głosy. W recepcji para starszych ludzi spierała się o coś z recepcjonistką i wyglądało na to, że i między sobą. Na purpurowej z zacietrzewienia twarzy mężczyzny malował się grymas podejrzliwości. Kobieta gestykulując, dowodziła pewnie swoich racji. Sytuacja była mocno podejrzana. Jednak nim zwąchałem, o co tym trojgu chodzi, wspomniana para zdążyła odejść od lady. Szli jedno za drugim, ciągnąc za sobą bagaż. Sprawiali wrażenie obcych sobie ludzi. Hm... – pomyślałem, odprowadzając ich wzrokiem do windy. Raptem mężczyzna drgnął i obejrzał się na mnie przez ramię. Szyderczy, mógłbym przysiąc, uśmiech rozciągnął mu starcze usta. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Szczerzył do mnie zęby konduktor z portretu pamięciowego sporządzonego na podstawie relacji świadka zdarzenia – świeć panie nad jego duszą! – w sprawie o kryptonimie „Pociąg”. Postarzał się, fakt. Lecz w jego oczach, mimo grymasu, który zniekształcał mu twarz, było wciąż to samo: ciemność zaokienna widziana z pociągu relacji Gliwice–Bytom w pewną styczniową i mroźną, bezksiężycową noc. To wystarczyło, bym z miejsca zapomniał o celu swojego pobytu. Co mi tam Roman, co mi tam Elżbieta, gdy byłem na tropie sprawy, sprawy mojego życia. Liczyło się tylko to! Tym razem wyjaśnię wszystko do końca, choćby nie wiem co. A może – skupiłem myśli z nadzieją – zdołam w to wciągnąć Ilonę. Może nie wszystek umarła?

Nazajutrz z rana w jadalni przesadnym ukłonom kuracjuszy, frazesom i życzeniom „smacznego!” nie było końca. Pretensjonalni i sztywni, każdy z uśmiechem przyklejonym do warg, sprawiali wrażenie wprawionych w ruch lalek w nakręcanej kluczykiem mechanicznej szopce. Jeszcze wczoraj w domu: „Do kurwy nędzy, dajesz ten obiad czy nie?!”, dziś pełna kultura: „Podać łyżeczkę?”, „Dolać herbatki?”, „Dziękuję” i „Proszę”. Podmienił ich kto czy co? Kobieta w myszowatym stroju zatrzymała się obok mnie.

– Smacznego! Jaka dziś zupka? – spytała, odsuwając krzesło. – Będę tutaj siedzieć.

Zerwałem się z miejsca.

– Jak to jaka? Mleczna – odparłem czym prędzej, wyciągając dłoń.
– Pozwoli pani: kapitan Marek Konieczko! Zwolniony z policji bez dania racji, w ramach bezprawnych represji.

– Zofia Dubrawska – powiedziała krótko, usiadła i chwyciła chochlę tkwiącą w wazie z zupą.

Ledwo zdążyła napelnić talerz, kiedy od wejścia rozległy się głosy. W drzwiach kręcił się starszy mężczyzna – z byle jak zwiniętym zmechaconym kocem, który przyciskał do piersi – w parze z wesółym staruszkiem.

– Ależ pan pierwszy! Pan! – pokrzykiwał staruszek z werwą.

Tamten zaprzeczył donośnie:

– Z racji starszeństwa pan!

Stojący obok nie mogli rozeznaczyć się w stanie faktycznym, bo dżentelmeni wciąż wirowali w przejściu, gdy tymczasem koc zaczął się rozwijać, krępując ruchy starszych panów. Robiło się niebezpiecznie. Z szeregu gapiów ktoś chciał wyrwać się z pomocą, ale nie zdążył, gdyż koc rozwinął się do końca i podciął tancerzom nogi. Obaj mężczyźni ciężko upadli na parkiet.

– Och! – Zafalowało w grupie.

Przez chwilę nic się nie działo, lecz zaraz spod koca dobiegły chichoty i ukazały się dwie siwe i rozczochrane głowy.

- Zdziecinnienie starcze, nie uważa pani? - zwróciłem się do sąsiadki. - Jeden i drugi o lasce, a odstawiają wyrostków. Zaręczam, że takich tu więcej.

Klucząc pomiędzy krzesłami, zdumiewająco szybko jak na kogoś podpierającego się laską, zbliżał się do nas jeden z „bohaterów” zajścia. Mijając nasz stolik, ukłonił się grzecznie i mówiąc w przelocie: „Smacznego! Jaka dziś zupka?” - potruchtał do stołu pod oknem.

Z boku doszedł mnie szybki oddech. Ciało mej sąsiadki było usztywnione i wygięte w tył, a każdy mięsień napięty jak struna. Każdym swoim nerwem czułem jej emocje. Co mogło łączyć tych dwoje?

- Jesteście państwo małżeństwem? - zapytałem chytrze. - Wczoraj przypadkowo widziałem was razem w holu.

- Aaa, to - odpowiedziała, siląc się na beztroskę. - Tak się złożyło, że z Kłodzka do Łądków jechaliśmy jednym busem. Ten pan siedział z tyłu, ja z przodu. Ot, cała znajomość. Jak moja z panem. Bez urazy.

W jej słowach pobrzmiwał fałsz. Obserwowałem ją kątem oka. Trudno było o bardziej szarą istotę, począwszy od butów, a skończywszy na smętnych kosmykach włosów. Nagle w jej zapadniętych oczach pojawił się strach. Nie złość, przygana czy niechęć, ale strach. Wiercąc się na krześle, zapytałem wprost:

- Pani się czegoś boi?

Jej oczy zrobiły się wielkie.

- Co???

Nie zamierzając odpuścić, zakrzyknąłem dziarsko:

- Bo jeśli tak, zajmę się tym od ręki! Policjant jak lekarz i żołnierz. Do śmierci na posterunku!

- O czym pan mówi? Doprawdy...

To może być trudny przeciwnik - pomyślałem w końcu. Presja niczego nie da. Wszystko przez ten zastój - rozgrzeszyłem się ze

szkolnego błędu i wycofując się rakiem, rzekłem lekkim tonem:

– Zresztą to nieważne. Choć jak tak pomyśleć, piękna z was byłyby para. Pytanie, czy pani jest wolna, czy w związku małżeńskim, nie daj Boże.

Popatrzyła na mnie jak na pomylenca.

– Bo co? Chce mnie pan tutaj swatać?

– A nawet gdyby, jak jedno i drugie jest wolne? Najgorsza jest zdrada małżeńska – dodałem z myślą o byłej żonie. – To jak, jest ten mąż? Czy tylko pamięć po mężu?

– Powiedzmy, że nie mam męża, ale mam swoje lata! – odburknęła i wstała od stołu. – Idzie pan na badanie? Ja mam na ósmą trzydzieści. A pan?

O ósmej usiedliśmy z Zofią we wnęce na korytarzu przed gabinetem lekarskim.

– Dzień dobry państwu. Już jestem, jestem. – Przez tłum pacjentów przeciskał się człowiek o twarzy naznaczonej czy to cierpieniem, czy to desperacją. Posturą i mikrym wzrostem nie wywarł na ludziach z kolejki dobrego pierwszego wrażenia.

– To jest ten doktor Ladaco? – dopytywali między sobą. – Lekarz wyglądem powinien promować walory wód i powietrza, rozslawiać kurort, a nie zniechęcać na samym wstępie. Pewnie ma znajomości w tutejszym establishmencie – podsumowała plotkarska grupa.

I tylko jedna osoba z kolejki miała odmienne zdanie. Była to Zofia, dla której wygląd zewnętrzny człowieka był czymś tak ulotnym jak sen o poranku, w który się wdarł ryk budzika, czy smuga zmaconej wody po przepłynięciu statku. Jedynie Zofia poczuła bijącą z wątłej postaci prawość i szczere serce dla ludzi.

– Powiem panu więcej – ciągnęła swój monolog. – Pracując przez lata w szpitalu, widziałam niejednego dramat. Było dość czasu, by poznać prawdę o życiu, śmierci i przemijaniu. I jak ulotne bywają uroda czy piękno ciał z kolorowych pism. Kiedy anielskim buziom oblanym kwasem czy pociętym nożem albo ciałom po amputacji

kończyn z dnia na dzień spadają akcje wśród ich pochlebców i fanów. Widziałam zdeformowane cierpieniem twarze, jakich nikt by nie chciał widzieć po zapadnięciu zmroku. Śledziłam reakcje ich narzeczonych, żon oraz mężów. Gdy w samym środku pierwszego aktu spada kurtyna. „Szanowni państwo, jest problem. Aktor zasłabł!” A dalej już tylko ucieczka przed paparazzi i ból istnienia w ścianach bez luster i innych podobnych informacji zwrotnych.

- Zaraz wywieszę listę - powiedział medyk i zniknął w drzwiach gabinetu. Po chwili wrócił i kartkę wyrwaną z zeszytu nadział ot tak na klamkę.

Pierwszy wszedł jakiś grubas, po nim wjechała starsza kobieta na wózku i przyszła kolej na Zofię.

- Wejść na chwilę z panią - rzuciłem zza jej pleców. - Tylko się o coś zapytam doktora.

Po wejściu ukryłem się szybko w schowku na sprzęt do kasacji.

- Zapraszam bliżej, nie gryzę. Pani godność? - zapytał doktor Ladaco Zofię, gdy w końcu stanęła przed jego biurkiem.

- Zofia Dubrawska - odparła.

- Dubrawska... Ładnie. Była aktorka o takim nazwisku, zdaje się Mirosława... Pewnie już jest staruszką, o ile jeszcze żyje...

Poczerwieniła i zagryzła wargi.

- Nazwisko mam po mężu - skwitowała krótko, ucinając temat. - To jak strup tradycji. W sumie obca tkanka.

- Hmm, i tak bywa, hmm... Niemniej póki życia, póty nadziei - wlał w swoją odpowiedź szczyptę optymizmu i wziął jej wyniki do rąk. Co my tu mamy... No tak... Zmiany zwyrodnieniowe stawów i kręgosłupa, do tego skrzywienie lędźwiowe i szyjne. Niedobrze, pani Zofio.

Stojąc na jednej nodze w zagraconej skrytce, między kwarcową lampą a przeznaczonym do likwidacji autoklawem na parę z epoki Skłodowskiej-Curie, wysiliłem słuch.

- Proszę się odkryć do pasa i zdjąć biustonosz - polecił Zofii doktor.

W głosie kobiety pojawił się strach.

- Czy to bezwzględnie konieczne?

- No, proszę pani... - rzekł jak do dziecka - chyba się pani nie wstydzi? Jestem lekarzem.

- To widzę. Ale od dawna nie stałam naga przed żadnym mężczyzną.

- Jak to? Mówiła pani, że jest mężatką.

- Bo jestem, ale czy w związku z tym mam się rozbierać przed każdym i kłuć ludzi w oczy golizną? Tak pan uważa? - podniosła głos.

- Tak?! Coś panu powiem: starość jest straszna. Obwiśla. I brzydka. Nadaje się tylko do reklam środków na wzdęcia, kleju do protez i usług firm pogrzebowych.

- Co za herezje pani tu głosi! - On też podniósł głos. - Wszystko w życiu jest względne. I gust. I skłonności. I starość! Jak można tak w ogóle myśleć? To czysta destrukcja. Wracając do pani obaw: od piersi kobiet są inni, ja jestem od kośćca człowieka. A teraz proszę zdjąć bluzkę - powiedział stanowczo - ludzie czekają na korytarzu.

Zapadła cisza. Zapach lawendy wypełniający przestrzeń gabinetu przyniósł do schowka, w którym byłem, energię z mózgu kobiety. Jest kontakt! - ucieszyłem się, czując ten dobrze mi znany, przejmujący dreszcz. Teraz musiałem tylko zasnąć.

Pamiętam ten pierwszy raz, dawno temu. Przez dwie godziny bez skutku przesłuchiwałem w komendzie podejrzanego typa na okoliczność zbrodni z premedytacją. Przez dwie godziny bezczelnie śmiał mi się w twarz, wygadując bzdury, pewny bezkarności z braku dowodów wskazujących na jego winę. W końcu znużony zdrzemnąłem się „na zająca”, to znaczy z otwartymi oczami. Kiedy ocknąłem się z tego stanu, przestępca wciąż plótł od rzeczy, ale na biurku przede mną leżała kartka z zapisem przebiegu zbrodni i ze wskazaniem miejsca ukrycia zwłok. Wtedy nie powiązałem tego

z niczym. Ot, wziął się i przyznał w chwili słabości, a ja, na pół śpiąc, zrobiłem z tego notatkę. Zdarzają się takie rzeczy. Po jakimś czasie jednak w związku z rosnącą wciąż we mnie skłonnością do spraw anomalnych trafiłem na zjazd wybitnego w swej branży medium światowej sławy w Kielcach, który po kilku sesjach – cena: trzysta złotych za spotkanie – wyczulił mnie na to i owo, ale przede wszystkim odkrył we mnie dar przechwytywania cudzych myśli. Nie raz i nie dwa później pomogło mi to w śledztwie. Niemniej by to się stało, winny zostać spełnione dwa warunki. Po pierwsze, musiałem zasnąć albo przynajmniej się zdrzemnąć, jak wtedy przy biurku w pokoju przesłuchań, by myśli innych w postaci czystej energii (cieplnej lub elektrycznej) dotarły do mnie bez przeszkód. Po drugie, obiekt inwigilacji powinien łatwo poddawać się hipnozie. Szczęśliwie dla moich planów Zofia Dubrawska miała taką skłonność. Wcześniej czy później wszystko mi wyśpiewa – cieszyłem się w duchu. Dotrę do jej związku ze staruchem z busa choćby nie wiem co. Tymczasem czułem, że zasypiam. Powoli, powoli z mglistości wyłaniał się obraz złożony z myśli kobiety (podczas późniejszych szkoleń rozszerzyłem umiejętność czytania w cudzych myślach o dalsze możliwości), który chłonałem jak gąbka.

Otaczający zatem doktora Ladaco zapach wody kolońskiej z dobitnym akcentem lawendy wydobył z pamięci kobiety epizod, który przeżyła w wakacje, będąc trzynastolatką, u babci na wsi w altance, z „głupim Albertem”, ongiś dziedzicem okolicznych dóbr. Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z czterdziestego czwartego roku pozbawił go ziemi i innych włości. Władza ludowa zabrała mu nawet dom. Zwariował od tego w pół roku. Od tamtego czasu z nędzną renciną od państwa, pomieszkując to tu, to tam za grosze, błąkał się po wsi ku ucieście wioskowych głupków, poszturchiwany przez dzieci. Do altanki uciekał przed nim jak zawsze, gdy szukał jej pośród lawendy, gdzie zwykła przysypiać na kocu, śledzić ruch białych smug pozostawionych przez lecące wysoko nad

jej głową samoloty odrzutowe lub baraszkować z kotem. Lecz finał tego tym razem był zgoła inny niż zwykle. Kiedy ją przyparł do kratki z pnącym się tam dzikim winem, nagle poczuła coś, co było jej z gruntu obce. I nie był to smak machorki, którą bez przerwy żuła. Poczuela to między nogami. A kiedy jej podniósł sukienkę do góry, śliniąc się przy tym jak zwierz, i dotknął jej wzdórka z kręcącym się meszkiem, łatwo dostępnego, bo na wsi nigdy nie zakładała majtek, zadrżała na widok tego, co w swoich oczach miał głupi Albert: boskiego zachwytu i zwierzęcego głodu. I jeszcze czegoś, czego nie umiała nazwać.

Stalowy sworzeń obejmujący lampy, który boleśnie wpił mi się w skroń, zakłócał też jakość mojego snu i zmałpiał fale odbioru. Z niemalym trudem z braku miejsca poprawiłem ułożenie ciała i ponownie zapadłszy w sen, złapałem kontakt z Zofią, włączając się w jej myśli, które wciąż jeszcze były przy Albercie. Z twarzą ociekającą potem, drżącymi dłońmi właśnie rozpinął rozporek w spodniach, gdy nagle zza winobluszczu wyłonił się dziadek z przysłaniającym mu oczy snopkiem lawendy, którą uprawiał na susz, a później sprzedawał w płóciennych woreczkach jako środek na mole. Albert odskoczył gwałtownie, a sukienka Zofii zsunęła się z góry na dół. Lecz zapach lawendy, uśpiony w jej mózgu, został z nią po dziś dzień, kojarząc się z wiejskim głupkiem, przemianą dziecka w kobietę i starą altanką dziadków. Tylko dlaczego dopiero teraz, w kontakcie z doktorem Ladaco, uderzył w nią z taką siłą?

– O czym tak pani rozmyśla, droga pani Zofio? Powtarzam, proszę zdjąć bluzkę. – Jakby z daleka doszedł ją głos doktora.

Ściągnęła w końcu tę bluzkę, zostając w spranym staniku.

– No, proszę pani. Tracimy czas. A stanik?

– Aaa, stanik... Koniecznie trzeba go zdjąć? – zagadywała, lecz widząc, że wszystko to na nic, zamknęła oczy i skrzyżowała ręce, zdjęła go przez głowę.

Przez twarz doktora Ladaco przemknął nieokreślony cień smutku. Wsunąwszy stetoskop pod wiotką pierś kobiety, wsłuchał się w trzepot jej serca. Czas płynął. A jego dłoń ani drgnęła. Teraz to on miał zamknięte oczy, a jego usta chwytaly oddech jak ryba pyszczkiem powietrze.

Wtem ktoś zabębnił do drzwi.

– Długo tam jeszcze?! – rozległ się męski, ochryply głos. – Bo nie wiem, czy czekać, czy pójść w cholere!

Doktor Ladaco zerwał się z miejsca i w trzech długich krokach znalazł się pod drzwiami.

– Proszę nie wszczynać mi tu awantur! – huknął na aroganta, wrócił do Zofii i podjął przerwana czynność.

Teraz już większość na korytarzu zaczęła się burzyć:

– Jak długo można? To skandal!

W takich mniej więcej warunkach przyszło jeszcze Zofii wypełnić ankietę podsunietą jej przez doktora Ladaco. Kiedy skończyła, wybiegłem za nią chyłkiem. W niedopiętej bluzce sunęła wzdłuż korytarza i mamrotała pod nosem, ciągnąc za sobą stanik:

– Masaż i borowina... Masaż i borowina... I borowina...

* * *

Już pierwsze wnioski z życia turnusu wskazywały na to, że moja obecność w Turni nie będzie do końca zmarnowanym czasem. Być może gdybym ograniczył aktywność wyłącznie do spraw Romana, zabiłaby mnie frustracja, biorąc pod uwagę „dramaturgię” jego romansu z Elżbietą. Przewidywalność i nuda. Myślałem, że stać go na więcej. Niestety, po coś tu byłem. Kontrakt to kontrakt. Święta rzecz! Wciąż zachodziłem w głowę, co też Ilonę P. trzyma przy takim facecie: seks, przywiązanie czy lęk... Lęk? Ale przed czym? Ma dobrą pracę, własne mieszkanie... Brak dzieci też był atutem... Zatem co?

Tymczasem u ramion, z całkiem innego powodu, zaczęły mi rosnąć skrzydła. Znaki zapytania jeden po drugim stawały przed

oczami. Nareszcie mogłem oddychać, nareszcie w swoim żywiole. Organizm po długiej, bezproduktywnej przerwie podjął produkcję adrenaliny, hormonu stresu: walki, ucieczki i strachu. Jej smaku nie czułem od bardzo dawna, a bez niej, prawdę mówiąc, nie mogłem się obejść, jak jakiś cholerny ćpun. Już się prężyłem przed lustrem. Już wypinałem pierś do orderu na gali u prezydenta Rzeczypospolitej: „Kapitanie Konieczko, za rozwikłanie sprawy o kryptonimie «Pociąg» awansuję pana do stopnia nadinspektora!”. Zachłyśnięty triumfem, odkrzyknąłbym dziarsko: „Ku chwale ojczyzny, panie prezydencie!”. A potem powrót do czynnej służby w policji. I w ramach awansu praca w stołecznym Archiwum X. A kto powiedział, że nie?

Rozdział IV

UPIORY ILONY P.

- Co tam, Ilona? Roman w końcu wrócił z tego Łądka? - zagadnęła mnie koleżanka w pracy.

- Dlaczego miałyby nie wrócić? - odpowiedziałam, wbijając wzrok w biurko i mażąc palcem esy floresy po blacie.

- Nie udawaj. Każdego roku wraca coraz później, w końcu się zerwie na dobre i tyle go będziesz widziała.

- Na razie pewnie zostanie, jak jest - wtrąciła się druga. - Bo gdzie mu będzie tak dobrze? Wikt, opierunek, żyć nie umierać. Pójdzie, jak ściągnie mu cugle i zacznie czegoś od niego wymagać. Ale jak znam Ilonę... - Wykrzywiła wargi w wiele mówiącym grymasie. - Umył choć raz okna? Wytarł po sobie wodę w łazience? Opłacił rachunki za prąd albo gaz? Za mieszkanie? - wytaczała kolejne argumenty.

Pierwsza uparcie obstawała przy swoim.

- Myślisz, że jedna taka Ilona na świecie? Jak mu coś strzeli do głowy, to pójdzie. I wszędzie znajdzie to samo, tyle że z inną babą. Choć z drugiej strony, jak tak pomyśleć, zawsze to jakaś zmiana. Bo czarna, bo ruda, bo starsza, bo młodsza. Weselsza, miłsza, obrotniejsza w łóżku... długo by wymieniać. W każdym razie nowsza. Ale równie głupia.

Ich wymiana zdań zaczęła przybierać zdecydowanie zły obrót. Jeszcze w zeszłym roku skończyłoby się to kłótnią. Tym razem jednak, przyznając im w duchu rację, pod pierwszym lepszym pretekstem opuściłam pokój.

Mijały dni i w końcu czerwca zakwitły lipy. Tego wieczora pachniały słodko, oddając gorąco z kwiatów. Obudziłam się z bólem głowy i z myślą, jak długo jeszcze wytrzymam ten chory, przeciągający się w czasie układ, zamiast wyskoczyć z łóżka i wskazać Romanowi drzwi. Klucze na stolik, waliza w łapę i krzyż na drogę. Do narzeczonej. Krótko. Są przecież kobiety, które w prosty sposób załatwiają sprawy. Dla mnie nie do przyjęcia. Wygodniej było udawać, że się czegoś nie widzi; czegoś, czego latami nie chciało się dostrzec, czekając, aż w jakiś cudowny sposób rozwiąże się to samo.

Zapadał mrok i na dworze rozszczękały się psy. Za dnia siedziały w domach. W upalne dni starość i kiepskie zdrowie ich właścicieli nie pozwalały czworonogom cieszyć się życiem, nim słońce skryje się za horyzont. I nagle ogarnęło mnie uczucie zupełnej bezcelowości. Coraz częściej wpadałam w taki stan. Zwykle poprzedzały go dni, z których nic nie wynikało.

„Kto z miłości jeszcze nie umarł, nie potrafi żyć” – rozbrzmiewały w mojej głowie słowa przeboju, który swego czasu słyszało się w wielu radiowych stacjach. Trzeba więc umrzeć z miłości, żeby nauczyć się żyć? Gdyby tę kwestię odnieść do lęku, być może byłby w tym jakiś sens. Tyle już razy umarłam... I co, wciąż jakoś żyję. Ale z miłości? Pytania, pytania, pytania... Zacinająca się płyta. Niemająca początku ani końca... Bo to, że ktoś przed kimś obnaży ciało i pójdzie z nim nawet do łóżka, nigdy nie będzie znaczyć, że coś naprawdę przeżył. Ani że będzie to jakąś wartością w jego późniejszym życiu. To żaden wyczyn. To, co istotne, dzieje się później. Gdy tracąc czujność, odsłoni przed kimś swoje najczulsze miejsce, jak hostię w tabernakulum, i pozwoli, by ten drugi ktoś wziął w swe paluchy tę kruchą świętość i zrobił z nią to, co chciał: upodlił, opluł czy starł na miazgę pod swym brudnym butem. Po wszystkim zostaje sam i tylko z jednym pytaniem. Jak? Jak to się mogło stać?

W końcu usnęłam z głową puchnącą od pytań. Przyśniło mi się, że Roman, stojąc na Czarnej Górze, macha do mnie kapeluszem.

Następnie robi trzy kroki naprzód i staje na skraju przepaści. Wysuwa nogę, jakby chciał rzucić się w dół, jednak ogląda się jeszcze na mnie, wyciąga ramię i przywołuje ruchem palca. Przyglądam się temu z boku. A jak mnie zepchnie, a sam nie skoczy? Nie miałby z tym pewnie problemu – myślę i ostrożnie mówię:

– Ale ty pierwszy. Ja zaraz po tobie.

Jednak on zwleka, jakby na kogoś lub na coś czekał. W pobliżu uderza piorun i nagle gdzieś u podnóża góry słyszę czyjś gromki śmiech, który przerywa ten koszmar.

Obudziłam się z krzykiem, z twarzą w poduszce lepiącej się od wymiocin. Słyszałam już wcześniej ten śmiech, rubaszny rechot Elżbiety, o którym, i to nie raz – bo pewnie szczególnie go drażnił – pisał i mówił Konieczko: „Pani Ilono, ona się śmieje jak tysiąc żab razem wziętych w jednym stawie”. Dzwoniłam w ten dzień do Romana. Po kilku słowach, które zamienił ze mną jak z łaski, ostatecznie mówiąc, bym kończyła rozmowę i pierwsza się rozłączyła, bo nie chce być nieuprzejmy (skąd takie teksty u niego?), odłożył komórkę gdzieś na bok. Przypadek? Czy zrobił to w jakimś określonym celu? Tak czy inaczej powinnam natychmiast to przerwać, po powrocie zaś zerwać z nim znajomość. Ale nie. Z komórką wciśniętą w ucho łowiłam strzępy ich głośniejszej, wibrującej seksem rozmowy, przerywanej śmiechem. Co przy tym czułam...? Nie wiem. Nie pamiętam. Pewnie nic.

Z bijącym sercem podniosłam się z łóżka i chwiejnym krokiem udałam się do salonu, gdzie Roman ostatnio przebywał za dnia, a nocą spał na kanapie, po czystą poszewkę na jasiek. Moje leżanki zmieniały się wraz z mężczyznami. Z każdym kolejnym w mieszkaniu, wprowadzie na innym miejscu, jakby to miało cokolwiek zmienić, stawał najnowszy model, symbolizując jak wektor otwarcie następnej historii, ale zarazem jej koniec. To tutaj bowiem mężczyźni w pierwszych porywach żądzy sięgali mi pod spódnice i rozpinali bluzki. To tu, w zarodku „uczuć”, niestraszne były im niewygody

i oddech w oddech po nocy. Ale stąd też oni wszyscy, każdy we własnym stylu, jak ptaki jesienią za morze, zbierali się do odlotu.

Coś pchnęło mnie w stronę śpiącego Romana. Pijany, bez majtek, z dłonią wciśniętą w krocze, z komórką przy boku, powoli zmieniał się w lustro, w którym mogłam się przejrzeć. Po jego twarzy przelatowały bowiem mroczne, nieokreślone cienie, podobne do tych, które widziałam u siebie, gdy zbliżał się atak lęku. Nagle zajęczał i coś wyszeptał. Z uśmiechem wyrażającym błogość poruszył palcami, wzdychając i robiąc miny. Przemożny wyraz rozkoszy, który rozciągnął mu usta, zmienił się w grymas oczekiwania, a i ten ustąpił przed zawziętością widoczną w zagryzieniu wargi i w determinacji, z jaką poruszał ręką w dół i do góry. Nie wiem, na ile był rozbudzony, na ile robił to we śnie. Czekałam, aż to się skończy. Potrwało, nim zacisnąwszy uda, wymruczał przez zaciśnięte zęby:

– O tak... tak dobrze...

Na koniec zrobił trzy szybkie ruchy i zwiotczał, z cichym westchnieniem ulgi. Miałam odejść, gdy nagle uniósł powieki. W jego zmaconych oczach, choć zamknął je niemal natychmiast, nie zobaczyłam niczego, czego bym nie widziała w swoich, gdy zbliżał się atak lęku. Cienie na twarzy. Więc jednak... Krew uderzyła mi do głowy. *Female idol*, lew salonowy z grzywą do jąder w szponach nałogu. „Ideal sięgnął bruku”. „To, co dostrzegasz w innych, istnieje w tobie” – powszechnie znana zasada lustra uderzyła mnie z całą swą bezwzględnością.

„O tak...” – godny politowania fiut. Ciekawe, która z jego bogatej kolekcji kobiet zraniła jego męskie ego do tego stopnia, że pamięć o tym boli go aż do dziś. Całkiem możliwe, że od tamtej pory, kierując się jakąś swoiście rozumianą zemstą, szukał odwetu na innych. Wykorzystać każdą, każdą bez wyjątku, i sprawić im ból, aby go poczuły, poczuły bez reszty, byle tylko on, choćby i na chwilę, mógł uśmierzyć swój i doświadczyć ulgi. Mogłam się tego domyślać, gdy już na wstępie naszego związku żywo rozprawiał o tych kobietach,

z którymi się pieprzył, a ja puszczałam to mimo uszu, jak jedna z trzech mądrych małpek: „Nie słyszę nic złego!”. Liczyło się tu i teraz. Z tego samego powodu wołałam nie widzieć, jak nawet idąc za rękę ze mną, każdą przygodną kobietę uwodził wzrokiem, rozbierał i ciągnął do łóżka. Jak to się stało, że się godziłam na jego zwyczaj chodzenia w majtkach po domu, gdy przychodziły znajome, nawet te starsze wiekiem? Dlaczego w końcu z nim nie zerwałam, gdy z kolejnego wyjazdu do sanatorium przywłókł jakąś francję, którą musiałam leczyć, i to za własne pieniądze? Blok retoryczny. Ograny zbiór pytań. Bez wyciągania wniosków. Bez konsekwencji.

Nagle poczułam jak ostry świder wwierca mi się w mózg, a z zapomnienia tryska materia – pamięć wyzwolona. I każe mi siebie słuchać. Słucham więc, skupiona na przejmujących cieniach, które zabrały mi smak dzieciństwa. Dostrzegam też inne, które zjawily się na ich miejsce, by robić ze mną dokładnie to samo, co tamte sprzed wielu lat. Ale już na tym etapie życia nie zadawałam pytań, przyjmując za swoje pryncypia obcych, nic niewartych mężczyzn, których potrzeby zaspokajałam, nie oczekując niczego w zamian. I nie zważając na to, że czasem czyjś, może nawet mój, zapomniany głos z wnętrza próbuje się do mnie przebić. Bo ja wiedziałam już swoje, że lepszy ostatni skurwiol od samotnego życia. Podręcznikowy układ, czysty interes, powiedziałby znawca tematu. Związek ze snu narkomana. Dawca przyciąga biorcę. Kat i ofiara. Coś za coś.

Było przed pierwszą, gdy w nagłym poczuciu mocy sięgnęłam do boku Romana i wzięłam jego telefon. Muszę to wiedzieć. Teraz. Na palcach wróciłam do łóżka. Intuicyjnie w kontaktach znalazłam numer Elżbiety. Potem zajrzałam do esemesów. Skrzynka pękała w szwach. Czytając je, zamarzałam. Gdy odłożyłam komórkę, skonstatowałam z ulgą, że znów niczego nie czuję. I już niczego nie muszę. Skostniała w swojej kryjówce, mogłam przeczekać dzień, miesiąc, nawet rok... Tylko co dalej... Co dalej?

Do rana leżałam bezsennie. Około ósmej za oknem dał się słyszeć odgłos terkoczących kółek. O tej godzinie pani Rozalia spod szóstki zawsze wychodzi z domu i zaczyna popychać swój chodzik na wysłużonych kółkach. Krok, szurnięcie, krok. Czasem dwa. Z przetartych w wielu miejscach szeleszczących toreb zwisających z zaczepu wózka wypadają drobinki suchego pieczywa, znacząc swój szlak na chodniku. Gołębie, wróble i inne ptactwo obserwujące to z okolicznych drzew zlatują się całą bandą i w zgrywnych podskokach, nie odstępując staruszki, wśród skrzeków, gruchania i ćwierknięć walczą o każdy okruch. Niebieską spłowiałą torbę z jedzeniem dla kotów, uszytą ręcznie ze starej poszewki na jasiek, Rozalia zawsze ma przy sobie. Trzyma ją mocno przy piersi, jak swój największy skarb. Forpoczta kocich ogonów, płacząc się między nogami kobiety, spowalnia jej marsz do śmietnika. Decyzją administracji osiedla swego czasu w pobliżu tego śmietnika ustawiono budkę z wybrakowanych desek, mającą służyć za azyl wolno żyjącym kotom, Rozalia zaś do jej boku dostawiła emaliowaną miskę, do której z czasem, w upalne dni, ludzie wynoszący śmieci jęli dolewać wodę do picia, w której z kolei, wbrew ich intencjom, zaczęły się pluskać ptaki. Ale co począć? Postawić tam strażę czy stracha na wróble? Wolne żarty.

Tymczasem stukot kół wózka ustał. Zaraz się zaczęło – pomyślałam. Karmienie kotów w wydaniu Rozalii przypominało bardziej misterium niż prozaiczną w gruncie rzeczy czynność. Dwa razy dziennie ze swojej niebieskiej torby wyjmowała pojemniki po lodach, które zbierała od dzieci, i napełniwszy je kocią karmą bądź drobno pokrojonymi podrobami z kurcząt, z promocji, stawiała zgłodniałym zwierzętom. Wyprostowana, patrząc z radością, jak jedzą, z błyszczącymi oczami, stawała się nagle kimś innym, kimś o wymiarze Boga. Znikała kaleka Rozalia spod szóstki, a na śmietniku w nędznej kociej chatce rodził się Jezus Chrystus.

Chyba zasnęłam. Obudził mnie męski głos.

- Będę szedł - powiedział Roman od drzwi.

Przeciąg podniósł ze wszystkich kątów zalegający w mojej sypialni kurz. Poruszył też siatką pajęczyn zwisających z sufitu nad oknem. Spojrzałam na zegar. Wskazywał godzinę dwunastą.

Od przyjazdu z Łądką Roman, kiedy byłam w domu, do pracy na popołudnie wychodził mniej więcej zawsze o tej porze. Natomiast na trzecią zmianę, co działo się coraz częściej, zbierał się nawet trzy godziny wcześniej. Można śmiało powiedzieć, że spędzał tam czas na okrągło. Tam na całego mógł konwersować, choćby przez Skype' z Elżbietą. Tam mógł nie widzieć mych cierpiętniczych min i zapłakanych oczu. Ale z drugiej strony tu miał bezpłatny hotel, miejscówkę w salonie pod oknem i serwis usług za darmo. A że Roman nie lubił wyrzucać pieniędzy, gdy nie miał noża na gardle, to rezydował wciąż u mnie, choć było wyraźnie widać, że cierpiał z tego powodu. Czytałam to z jego twarzy. Widziałam to w jego wzroku. I jakie czynił wysiłki, by nie otrzeć się o mnie na mijankach w domu. Widziałam, jak kombinował, wciąż jednak zachowując pozory, by wtedy, gdy byłam w domu, a on akurat miał wolne, wychodzić gdzie bądź, pod byle jakim pretekstem. Tyle zachodu. Tylko po co? Wszak mógł wynająć gdzieś pokój albo przytulne mieszkanko - i tam swobodnie, po wyprowadzce, swawolić z Elżbietą do woli. Ba, nawet z nią zamieszkać. A kto by mu zabronił? Pieniądze na to, i to niemałe, wszak miał. Był jeden szkopuł, który moim zdaniem przewyższał komfort i inne dobre strony płynące z takiego wyjścia - patologiczne wręcz skąpstwo Romana. Czyżby realny, dostępny na każde życzenie intymny kontakt z miłością życia nie był dla niego wart tego, by sięgnąć do rezerw na koncie?

A ja? Gdzie byłam ja w tym wszystkim? Patrzyłam na siebie w lustrze. Na swą zszarzałą, zmizerowaną twarz i podkrążone oczy. Na zwiędłe pośladki i brzuch w wychudzonym ciele. Gasłam. Bezwolna jak owca na rzeź. Niezdolna uczynić choćby kroku naprzód. Podjąć decyzję, w tę albo we w tę. Do czego to doszło? Co zrobić?

Na dole za Romanem stuknęły drzwi wyjściowe. Słyszając to, wstałam z łóżka i powlokłam się do kuchni. Z szafki wyjęłam spirytus, z lodówki tonik Kinley i odlewając z każdego po równo, zmieszałam w szklance do drinków. Ubytek uzupełniłam wodą. Praktykowałam to jakiś czas, mało przejmując się myślą, że Romanowi wkrótce skończy się cierpliwość, zwłaszcza że swego dobra strzegł jak źrenicy oka. Niemniej jak dotąd nie wspomniał o tym ani słowem. Możliwe, że mój proceder odpowiadał mu z pewnych względów, do reszty bowiem czynił mnie bierną i wyłączał z życia, wliczając w to czas na trzeźwienie. I choć trzeźwienie w moim przypadku – z wymiotami żółcią – było czymś strasznym do przeżycia, to stan ten, paradoksalnie, też mi był na rękę. Z syndromem dnia następnego, lecząc skutki kaca, nie byłam w stanie zajmować się niczym innym. Nawet nim. A to już było coś.

Na myśl o wymiotach wstrząsnął mną zimny dreszcz. Mimo to wzięłam solidny łyk obrzydliwie ciepłej, parzącej w gardło mieszanki. W żołądku poczułam skurcz. W lepszym już nastroju wróciłam do łóżka, po drodze sięgając w głąb szafki z tak zwanym badziewiem, z której wyjęłam album z okresu mojego dzieciństwa i lat nastoletnich, odziedziczony po matce. I jeszcze jeden – ostatni z wszystkich pięciu. Później odpaliłam laptop. Podręczna kartka szybko zapełniła się pseudonimami rozmaitych wieszczów, jasnowidzących i wrózek, dostępnych na telefon. Ale to później, pod wieczór – zdecydowałam. Następnie otwarłam album w płóciennej szarej oprawie. Moją uwagę natychmiast przykuł postrzępiony, wydarty z całości fragment czarno-białej fotografii. W ustrojonej świątecznie sali przy choince stała mała dziewczynka w śmiesznej, za dużej koronie z bibuły, zachodzącej jej krzywo na brwi, i w białej bluzce z kołnierzykiem bebe włożonej po pachy w spódniczkę na szelkach, w fałdy. Z zaciętym wyrazem twarzy i dolną wargą wyдутą w uporze wyrywała dłoń z nie wiedzieć czyjej męskiej dłoni. Z całej postaci mężczyzny została tylko ta dłoń. Z odwrotnej strony widniała

data, rozmyta upływem czasu. Miałam więc wtedy pięć lat... Coś mnie ścisnęło w gardle. Od tamtej hardej dziewczynki dzieliły mnie całe wieki. Podobnie jak od tej na drugim zdjęciu zrobionym dwa lata później, na którym stojąc w pozycji na baczność, patrzyłam w obiektyw jak bazyli szek w lustro. „Nie będę cię okłamywać. Twój ojciec odszedł do innej kobiety” – dobiegł mnie nagłe głos matki.

Nastała pora tatusiów i wujków. A kiedy wiek nastoletni, burząc naiwność dziecka, rozhuśtał też moje hormony, wydarłam ich wszystkich ze zdjęć. Wydarłam ich też z pamięci. W starym albumie matki przetrwałam sama w obszarpanych „ramkach” dopasowanych kształtem do mojej figury na tle zatartych w pamięci fragmentów terenu i wnętrza. Nie zaglądałam do niego od lat. Aż do dzisiaj.

Alkohol wchłonięty do krwi z żołądka uderzył mi do głowy. To pod jego wpływem od pewnego czasu zaczęłam widzieć Romana w całkiem nowym świetle. Bez tuszowania wstydlwych kwestii, bez naciągania faktów, bez wszystkich tych bujdz na resorach, z uporem wartym lepszej sprawy. W tym stanie wreszcie byłam gotowa wystawić mu rzeczy za drzwi, wezwać ślusarza, wymienić zamki i, jak to się mówi, spuścić go na drzewo. Tyle że trzeźwiejąc, nie miałam już tej odwagi. Alkohol... Dobra rzecz. Wyzwała w ludziach otwartość. Nie wzięła się znikąd ludowa mądrość, że ludzie pod jego wpływem sięgają do swoich głęboko ukrytych uczuć, zatem to, co myślą i mówią „po spożyciu”, odpowiada temu, czym naprawdę żyją. Woda rozmowna. Cud fermentacji. Odkrycie warte Nagrody Nobla. Jedyny w swoim rodzaju środek na prawdomówność – teraz na wyciągnięcie ręki. O drugiej stronie medalu związanej z jego spożyciem wołałam teraz nie myśleć. Byle nie przebrać miary – zaleciłam sobie ostrożność, bo wszystko pójdzie na marne. Wszystko, co miałam w planie na dziś, nim Roman wróci z pracy.

Na wąski parapet za nisko osadzonym oknem, gruchając, sfrunęła para gołębi. On całkiem spory, cały czarny. Ona malutka, w białoszare plamki, z białą przepaską na łebku. Ich obecność tutaj od

jakiegoś czasu stała się źródłem przykrych spięć z sąsiadami. A to że srają i brudzą, a to że roznoszą choroby, zarazki i robactwo, a to że jak z tym nie skończę, poskarżą się na mnie w administracji. A wszystko zaczęło się bardzo niewinnie. Jak wiadomo, w marcu nad Polskę nadciągnął baryczny wyż, przynosząc z sobą napływ arktycznego powietrza. Do okien zaczęły zaglądać wróble, sikorki i inny, nieznamy mi z nazwy ptasi drobiazg. A że słonecznik w ziarnach był zawsze w zapasie w kuchni, sypnęłam im tego trochę. Niech mają stworzonka boże.

Od tego dnia codziennie, równo ze świtem, zjawiały się na śniadanie. A mi na ich widok robiło się jakoś cieplej. I jakby radośniej na sercu. Po długiej nużącej zimie zachwycał mnie też ich świergot, gdy skrzykiwały się w locie, powiadamiając inne o jadłodajni na trzecim piętrze, na parapecie okna w przedwojennej kamienicy z popękany m tynkiem, w centrum miasta. Raz nawet przysiadł tam gawron. Na szczęście przytomnie ocenił (o mądrości krukowatych napisano już chyba wszystko), że to nie miejsce dla niego, i sfrunął na skwer nieopodal, lądując na starej, spleśniałej skórce chleba. Szybko zwiadziały się o tym sierpówki z blisko rosnących drzew, gnieźdzące się tam od lat, i – co najbardziej nie do przyjęcia – miejskie gołębie, wypatrujące okazji z gzymsów przyległych obiektów architektury miejskiej. Wraz z nimi zaczęły się bójk i. Wściekłe i zajadłe. Najlepszym wyjściem z tej stresogennej, także i dla mnie, sytuacji byłoby przestać je karmić. Ale gdzieżby tam... Moje oddanie się sprawie zaszło na tyle daleko, że nie wchodziło to w ogóle w grę. Z dnia na dzień zatem zniknęły sikorki, następnie wróble i w końcu reszta drobnicy. Przestały zaglądać też miłe, łagodne z natury sierpówki. Została zwycięska, wzbudzająca moją największą złość para gołębi, która przed chwilą usiadła na parapecie. Wciąż je karmiłam, jakby na przekór sobie i za nic mając uwagi sąsiadów, że ptaki, jeśli już, dokarmia się tylko zimą.

Pewnego ranka, po bezsennej nocy, poczułam się tak, jakby ktoś dzielił mnie kijem po głowie. W tej jednej chwili pojęłam (tyle że jedno zrozumieć, a drugie wprowadzić w czyn), skąd we mnie ten twardy, wręcz zaciekły opór przed prostą w sumie decyzją. Tak jakby wraz ze zniknięciem ptaków, choć były mi wstrętne z tym swoim brudzeniem na parapecie, miała mnie dopaść... sama nie wiem co. Może nawet śmierć. Brnęłam w to za namiastkę... No właśnie – czego? Miłości? Szczęścia? Z parą obsranych gołębi? Melodia ze zdartej płyty dopadła mnie z całą bezwzględnością. Bez konsultacji z psychiatrą i zwierzeń na kozetce. Zadając się z byle kim, powielałam w kółko wzorce zachowań znane mi z przeszłości, z życia mojej matki. „Zrobiłaś coś, by z tym skończyć?” – mógłby zapytać ktoś mądry. Ano właśnie... Nic.

Za oknem gruchanie przybrało na sile. Co to, już tak późno? Sięgnęłam po szklankę i wzięwszy solidny łyk alkoholu, podeszłam z nią do okna. Torebka z kaszą jęczmienną stała na swoim miejscu.

– Co, gołąbeczki? Głodne? Niedobra pańcia, niedobra – powiedziałam miękko, a moje usta bezwiednie same złożyły się w uśmiech.

Patrząc z rozrzewnieniem, jak kręcąc się w kółko, zajadają kaszę, pociągałam ze szklanki, aż pokazało się dno. Kiedy wróciłam do łóżka z kolejną porcją mieszanki, miałam już dobrze w czubie. A że rozmowy z sobą po alkoholu ostatnio weszły mi w krew, powiedziałam na głos:

– Cyganka prawdę ci powie... Czas na wróżby.

Wcześniej jednak zajrzałam do zdjęć z Romanem. Na każdym, w wielu ujęciach, widziałam tę samą zamkniętą w kadrze sekwencję. Ja uczipiona ramienia mężczyzny jak rzep psiego ogona, on jakby mnie tam nie było – z kciukami zatkniętymi za pasek spodni po obu stronach rozporka, erotycznym gestem – patrzący na wprost, wzrokiem myśliwego.

- Czy jest pan w stanie przewidzieć przyszłość mojego związku z Romanem? - spytałam potem pierwszego z listy wróża o pseudonimie Max (opłata za minutę połączenia 3,69 zł z VAT).

Nie tylko Max, ale i inni, do których kolejno dzwoniłam, po wstępnych czary-mary i niekończącym się czasie ciągnięcia mnie za język wszyscy jak jeden, patrząc w swoje karty, stwierdzali, że nic dobrego nie czeka mnie w tym związku. Mogło być tylko gorzej. Ostatni wróżbita natomiast wykręcił się od wróżby, od razu mówiąc, że czuje ode mnie alkohol. I złą energię, która mu może zainfekować aurę, a nawet go jej pozbawić. Żałuje zatem, ale nie. Nie będzie uprawiał ruletki dla tych paru groszy. Tyle, co się rozłączył, przyszedł esemes. „Ten mistrzowski układ Tarota ukazuje dokładnie datę twojej wygranej w lotto! Przekonaj się, puść kupon lotka. Więcej na Wróżby Online”.

- A chuj z tym wszystkim! - przeklęłam, zwlokłam się z łóżka i chwając się, podeszłam do okna.

Przyznaję, że wulgaryzmy towarzyszą mi coraz częściej. Rzucić mocną wiązką i od razu lżej. To jak upuścić pary z kotła czy przewietrzyć pokój ze szkodliwych gazów.

Ciekawe, gdzie one śpią - pomyślałam o gołębiach, wychylając się za parapet. Klinkierowe płytki na parapecie zewnętrznym zachybotwały się niebezpiecznie. Miał coś z tym, kurwa, zrobić! Jeszcze w zeszłym roku! - warknęłam w duchu ze złością.

Od śmietnika dał się słyszeć odgłos terkoczących kółek. Rozalia? O tej godzinie? I rozbawiona nie wiedzieć czym (jak nie wiedzieć czym, to wiadomo), zawołałam w ciemność zachrypniętym głosem:

- Pani Rozalio! Co pani tam robi o tej porze?

- Jak to co robię? - Jej krzyk był równie donośny jak mój. - Karmię koty! Dziś trochę później. A co?

- Poczekaj tam pani na mnie? Zejdę na słówko, okej?

Do naszych krzyków dołączył sąsiad z dołu.

- Koty, gołębie i wrzaski po nocy! Jutro z tym zrobię koniec!

- A rób pan sobie, co chcesz!

Z późniejszych zdarzeń zapamiętałam mgliście drogę po schodach w dół i że na pierwszym piętrze, niemal pod drzwiami Rozalii, zachwiałam się i upadłam.

Rozdział V

CARNAVAL SCHUMANNA

W środę pogoda w Łądku przyniosła z sobą silny wiatr i ulewę. Od rana pacjenci, ci, którzy nie musieli, nie opuszczali budynku na krok, schodząc na zabiegi do podziemi Turni w kapciach i szlafrokach.

Od godziny siedziałem w pokoju kobiet, opowiadając dowcipy o policji dla zabicia czasu. Z uwagi na kontrakt (Elżbieta!) byłem tam stałym gościem, prawie domownikiem. A tym samym chłopcem do bicia i chłopcem na posyłki. „Panie Marczechu kochany, przyniesie mi pan śniadanie ze stołówki, bo zasnęłam. Nie pójdę bez makijażu, zobaczy mnie Roman, sam pan wie...” – to Elżbieta. „Czy z punktu widzenia wydziału do walki z przestępczością gospodarczą takie a takie działania w biznesie będzie legalne czy nie?” – to oczywiście Bożenka. „Siedzi, wciąż tu siedzi! Zero prywatności. Nie ma jak się przebrać” – a to już Urszula, zbzikowana wdowa, której wszystkie stroje, w całej gamie czerni, były tak podobne, że starczyłby jeden, może dwa na zmianę. Przebrać i wysuszyć. O co więc ten szum?

Przesiadawałem zatem w pokoju kobiet, praktycznie wykorzystując wiedzę i umiejętności nabyte przeze mnie w szkole w Szczytnie, którą, nie chwając się, ukończyłem jako prymus, z najwyższą średnią ocen. W obecnych realiach przydały mi się lekcje o metodach pracy kretów policyjnych w strukturach mafijnych i innej przestępczości zorganizowanej. O tym, jak chyłkiem i nie rzucając się w oczy, wnikać w tę żywą tkankę i penetrując od wewnątrz, wywleć na jaw jej sprawy. Major, nasz szkolny psycholog, uczył nas tego, mówiąc: „Każdego z jej członków podejść pojedynczo, zdobyć

zaufanie, dać to, za czym tęskni, czego potrzebuje, aby koniec końców zrobić wielkie bum. Byłe za bardzo nie drażzyć, byłe nie za natrętnie. Jednym słowem: z wyczuciem. Zwęszyc dobry moment i dopiero wtedy. Zrozumiano, głąby?!”.

Trzymałem się więc pokoju kobiet rękami i nogami. Gdy któraś z nich szła na zabieg, kładłem się na jej łóżku, by siedząc centralnie przy stole, za bardzo nie rzucać się w oczy. Kiedy trzeba było, jak bezstronny widz włączałem się w ich kłótnie, a gdy miały problem, wspierałem je radą. Z Elżbietą było najłatwiej, bo jeśli jest prawda, że miłość to rodzaj psychozy, trafioną strzałą Amora kobietą, każdą kobietą, można manipulować do woli. W sprawy Bożenki w szczegółach, każdego wieczora przed snem, wprowadzał mnie Emil. Ale już z Urszulą szło mi jak po grudzie. Była w tej strukturze najtwardszym ogniwem. Z warkoczem do pasa, w swym żalobnym stroju, z nieskończone mroczną twarzą Belfegora snuła się po Turni, siejąc postrach w ludziach o zszarganych nerwach, szukających tutaj zdrowia i spokoju. Poszeptywano, że toczy rozmowy, a czasem nawet wdaje się w kłótnie ze swym zmarłym mężem. Ale i do niej, gdy doszły mnie słuchy o jej twórczym pędzie do poezji, udało mi się trafić za sprawą kulawego wprawdzie, niemniej jak najbardziej autorskiego wiersza. „Pani Urszulko, napisałem wiersz, ja wiem, nieudolnie, i nie o miłości (bo móc o niej pisać, trzeba się zakochać), ale prosto z serca! Z serca policjanta. Chciałbym, by się pani nad nim pochyliła z wyżyn swej maestrii”.

Nim dotarło do niej, czego od niej chcę, ja go już czytałem:

Prognozy swoje, a życie swoje

Za oknem leje, bezduszny wiatr wieje, jakby się kto powiesił

Policjant jednak musi wyjść z domu, by służyć ku chwale Ojczyzny!

Bez parasola i bez kaloszy, bo nie przystoją mundurowemu

Moknie na deszczu, mając pod ręką pałkę, kajdanki i krótkofalówkę

*W kaburze trzymając broń palną
Której by często chciał użyć
Nie zawsze w obronie koniecznej, lecz by postrzelać do ludzi

Postrzelać dla dobrej zabawy jak do zająca czy dzika
A potem ściągnąwszy z nich skórę
Powiesić na ścianie w komendzie*

Od ponad godziny zatem siedziałem w pokoju kobiet. Bożenka tylko co poszła na masaż w japonkach chińskiej produkcji. Urszula, machinalnie przerzucając kartki w swoim brudnopisie, utkwiała we mnie niewidzący wzrok. Elżbieta zaś na swym łóżku kręciła się z boku na bok, podtrzymując jak z łaski konwersację ze mną.

- Pani Elżbietko, to o której w końcu ma pani ten swój zabieg? - spytałem, siadając na wolnym łóżku Bożenki.

Ziewnęła szeroko, nie zasłaniając ust.

- Nie wiem, potem sprawdzę - rzekła, naciągając kołdrę na policzki. - Teraz chcę się zdrzemnąć. Pół nocy nie spałam przez psy, wyły jak w schronisku koło mego domu na skraju Rzeszowa. A pan? Też je słyszał?

- Faktycznie, wyły, że aż Emil klnąc, wstał i zamknął okno. Pójdę w takim razie, nie będę przeszkadzał. Sprawdzę, co na dole, co dziś w jadłospisie. Przyjdę później.

Szukając Zofii (z oczywistych względów musiałem ją mieć na oku), dotarłem do piwnic Turni. Ujrzałem ją już z daleka. Stała przed boksem z wanną, czekając na swoją kolej. Wyglądała źle - ziemiście i blade, w spłowiałej podomce zlewając się z tłem burej ściany. Ale już jej głos zabrzmiał całkiem mocno, kiedy zawołała, wskazując na drzwi.

- Wie pan, kto tam jest?! Jakiś niedomyty, krostowaty dziad! Jeszcze dziś się przejdę do administracji i zażądaję wglądu w jego kartę badań. A jak on zaraża?

- Pani Zofio droga - rzekłem, śmiejąc się. - Taki dziad zarazić? Niby czym? Trądzikiem? - I w akcie dobrej woli, zaofiarowałem kobiecie swoje towarzystwo: - Poczekam tu z panią, okej? Dzisiaj nie mam w grafiku.

Wybuchnęła śmiechem.

- W jakim znów grafiku, ha, ha, ha... Nie, no! Dowcip dnia! Niby jest pan wszędzie, ale nigdy w klapkach, zawsze bez ręcznika. Czepka też u pana nigdy nie widziałam ani mokrych włosów. Chodzi pan i węszy. Taka to kuracja!

Przystroiłem twarz w najpiękniejszy uśmiech.

- Pani zdaniem Turnia ma w zakresie usług tylko borowinę? A zabiegi suche? Inhalacje wziewne? No i gimnastyka, nie do przecenienia. - Liczyłem na palcach. - Ej no, pani Zofio... przy całej sympatii... Ale to nie znaczy, że nie cenię sobie reszty pani wiedzy w zakresie leczenia sanatoryjnego - dodałem szybko, widząc, że się chmurzy. - Zresztą tak po prawdzie, kto za dużo wie, ten niczego nie wie!

Z oczywistych względów robiłem, co mogłem, by ją sobie zjednać. Niemniej trudno z całą pewnością stwierdzić, co ugruntowało moją przyjaźń z Zofią. Naturalnie mówiąc o przyjaźni, miałem na myśli ten nikły stopień zbliżenia tak różnych od siebie światów, mojego i jej. Być może dlatego, że zwierzyłem jej się z porażki mojego małżeństwa albo że broniłem należnych jej racji żywnościowych, gdy nie zdążyła na czas na posiłek, zazwyczaj przez poślizg w zabiegach.

Zgrzana łaźnienna wyjrzała zza drzwi.

- Dubrawska Zofia! Zapraszam. Może się pani rozbierać.

- Jak to rozbierać? Jeszcze nie wyszedł tamten! - zjeżyła się z miejsca Zofia.

Łazienna machnęła ręką.

- Pani kochana, chyba się pani nie wstydzi? Przecież on ledwo co żywy.

- A pani to sobie żartuje ze mnie? Czy ja wyglądam na pierwszą naiwną? - Zofię zapowietrzyło ze złości. Po chwili przerwy, spokojniejsza, ciągnęła: - Dobrze pamiętam wyczyny tych niby stojących nad trumną, pobożnych dziadziusiów w szpitalu, w którym spędziłam pół życia, pracując za marne grosze jako dietetyk po technologii żywności.

Jej wywód przerwał czyjś męski głos. Zza pleców Zofii wyłonił się doktor Ladaco. A ten tu po co? - pomyślałem. Hm... Hm...

- Uszykowała już pani kąpiel dla pani Dubrawskiej? - spytał łazienną przybyły. - Mogę zobaczyć? - Zrobił dwa kroki do wanny. - Co tak cieniutko tej borowiny, proszę natychmiast dorzucić. - Wziął kobiecinę za łokieć i pchnął ją do taczki z torfem. - Jak pani skończy, proszę iść napić się kawy albo osuszyć z pary. A pan co się tak guzdrze? - popędził mocującego się z podkoszulkiem dziadka. - Proszę wziąć swoje rzeczy, ubierze się pan na zewnątrz. - Po czym serdecznym gestem zaprosił Zofię do wanny.

Kiedy odszedł, puściłem się pędem do pokoju obok, w którym stały prycze pozbijane z drewna. Tutaj kuracjusze z problemami z sercem mogli dojść do siebie po sensacjach w wannie. Przez otworek w ścianie, pewnie wywiercony przez jakiegoś czuba z fobią podglądactwa, zobaczyłem Zofię, siedzącą już w wannie. Warstewka błota, która pokryła kobietę po szyję, ukryła też wszelkie defekty jej ciała i wiek skóry, czyniąc z niej madonnę z egzotycznych miejsc. Gdzieś z boku rozległy się dźwięki muzyki. Z głową opartą o wezglowie wanny Zofia przymknęła oczy, co widząc, oderwałem się od ściany i podbiegłem do ławki, gdzie zaległem i czym prędzej zasnąłem.

Owionął mnie ciepły majowy wietrzyk, przynosząc z sobą, za sprawą muzyki w tle, myśli Zofii z okresu późniejszego o naście lat od tego z wakacji u dziadków i incydentu z głupim Albertem. Myśli o kursie tańca i *Carnavale* Schumanna. Zdarzyło się to o takiej samej

porze, która panuje teraz, wiosną. Miała dwadzieścia sześć lat i mijiał właśnie rok od zawarcia małżeństwa z K.

Dlaczego z „K.”? – Wybiłem się lekko ze snu. – Dlaczego szyfrem? A nie po prostu z Konstantym czy z innym gościem na K, Ksawerym na ten przykład? Konspiratorstwo też w myślach? Oczywiście sądy na mocy ustawy o świadku koronnym nadają czasem taki status sprawcom przestępstw, w przypadku gdy zmiana tożsamości stanowi o ich bezpieczeństwie, czasem nawet życiu. Obejmuje to też ich najbliższych. Wszystkim im w mózgi wszczepia się nowe dane, resztę szyfruje i wuala! Można ich brać na męki. Słowa nie pisną, choćby nawet chcieli! Czyżby tak było w przypadku Zofii, gdyby okazało się, że łączy ją coś ze sprawą o kryptonimie „Pociąg”? Ale dość o tym, bo ona tam myśli, może o czymś ważnym, a ja znów dygresje... Chwila dekoncentracji i zerwie się kontakt, a tego naprawdę bym nie chciał – pomyślałem i znów pograżyłem się we śnie, akurat w chwili gdy Zofia myślami wróciła do domu z ulotką o kursie tańca, którą zerwała z przystanku w pobliżu jej miejsca pracy. Miała przemożne poczucie, że udział w tym przedsięwzięciu ożywi jej nudne małżeństwo i wyrwie z objęć stagnacji. Stagnacji w sensie utknięcia obojga małżonków w niedającej im satysfakcji pracy zawodowej, a także braku otwierających umysły zajęć w czasie wolnym. Wszak trudno za takie uznać dziecinne igraszki w sypialni z użyciem gadżetów K.: kostki Rubika czy latarki kolejowej model francuski – sukcesji po prapradziadku. Lub jej skłonności do telenoweli. Jego reakcja jednak na jej propozycję wspólnego udziału w kursie tańca była zdecydowanie na „nie!”. Wręcz paniczna.

Kostka Rubika – jęknąłem przez sen... Zeznanie świadka z pociągu. Zaraz jak to było? „...mającego w dłoniach ciężki kasownik biletów, tak zwany dziurkacz, którym obracał z zawrotną prędkością, jak kostką Rubika w zawodach sportowych na czas...”

Latarka model francuski... A więc jednak... Znalazłem trop. Szybko poszło!

Zofia tymczasem wciąż była myślami przy K., który miotając się po mieszkaniu, krzyczał rozzwierającym głosem, że takie rozrywki są dla plejbojów, a nie dla mężczyzn poważnie myślących o życiu, tak jak on, do tego chodzących o lasce. (Już wcześniej podpierał się laską, symulując ciężki niedowład nogi). Czy o tym pomyślała? I jeszcze o tym, że w banku akurat jest audyt i on ma wszystkiego potąd! – trąbił na okolicę w otwartym oknie, pokazując dłonią miejsce na czole u nasady włosów. I niech ona lepiej weźmie się za porządki, bo brud wyłazi ze wszystkich kątów w chałupie. Wypomniał jej też seriale. Ona wytknęła mu inne sprawy i tym skończyli wymianę ciosów. Po cichym wieczorze i nocy następnego dnia po pracy zjawiała się w szkole tańca. Przywitał ją drobny mężczyzna o sennym spojrzeniu i suchym, gruzliczym kaszlu. „Mów mi «Maestro». Co umiesz?” – spytał. Odpowiedziała, że z kroków tanecznych tylko dwa na jeden, ale szybko się uczy. Tyle że jest tu bez pary i czy nie będzie to problem? – na co on tylko się zachnął, mówiąc, że żadna to nowość dla niego, bo większość kursantów to single. Takie czasy.

Kurs tańca zaczęła od samby. Niemal z dnia na dzień jej ruchy stawały się płynniejsze, a ciało nabrało gibkości. Natomiast kiedy doszli do tańców klasycznych i walca, coś się porobiło z jej duszą, która natchniona swoistą sztuką, zmieniała swoje oblicze, delikatniejąc jak stara koronka pachnąca lawendą z kufra na strychu dziadków. Jęła też stronić od męża i jego problemów w banku. Zarazem pokładom czułości w jej wnętrzu zaczęło brakować miejsca. Potrzebowała ulgi. Aż przyszedł w końcu ten dzień. Dźwięki fortepianu płynęły z auli, sali do tańca, prowadząc ją w górę po schodach. *Carnaval* Schumanna. Utwór ten towarzyszył scenie z Maklakiewiczem w serialu *Polskie drogi*, który to serial widziała ze dwadzieścia razy, jak nie więcej. „Madame Maryla, *Carnaval* Schumanna” – poprosił aktor Beatę Tyszkiewicz w pamiętnej kwestii, gdy z natchnionym wyrazem twarzy i szczęściem na ustach otwartych w uśmiechu zaczął tańczyć. Zofia za każdym razem, widząc to, nie

mogła powstrzymać łez, podobnie jak teraz, oglądając Maestro w tańcu, wśród licznych luster na ścianach, do wtóru narastających dźwięków fortepianu. Stawiając drobnutki kroczyki i stając na palcach, wyciągał przed siebie ręce, spoglądał w dół, przyklekał i niby podnosząc coś z ziemi, wypuszczał to zaraz z dłoni. Obracał się wkoło i z ramionami wyrzucanymi to w górę, to na boki szybował jak ptak wypuszczony z klatki, ku wolności. Jeszcze dwa piruety na coraz to słabszych, płaczących się nogach. I jeszcze jeden, ostatni, po którym osunął się w dół... i załkał. Znalazła się przy nim natychmiast, załamując ręce.

– Maestro, jak mam ukoić twój ból. Co robić?

– Zostaw mnie, zostaw... – Zasłaniał się łokciem, a kiedy nie ustawała w chęci ulżenia mu w tej męczarni, pokazał palcem na drzwi i krzyknął rozziewając, aż ciarki jej przeszły po krzyżu: – Idź precz!

Kiedy wróciła do domu, jej mąż stał w ciemnym oknie. A szloch aż wstrząsał jego wątłym ciałem i kostką Rubika – pamiątką z kolonii nad morzem, w Rowach, którą przyciskał do piersi.

– Nie idź tam więcej... Nie idź – mamrotał przez łyzy. – Nie pójdziesz?

– Nie pójdę, jak nie chcesz. Nie pójdę. – W odruchu litości wzięła go w ramiona. – Ale pod jednym warunkiem. Przeniesiesz się z banku na kolej! – powiedziała twardo i zapłakała wraz z nim.

Kończył się czas zabiegu. Lecznicza breja, chłodniejąc, wyrwała Zofię ze wspomnień. Z miejsca to odczułem, reagując dreszczem na brak impulsów ciepłych przewodzących jej myśli. Przez to, budząc się, o mało nie spadłem z ławki. Otworu w ścianie dopadłem w chwili, gdy Zofia nabrała w dłonie torfu i rozmasowała go na twarzy. Po czym tak jak stała, wyszła z wanny. Jej kroki do lustra przytwierdzonego do ściany *vis-à-vis* mojego punktu obserwacyjnego pozostawiały na posadzce grudki schnącej borowiny. W zniszczonej pod wpływem gorąca i pary wodnej lustrzanej tafli ujrzałem drobną czarną figurkę pokrytą łuszczącą się warstwą jakby olejnej farby, spod której

wyzierała szara, wiotczająca skóra. Błoto schło na niej i kruszało, odpadając w płatach. Egzotyczna piękność starzała się w szybkim tempie. Jej piersi o barwie i strukturze wyjętych z popiołu gruszek, bez warstwy podtrzymującej torfu, tracąc formę, opadły z wolna na brzuch. Wzięła je delikatnie w dłonie i kołysząc się w takt muzyki, uniosła je do góry. W jej oczach zabłysły łzy. Zza ściany po mojej prawej stronie rozległ się męski wstrzymywany szloch. Kto tam był? I dlaczego płakał?

Na korytarzu Zofia zasłabła. „Co jej się stało? Coś z sercem? Zapaść?” – dopytywali wstrząśnięci pacjenci. Nikt nic nie wiedział. Łazienna wiedziała:

– Zaraz tam zapaść, przegrzała się. Ot i tyle.

Zmroziłem łazienną wzrokiem i przejmując Zofię z jej nieczułych rąk, powiedziałem z troską.

– Pójdziemy się przejść po parku? Dobrze to pani zrobi.

Ruszyliśmy wolno do wyjścia. Zofia na lekko ugiętych, wciąż słabych nogach, trzymając się mego ramienia (a trzeba wiedzieć, że bezwładne, a już zwłaszcza kobiece ciało wydaje się dwa razy cięższe, niż faktycznie jest), ja balansując biodrami, byle się tylko nie potknąć i nie upaść. Z recepcji wyrzała dyżurna recepcjonistka, machając do nas kopertą.

– Halo! Pani Dubrawska! Mam tu przesyłkę dla pani!

Natychmiast wskoczyłem w rolę adwokata Zofii.

– Pani Dubrawska zasłabła! – odkrzyknąłem. – Posadzę ją najpierw w fotelu i zaraz do pani podejść.

Schowała kopertę za siebie.

– W żadnym wypadku, odpada! Jest napisane wyraźnie: „Oddać do rąk własnych”!

Spod mojej pachy rozległ się raptem głośny, zaciekawiony głos Zofii.

– Przesyłkę? Dla mnie? A od kogo? Co jest w środku?

- Od pana doktora Ladaco! Koperta jest zaklejona, to nie wiem, co tam jest! - ryczała tamta z odległości paru metrów. - Nie mam rentgena w oczach!

Wśród naprzemiennych okrzyków dotarłem z Zofią do celu, a kiedy wzięła przesyłkę, zajrzałem jej przez ramię.

- Od pana doktora Ladaco? - Zbierałem się przejąć kopertę z rąk Zofii, na której policzkach wykwitł rumieniec, kryjąc ich zwykłą szarość. - Czy aby na pewno do pani?

- A do mnie. Nie widzi pan? O tutaj! - puknęła palcem w kopertę i umieściła ją w torbie.

Nasz spacer trwał raptem pięć minut. Tyle co wyjść na podjazd, nabrać powietrza, wypuścić i powrót. Zofię z pewnością parzyła przesyłka w torbie, którą kurczowo ścisłała pod pachą, mnie gnała ciekawość i czujność policjanta.

- Pojadę z panią na górę! - powiedziałem twardo. - Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć w środku takiej przesyłki. W annałach kryminologii roi się od historii, jak to jeden drugiemu na skrawku papieru w kopercie dostarczył śmiertelną truczkę. Wystarczyło dotknąć lub powąchać. Słyszała pani, ostatnio w Londynie...

Parsknęła śmiechem.

- Ha, ha, ha... Doprawdy... Może w takiej Anglii było to możliwe. Ale u nas? W życiu! Poza tym naprawdę, chyba czas zapomnieć o pracy w policji i zająć głowę czymś innym. Czymś dla przyjemności, ale przede wszystkim dla spokoju ducha.

W pokoju Zofia wyjęła z koperty pachnący lawendą karnet z nadrukiem „Jaskinia solna ŻUPA”. Kilka dat zaznaczono kółkiem, dodano godziny i notkę, że wejście dla adresata gratis. Obserwowałem ją kątem oka. Rumieniec zniknął z jej twarzy, lecz bladość, która go zastąpiła, wstrząsnęła mną jeszcze bardziej. Jedno mi tylko przychodziło na myśl: że coś ją łączy z doktorem Ladaco. Ale co?

- Pierwszy seans dzisiaj. Zauważyła pani? - rzekłem od niechcienia.

Zwróciła na mnie nieobecny wzrok.

- A tak, tak. Tak, tak.

- I co?

- Co „co”? - otrząsnęła się. - Pójdę. A pan by nie poszedł?

Obiad, na który udaliśmy się razem wprost z pokoju Zofii, toczył się raczej gnuśnie. Patrząc na drobne plecy kobiety skulone nad zimną zupą i twarz znów szarą i bez wyrazu, myślałem, jak by z niej wyciągnąć choćby jedno słowo w sprawie, którą żyłem. Każdy dzień poślizgu prognozował klęskę. Do końca turnusu zostało ich osiemnaście. Pocieszałem się jednak myślą, że kodujący pamięć kobiety szyfrant mógł mieć tego dnia przykładowo kaca, a co za tym idzie - niechęć do wysiłku i skrupulatności. Niemniej by to sprawdzić, zaryzykowałem i wytkniętym palcem bardzo delikatnie dźgnąłem Zofię w szyję. Ten nieznaczny sztych wpłynął na kobietę wręcz piorunująco.

- Co pan?! - zawołała. - Co pan? Co pan?...

- Niechże się paniusia tak nie denerwuje. - Wybuchnąłem śmiechem i bez dalszej zwłoki poszedłem na całość, zadając pytanie z rzędu „bez orientu” w slangu wywiadowców. - Proszę mi powiedzieć, ale bez wykrętów, czy panią coś łączy z doktorem Ladaco?

Wzdrygnęła się i przełknęła ślinę.

- A skąd to pytanie? - Jej głos był zduszony, jakby jej nagle brakło tchu.

- Umiem łączyć fakty... Dość, że zobaczyłem... - urwałem w pół zdania i wymownie milczałem.

- A co ma mnie łączyć z doktorem Ladaco? - W jej oczach błysnęło coś na kształt świadomości, jakby uprzytomniła sobie naraz oficjalny charakter moich pytań. Niemniej już po chwili stanęła okoniem: - Ale właściwie co pan? Czego pan?!

W pytaniach tych, na mój słuch: obronnych, dźwięczał strach. Wciąż się czegoś bała... Że coś wyjdzie na jaw? Nagle zeszywniała,

zmiażdżyła mnie wzrokiem i wstała od stołu.

– Nie będę odpowiadać na głupie pytania! – powiedziała twardo. – Ani dać się wkręcać w pańskie spekulacje. Niechże pan mnie wreszcie zostawi w spokoju! – rzuciła na koniec i popędziła do wyjścia.

Byłem niemal pewny, że gros policjantów na tak jednoznacznie wyrażony opór machnąłby ręką, odchodząc od śledztwa. Ale nie ja. O nie! Ja byłem już nazbyt śmiały, zbyt pewny siebie i zbyt daleko już się zapędziłem. Niemniej popełniłem znowu ten sam błąd. Wszystko przez ten pośpiech. Kiedyś mnie to zgubi.

Rzuciłem się w pościg za pędzącą Zofią i dopadłem ją w windzie.

– Droga pani Zofio, wszystko przez tę pracę! – wyznałem zziębnięty. – Wiem, wiem, stare czasy. Ale odcisnęła na mnie tak głębokie piętno, że teraz już wszędzie dostrzegam spiskowców. Upiory się rodzą, pączkują i straszą. Do obcych, broń Boże, nie miałbym śmiałości! Ale że przy pani nabrałem odwagi...

Przez jej szarą twarz przemknął cień uśmiechu. Rozbawiłem ją – odetchnąłem z ulgą, przysięgając w duchu, że już nigdy w życiu bez asa w rękawie, bez dowodów w ręku z niczym nie wyskoczę i nie powiem „hop”, póki nie przeskoczę. Mając to na względzie, trzeba zmienić styl na „nic na hura!” i działać po cichu niczym wąż. Z ukrycia.

Przed siedemnastą na uzdrowisko spadła ulewa. Stałem przemoknięty w grupie wycieczkowej tłoczącej się w wejściu Pijalni Wód, czekając na Zofię, która bez wątpienia winna tędy przejść w drodze do jaskini. Gdy ją rozpoznałem, mimo okularów, za którymi zmyślnie ukryła swą twarz, opuściłem grupę i poszedłem za nią. Wkrótce przystanąła w progu budynku z wywieszką na drzwiach, której napis głosił: „Jaskinia solna ŻUPA”. Z twarzą przysłoniętą gazetową płachtą, patrząc przez otwory, które sam zrobiłem za pomocą palca, wszedłem chwilę po niej. Bez znoszonych butów i takiegoż płaszcza właśnie przystanąła przed białymi drzwiami, zza których słyszałem przytłumione dźwięki, jak to jest w praktyce

w każdym takim miejscu na planecie Ziemia. Dobroczynnie szumiało tam morze i pokrzykiwało różne morskie ptactwo. W okienku kasowym zakupiłem bilet i wszedłszy za Zofią, stanąłem w jaskini na pokładzie soli udającej piasek. Przed sobą miałem dwa rzędy leżaków, częściowo zajętych przez klientów Żupy. Zająłem najbliższy wolny i uważnym wzrokiem, wśród leżakujących odszukałem Zofię. Biel bijąca od soli i lekko żółta poświata z lamp solnych nadały rysom jej twarzy cech weneckiej maski. Spod ciężkawych powiek spoglądała na swe wysunięte stopy w znoszonych skarpetkach we wrzosowe paski, które jakimś cudem stały się zniecka matecznikiem wonnej, kołysanej wiatrem, odpornej na susze lawendy, uprawianej co rok w gospodarstwie dziadków. Prawdziwości scenie dodawała postać w białym amatorskim ubiorze pszczelarza, która razem z wózkiem, kojarzącym się z pszczelim ułem, nagle znalazła się w przestrzeni intymnej Zofii. Z głową osłoniętą kapeluszem z siatką, przy wtórce brzęczenia owadów dokonywała bliżej nieokreślonych czynności w dekolcie bluzki kobiety. Widziałem na własne oczy, choć przynajmniej szczerze, że nie dość dokładnie, ze względu na półmrok i sporawy dystans między leżakami. Zapach lawendy odurzał, działając na podświadomość zebranych w jaskini ludzi. Także moją. Przez buczenie pszczół usłyszałem nagle uroczysty w tonie głos animatora, mistrza ceremonii.

– Sorry, ale tak trzeba. Dla twojego dobra.

Światło, które po seansie zalało jaskinię, wyrwało też ludzi ze snu. Także Zofię, która siedząc i chwycając się na leżaku, drżącymi palcami starała się zapiąć bluzkę. Koc, jak zbędny świadek, opadł do jej stóp, a po pszczelarzu i po jego ulu zostało już tylko ulotne wspomnienie Prowansji, wizytówki Żupy w ten deszczowy dzień.

Aż do kolacji w Turni nie działo się nic takiego, by chcieć to roztrząsać i drążyć w nieskończoność. Atmosfera rozgrzała się później, kiedy do stołówki zajrzał wesolutki, beczynny jak dotąd

instruktor kulturalno-oświatowy, zwany tu kaowcem, na karygodnie chwiejących się nogach i z trudem przebił się przez hałas.

– Szanowni państwo, lejdīs end džentelmen! Przyszedłem tu do was z misją, przyszedłem z otwartym sercem! – zawołał przy wtórce mlaskania, siorbania i próśb o podanie sztuczków, półmisków czy dzbanków z herbatą, a także własnych czknieć. – Korci mnie rozpocząć zapoznanie się z państwem od pewnej historii, jak to jeden rolnik, stary i bezzębny, którejs pięknej wiosny wrócił z sanatorium całkiem nie ten sam. Bowiem tam miał leżeć jak i jego ziemia lichym nieużytkiem, w towarzystwie wdowy po pewnym biegaczu jał biegać na fajfy co dzień i z zacięciem godnym mistrza bieźni, męża tej kobiety, świeć panie nad jego duszą! No bo trzeba wiedzieć, że wzrost aktywności, do czego zachęcam, daje tę możliwość, by w sposób mobilny, a to już jest coś, każdy mógł opuścić ten nasz padół łez. Jeśli więc faktycznie komuś nic się nie chce (nawet ruszyć palcem, co dopiero żyć), niech się spełni w tańcu, jak nasz dzielny rolnik, który... no niestety albo i na szczęście po powrocie z wód zasłabł na swym polu i wyzionął ducha, przeliczając ugór na dopłaty z Unii, w objęciach swej żony, Marii z domu Tur. – Tu kaowiec czknął i wyszczerzył zęby. Z grymasem na ustach udającym uśmiech zakończył swój występ równie światłą myślą: – Dla gości niesprawnych i nieprzekonanych zostają przechadzki po alejkach w parku. Tyle że ten mało forsujący ruch tyle im pomoże, w uproszczeniu mówiąc, co umarłemu kadzidło.

Powiadano później, że skrzący się humor i „otwarte serce” pracownika Turni do spraw oświatowych były rezultatem klasycznych zmian w mózgu, efektem picia bez umiaru, w sposób nałogowy, czemu nasz kaowiec oddawał się ciągiem, przez okrągły rok.

Nie był to jednak koniec atrakcji wczesnego wieczoru. Bo gdy już kaowiec wytoczył się z sali, trącając po drodze kilka wolnych krzeseł, doszło do zdarzenia z udziałem dwóch kobiet, w odpowiednich raczej na bal toaletach, które już po wstępnej wymianie poglądów wzięły się

za łby. Towarzyszyły temu wyzwiska i głośny szcęk szkła oraz sztućców.

Odróciłem oczy od tej żenującej mimo wszystko sceny i zapatrzyłem się w Zofię. Z jej wyrazu twarzy nic nie wyczytałem; wyglądała słabo, ziemiście i blado. Ale już jej piersi w rozmiarze XL, drżąc pod delikatnym materiałem bluzki, raczej wprost przeciwnie: cieszyły się życiem. Jako taki ład w moim postrzeganiu zmienił się w miszmasz. Horyzont zdarzeń zagęszczał się wokół powiększającej swe rozmiary czarnej dziury, z której nie docierała do mnie nawet najmniejsza wiązka światła. W końcu z mej pamięci wyłonił się pierwszy, nazwijmy to tak, dzień przyjaźni z Zofią, kiedy to kobieta zaraz po badaniu stanęła w drzwiach gabinetu doktora Ladaco, wydając na widok publiczny swe obwisłe piersi pod rozpiętym wdziankiem. Żeby to był raz, może bym i uznał, że mi się wydało. Ale te widziane w boksie z borowiną były takie same jak tam gabinetecie, dostrzeżone ze schowka na sprzęt do kasacji. Krótko mówiąc zatem, te i tamte piersi rozdzielała przepaść. Skąd więc ta mutacja? Żaden ze świadczonych w kurorcie zabiegów nie przyniósłby takich ewidentnych zmian. Skalpel specjalisty od przeróbek biustów to tak, jak najbardziej! Ale nie borowina czy masaż! Wykorzystując statyczny stan Zofii, wwierałem się wzrokiem w tkaninę, próbując odsłonić kulisy zagadki ukrytej pod jej białą bluzką, gdy otrzymałem cios w plecy.

- Panu już całkiem odbija! - Zachowanie Zofii, mimo zmian zewnętrznych, nie uległo zmianie. - Pchać nos, gdzie nie trzeba? Zaraz mnie pan obsmarka. Wielki mi śledczy! Ha, ha, ha, ha, ha!

- Ja tylko... - bąknąłem. - Ja tylko chciałem...

- Co? Co „tylko chciałem”?

Miałem w końcu dość jej zgryźliwych uwag i napastliwości.

- Naprawdę chce pani wiedzieć? - zmieniłem ton na szyderczy. - Tylko jak powiem, a pani się wścieknie...

- Mów pan, byle szybko! I byle do rzeczy, bo jak naprawdę się wścieknę, to nie wiem, co panu zrobię.

Nie czekając, aż zdefiniuje swój zamiar (czykolwiek by to było) i zacznie go wcielać w życie, wycelowałem palec w jej biust.

- Sztuczne! - stwierdziłem, pewny swego. - Mnie oko nigdy nie myli, choć przyznam, że całkiem, całkiem... Jak żywe. Musiały kosztować majątek, co nie? A jak je pani mocuje do skóry? Na klej? Na doczepkę? Czy innym sposobem, jeśli wolno wiedzieć? - Grzebanie się w szczegółach było moją pasją.

- Nie no... panie Marku. Co za swada myśli, jaka przenikliwość - pochwaliła mnie. - Tylko pozazdrościć! Ale czy naprawdę musi pan roztrząsać całe moje życie? Niechże mam choć jedną słodką tajemnicę. Niech już na ten temat przestanie pan myśleć i oszczędza nerwy. - W jej oczach zabłyśły iskierki dziecinnej niemal przekory.

Nie miałem pewności, czy kpi sobie ze mnie, czy mi schlebia, niemniej biorąc za dobrą monetę jej słowa, zbierałem się drażnić temat, kiedy na sali rozległ się donośny, sprzężony z hukiem tłukącego się szkła kobiecy okrzyk, po którym zapadła cisza. Ciszę tę przerwał stek wyzwisk.

- To już przechodzi ludzkie pojęcie! Znowuż strzaskana waza! Czy wyście powariowały, baby?! Dla takich amantów od siedmiu boleści, badziewia i śmieci brać się za kudły?! Narażać na pośmiewisko? - Kelnerka nie przebierała w słowach. - A teraz jazda, pozbierać skorupy i biegiem, w podskokach do kuchni! Jak się zapłaci frycowe, może się zacząć myśleć! Stare a głupie... Wstyd!

- Dobrej nocki życzę, droga pani Zofio - rzekłem po kolacji, odsuwając krzesło. - Nie wiem, jak tam pani, ale mi na dzisiaj wystarczy atrakcji. Byle jakimś cudem dowlec się do wyrka... Może coś poczytać... Albo dla odmiany posłuchać Emila. Może być wesoło. A pani? Co pani ma w planach na wieczór?

Zmroziła mnie wzrokiem.

- E... już nic, już nic... - Wycofałem się, pomny jej wcześniejszych, mimo że ogólnych, niemniej jednak gróźb.

Gdy w końcu znalazłem się w swoim pokoju, na stole leżała kartka: „Poszedłem z Bożenką na dancing, chata wolna, Emil. PS Jak będzie o czym, opowiem, jak wrócę. Więc nie śpij na wszelki wypadek!”.

Przy zgaszonym świetle długo chodziłem wokół stołu, zmieniając kierunek, gdy poczułem mdłości i zawroty głowy. Na zewnątrz mrok gęstniał. Zacinający deszcz stawał się coraz bardziej widoczną, jaśniejącą płachtą, lśniąca w światłach lamp graniczących z Turnią. A to ci dom! Dom wykołajeńców, gdzie grasuje zimny, zaszyty pod ciężkim kolejarskim płaszczem mord z premedytacją. Ja od razu wiedziałem, czego spodziewać się po tym miejscu. Wiedziałem, ale nie chciałem mówić przed czasem! Czemu jednak teraz, mając nici w rękę czy asa w rękawie - jak zwał, tak zwał - i mogłem nareszcie, idąc tropem Zofii, dopaść zwyrodnialca, czy przejrzyć jej związek z doktorem Ladaco, traciłem czas, zamiast działać? Odpowiedź była dziecinnie prosta. Byłem tu w innej sprawie. Skutkiem tej konkluzji sięgnąłem po laptop i wszedłem w pocztę e-mail.

„Panie kapitanie, już drugi dzień z rzędu nie mam od pana wiadomości. W myśl naszej umowy miał pan je wysyłać w regularnym trybie, nie pamięta pan? Chce pan, bym myślała, że nasz casanova znieścacka sporządził i spędza czas wolny na spacerach w parku albo w bibliotece? Co więc jest powodem pańskiej przerwy w pracy? Byle nie choroba... Byle nie depresja. Proszę o odpowiedź. Z poważaniem, I.”

Tylko to jej w głowie! - rozzłościłem się. Co jej miałem pisać? Że romans Romana to w istocie temat dla pierwszego z brzegu szpicla z internetu? Że nie będę tracił bezcennego czasu na żalosne z gruntu, miłosne popisy gacha z Bollywoodu, który czas świetności, dyskusyjny zresztą, dawno ma za sobą? Najmniej z dziesięć lat. Mam jej opowiedzieć, jak to jej Romeo monotonnym głosem, jakby czytał z kartki, przedstawiał Elżbiecie wizję ich wspólnego, szczęśliwego

życia, którą nosił w głowie niczym wzorec z Sèvres? Bo też jako praktyk znał tę nieśmiertelną i banalną prawdę, że pragnieniem kobiet, niemal wszystkich kobiet, jest stabilizacja i harmonia w związku, ten rodzaj trwałości oraz równowagi w ściśle rozumianym znaczeniu tych słów. Nieważne w jakim związku – ślubnym, narzeczeńskim czy na kocią łapę, jakkolwiek by to nazwać, byle z kimś. Wszystko w jednym celu: by zaprzeczyć pustce krzyczącej ze ścian w ich mieszkaniach. Samotne kobiety nie cieszą się w społeczeństwie ani zaufaniem, ani tym bardziej szacunkiem, a ich ciepłe gniazdko – według ignorantów – uchodzą za wylęgarnie grzechów i naruszeń prawnych, w tym z artykułu 148 kodeksu karnego. Do tego ci w związkach krzywo na nie patrzą (co tylko pogłębia ich pustkę), zazdroszcząc im życia na tak zwanym luzie, które tak naprawdę jest dla nich wyrokiem. Mając to na względzie, Roman bez skrupułów mamił płeć przeciwną w pełnych pożądania i uniesień chwilach, co miało swoją wartość, czyniąc go wciąż atrakcyjnym w jego nieprzebranych związkach z kobietami; one bowiem lubią karmić się słowami przypadkowych mężczyzn o ich wyjątkowej i wiecznej miłości. Roman w swoim życiu poznał ich niemało, i to w każdym typie. W swoim zbiorze mógł więc mieć także takie, którym wieczorami mówił o miłości, a nazajutrz z rana czmychał gdzie pieprz rośnie. Zamyśliłem się. We wciąż refleksyjnym, można rzec, nastroju, choć zły na Ilonę, szukałem sposobu, jak tu synchronicznie skierować jej myśli na poboczne tory, by zajęta nimi mogła się oderwać od swej paranoi. By zaczęła myśleć, ale tak dogłębnie, i wyciągać wnioski z tego, co napiszę i przedstawię słownie w sesjach przez telefon. Każdy inny temat, który by ją wciągnął, mógł ją uratować i przywrócić światu. Przekaz podprogowy... Tak, to było to!

„By osiągnąć cel, użyj każdej karty, byle w zgodzie z prawdą!” – po ostatniej frazie „byle w zgodzie z prawdą” major wykładowca w mojej

szkole w Szczytnie puszczał do nas oko, byśmy jak należy zrozumieli kontekst, w którym nam to mówi. Czyli na odwyrtkę.

Nie czekając dłużej, nacisnąłem „odpisz”:

„Moja droga Pani, a cóż to za ton? I ta zmiana frontu? Obiecała Pani dać mi wolną rękę, więc zostanemy raczej przy tych ustaleniach. Jeśli mam tu zostać, proszę nie negocjować moich metod pracy. Co do mego zdrowia, to wszystko OK! Jaka znów depresja? Dawno i nieprawda. A teraz do rzeczy...” – musiałem być ostry, wszystko dla jej dobra. A że na tym ogniu mogłem przy okazji upiec swoją pieczeń, to dlaczego nie? Zresztą jaką swoją? To, co mnie tu spotka, w równym stopniu dotknie także i jej uczuć. W dalszym ciągu maila, zachowując spokój, wytknąłem jej wszystko, czego w żadnym razie, mając do niej słabość, nie chciałem jej wytknąć. Zwłaszcza fascynacji takim kimś jak Roman oraz wręcz nieuctwa w wielu ważnych sferach. „Jak tak dalej pójdzie, będzie Pani nikim. Starym popychadłem w rękach psychopatów. No a w sprawach kraju jednym lichym głosem raz na cztery lata. Marnym pionkiem w grze!” Dalej przyszedł czas na mój eksperyment. Przekaz podprogowy, jak zapamiętałem, powinien być krótki i prosty w odbiorze. W przypadku Ilony winien wzbudzić wstyd.

„Kończąc, powiem Pani, skąd ten mały zastój. Jest tu bardzo wielu zajmujących ludzi, koneserów sztuki, prawdziwych estety, którym nie po drodze z takim kimś jak Roman. Tyle że ja muszę zajmować się nim z braku lepszej pracy! Uwierz Pani, że inspirowany kreatywną sztuką pewnej literatki napisałem wiersz? A gdzie Pani rozwój? W lesie, prawda? W lesie! Trzeba mówić więcej? Z poważaniem, M. PS Co do Pani wiedzy w kwestii sanatoriów, że to niby wszyscy jeżdżą tam się gzić, małe sprostowanie: tylko Pani Roman ugania się za tym jak, nie przymierzając, bąk za byle krową. On i ta Elżbieta to jak łyżka dziegciu w beczce pełnej miodu, którą jest nasz turnus. Ja na Pani miejscu, obcując z kimś takim, czułbym tylko wstyd. Albo nawet wstręt! Dobrej nocy życzę. I rozumu!” Napisałem sporo, by się

otrząsnęła. Nie zadziała?... Cóż... Może trzeba czasu... Odłożyłem laptop i zamknąłem oczy.

Rozdział VI

KLĄTWA PRAPRADZIADKA

Zapadając w sen, pobiegłem na krótko myślami do Zofii. Wpadający przez nieszczelne okna chłodny podmuch wiatru wspomagany deszczem owiał mi policzki. Ale równolegle, jakby spode drzwi, wdarło się tu ciepło, wręcz gorąco. A to chytra sztuka!... Pewnie pomyślała, że już dawno śpię! Zerwałem się z łóżka i wybiegłem w mrok. W ciągu korytarza było tylko jedno, i to marne, światło, które wskazywało podchmielonym gościom drogę do ich drzwi. W przestrzeni budynku panowała cisza. Sam nie wiem, kiedy stanąłem przed drzwiami do pokoju Zofii na ostatnim, czwartym piętrze. Gdzie by tu się zdrzemnąć? Rozejrzałem się wokół. Wcześniej dla zasady czynność sprawdzająca: przez dziurkę od klucza jak u panny Marple od Agaty Christie. W wymiętej pościeli zobaczyłem Zofię, w aureoli myśli. Była bez piżamy, a jej blade palce niemal machinalnie dotykały piersi, szczypiąc je i gładząc. Ich reakcja na to, widziałem wyraźnie, była identyczna jak u naturalnych, poddanych pieszczołom. Co to? Co to jest? Przecież to atrapa!

Zbliżała się północ, kiedy Zofia z piersi przeniosła dłonie na koldrę. Z jej ospałych myśli wyłuskałem tyle, że pojęła w końcu sens pytań doktora Ladaco zawartych w ankiecie, którą jej kazał wypełnić. „Reakcja na uządlenia? Co z tolerancją jadu? Cukrzyca? Cięża?” – to kilka z nich, dla przykładu. Ale co było celem seansu w jaskini oprócz obrzmiałych piersi? – zapyta go przy okazji. Właśnie zasypiała, kiedy ktoś z daleka rzekł skrzeczącym głosem:

– Jutro mam siarczkową i masaż wirowy. A ty co masz, Zofio?

Raptem zobaczyłem, że z oczu kobiety wypływają łzy, autentyczne łzy, burząc mą teorię, którą zbudowałem w związku z jej udziałem w sprawie mego życia. Mogła być ofiarą? Nie współnikiem sprawcy? To mi psuło wszystko. Szczęściem w całej Turni były liczne wnęki. W najbliższej stał fotel, w który się zapadłem. Zaraz też poczułem dobrze znane ciepło płynące od Zofii spod nieszczelnych drzwi, niosące jej myśli z czasów PRL, sądząc po wystroju niewielkiego wnętrza w bloku z wielkiej płyty, z jej panieńskich lat. Dobiegł mnie też głos młodego mężczyzny, niewątpliwie K. również z tamtych czasów, który raz, gdy ona szykowała się, by wziąć udział w zjeździe dla fanów seriali, wziął jej dłoń w swe ręce.

– Moja droga Zofio – zagał podniosłe – chciałabym ci się zwierzyć w wielkim zaufaniu o mym jakże trudnym i fatalnym życiu, niemal o poczęcia. Muszę, bo nie chciałbym, by jakiś „życzliwy” w perspektywie czasu, korzystając z naszych coraz częstszych spięć, zniszczył to, co dobre w naszym trudnym związku. Wzięłby cię na bok i zapytał z troską, udawaną zresztą: „A co ty w ogóle wiesz o tym K.? O jego przeszłości? O wujach i ciotkach?... O byłych dziewczynach ci mówił? O nałogach? Pasjach?” – rozkręcał się K. – A ty mu odpowiesz, marszcząc brwi i czoło: „Ano właśnie... Właśnie... Nic, zupełnie nic!”. Ślub to nie przelewki, jak niektórzy myślą. Dlatego najsamprzede chciałbym ci powierzyć sekret mego życia, zanim kapłan stułą zwiąże nasze ręce. Żebyś już nie mogła wyzalać się później chcącym i niechcącym słuchać tego ludziom, że nic nie wiedziałaś o dziejach rodziny, z której się wywodzę i w której przeżyłem całe swe dzieciństwo oraz grę hormonów jako nastolatek. W której pierwsze skrzypce gra wciąż prapradziadek, choć już zdążył dawno obrócić się w proch. Niemniej jego losy odcisnęły piętno na kolejach życia żyjących potomków w linii męskiej. – Jego dalsze słowa rozmyły się w deszczu, stając się jedynie ciągiem myśli Zofii, z których mogłem jednak wywnioskować sporo o historii rodu jej przyszłego męża o imieniu K.

Otóż prapradziadek kawalera Zofii w powstaniu styczniowym, którego skutki zapisały się potwornie w annałach historii, także historii polskiej kolei, przeżył coś strasznego, krótko mówiąc: horror. To właśnie wtedy, w roku 1863, wydarzył się, w następstwie sabotażu, najkrwawszy w skutkach wypadek kolejowy, w którym zginęło według ówczesnych świadectw kilka setek przewożonych oficerów i żołnierzy. Co dziwne, żadne z tych świadectw nie zająknęło się nawet o losie uczestniczących w tym zdarzeniu kolejarzy. To właśnie wtedy prapradziadek K., uczestnicząc w wielkim zrywie narodowym, stracił wszystkie palce u swej prawej dłoni (tyle choć dobrego, że był leworęki) oraz duże palce u swych obu stóp. Zakleszczony w stali pierwszego wagonu za lokomotywą, odmawiał *Ojcie nasz*, gdy nad sobą ujrzał trzy męskie postaci w konduktorskich czapkach według tamtej mody oraz w ciężkich płaszczach otrzymanych pewnie w ramach deputatu. Jak to na kolei, bez względu na czas.

- Wyjdiesz z tego żywy - rzucił pierwszy z nich.

- Ale nic za darmo - odpowiedział drugi.

Trzeci wyjął z torby dziurkacz konduktorski, dołożył latarkę typu francuskiego i nie bacząc w ogóle na dotkliwy mróz, ściągnął z siebie ciepły kolejarski płaszcz.

- Weź te wszystkie rzeczy - rzekł z kamienną twarzą. - Po powrocie z frontu będziesz jednym w składzie trójki konduktorskiej na krótkim odcinku z Bytomia do Gliwic, na terenie Śląska. Będziesz się przemieszczał w tę i w tamtą stronę, trzy dni i trzy noce, sprawdzając podróżnym ważność ich biletów. Ale to nie wszystko, teraz najważniejsze. - Jego twarz nabrała mrocznego wyrazu. - Na dowód wdzięczności za uratowanie przyjmiesz dodatkowo funkcję werbownika. Werbownika dusz, którym będzie potem twój najstarszy syn, dalej jego syn i tak po kolei, nim ostatni z rodu zemrze bezpotomnie. Twoim więc zadaniem będzie złożyć w ręce wyłonionej z wielu przez ciebie osoby - o kryteriach za chwilę - wszystkie te przedmioty i odebrać później z przechowalni w Zabrze. Więcej nic nie

powiem, bo to tajemnica. Ciebie zaś ostrzegam przed nadmiernym wścibstwem, bo inaczej wiesz... – Kantem swojej dłoni przeciągnął po szyi jednoznaczny gestem. Później mówił dalej: – Zapamiętaj jedno: jak już będziesz w domu, usiądź razem z synem przy naftówce w kuchni i ucz go co rychlej pracy z kasownikiem. Ile on ma lat?... Zresztą to nieważne. Ile by ich miał, każdy twój potomek musi znać rytuał, i tego się trzymaj, bo inaczej wiesz...

Na ostatek jeszcze określił kryteria werbowanych dusz i skinąwszy kumplom, zbierał się do wyjścia, gdy z okrzykiem „ach!” uderzył się w czoło:

– No i bym zapomniał! – Z konduktorskiej torby wyjął jakąś paczkę i wsunął ją sobie za pasek od spodni. Opróżnioną torbę rzucił na latarkę, kasownik i płaszcz. – Teraz masz już komplet. Tylko nie prze hulaj, bo inaczej wiesz...

Nim powstaniec zemdłał pośród jęków rannych, trójka konduktorska oddaliła się, pokrzykując gromko, jeden przez drugiego: „Kontrola biletów. Kontrola biletów. Przygotować bilety do kontroli!”.

Sprężyna fotela dźgnęła mnie pod żebrzem. Chciałem krzyknąć z bólu, ale nie mogłem wydobyć z siebie nawet słowa, gdyż spałem, a tymczasem młody K. znów dorwał się do głosu, przeskakując w czasie od tamtych wydarzeń o sto lat z okładem, w ramach swej spowiedzi przed ożenkiem z Zofią. Nie do końca szczerzej, bowiem postanowił wiele z tamtych faktów – niewygodnych raczej – zostawić dla siebie, co wyczułem szybko pomiędzy wierszami.

W swojej opowieści był krnąbrnym dzieciakiem, który między bajki włożył przekaz ojca o jego pradziadzie i o pakcie z diabłem, który ów powstaniec zawarł był z przymusu, by ująć cało z życiem z powstańczej pożogi. Na nic prośby, groźby ani nawet pas. Klęczenie na grochu też nie dało nic. Zawziął się i już! Ani myślał poznać rodowy rytuał, ćwiczyć z kasownikiem czy też w ramach ćwiczeń odprawiać pociągi, machając latarką na peronie dworca w swym rodzinnym R. Zamiast tych procedur oświeślał nią biusty swoich pierwszych

dziewczyn ze szkoły średniej, później zaś sympatii z uczelnianych ław. Zamiast na kolei podjął pracę w banku, zaś kostką Rubika w zastępstwie dziurkacza redukował stres po zbliżeniu z Zofią. W tamtym też okresie jął odczuwać ból zwany fantomowym w dużych palcach stóp, a także chodzić o lasce. Nikt nie zdołał poznać źródła tego bólu, mimo że odwiedził wielu konsultantów, biegłych w ortopedii i innych medycznych specjalizacjach. Ale w pewien mroźny styczniowy poranek, najprawdopodobniej w rocznicę wybuchu powstania, gdy ból wydał się wyjątkowo nieznośny, zaczął się domyślać, co mu mogło być. Prawda była straszna. Prapradziadek K., mimo że zza grobu, trzymał mocno w ryzach wszystkich swych potomków. „Nigdy dzieci, nigdy! Choćby nie wiem co!” – zaklinał się K., wyrażając pięścią swemu protoplaście, za którego sprawą musiał wziąć na barki jego dług wdzięczności. I nieść jego ciężki, patriotyczny krzyż.

Sprężyna fotela dźgnęła mnie ponownie. Nie do końca trzeźwy zerwałem się z miejsca i dopadłem drzwi. Zofia wciąż leżała pogrążona w myślach i niewczesnym żalu, mimo że wiedziała, czego oczekiwać, wiążąc się małżeńską obietnicą z K. Skąd więc ta decyzja? Pewnie z dwóch powodów – z braku powodzenia u przeciwnej płci i pod presją matki: „To ostatni dzwonek, jeśli chcesz mieć dzieci”. Choć i to ostatnie mogło się nie spełnić w związku z radykalnym stanowiskiem K. Ale instynkt matki (potencjalnej matki), instynkt macierzyński (niespełniony instynkt) kładł się mrocznym cieniem na jej zachowaniu.

– Co się z tobą dzieje? – czynił jej wymówki w tamtym czasie K., jeszcze wtedy zdolny, zdolny do poczęcia. – Nie poznaję cię. Jesteś głodna, bosa? Nie dość ci seriali?

– Ja chcę mieć dzidziusia! – łkała wieczorami niespełniona Zofia, czym prowokowała słuszny gniew swej matki.

– Moje drogie dziecko. Chcesz dla czczej zachcianki skazać swe maleństwo na okrutny los, który czeka wszystkich sukcesorów K.

w linii męskiej?

Głos teściowej K. był dla niego wsparciem.

– Tłumaczyłem jej! Nie raz i nie dwa. Ale ona wciąż, wciąż tylko o jednym!

Zofia milkła wtedy na dzień albo dwa, ale już trzeciego brała go za rękę.

– Wiem, rozumiem to – zagajała miękko. – Przez rodzinną klątwę nie chcesz mieć potomka, a konkretnie syna. Ale czy od razu musi być to syn? Nie może być córka?

Wtedy K. w rozpaczę łapał się za głowę.

– Co ty wygadujesz, moja biedna Zofio? Chcesz się bawić w hazard, w rosyjską ruletkę? W mej rodzinie zawsze osobników męskich rodziło się więcej. W stosunku do dziewczyn jakoś sześciu do jednej. To jak trafić w totka.

Niemniej to najgorsze zaczęło się z chwilą, kiedy na jej prośbę K. rozpoczął pracę w byłym PKP, by się spełnił los, skoro tak czy owak nie mógł przed tym uciec. A czas był najwyższy. Wszak już przed miesiącem pod wiaduktem w Zabrze zginął jego ojciec, który pijaniutki zdrzemnął się na torach, za poduszkę mając podkład kolejowy w wersji ciemny dąb. Zatem schedę po nim w kwestii tych werbunków musiał przejąć syn. I to bez dyskusji. Bo inaczej... cóż... By się dopełniło zezowate szczęście sukcesorów rodu prapradziadka K.

W głębi korytarza coś się poruszyło. Wyteżyłem wzrok. Nisko nad podłogą zobaczyłem błysk. Skryłem się we wnęcie, czując lekki dreszcz, który mnie przeleciał wskroś całego ciała, wraz z przekazem Mistrza od spraw anormalnych, moim Guru, z którym byłem w stałym duchowym kontakcie: „Jeśli jest początek, musi być i koniec. Jak przyjście na świat i godzina śmierci. To, co jest pomiędzy, dąży do spełnienia, w przedziale czasowym od momentu A do jakiegoś Z. Czy to będzie tydzień, czy to będzie rok, czy okrągły wiek – nie odgrywa roli. Zapisane w gwiazdach musi się wypełnić, nie ma innej opcji!”

Albo trzy tygodnie, tyle co trwa turnus – dołożyłem swoje. Odsunąłem fotel, by mnie nie korciło znów się w niego zapaść i włączyć chrapanie. To by mogło spłoszyć spóźnionego gościa. Kiedy wyglądałem ze swojej kryjówki, u drzwi Zofii stała drobna męska postać, oparta na lasce z błyszczącym okuciem rzucającym refleks na jej czarne buty.

– Zofio, nie śpisz jeszcze? – spytał szeptem K., naciskając klamkę. Kiedy ta stawiała asertywny opór, męczyzna przykucnął, przykładając oko, jak i ja ciut wcześniej, do dziurki od klucza.

I zaraz odskoczył.

– Zofio, nie leż goła! – zakrzyknął z naganą. – Skąd te obyczaje? Cnoty, moja droga! Kto się trzyma cnót, ten przejdzie przez życie z dumą i godnością! – wołał, skrobiąc w drzwi.

Z drugiej strony jednak panowała cisza.

– Nie chcesz mówić, to nie! Weź mi tylko powiedz, czy masz płaszcz od deszczu. Leje jak cholera, a ja muszę wyjść.

Zaraz cię dopadnę! Moje mięśnie drżały gotowe do skoku.

Raptem błyskawica rozświetliła noc, ukazując także wystający z wnęki mój przydługi nos. Dostrzegł mnie natychmiast i bez chwili zwłoki skoczył w stronę windy. Nim się otrząsałem, on już jechał w dół. Miałem ruszyć w pościg, ale się wstrzymałem. Windy były tutaj wyjątkowo szybkie. Nieprawdopodobne! W takim starym domu z zagrzybioną cegłą i – o paradoksie – w ośrodku ZUS...? Trzeba to wyjaśnić! Na mej biednej głowie był już bezlik spraw. Będąc już na schodach, nagle usłyszałem trzask jadącej windy, tym razem do góry, a za chwilę głosy. Wyjrzałem przez szczeble, kto i z kim wysiada o tej porze nocy.

Emil miał maźnięte keczupem powieki i zboląły wzrok. Mina zamasyście stawiającej kroki, idącej przed nim Bożenki wyrażała złość.

– Bożenko, może i nie byłem do końca w porządku, ale... – głos Emila zadrżał udawaną skruchą. Mimo jej milczenia, wymownego

zresztą, ryzykował dalej skamlającym głosem: – Daj mi jeszcze szansę. Ten ostatni raz!

– Przymknij japę, Emil! Ani słowa więcej!

Za mną ktoś zadyszał. Sunąc w dół po schodach jak buldożer zła, minęła mnie z prawej wzburzona Elżbieta, świecąc gołym udem w prześwicie podomki. Była u Romana? A ja o tym nic? Jak tak dalej pójdzie, kontrakt diabli wezmą! Nagle usłyszałem słaby krzyk Bożenki, jakby się z jej gardła wyrwał mimo woli.

– Weź mnie szczypnij, Emil...

Ulga w jego oczach była nieskrywana.

– Dobrze widzisz, dobrze! – rzekł przymilnym tonem. – Niezła latawica jest z tej waszej Elki, i spójrz, prawie goła. Co innego ty! Preferencje damy, towarzyski szlif... Klasa sama w sobie. Francja-elegancja... długo by wymieniać...

Chciał rozwinąć wątek, ale wnet się spostrzegł, że mówi już tylko do pleców Bożenki znikającej w mroku korytarza...

Rozdział VII

WRACA SPRAWA „POCIĄG”

W środku nocy wyrwany ze snu ujrzałem Emila, który chwiejnym krokiem zmierzał w stronę łóżka, pomstując na siebie niczym własna żona.

– Rób tak dalej, rób... Rób tak dalej, rób...

Wsparłem się na łokciu.

– Co się tak biczujesz? – zagadnąłem go.

Nic nie odpowiedział; wsunął się do łóżka i jął z boku na bok rzucać się po pościeli. Trwało to ze dwie, może trzy minuty, zanim znieruchomiał, umęczony transem.

– Ależ ze mnie głupiec. Głupiec! Istny głupiec! – dyszał spod powłoki. – Wdzięczyc się do młodych, i to przy Bożence: „Panie są takie uczynne... Wesprą mnie panie w kampanii do parlamentu w Brukseli?”. Na co mi to było? „Znajdź se głupią, dziadu!”, powiedziała jedna. Masz pojęcie, Marek? – zwrócił się wprost do mnie, jakby mnie dopiero teraz zauważył.

Należało ci się – pomyślałem w duchu.

– No już, dobra, przestań! – rzekłem bez współczucia. – Jakoś to przeżyjesz. Polityka, chłopie, nie jest dla cieniasów. Wytrzymaj nos i spać!

Ale on wciąż jęczał.

– Ja, stary wyjadacz, polityczny zwierz, straciłem cel z oczu, jakbym nagle oślepił. Wszystko przez alkohol i brak wyobraźni. Gdyby szło o seks... kto by tym się przejął. Ale w tej materii to akt

samobójczy. Co tu teraz robić? – Wlepił we mnie mętny, pytający wzrok. – Czekać do ostatka, aż Bożence przejdzie? Ale nie ma czasu... Ani innej opcji. Mat na całej linii!

– Aż Bożence przejdzie? – powtórzyłem za nim. – A co, jeśli nie? Może dobrze będzie, jak mi powiesz wszystko, wszystko po kolei, coś tam nawywijał. Mamy czas do rana, chyba że chcesz spać?

– Ale! Co ty mówisz – obruszył się z miejsca. – Kto by po tym spał!

Na dworze ulewa się nasiliła, chlustając po szybach jak wiadrami wody. Jak tu rano wyjść? – pomyślałem jeszcze, nim zgarnąłem koc, wzięłem go pod plecy i tak ułożony nastawiłem uszu.

– No to opowiadaj, tylko wiesz... Konkrety.

– A zapalić mogę? – zapytał pro forma, bo już niósł do ust papierosa z paczki.

Zawahałem się.

– No nie bardzo chyba... regulamin w końcu... Ale co tam. Pal!

Kiedy się zaciągnął i znów stał się sobą, zaczął mówić z sensem. Opowiadał barwnie, że poczułem nagle, jakbym sam tam był – na dansingu w knajpie na obrzeżach miasta. Dolce Vita, knajpa rodem z PRL-u, miała ten szczególny historyczny sznyt, do którego tęsknią fani tamtych lat. Zwisające smętnie sflaczałe balony powleczone grubą, starą warstwą kurzu przywracały pamięć o minionym czasie, zaś ogarki świeczek na licznych stolikach – o codziennych przerwach w dystrybucji prądu, przy czym słynny dwudziesty stopień zasilania oznaczał największe ograniczenia w dostarczanej do fabryk mocy prądu, regulowane przez Radę Ministrów.

Emil po tym wstąpił strącił z siebie kołdrę, spuścił nogi z łóżka, sięgnął po drugiego z rzędu papierosa i w obłokach dymu podjął swą opowieść. Jak to wnet z Bożenką siedli przy stoliku mimo jej niechęci do muzyki disco, której miała dość na Monciaku. Musiał więc jej przyrzec, że natychmiast wyjdą, kiedy go porządnie szturchnie łokciem w bok. Dalej Emil mówił, jak to kuracjuszkę, znaną im z zabiegów, którą na kurację dostarczyła erka, tłum adoratorów

niemal strącił z krzesła. Taki jeden nawet przesadnie aktywny wciskał jej do ust kawałeczki śledzia, aby jej animusz i nadwyżkę werwy skierować tylko na siebie. Opowiadał też, jak to podpytywał fanów tej kobiety, czy nie wiedzą czasem, gdzie jest jej maszyna, wózek inwalidzki, z którym jeszcze wczoraj byli nierozłączni. Emil, wciąż koczując na krawędzi łózka, wdawał się w szczegóły, całkiem bez znaczenia w jego sytuacji.

- Emil, weź się streszczaj - ponagliłem go. - Bo się skończy noc i przyjdą odkurzać i wyrzucać z kubłów.

- Dobra, dobra - rzucił i jął mówić dalej, przechodząc w słowotok. O kobietach, które siedząc dużą grupą przy podium dla grajków, rzucały się w oczy głośnym zachowaniem. O żarliwym tekście, który wygłosiła liderka tej grupy o pogardzie ludzi do rozwódek, wdów i do starych panien, mówiąc na ostatek z nienawistną miną, że żadna mężatka nie będzie w twarz im pluła tylko z racji tego, że posiada papier z Urzędu Stanu Cywilnego lub z kancelarii parafialnej w miejscu zamieszkania, poświadczający fakt ślubu.. Dalej Emil mówił, że ich wiec ukrócił nagły dźwięk piosenki w rytmie disco polo: „Nie wiem nawet, kiedy to się staało, był cudowny letni dzień...”, po którym pierwsi mężczyźni rozpoczęli wyścig do kobiet, którym się przyjrzeni podczas dłuższej przerwy. Na parkiet wskoczyły też wiecujące panie. Płaszały w kółeczku i z lekka fałszując, śpiewały do wtóru soliście:

W Ciechocinku, w Ciechocinku

Wtedy właśnie zrozumiałem

W Ciechocinku, w Ciechocinku

Że się w tobie zakochałem

Może kiedyś znów spotkamy sięęę

Emil opowiadał, że ten refren sprawił, że bez dalszej zwłoki wziął za pas Bożenkę i ruszył z nią w tany pomiędzy stoliki. „Dotąd było super” - snuł swoją narrację. Aż do chwili, kiedy przez ogólną wrzawę

przebił się kobiecy ochrypnięty głos: „Odbijany! Już!”. Przed nimi, z uśmiechem na czerwonych ustach, kiwała się jedna z grupy „tamtych” kobiet, w ażurowych portkach wdzianych na rajstopy, która bez żenady, szarpiąc go za ramię, wykrzyczała z furją: „Odbijany, mówię! Nam się też coś od życia należy, kurwa!”.

I wtedy Emil zrobił pierwszy błąd. Zostawił Bożenkę między stolikami i pomknął z tamtą na parkiet. Upokorzona kobieta wróciła do stołu, na którym już stały czysta wyborowa razem z mineralną, które przyniósł kelner. Mówiono mu później, co działo się dalej z jego towarzyszką, którą puścił kantem bez poczucia winy i cienia refleksji. Że najpierw wypła trzy szybkie kieliszki, potem bruderszaft z gościem po sąsiedzku, a następnie długo w swoim telefonie grzebała, nie wiedzieć za czym.

Po dwóch kawałkach orkiestra przestała grać, lecz Emil nie wracał na swoje miejsce. Czas mijał, napięcie rosło, a gniew kobiety się pogłębiał. Była już trochę pijana, gdy rozległ się dźwięk muzyki i solista zaczął aksamitnym głosem:

My, Cyganie, co pędzimy razem z wiatrem

My, Cyganie, znamy cały świat...

„Jeśli chcecie, zaśpiewajcie... razem z nami teraz taaak...” – Bożenkę refren poderwał z krzesła, jej głos nabrał mocy. Rozpościerając szeroko ramiona, tanecznym krokiem płynęła w stronę parkietu.

– Ore, ore, sza ba da ba da, amore... Hej, amore – sza ba da ba da...

Ktoś z boku zaczął owację: „Śpiewaj, rusalko, śpiewaj! Niech pieśń twoja polecą z ptaństwem, gdzie moje szczęście zostało...”.

Para starsuszków na jej dalszej drodze pokrzykiwała na siebie: „Nie szalej, masz swoje lata, chore kolana i astmę! – krzyczała babcia na dziadka. – Co mówisz? Chcesz tańczyć? A niech cię jasna cholera!”.

Bożenka wyhamowała przy nich i podzęgała do kłótni. „Puść, babo, dziada, niech se potańczy. Ma prawo, jeszcze nie umarł. Po co tu w ogóle przyszliście, napić się można w domu!”

– Szybko jednak straciła zapał do edukacji, jako że według naocznych świadków zajęła ją inna scena – opowiadał Emil za firaną dymu. – Oto w rytm dziarskich taktów na stół wskoczyła kobieta, ta sama, która podobno nie mogła chodzić. Unosząc wysoko spódnicę fikała nogami, budząc ogólną wesołość. I ta atrakcja nie zatrzymała Bożenki na dłużej, parła na parkiet jak furia. Zabrzmiała kolejna piosnka, też na cygańską nutę. Śpiewak w złocistym surducie żarliwie wczuwał się w utwór, zupełnie jak grajki w turkusowych fraczkach. Nagle pojawił się skrzypek, bo jakże to, cygańska muzyka bez skrzypka? I wtedy śpiew nabral mocy. To skrzypek swoim tenorem przyłączył się do solisty:

*W tamtej ciemnej nocy, białej mgle
przyjdę pod twój dom i porwę cię!
Jak mnie nie pokochasz, to wiedz, że
przyjdę pod twój dom i porwę cię!*

Bożenka w końcu dotarła do celu. Przed nią w szkarłatnej poświacie podrygiwało ludzkie mrowisko. Niosły się stamtąd zmysłowe jęki i pełne bólu okrzyki: „Jak tańczysz, kurwa, uważaj! Nie depcz po palcach, palancie!”. W powietrzu unosił się zapach potu, piwa oraz tandetnych perfum. Lud na parkiecie dygotał i wił się we wspólnym szaleństwie:

*Bo kiedy przyjdzie noc, włożę najczarniejszy płaszcz
i zamienię się w czarnego lwaaa,
A kiedy przyjdzie nooc, włożę najczarniejszy płaszcz
i zamienię się w czarnego lwaaa ...*

W końcu wrzeszczeli wszyscy, a parkiet złał się z estradą. Ktoś z sali włączył kinkiety. Tancerzy jednak to nie obeszło, światło nie ukróciło szału. Refren powtarzał się raz za razem:

I zamienię się w czarnego lwa...

Hej!Hej!

– Emil, w żadnym razie! Ani mi się waź! – zawrzasnąłem nagle, widząc go, jak sięga znów po papierosa. – Otwórz chociaż okno, bo już nic nie widać. Albo lepiej nie, bo nas stąd wywieje.

Ale on nie słyszał żadnych moich słów, tylko skoczył z łóżka i jął się obracać wokół własnej osi i zarazem stołu, zupełnie jak Ziemia dookoła Słońca. W oczach miał szaleństwo. Nieobute nogi wyrzucał przed siebie. Mokre strąki włosów pokryły mu czoło.

– Sza ba da ba da!... – wrzeszczał zdartym głosem.

To się stało nagle. Dolce Vita, knajpa rodem z PRL-u, wzięła mnie sposobem; pochwyciła z łóżka i rzuciła w tłum. Na deski parkietu. Ujrzałem Emila pośród rozwrzeszczanych i podpitych pań. Ale to nie wszystko. Jego gołe plecy, tors i brzuch w całości pokrywały krwawe scenki rodzajowe, jak na ścianach jaskiń z epoki mamutów. Mój wzrok powędrował na stół przy orkiestrze, gdzie ujrzałem „środek artystycznego wyrazu” – resztkę keczupu z papryki, przebojowego produktu znanego zakładu przetwórstwa owocowo-warzywnego. Jedna z sufrażystek złapała Emila za rękę, za drugą chwyciła kolejna, potem doczepił się jeszcze ktoś i jeszcze, aż powstał drgający korowód. Oskrzydlony Emil dokonywał cudów, chcąc uwolnić ręce, by móc nimi machać, jak robił to wcześniej, wzorem polityków wśród wiwatujących na ich widok tłumów ludzi. Stojąca na skraju parkietu Bożenka wspierała go mocno w tej nierównej walce, mimo że publicznie narobił jej wstydu, a teraz i sam się błaźnił.

– Walcz, Emil! Jak trzeba będzie, wyrwij jej rękę! Pokaż tej flądrze, kim jesteś!

Chyba usłyszał, bo zwrócił głowę w jej stronę, a jego kretyński uśmiech w swym tragikomicznym wyrazie autentycznie mówił, że chciał jak najprędzej wyrwać się z pułapki. Ale gdy kolejnym, może piątym razem przebiegł obok niej, wciąż był elementem tęczowego gada mknącego z prędkością światła.

- Bożenka! Ratuj! - wołał rozpaczliwie, oddalając się. - Odczep mnie od tych bab!

- Zachciało ci się odbijanego, to tańczuj, tańczuj! Dobrze ci idzie! - odchrząknęła mściwie, ale już biegła mu na pomoc.

Wtargnięcie Bożenki na parkiet odbyło się jak w akcji sił specjalnych państwa.

- Na glebę! Na glebę! - ryczała, zadając ciosy pięściami. Nogami w szpilkach torowała sobie przejście w mknącej co sił w nogach kawalkadzie ciał.

- Ludzie! Ratunku! Przebiła mi stopę! - Czyjeś okrzyki tylko ją zagrzewały do walki.

W końcu doskoczyła do fragmentu węża będącego zlepkiem trojga osobników: pani w pstrej kreacji, Emila w środku i blond harpii w dzinsach. Próżne były jednak jej kolejne próby przejścia mężczyzny z ich zachłannych rąk. Pantofel na szpilce mógł jej to ułatwić w charakterze klina. Ściągnęła go w biegu i trzymając w górze, pomknęła jak wiatr za oddalającą się trójką. Część ludzi zeszła z parkietu, by jej kibicować. Krzyk z dziesiątek gardeł dodawał jej skrzydeł.

- Przyłóż jej tą szpilą! - krzyknął któryś z gapiów.

Inny znów zawołał:

- Wpierw załatw tę drugą! Nie tę, nie tę, mówię! Tę drugą!

Rozdźwięk w nawigacji brał się pewnie z tego, że każdy z nich patrzył ze swojego miejsca na skraju parkietu, na którym miał miejsce ten szaleńczy pościg.

- A która to druga?! - chcieli ustalić niektórzy.

– A czy to ważne?! Obie są niebezpieczne!

Obserwatorzy raptem umilkli, skupiając uwagę na szarży Bożenki, która w tamtym momencie przeszła do finału. Nie było na co czekać, jako że Emil wzięty w dwa ognie tracił autonomię. Tracił też władzę w członkach. Z pantoflem trzymanym wciąż w górze, biegnąc równoległe do mknącego tria, wymierzyła cios.

– Ja cię pierdołę! – Krzyk pełen bólu wyrwał się z gardła blondynki w dżinsach, która odpadła z tercetu pierwsza.

– Auuu! Au! Wariatka! – dołączyła do niej „Pstrokata”.

Ale Bożenki to nie obeszło.

– Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę! Pamiętaj, jedna z drugą! Emil, ruszaj się. Wstawaj! – Trąciła Emila, który akurat runął bez sił na parkiet.

Kapela zmęczona cygańskim transem zagrała po staropolsku: „A teraz idziemy na jednego, a teraz idziemy wódkę pić”.

Za oknem zaczęło świtać. Ustała też ulewa. Dolce Vita zresztą również odpłynęła z odchodzącą nocą, tylko biedny Emil, zgięty w pół na łóżku, dochodził do siebie, umęczony transem. A więc tak to było...

– mruknąłem pod nosem. Nie no... nie ma co... Nie wiem, jak Bożenka, ale jakby ze mną postąpił podobnie, ja bym nie wybaczył. Jeśli mu daruje, to ma w tym swój cel, wszak to biznesmenka, rekin interesu. Nie ma co się wtrącać. Dogadają się. Założyłem kaptcie i chwyciwszy czajnik, wybrałem się w gości, dziś o wiele wcześniej.

– Jak tam, moje panie? Psy nie wyły w nocy? – zakrzyknąłem gromko, wchodząc do pokoju moich podopiecznych, za sprawką Emila przesiąknięty dymem, z pękającą głową, jako palacz bierny, palacz z drugiej ręki.

Urszula wystawiła nos z pościeli.

– Jeszcze raz zobaczę, że pan wpada tutaj niczym do obory, to nie będę czekać, tylko każę wyjść! – zawołała w głos. – Czwarta rano, noc! Czego pan tu chce?

– Zaraz czego chcę, wpadłem się przywitać, całkiem przy okazji. – Pokazałem czajnik i wskazując palcem na sąsiednie łóżka, rzuciłem z przekąsem: – Reszta jeszcze śpi? Jak się nie śpi w nocy, to nadrabia w dzień...

– Pan jest nienormalny!

Pokiwałem głową.

– Może i tak być. Z bezsenności twórcy, nawet nowicjusze, cierpią na psychozy. Metafory, rytm... cała ta poezja... tłucze się po głowie, nie pozwala żyć, co dopiero spać! Ale dobrze, powiem, bo i tak się wyda. – Zrobiłem krok w jej stronę. – Chcę ułożyć wiersz, wiersz dla mojej żony. Wprawdzie byłej, niemniej... Może to ją zmiękczy, może do mnie wróci? Da mi pani lekcję? – zawiesiłem głos w niemej dramaturgii. – No bo widzi pani, ja wciąż za nią tęsknię.

– Ale przecież... przecież... Pan już umie... Więc?

– Umieć a być mistrzem to dwie różne rzeczy. Nie wystarczy rym. Chodzi o emocje, które winno wzbudzić każde jedno słowo. Chodzi o majstersztyk, nie o byle jaki grafomański gniot! – powiedziałem z mocą i spojrzawszy w okno na wschodzące słońce, rzekłem refleksyjnie: – No i po ulewie. Pójdziemy się przejść? Umysł, zwłaszcza twórczy, potrzebuje tlenu. Gdy tymczasem w moim... W moim tylko smog: ołów, kadm i tlenki.

Wytrzeszczyła oczy.

– Panie Marku, co pan? Co pan wygaduje? To nie czas na spacer, a tym bardziej na lekcje.

Wycofałem się.

– Ależ co też pani?! Przecież ja nie mówię, że to ma być już.

Wróciłem do siebie i zaległem w łóżku, myśląc o Urszuli zamiast o robocie, z której miałem chleb. Było mi jej żal, bo nie miała wpływu na swój marny los, który cały turnus i to bez wysiłku, poznał za sprawą przecieków z historii jej choroby. Bowiem z dnia na dzień, bez przygotowania, wpadła w stan wdowieński, tracąc radość życia

pośród tłumów ludzi w kasie numer trzy na dworcu głównym Wrocławia, gdzie sprzedawała bilety.

Na tym samym dworcu jej małżonek, Leszek, pełnił obowiązki dyżurnego ruchu na trzecim peronie i traktując pracę jako zło konieczne, zaprzepaszczał talent do języków obcych. Obco brzmiących słów, zwłaszcza z rosyjskiego, lubił czasem użyć, zawsze gdy się bał, czyli co rusz. Zginął przypadkowo – pod kołami busa, na przejściu dla pieszych, na czerwonym świetle. „Jak już tak się spieszył do świętego Piotra, nie mógł wpaść na dworzec i zginąć na torach? Pod kołami składu z wybranym napędem: albo elektrycznym, albo spalinowym, zgodnie ze swą wolą. Stałby się podówczas kimś na kształt herosa za pan brat ze śmiercią, a nie jednym z wielu gapiowatym pieszym, których codziennie zbierają z ulic” – nie przebierał w słowach naczelnik stacji, z reguły po czwartym piwie. Bowierni naczelnik oczami wyobraźni widział już te nagłówki w prasie: „Podwładny i wychowanek naczelnika stacji, dyżurny ruchu z trzeciego peronu zginął na torach, ratując życie desperatowi! Rzucił się za nim, tak jak stał, w mundurze i czapce z orzełkiem!”. Albo: „Bohaterska śmierć dyżurnego ruchu. Naczelnik wnioskuje o Order Orła Białego do prezydenta RP. Wrocław rulez!”. Ale, jak widać, nie wszyscy rodzą się w czepku i jeszcze wciągają w to innych.

Dla Urszuli śmierć męża skończyła się ciężką nerwicą natręctw. „Kompulsja duchowo-cieleśna na styku religii z seksem, z towarzyszącą temu potrzebą wypowiedzenia wulgarnych słów” – brzmiała diagnoza lekarska. Trudny przypadek. Tyle dobrego, że używała tych słów oszczędnie; jeśli już, to na potrzeby literatury, która w zastępstwie męża stała się całym jej światem, środkiem do wyrażania uczuć. Zawistni ludzie szeptali po kątach, że całe to jej „pisarstwo” to jeden bezwstyd, gwałt na języku i grafomania w jednym. Do Łądka na kurację wysłał ją lekarz rodzinny. Lecznicze wody miały jej pomóc uporać się z żalem po stracie i raz na zawsze, w radykalny sposób uciąć jej kontakty z nieżyjącym mężem.

Kolejna osoba z turnusu mająca związek z kolejną... Hm... – pomyślałam. Przypadek? Ile ich jeszcze czai się w ukryciu? A może oni wszyscy, wszyscy bez wyjątku są tu w jakimś jednym określonym celu? To by miało sens... Czas się za to zabrać. Tyle że, niestety, czasu coraz mniej. Do tego Ilona ciśnie... Tylko jej pisz o Romanie! Tylko do niej dzwoń, bo ona koniecznie musi wiedzieć, co dalej z jego romanssem, jakby doświadczała dzikiej satysfakcji, wręcz rozkoszy, pod wpływem bólu i upokorzenia. Ale co mi tam, najwyżej mnie zwolni. Wezmę wtedy kredyt i pociągnę śledztwo na swój własny koszt. Są sprawy ważne i ważniejsze. Emil zachrapał. Wziąłem z niego przykład, wcisnąłem głowę w poduszkę i zapadłem w sen.

Trzymając się planu, obudziłem się o dziesiątej i zaraz pobiegłem do pokoju kobiet. Doradziwszy wdowie, którą wersję czerni ma na siebie włożyć, wyszliśmy z budynku i po półgodzinie siedliśmy na ławce w małej odległości od pijalni wód. Otwarty zeszyt z poezją, w celu pogładowym, z ołówkiem jako zakładką, moja muza trzymała luźno na podolku. Chcąc się wprawić w nastrój przed wdrożeniem mnie w zawiloci sztuki, w której podmiot liryczny wyraża swoje uczucia, lekko przymknęła oczy, chłonąc kojącą dla uszu ciszę i uspokajający szmer fontanny. Jakaś bezpłciowa dusza (bo dusze nie mają płci), którą wyczułem bezbłędnie, sfrunawszy z góry, spoczęła na barku Urszuli.

– Ach, *kak tu priekrasno* – zawołała głosem jej męża. – Magnolii... Ach! *Kak pachniet! Tolko nabieratsia sił, tolko oddychat, niczewo bolszie!*

– *Tolko oddychat, nabieratsia sił* – przedrzeźniła go. – Jak ty nic nie kumasz.

– *Szto ty gawarisz?* – zachnęła się zjawa. – *A szto znaczit „kumasz”?*

A więc to prawda, o czym szeptali po kątach kuracjusze. Wymiana zdań tej pary była tak realna, jak realnego męża (z korzeniami w kraju rosyjskojęzycznym) z żoną z krwi i kości, w długoletnim związku, na wspólnej kuracji w sanatorium. Urszulę – sądząc po wyrazie jej twarzy – drażniła obecność męża, który z braku zajęć w niebie pełnym

świętych pewnie znów umierał, lecz tym razem z nudów. To dopiero męka. Zamknęła powieki, mówiąc koniec końców:

– Dobra, Leszek, starczy. Starczy mi tych rad!

Chrzęst żwiru na ścieżce sprawił, że otworzyła oczy. Przed nami stał gość w panterce, o wyglądzie przeniesionego wprost z lat sześćdziesiątych hipisa, w okularach lenonkach na końcu nosa z brodawką. Stał nieruchomo, wbijając wzrok w brulion Urszuli. Trwało dobrą chwilę, nim zamknęła zeszyt i zapytała w końcu, przerywając ciszę, która ją wprawiła w stan zakłopotania:

– Chce pan o coś spytać? O zabytki? Droge?

Mężczyzna ożył i się ożywił.

– Ależ nie, nie, nie. Znam tutejszy teren. O zabytkach Łądką też co nieco wiem. Interesuje mnie to! – Pokazał palcem na kajet. – Uprawia pani poezję? Na ławce w parku? W kawiarni? W transporcie publicznym? Gdziekolwiek? – zadawał pytanie za pytaniem. – Proszę wybaczyć, że tak to drażę, lecz pani związek z Osiecką, tą Osiecką, byłby poza dyskusją w moich kręgach.

Oblała się mocnym rumieńcem.

– Ale ja pana nie znam, a pan tak bezpośrednio...

– A ile to poznać? Jacenty Olech, redaktor w dziale poezji, miesięcznik „Dziewięć muz”. Z siedzibą w Wałbrzychu. Słyszała pani? A, mniejsza z tym... Więc jak?

Spuściła skromnie powieki.

– Tak, to mój dorobek, a tworzę na żywiol, stąd ten ołówek i zeszyt, zawsze pod ręką. Nie umiem jak inni – zrobić sobie kawę, usiąść przy stoliku i dopiero wtedy.

Roześmiał się z triumfem.

– A więc miałem rację! A co jest w obiegu? Jakiś wybór wierszy? Czy alternatywnie obszerniejsze formy?

Opuściła głowę.

- Nie, jak do tej pory nie wydałam nic - odrzekła ze smutkiem. - Po tym jak w kilku znanych wydawnictwach usłyszałam twarde, że mam ich przestać nękać i nachodzić, bo w końcu to zgłoszą gdzie trzeba, dałam sobie spokój. Ale wiem skądinąd, że to elitarne, odporne na świeżą myśl grupy, kiszące się w swoim sosie. Ehhh... - westchnęła ciężko i ciągnęła: - Wiersze czytają moi znajomi z dworca i dają do poczytania swoim znajomym. Zawsze to czytelnik, zawsze to coś. Albo... - Jakby przejęta nagłą myślą wbiła wzrok w tabliczkę na trawniku obok, której napis głosił: „Trawnik to nie śmietnik i WC dla psa!”. - Wydam to na swój koszt. Za dzień, może dwa wpadnie mi na konto premia z miejsca pracy za wysługę lat. Taaa... to jest pomysł.

Reakcja Olecha na jej wynurzenia była dość gwałtowna.

- Dość! Po trzykroć dość! Nie chcę tego słuchać. Ani o pogroźkach zawistnych panów literatów. Prawdziwy talent obroni się sam, trzeba mu tylko w tym pomóc. Wyciągnąć dłoń do człowieka, czasem lekko popchnąć. Proszę mi dać swój brulion.

Kiedy usiadł, przysiadłem się do niego. I jak on wbiłem wzrok w kajet Urszuli, słuchając jednym uchem jej wyjaśnień w związku z bijącą po oczach krwawą jatką w tekście. Z tego, co mówiła, była to robota jej zmienniczki w kasie, zdewociałej starej panny, kiedy ta swego czasu dopadła zeszytu, wyskrobując z treści obsceniczne słowa godzące w jej cześć panięńską i uczucia religijne. Czytałem więc:

Zbiegnij do mnie, Leszku, z trzeciego peronu

By mi zrobić dobrze w kasie pod pulpitem

Zbiegnij, nim podstarwią pośpiech do Berlina i nie wsiądą ludzie

Kiedy się zaczaisz za moimi plecami, udam, że nie widzę

Ale zdejmę majtki i rozłożę nogi pod swą kolejarską służbową spódnicą

Wtedy ty zasiądziesz na sąsiednim krześle

I przez owłosienie na wzgórku tonowym sięgniesz do mej (zamazane słowo)

*Udając ciekawość, wbijesz wzrok w tablicę o ruchu pociągów
widocznym za szybą*

A tymczasem spluniesz na dwa swoje palce

Ślinę rozprowadzisz posuwistym ruchem

A następnie łokciem niby to przypadkiem strącisz rozkład jazdy

*Kopniesz go pod pulpit i skacząc tam za nim, włożysz mi do
(zamazane słowo) trzonek od lizaka*

Obracając nim, rozpoczniesz grę wstępną

Dalej wiesz, co robić... Co ci będę mówić

Z kolejki przed kasą któryś z pasażerów wydrze się nerwowo:

– Pani da mi jeden na pościech do Kutna! Nie no! Nie! Nie zdążę!

A chuj z tą kolejką!

*– Ale co ja mogę, awaria na łączach – rzeknę słabym głosem,
szykując się do orgazmu*

Kiedy żurnalista zamknął w końcu zeszyt, ja wciąż byłem cicho, ale z jego ust popłynęły dźwięki, które mogły znaczyć... Mogły znaczyć wszystko. Slang krytyków bowiem w ich ocenach dzieł był mi całkiem obcy.

– Taaa, hmmm... Taaa, hmmm...

Wdowa, słysząc to, obciągnęła suknię i spuściła wzrok. Jak na moje oko była w stanie wstrząsu. Raz, że nad jej dziełem pochylił się krytyk z wyżyn swej profesji, a dwa, że od zajścia, w którym zginął Leszek, nie zwrócił na nią uwagi ani jeden facet spoza środowiska kolejarskiej braci. Bowiem tylko oni, gdy już na nią wpadli, raczej z obowiązku wyrażali żal poprzez wyświechtane i zdawkowe treści, niewnoszące nic w ciężar jej żaloby swoim pustosłowiem: „Wyrazy szczerego żalu i współczucia z powodu śmierci męża”, „Łączymy się z panią w bólu”.

Ci trzeźwi łączyli się w bólu na krótko; na dłużej zaś przystawali mędrkujący chętnie entuzjaści trunków: „Patrz, pani, jakie to życie jest straszne, dziś żyjesz, jutro cię wiozą w trumnie. Bo nikt, jak dotychczas, nie wykpił się śmierci na tym łożu padole, choć niejedyn oddał cały swój majątek nawet za nadzieję, obietnicę życia choćby i dzień. Jedna sprawiedliwość na tym podłym świecie!”

Słońce zasnęła chmura, powiało chłodem. Urszula zerwała się z ławki.

– Zimno, panie Marku, pójdziemy stąd, co? Zaraz będzie obiad. Miło było poznać. – Wyciągnęła rękę do mężczyzny obok, który też się podniósł. – Czas na prozę życia.

Nie podał jej ręki, tylko zgiął ją w łokciu i nadstawił, mówiąc:

– Odprowadzę panią. Droga szybciej zejdzie, a i pogawędka może wiele wnieść w naszą tak udanie zaczęętą znajomość. Zwłaszcza że do głowy wpadł mi pewien pomysł, ale o tym w trakcie. Zatem co, idziemy?

Oblała się pąsem.

– Nie wiem, czy wypada... No bo wie pan, ludzie...

– Co też pani mówi! – rzekł, podnosząc głos. – Ludzie to kanalie, wręcz faryzeusze; o grzechu mówią dużo, a sami grzeszą i jeszcze innych rozmaitymi sposobami do grzechu wciągają. Oni tylko patrzą, by takie jak pani wpędzić w kompleks winy i zaszczuć do końca. Jak najdalej od nich! – Nagle zmienił temat: – Pani strój wskazuje na ciężką żalobę. Prawda to czy styl? Kiedyś komunikat był prosty jak drut: w czerni była wdowa, panna młoda w bieli, z welonem na głowie. Teraz to się wszystko ludziom poplątało. Wszystko na odwyrtkę. Jakies mody, trendy... Sami przebierańcy!

– Niestety to prawda – rzekła, a jej wargi cokolwiek zadrżały. – Przed trzema laty zdarzył się ten fakt, w sumie dość tragiczny.

Hipis zmarszczył czoło i utonął w myślach, z wciąż zapraszająco zgiętą w łokciu ręką.

- Nie! Po trzykroć nie! - wykrzyknął po chwili. - Nie w kwestii żałoby, to rzecz bez dyskusji. Ale nie pozwolę, by ktoś w pani zabił talent i wrażliwość. Przyjmie pani pomoc od nowego fana?

Dalej rozpedzony jął roztaczać przed nią wizję swego wsparcia. Jak to w wolnym czasie zajmie się redakcją jej dzieł literackich, zapewni reklamę, no i najważniejsze - kontakt z czytelnikiem. Wszystko, czego trzeba raczkującym twórcom, nim staną się samodzielnymi bytami. Kończąc, zachybotał żartobliwie łokciem.

- No to jak? Idziemy?

Otworzyła usta, przez które ostatecznie nie wymknęło się ani jedno słowo. Dopiero na ścieżce wiodącej do Turni przystanęła w miejscu, odzyskując głos.

- Dalej pójde sama - rzekła powściągliwie, nie odnosząc się słowem do jego oferty, jakby to wyparła z karty swej pamięci. No bo jakże to? Ktoś tak znaczny w branży oferuje pomoc, i to całkiem gratis? Cuda się zdarzają, ale nigdy jej.

Spojrzał na nią ciepło.

- Skoro już się znamy, to nawiążmy bardziej kameralną więź. Może dziś wieczorem? Co do odpowiedzi, to nie ma pośpiechu. Proszę to przemyśleć. Choć nie radzę zwlekać, bo następnym razem będę tu dopiero na biennale sztuki, czyli za pół roku. Jak ma pani czas, żeby tyle czekać...

Przez jej twarz przebiegły skrajne dwie emocje.

- Po kolacji idę na mszę do kościoła - rzekła niewyraźnie. - Wie pan... Na majówkę. Może chciałby pan pójść tam razem ze mną?

Ściągnął lekko brwi i wykrzywił usta.

- Godna nawet Nobla jest taka pobożność, mnie też to pociąga, ale, przykro mówić, nie dam rady czynnie wziąć udziału w mszy. W świątyni zimno, a moje kolana, stawy... cóż... już zawodzą. Chciałoby się jeszcze pochodzić po górach, pokłęzczyć w przydrożnych kapliczkach... - Pociągnął nosem, wydmuchał go w chustkę i rzekł nieco raźniej, jakby rozgrzeszony: - Pomodłę się później, jak będę

szedł spać. W końcu Panu Bogu jest to bez różnicy, o której godzinie ktoś do niego wpadnie. Czuwa na okrągło, taki jego los.

– To jak pan uważa – nachmurzyła się.

– Ależ nie! Nie! Nie! – rzucił się wyjaśnić. – Powiedziałem tylko, że w kościele zimno, a ja zwłaszcza wiosną słabuję ze zdrowiem. Spotkajmy się zatem za godzinkę później, jak już ksiądz dobrodziej uwinie się z mszą. Zapraszam na kawę i ciastko do kawiarenki zdrojowej, na wieczór poezji we dwoje. Pani i ja przy stoliku. Poczyta mi pani przy świecach?

Czułem, jak mięknie jej serce. Niemniej zabrało jej trochę czasu, nim w końcu kiwnęła głową i poszła dalej, ale już inaczej... Jakby unosząc się nad ziemią. Jakby tańcząc.

Zza krzaka magnolii wyjrzało widziadło.

– Urszulko, temu hipisowi, tylko nie mów „nie”, fałsz z oczu patrzy. Sprawdź go jak najprędzej! Sprawdź mu dokumenty, zadzwoń do Wałbrzycha, do „Dziewięciu muz” i rozpytaj się, czy taki a taki jest tam redaktorem, czy to zwykła bujda. *Dielaj wsie, szto możesz. Byle z golowoj.*

– Leszek, a ty znów! Tyle razy mówię, żebyś nie po rusku!

To się narobiło – zamyśliłem się, idąc za Urszulą. Jak się w tym rozeznac? Te poboczne, mało: nieciekawe wątki, które trudno stwierdzić, dokąd mnie poniosą. Czy nie na manowce? Z drugiej jednak strony mój duchowy Mistrz mówił często tak: „Zapamiętaj, synu, że chaos i nieład czy zaskakujące zbiegi okoliczności to równie ważne składowe ludzkiej egzystencji, a winnego nie zawsze udaje się znaleźć i ukarać. Chcesz mieć wpływ na wszystko? Nie rozśmieszaj mnie. Niemniej w równej mierze kiedy trzymasz w garści choćby jedną nić, nigdy jej nie puszczaj. Jesteś dzieckiem szczęścia”. Język mego Guru brakiem dosłowności zmuszał mnie do własnych rachub i refleksji. Objąć to rozumem to jak zliczyć włosy na swej własnej głowie. Ale szósty zmysł... Zawsze, czemu nie?

– Elegancik z ciebie – rzucił z łóżka Emil, zdrowszy po kolacji i chętny do gadki. – Dokąd to, Sherlocku? Jest coś, o czym nie wiem? „Starsza pani znika” czy współczesny thriller? Hi, hi, hi... hi, hi, hi – rozchichotał się.

– Emil, wróć późno – rzekłem w odpowiedzi. – Jak tu znów napalisz, nie wiem, co ci zrobię. Ale będzie źle.

Od piętnastu minut tkwiłem przy kościele, zza załomu muru obserwując wrota, które aż się trzęsły od *Łąk umajonych*, wznoszonych przez wiernych, w deklaracji wiary, w deklaracji zgody zaś: „Przekażmy sobie znak pokoju” na doraźny rozejm w mowie nienawiści. Z przeżartej rdzą rynny wpadła mi za kołnierz zimna kropla wody, za nią druga, trzecia, ale ani drgnąłem. „Kiedy kogoś śledzisz, pod żadnym pozorem nie ruszaj się z miejsca, nawet na pół kroku! Każda zmiana zawsze niesie z sobą skutki. Akcja i reakcja, i plan bierze w łeb!” – wbijał nam do głów podoficer śledczy z niedowładem nogi po postrzale w udo przez kolegę z pracy z częściową ślepotą, którą ten skutecznie ukrywał przez rok przed policyjnym okulistą.

Żurnalista Olech czekał pod okapem, wtulony w tablicę pełną ogłoszeń parafialnych: kto i z kim się żeni, kto i kiedy umarł, no i kiedy pogrzeb. Mięczak – skwitowałem. Posłać go na patrol, zamiast peleryny weźmie parasolkę, a na szyję szalik zrobiony przez babcię na drutach w prezencie na Mikołaja.

Kiedy wdowa wyszła po skończonej mszy, poszedłem za nimi. Miłe café-bistro z melodyjką w tle, świeczkami na stołach, torcikiem Marcello i kawą espresso zapewniało nastrój, o jaki, dam głowę, szło kreatorowi tego sam na sam. Siedząc za kominkiem, nie spuszczałem wzroku z ożywionej pary, w której zachowaniu było coś z teatrum. Nie był to ani flirt, ani nic w tym rodzaju, tylko bardziej gra, żart i zabawa. Może u artystów tak się mają rzeczy, zwłaszcza że Jacenty miast muzej oczami, rozbierał jej wiersze na czynniki pierwsze pod względem

języka, środków wyrazu i pionierstwa myśli. Było kulturalnie. Widziałem, jak ona swój płonący wzrok wbija w jego oczy, z których biła mądrość i chęć pomagania, że gotowa była wierzyć mu na słowo. Z tym jednak nie chciał się zgodzić jej nieboszczyk mąż, który zjawił się jak na zawołanie i znów, by ją ostrzec.

- Coś mi tutaj nie gra! Urszulo, nie widzisz? On coś kręci, płacze. To jest śliski typ, nie słuszaj jego!

- A ty skąd to wiesz? - skwitowała krótko, dorzucając groźbę: - Jeszcze raz użyjesz języka komuchów, to nie gadam z tobą! - I usiadła bokiem, zrywając z nim kontakt, chyba po raz pierwszy tak zdecydowanie. W sposób tak okrutny, aż mnie przejął żal, aż gotowy byłem wziąć go i przytulić. A to obłudnica! Zwąchała interes, to mąż już w odstawkę. Tak jak moja była wiarołomna żona. Wilk w jagnięcej skórze! Farbowany lis!

Nagle poprzez świeczki doszło do mnie ciepło. Korzystając z tego, że Jacenty właśnie poszedł do WC, Urszula myślała, jak to jest możliwe, że człowiek kultury, człowiek na poziomie, ktoś tego formatu jak redaktor Olech, który zęby zjadł na takich jak ona, dojrzał w jej twórczości „dziecięcą naiwność i świeżość spojrzenia” mimo wulgaryzmów. Zwłaszcza że ostatnio, w związku z bezrobociem, sypnęło poezją w niesłychanym stopniu, a do tego jeszcze, w jeszcze większym stopniu, spadło czytelnictwo. Kto miał im to czytać bez pieniędzy? W stresie? Zatem prawie wszystko - dorobek tysięcy, jeśli nie milionów niespełnionych bardów - mijало bez echa, o ile to w ogóle miało jakąś szansę wyjść na światło dzienne. Czemu właśnie z nią miało być inaczej? Nagle dla Urszuli wszystko to, co było, stało się mniej ważne. Z poranka na wieczór przeszła ewolucję, a świat dookoła raptem nabrał barw. Termin „tu i teraz” pokaźnie się rozrósł, uzyskując przestrzeń dla stanu przepływu znaczącego wolność od strachów i lęków.

Niech to się już skończy! - myślałem i ja. Miałem dość poezji, której nie cierpiałem aż od podstawówki. Czemu jeden z drugim

nawiedzony wieszcz nie mógł wprost powiedzieć tego, o czym myślał? Jasno i przystępnie. Ale nie! Przekornie. Byleby utrudnić, byleby zamieszać, jakby nie dość było łamigłówek w życiu, i to tych realnych, nie tych z czyichś głów, powstałych w warunkach depresji, a nawet *delirium tremens*.

O dwudziestej drugiej Jacenty z Urszulą stanęli przed Turnią. Ja, idąc za nimi, przystanąłem w mroku za najbliższym krzewem kwitnącej magnolii. Noc była pogodna. A i księżyc w pełni skłaniał do uniesień. Z ust mężczyzny zatem wydobył się jęk. Popłynęły słowa:

Nim świt nas zastanie, gołąbko

Zerznę cię ze trzy razy

Kończąc, wyznał wdowie:

– Znam to już na pamięć. Taaa, hmmm... Talent, wielki talent... – dodając po chwili: – Odezwę się wkrótce. Czekał na telefon.

Stojąc wciąż za krzewem, namyślałem się, czy po drodze nie wejść do pokoju kobiet, podpytać Elżbietę, skąd wracała w nocy w takim skąpym stroju i ze wzrokiem zombie z *Nocy żywych trupów*. Aby mieć przez chwilę spokój od Ilony, której bym podrzucił temat do myślenia, by się tym zajęła przez najbliższy czas. Nim zrobiłem krok, księżyc nagle zniknął za zasłoną z chmur, które się zjawiły nie wiadomo skąd. Gdzieś zawyły psy, a od strony miasta dobiegł mnie przeciągły gwizd lokomotywy. To nie może być! Linię kolejową ze Stronia do Kłodzka wyłączono z ruchu, i to dawno temu, w ramach oszczędności i zwijania Polski. Tor porosły chwasty, a z pięknego dworca z ponemieckiej cegły jał się sypać tynk. Żeby tylko to! Teren wokół dworca, z czasem i sam budynek, zamieszkały męty, tłukąc po kolei wszystkie z cennych szyb zostawionych w oknach, których nikt nie zabił, nikt odpowiedzialny, choćby i dechami. Gwizd zabrzmiał ponownie. W reakcji na zew naprężyłem mięśnie. Ale biec czy zostać? – zawahałem się. Starzec od Dubrawskiej, jak go nazywałem, mógł być tu i tam. Marnowałem czas za kominkiem w bistro, kiedy skrytobójca

wcierał w życie plan. Jeśli jest na miejscu, znaczy się na dworcu, przegapiłem szansę, aby móc go schwycić, nim narzędzie zbrodni – dziurkacz kolejowy z okresu powstania, w jego wilczej dłoni – nie wypełni roli zgodnie z wolą przodków.

Wtem skrzypnęły drzwi. Niepokaźna postać otulona w płaszcz wymknęła się z Turni, pędząc w stronę miasta, skąd dobiegał sygnał mrozący krew w żyłach, który jak archanioł – anioł zmartwychwstania – wzywał do powstania umęczone dusze. Mam cię, stary draniu! Już mi się nie wymkniesz!

Nie pamiętam drogi, niemniej cały czas, potykając się, miałem przed oczami mknącą mikrą postać z torbą konduktorską na wątlym ramieniu i latarką w dłoni, której blask rozganiał ciemność pod nogami i wytyczał szlak. Wskoczywszy z chaszczy na ostatniej prostej, stanąłem jak wryty. Na peronie dworca stał skład pociągowy. Autentyczny pociąg dziewiętnastowieczny – z buchającym parą czarnym parowozem oraz tablicami na bokach wagonów, informującymi skąd i dokąd zmierza ten stalowy smok. Co?! Gliwice–Bytom?

Obejrzałem się. Na frontowej ścianie dworcowej budowli na kredowym pasku wciąż królował napis z okresu świetności, taki jak powinien, czyli ŁĄDEK-ZDRÓJ. Usłyszałem nagle przenikliwy gwizd. I ktoś krzyknął: „Odjazd!”. Nim wyszedłem z szoku, trójka konduktorów już zniknęła w drzwiach. A potem, jakby wszystkie moce świata spięły mnie ostrogami, zerwałem się z miejsca, biegnąc wzdłuż pociągu porośniętym trawą i zielskiem peronem, pokrzykując: „Stój!”, co sił w płucach. Później zaś, tłukąc pięściami w okna mijających mnie wagonów, w bezowocnym biegu, gdy tymczasem oni – zespół z mych horrorów – wzięli się bezzwłocznie do swej mrocznej służby. Kasując bilety, omijali pary, grupy wycieczkowe i tych z miesięcznymi; jak na moje oko wyszukując singli (paru ich widziałem) bez perspektyw, pracy, no i bez bagażu. Pociąg się rozpedzał, kiedy dwóch z tej bandy obejrzało się, szczerząc do mnie

zęby poprzez brudną szybę. Szczerzył do mnie zęby starzec od Dubrawskiej. Twarz drugiego z trójki całkowicie znikła pod złośliwą miną, że jej inne cechy zrobiły się żadne, gdyby chcieć to odnieść do jakiegoś wzorca. Na ostatnich nogach zobaczyłem jeszcze, jak tych dwóch kieruje swe dziurkacze we mnie – wykonując przy tym ruch palcami dłoni jak w zabawie dzieci, kiedy z kimś się drażnią: „zyg-zyg marcheweczka” – nim upadłem w krzaki i tracąc przytomność, ukończyłem bieg.

Rozdział VIII

MÓWMY O UCZUCIACH

Kiedy się ocknąłem, leżałem w pościeli. Trzy straszne postaci, stojąc tuż przy łóżku, każda z kubkiem w ręku, z zapaćkaną twarzą jak u kanibali z egzotycznych wysp, czyniły nade mną jakieś swoje gusła. Bombardując ostro me bębunki uszne, w głośnej konsultacji co do swoich wizji, aby mi przywrócić czynności życiowe, takie jak świadomość, szybszy puls i oddech.

– Raz zemdleć rozumiem – głos Elżbiety zabrzmiał jak warknięcie psa – ale raz za razem? Kawa, tylko kawa! Nie ma nic lepszego!

– Ale gdzie tam kawa, kofeina na noc? Chce go pani zabić?! – zakrzyknęła druga falsetem Bożenki. – Kiedyś na zapleczu w moim pawilonie ratowałam gościa po spożyciu kawy w kafejce przy moło, gdzie przez cały dzień, i to nadaremnie, czekał na kobietę, miłość swego życia. No i wiecie co? – Wskazała swój kubek. – Pomógł napar z lipy. Zwykły napar z lipy: cztery łyżki suszu na dwie szklanki wody, parzyć pod przykryciem.

– Ile on ich wypił, znaczy się tych kaw, że aż trzeba było chłopinę ratować? – prychnęła Urszula. – Dziesięć, sto czy tysiąc? Jej kąśliwy śmiech wzbil się aż pod lampę upstrzoną przez muchy. – Tylko woda z lodem! Pomaga na wszystko: na histerię, szloch... no i na omdlenia, jak u pana Marka.

W tej chwili niepotrzebnie się poruszyłem, ale zaswędziało mnie pięta, a jest to u mnie wrodzone, że zawsze swędzi, kiedy nie potrzeba.

Na ruch jako pierwsza zareagowała Elżbieta.

- No! Obudził się - rzekła swym chrapliwym, podniesionym głosem. - Ile razy jeszcze będzie pan tu mdłał? Niby chłop na schwał, a mdleje jak baba. Niech pan łyknie kawy! - poleciła jeszcze, zbliżając swój kubek wprost do moich ust, lecz zrobiłem unik.

- Co ja tutaj robię? - wydusiłem z siebie przez opuchłe wargi, czując posmak krwi.

- Jak to: co pan robi? Leży w moim łóżku.

Pustka w mojej głowie nie złożyła się w ani jedną myśl, ani nawet w jedno małe skojarzenie. Nic a nic. Niedobrze. W oczach chyba również musiałem mieć nicość, bo widząc to, wiedźma pogroziła palcem i zaczęła mówić, że przyszedłem późno, a raczej dowlokłem się, bardzo wyczerpany, jak po jakimś biegu (czyżby maratonie?), sądząc po oddechu i zdartych zelówkach.

- Nic pan nie pamięta? Nic a nic? Naprawdę? - wzięła mnie na spytki. - Na sto procent nie wiem, ale podejrzewam, żeś pan atakował ścieżkę zdrowia w nocy. Było tak czy nie? A kaowiec mówił, żeby tylko w dzień! W nocy tylko ci, którym życie zbrzydło. Niby człek niegłupi, a rozsądku brak. Chce pan słuchać dalej?

Potaknąłem głową, bo z tego wszystkiego wolałem już słuchać, niżli się spowiadać obcym z moich przeżyć, na co ona wnet przycupnęła w nogach.

Pozostałe panie wróciły do łóżek, podejmując czynność wklepywania w twarze resztek tłustych kremów, przerwana zapewne mą nagłą wizytą, co znaczyło tyle, że odniosłem triumf w integracji z grupą jako koleżanka. Byłem jedną z nich! Tymczasem Elżbieta po chwilowej przerwie jęła mówić dalej, jak ostatkiem sił wpadłem do pokoju, krzycząc i mając o jakimś pociągu i trzech konduktorach, grupie skrytobójców. Że ich w końcu dorwę i że nie odpuszczę, nim nie doprowadzę przed oblicze sądu.

- Ale w Łądku przecież nie ma już kolei dobre parę lat. Skąd by się tam wzięli pańscy kolejarze? - Puenta Elżbiety otrzeźwiła mnie, wskazując na cel, który mi przyświecał w drodze do jej łóżka.

Wpadłem tu wszak po to, aby ją nakłonić do intymnych wyznań. W innej sytuacji niż takiej jak ta (dajmy na to w przerwie między zabiegami albo na wieczorku, gdy był przy niej Roman) wymuszenie na niej jakichkolwiek zwierzeń byłoby bez szans. A to miałem zrobić, i to bez dyskusji. Mówiąc wprost, Ilona, oprócz zwykłych wieści z kroków „naszej” pary, które i tak z rzadka słałem jej na maila, chciała jeszcze wiedzieć, co czują i myślą. A to, jak wiadomo, nie jest prostą sprawą. Myśli i uczucia zawsze są pokrętne, jak ktoś chce coś ukryć, zostawiając ciekawskich w sferze domysłów i przeczuć. Przez dziurkę od klucza przy maksimum szczęścia można opcjonalnie dostrzec gołe fakty, a nie sferę uczuć i przeżyć człowieka. Zwłaszcza że Elżbieta raczej niezbyt często bujała w obłokach, blokując mi dostęp do swych myśli. Zostało mi zatem chytrze i podstępem wkraść się do jej łóżka i w przewrotny sposób wciągnąć ją w zwierzenia. Stać się Jamesem Bondem albo Matą Hari. Nie jest tajemnicą, że z wielkich sekretów nie zostaje nic zaraz po miłosnych jękach i orgazmie. Nam to nie groziło z oczywistych względów. Ale w koleżeństwie, w największym sekrecie, czasem pod przysięgą... Przy kieliszku wina... Częściej, niż się myśli.

- Napiłbym się wina... - rzekłem słabym głosem, jakbym czuł na plecach mroźny oddech śmierci. - Wino, tylko wino przywróci mi siły. Potem sobie pójdę. Pani musi w nocy wypaść się pod kołdrą, a nie siedzieć w nogach i patrzeć, czy żyję...

Moje odezwanie się było obcesowe i niezbyt ostrożne, ale zawsze mogłem zrzucić to na swój zły stan.

Mimo to odrzekła, średnio zdziwiona, jakby jej co noc ktoś zawracał głowę podobną zachcianką:

- Wino o tej porze? Nie przesadza pan?

Popija z Romanem - przypomniałem sobie. Nieraz ich widziałem „U Antka” przy piwie. Jeszcze ją jak nic wpędzi w alkoholizm. Mówią, że to pijak, więc ryzyko jest.

- Dobra, niech pomyślę... - Zerknęła na szafę. - A musi to być wino? Nie wystarczy wódka?

- Wódka? Jeszcze lepiej! - ucieszyłem się, tłumacząc się zaraz, czemu napomknąłem akurat o winie: - Zapragnąłem wina, bo u każdej damy ten wykwintny trunek zawsze jest pod ręką: poczęstować gości albo po kropelce, żeby lepiej spać. Ale mi naprawdę jest to bez różnicy, byle był alkohol, byle się znieczulić. Boli coraz mocniej.

- Całkiem zapomniałam, że ją wzięłam z domu! - Wróciła od szafy z półlitrowką czystej. - To do nacierania w razie bólu kolan. PESEL swoje wie - posmutniała z lekka. - Ale jak dotychczas nie było potrzeby. Taniec czyni cuda. Taniec, tylko taniec. Discofox z Romanem. - Uderzyła w śmiech i wskazując stół, zapytała szeptem: - Tutaj czy... - urwała w pół zdania, bowiem w jej wypowiedź wbił się głos Bożeny.

- W żadnym razie tutaj! Jak już macie pić, pijcie sobie w łóżku!

O to właśnie szło! Łóżko, noc i wódka. Będzie materiału, że ho, ho, ho, ho!

Piliśmy po równo. Ale w małych dawkach, żeby się nie upić, czego pilnowałem z uwagi na kontekst. Po trzech półkieliszkach, kiedy twarz Elżbiety nabrała rumieńców, zdałem się na instykt, że czas na kulisy jej flirtu z Romanem. Czas otworzyć serce, moja droga pani - powiedziałem w myślach. Pora na uczucia. Teraz albo nigdy.

- Pani Elu droga, jak tam pani związek z naszym przystojniakiem? Mówię o Romanie - zagaiłem wprost. - Wiem, że miłość kwitnie, ale co z tym dalej? Jakies plany, ślub czy coś w tym rodzaju? Krótko mówiąc, pytam: co po sanatorium? Pytam z życzliwości. Pytam, bo się martwię, jak to wśród przyjaciół. A na koniec spytam, bo to najważniejsze: czy on panią kocha, czy chodzi o seks?

Zrazu naturalny i raczej beztroski głośny śmiech Elżbiety szybko przeszedł w sztuczne, chichoczące tony, a rumieniec przykrył woal wątpliwości.

- Sama nie wiem... Hm... Co tu opowiadać... Raczej jest okej. Chociaż z drugiej strony...

Wykorzystując jej stan rozdarcia, musiałem działać szybko, zanim nie dał Bóg zjawi się tu jakaś przesadnie gorliwa robiąca obchód pielęgniarka. Albo reszta sali - Urszula z Bożeną - mając dość libacji, w sposób ostateczny nie wskaże mi palcem, gdzie jest wyjście.

- Jeśli pani czuje wewnętrzną potrzebę, by się komuś zwierzyć - ciągnąłem swą grę jak diabeł o duszę - mimo że cierpiący, proszę, oto jestem! Jeśli nie, to nie.

Wlałem do kieliszków po kropelce wódki i oparłszy głowę na pękatym jaśku, przymknąłem powieki, licząc, że w pozostawionej sam na sam z myślami kobiecie pojawi się presja, wręcz konieczność wyrzucenia z siebie ukrywanych dotąd obaw i obsesji. Nie myliłem się. Spod przymkniętych powiek ujrzałem jej rękę sunącą po kocu w drodze do kieliszka.

- Podam pani - rzekłem, lejąc jej do pełna. Kiedy już wypła, nadstawiłem ucha, ale nienachalnie. Długo nie czekałem.

- Zna pan efekt jo-jo?

Zachnąłem się w duchu. Miało być o żądzę i skrywanych myślach, a nie o nadwadze.

- Oczywiście, znam - powiedziałem krótko. - Lecz nie widzę związku. Kochanego ciała nigdy nie za wiele, o czym tu rozmawiać!

- Może są i tacy, którym to pasuje - rzekła z irytacją. - Ja mam inną szkołę w swoim życiorysie.

I zaczęła mówić, jak jej własny ojciec, który był estetą szukającym piękna w ludziach i przedmiotach, robił sceny żonie, czyli jej mamusi, narzucając diety, kiedy tylko spostrzegł, że się znów roztyła. Przeto efekt jo-jo wypełniał im życie jak w spektaklu grozy. Widywała matkę, jak stając na wadze kilka razy w nocy, notowała odczyt pośród łez i spazmów, rankiem zaś składała przysięgi przed mężem, że w niecały tydzień schudnie ile trzeba. Z czasem sukcesywnie włączała w to córkę. „Jeszcze kilo więcej i ojciec cię wyklunie, a może i nawet wyrzuci

cię z domu, jak będzie miał gorszy dzień” – straszyla małą Elżbietkę siedzącą nad nią pierogów przy kuchennym stole nakrytym ceratą. Z całej tej zgryzoty, mimo że niestara, zakończyła życie w pewien dzień nad ranem.

„Weź ty się za siebie! Wyglądasz jak wieprz. Wstyd gdzieś z tobą wyjść! – Ojciec w napadach złości, gdy zabrakło żony, pastwił się nad Elżbietą. – Zobaczysz. Skończysz jak matka!”

Elżbieta nabrała powietrza i już zbierała się mówić dalej, ale wstrzymałem ją ruchem ręki.

– Pani Elu droga, zdaję sobie sprawę z wagi tego bólu, który w pani tkwi, ale ojciec pewnie dawno już jest w grobie, zatem po cóż, na cóż...? Niech tam sobie będzie i w spokoju leżąc, czeka na sąd boski. Bo jak mówi Biblia: „Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na głos archaniola i dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi”. Już Bóg ma sposoby na takich jak on! Już on go rozliczy z grzechów po swojemu! Po co się tym dręczyć?

– Jak to? Sam pan mówił...

– Wiem, mówiłem, ale... – zawiesiłem głos. – Mówmy o przyszłości, tamto to już przeszłość. Mówmy o Romanie. Czy jest pani wierna? Czy jest wart miłości i planów na przyszłość. Mówmy o uczuciach!

– Mówmy o uczuciach... – powtórzyła za mną, wyciągając rękę po następną porcję czystej wyborowej. – Nie wiem... Sama nie wiem, co mam o tym myśleć. Roman dość pokrętnie okazuje miłość. Dajmy na to wczoraj...

No nareszcie. Uf! – odetchnąłem z ulgą.

– Jak pan wie, w południe miałam masaż wodny, wspólny, ten w jacuzzi – zaczęła opowieść, rozkręcając się w miarę upływu czasu i wzrostu stężenia procentów we krwi.

Siedziała więc w wodzie w towarzystwie pań: dwóch dość atrakcyjnych, choć w jesieni życia, i drobnej staruszki z turbanem na głowie, kurczowo trzymającej się za uchwyty. Ledwo się zaczęło, szum

jacuzzi ustał. Siedziały spokojnie, ale już po chwili każda z nich złapała przypadkową gałkę w zasięgu swych rąk, kręcąc na wyczcucie i krzycząc: „Pomocy!”, aż do zderzenia gardeł. Mimo że ich krzyk poruszyłby zwłoki, do uszu obsługi nie dotarł. Już zbierały siły do następnej serii ryków i zawołań, kiedy zza kotary wychylił się Roman i wszedł do środka. „A to co? Awaria? Dobrze, że akurat tędy przechodziłem!” – rzekł z przechwałką w głosie.

Elżbiecie załamał się głos, co świadczyło o tym, że w jej suchy opis wdarły się uczucia, jakby żal i zazdrość, co odnotowałem z niemą satysfakcją. Że jej ukochany nie zajął się nią, tylko popatrywał na jej towarzyszkę: damulkę z czepkiem foliowym na głowie i drugą w gumowym czepku żaby. Ta ostatnia nadto wzięła go na spytki, czy pan konserwator da radę ustercie i ile mu czasu przy tym zejdzie. Pełne kokieterii wątpliwości „Żaby” prędko przeszły w złość, bo stygnąca woda ostudziła także jej własny entuzjizm: „Panie mechaniku, my tu gadu gadu, a tu woda stygnie!”.

Nie czekając dłużej, Roman zgiął się w pół i wziął się do pracy. Nie potrwało długo i spokojny dotąd słodkowodny akwen stał się oceanem na granicy sztormu. Starowinka, skacząc na powierzchni wody jak korkowy pływak, pewnie z nerwów wpadła w histeryczny śmiech, nim nie uciszyła jej fala przyboju, zalewając twarz aż po turban frotté. Przed oczami reszty uczestniczek akcji jak z podziemi wyrósł uśmiechnięty fachman, masujący dłońmi okolice lędźwi, którą nadwyreżył w trakcie swej roboty w uciążliwej pozie na wysokości posadzki.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że da pan radę! – nieszczerze wrzasnęła Żaba, gdy druga, trzepocząc rzęsami, ściągnęła usteczka w dzióbek.

– No i po robocie – oświadczył mężczyzna. – Teraz będę szedł.

Żaba o mało nie wyskoczyła z wody.

– Jak to: będę szedł? Zapraszamy do nas, tutaj do basenu! – Uderzyła w śmiech, gdy on znów wpatrzył się w panią w czepku z folii.

Tego było dla Elżbiety za wiele.

- Żeby była jasność: ten uczynny pan... - wyrzuciła z siebie - ten uczynny pan nie jest już do wzięcia. Zatem zbędny trud, moje drogie panie.

Na ustach Żaby pojawił się drwiący uśmiezek.

- „Nie jest już do wzięcia”... Hi, hi, hi, hi, hi! Dobry żart, doprawdy!

- Dobry żart? To patrz! - Elżbieta skinęła na Romana. - Kochanie, podaj mi ręcznik, bo troszeczkę zmarzłam.

Przerwała opowieść, wstała chwiejnie z łóżka i zrobiła przysiad.

- Jak za długo siedzę, nogi mi drętwieją; coś z krążeniem krwi - powiedziała, widząc moje wielkie oczy.

- To już koniec na tym? - rzekłem zawiedziony. - A co w międzyczasie? Wszak wróciła pani od Romana w nocy - szeptałem nie bez pewnej teatralnej pozy, jakbym sam się wciągnął w tę błazeńską grę i nie mógł powrócić do normy.

- Nie, nie - odszepnęła. - Tylko mała przerwa na naparstek wódki.

I nagle ni z tego, ni z owego zaniósła się śmiechem, a tak rechoczącym, jakby żaby ze wszystkich okolicznych stawów uderzyły w swe najniższe tony w porze swoich godów na wiadomy gest pałki dyrygenta. Przestraszyłem się. Chyba przesadziłem jak na pierwszy raz, naciągając ją na tę feerię uczuć. By to jakoś przerwać, trąciłem ją stopą.

- Pani Elu, starczy - syknąłem ostrzegawczo. - Bo mnie stąd wyrzucą. A tego bym nie chciał, by została pani sama z tą rozpaczą. Pani potrzebuje mocnej, męskiej piersi, żeby się wypłakać, by wyrzucić z siebie wszystko, co uwiera, a i może zabić, jak tak dalek pójdzie. Zatem cicho sza! - mówiąc to, palcami zagarniałem koc, robiąc w dłoni knebel, by w ostateczności móc jej zatkać usta, gdyby nawet moja znana moc perswazji nie odniosła skutku.

Major - wykładowca, ten od psychologii - zwykł powtarzać często z wyżyn swej profesji: „Z uczuciami, chłopcy, należy ostrożnie; mogą zaprzepaścić cały wasz wysiłek włożony w zadanie. Zatuszować obraz

prowadzonej sprawy, który winien być spójny i logiczny. Organy ścigania to nie konfesjonał, tak że tego ten...”.

Nawet nie wiem, kiedy zrobiło się cicho, ale wnet Elżbieta znów zaczęła mówić:

– Wie pan, jak to jest? Wie pan, jak to jest walczyć o mężczyznę, jak ja w tym jacuzzi? Pytam retorycznie, bo skąd ma pan wiedzieć. Nie jest pan kobietą – zawiesiła głos.

Dobra, dobra, dalej – wymruczałem w duchu.

Jakby usłyszała.

– Mojemu mężczyźnie – podjęła opowieść – starczyła obecność dwóch babsztyli w wannie, by mnie na dzień dobry przestać zauważać. Odsunąć na boczny tor. A tak się zarzekał, że nikt, tylko ja! Ale niech on lepiej ma się na baczności – jej głos nagle stwardniał. – Ze mną nie ma żartów! To w sprawie tych uczuć, co to chciał pan wiedzieć.

W odpowiedzi tylko pokiwałem głową. No bo co tu mówić? W głowie miałem tylko „boczny tor” i szum. Gdyby powiedziała, że puścił ją w trąbę, to co innego, ale że użyła fatalnego zwrotu (a wiadomo, że reagowałem nerwowo na każdą wzmiankę o kolei), to w tej samej chwili zapaliła mi się czerwona lampka ostrzegawcza. Jak tak dalej pójdzie, moje hipotezy nabiorą realnych kształtów. Nie, tylko nie to! Sam przeciwko hordzie czynnych konduktorów?! Niemniej z drugiej strony, jakby dobrze poszło, miałbym z tego profit nie do przecenienia. Pamiętam dobrze, jak w cuchnącej toalecie wagonu wiozącego mnie do Kielc na sprawę rozwodową z moją żoną, goląc się nad ranem za pomocą wody wyciśniętej z kurka, patrzyłem na swe odbicie w lustrze ze wstydem, wzgardą i – nie powiem – z trwożą. Z lustra spoglądał na mnie człowiek przegrany, bez pracy, przyjaciół i nawet nadziei na odmianę losu. Tutaj w Łądku-Zdroju mogłem zbić kapitał, o jakim się nawet nie śniło moim byłym kumplom. Nie po raz pierwszy okazało się, że wystarczy człowiekowi – choćby nie wiadomo

jak załamanemu – przedstawić szczytny cel do osiągnięcia, cel życiowy, a zaraz porzuci rozpacz i rzuci się do działania.

Wróciwszy do jakiej takiej równowagi, rzekłem do Elżbiety:

– Proszę mówić dalej. I włąć po kieliszku, bo mi głowa pęka.

Pękała mi głowa. A i śwędząca pięta dała znak, że jest.

Elżbieta zrobiła, co chciałem, i wróciwszy w nogi, podciągnęła koc.

– Na czym to skończyłam? Ach tak, na Romanie... Podał mi ten ręcznik, no bo nie miał wyjścia. A i pewnie czując, że popełnił błąd, pochylił się do mnie, szepcząc mi do ucha poprzez szum jacuzzi: „Co powiesz, słoneczko, na kawusię u mnie zaraz po obiedzie? Zrobię ci gorącą i mocną, jak lubisz. Wcześniej weźmiesz prysznic. A bo to wiadomo, co tu może być? – Popatrzył na wodę. – A i tam z higieną – wskazał wzrokiem natrysk – może być nie teges. Posiedzimy sobie, pogadamy trochę. Zobaczysz, jak mieszkam...”. Oczywiście mogłam, jeśli mam być szczerą, mogłam się obrazić, ale sam pan wie... Turnus nie jest z gumy. A plany Romana... niedookreślone. Póki więc nie powie, co i jak zamierza, nie określi się...

Tu nie wytrzymałem.

– Pani Elu droga! Noc też nie jest z gumy. Niech się pani streszcza tylko do emocji. I to tych przeżytych, nie ewentualnych. W policyjnym fachu coś „ewentualne”, coś, co może być, wrzuca się do wora z nieistotną papką dla czynności śledczych. Fakty, gołe fakty. I nic ponad to. Rozumiemy się?

Trwało dłuższą chwilę, nim się odezwała głosem rozdrażnionym, głosem „po spożyciu”:

– Dobrze panu mówić!

Oho! – Załapałem, że po alkoholu robi się porywcza, chociaż i na trzeźwo miała liczne spięcia z ludźmi na turnusie. Zresztą ze mną też potrafiła różnie, niekoniecznie grzecznie.

– Pani Elu, proszę...

- Dobra, dobra. Wiem.

Ton jej opowieści, zrazu chaotyczny, o wszystkim po trochu, zmienił się w celowy, gdy zaczęła mówić, co się działo potem w pokoju Romana, kiedy już tam poszła zaraz po obiedzie. Dochodzące ją dźwięki wskazywały na to, że mężczyzna akurat brał prysznic. Mogła więc odetchnąć po minionych przejściach i pomyśleć o tym, co ją może czekać z Romanem u boku. Bowiem wbrew pozorom nie wierzyła święcie w to, co opowiadał, że jak się zakocha, kocha aż po grób. Odróżniała prawdę od cynicznych bzdur, których jej nie skąpił, by ją sobie zjednać. Może i nie była do przesady mądra, ale była sprytna i dalekowzroczna. Tylko co po sprycie, kiedy na ostatek zamykała oczy, zamykała uszy oraz każde usta, które bardzo chętnie chciałyby ją cofnąć, cofnąć do przeszłości. Żeby pomyślała o tych wszystkich gnojkach, którzy przelecieli przez jej dom i życie jak piorun kulisty, czyniąc spustoszenia na swej drodze.

W międzyczasie Roman opuścił łazienkę i stanął przy jej krześle. Pachniał środkiem myjącym „pod prysznic” i znanym z reklam szamponem przeciwłupieżowym. Na sobie miał dłuższą koszulę, którą narzucił na lekko wilgotny tułów.

- Jesteś już... To cieszy - rzucił, śmiejąc się.

Tyle że Elżbiecie było nie do śmiechu, bowiem pasek spodni wpijający się w sadło wokół talii rznął ją jak piłą mechaniczną. Wszystko to sprawiło, że pożałowała, że tu w ogóle przyszła. Ale jak już przyszła, niech będzie z pożytkiem. Zapytała więc:

- Mogę iść pod prysznic? Mdl mi, nie wiem czemu.

- Jasne, nawet zaraz. A mdl cię pewnie po rybie z obiadu, mógł też zaszkodzić ci kompot. Jak byłem kiedyś w Kudowie-Zdroju... - Uśmiechnął się do wspomnień.

Reszty Elżbieta nie usłyszała, zniknęła za drzwiami łazienki. „Nawet po sobie nie wytarł” - mruknęła, zdejmując z obolałego ciała tandetny dres z lycry. Pod wpływem strumieni wody z prysznica poczuła ulgę, lecz zaraz skrzywiła się z bólu po tym, jak jej podbrzusze

zwarło się w mocnym skurczu, a lepkie ciepło pociekło strugą po udzie. No nie... Jeszcze mi tego brakowało... Naga, bez jednej podpaski czy strzępka waty, traciła na animuszu. Zaraz coś się znajdzie, zaraz coś się znajdzie – powtarzała w duchu. W rogu łazienki ujrzała kubel i już po chwili grzebała w brudnej bieliźnie.

– Elżbietko, ile ci jeszcze tam zejdzie? – nagłący głos sprawił, że pierwszą lepszą rzecz z kubła użyła jako zatyczki i szybko wciągnęła spodnie. Ale po wyjściu z łazienki pociemniało jej w oczach. Przez mroczki ujrzała dwie puszki piwa na stole i paczkę krakersów z serem. W drzwiach balkonowych otwartych na całą szerokość Roman stał sobie beztrąsko i patrzył na dachy budynków zasnuwane łódzkiem smogiem. Jeszcze wietrzenie urządził! Wściekła się nie na żarty.

– Miała być kawa. Gorąca!

Kiedy odwrócił się do niej, w oczach miał smutek i troskę.

– Elżbietko, ty tylko przyjrzyj się sobie. Mierzyłaś ostatnio ciśnienie? Przy twojej tak znacznej... – W ostatniej chwili ugryzł się w język.

Wiedziała, co chciał powiedzieć. Nie on jeden...

– Mierzyłaś! Mierzyłaś! – krztusiła się z wściekłości. – Czemu nie sprzątasz po sobie w łazience? I zamknijże wreszcie ten balkon! – pokrzykiwała, choć nie był niczemu winny, a już najmniej temu, że właśnie dostała okres.

Spoglądał na nią przejęty.

– Balkonik zamknę. Kawusię zrobię... – zapewnił z przymilnym uśmiechem. – Tylko się nie denerwuj.

Poczuła zatyczkę w kroku.

– Niczego już nie rób, odechciało mi się! – powiedziała ostro i wyszła, ciągnąc za sobą przeciekającą foliową torbę, w której miała ręcznik i kostium kąpielowy po zabiegu w jacuzzi.

Czekając na dalszy ciąg opowieści Elżbiety właśnie wyszarpującej spode mnie koc, znów pomyślałem o Ilonie. Co mógłbym zrobić, by ją

skutecznie zrazić do Romana? Wymyślić coś, czego nawet ona nie przelknie, bo stanie jej ością w gardle i udusi.

Tymczasem Elżbieta, okryta kocem do pasa, wróciła do swej historii. Z mojego punktu widzenia wciąż zapędzając się w mało istotne szczegóły. Choćby takie, że Roman zadzwonił do niej później, około szesnastej, pytając ją, jak się czuje. I że w reakcji na jego troskę do oczu nabiegły jej łzy.

- Pani Elżbieto, prosiłem... - przywołałem ją znów do porządku. - Prosiłem: bez zbędnych wątków w narracji.

Odpowiedziała, że łzy nabiegające do oczu we wszystkich językach świata mówią między innymi o wzruszeniu, a to wszak uczucie. Czego więc się czepiam? Ale jak nie chcę, to może nie mówić. W sumie miała rację, tyle że ja miałem dość całej tej sanatoryjnej *love story*. Pytanie tylko, czy miałem dość materiału dla Ilony. Nie było innego wyjścia, jak skulić ogon pod siebie i wysłuchać Elżbietę do końca.

- Dobrze, już dobrze - rzekłem pojednawczo. - I co było dalej?

Okazało się, że Roman zaprosił ją do siebie na wieczór. „Bo widzisz, słoneczko, dziś na kolację będą pulpety z ryby - powiedział. - Przemielą resztki z obiadu, nalepią kulek, wiesz, o co chodzi. Wszędzie, gdziekolwiek bym pojechał, wszędzie te same sztuczki. Już lepiej tego nie jedzmy”.

Szukając w szafie czegoś na wyjście, Elżbieta była na skraju zapaści, gdy Roman zadzwonił ponownie.

- Długo ci jeszcze tam zejdziesz? Ja jestem głodny. - Wyrzut w pytaniu męczyzny, po wszystkim, co przeszła od rana, najpierw w jacuzzi, a później w jego łazience, sprawił, że zapłakała.

- Nie mam nic na wyjście na taką okazję - odparła, dmuchając w chusteczkę higieniczną, głośno, by usłyszał. - Pewnie więc nie przyjdę.

- Ty już nie wymyślaj - skarcił ją jak dziecko. - Przychodź tak, jak jesteś; może być w szlafrocжку. Ma ci być wygodnie. Nie szata ozdobi człowieka.

Kamień spadł jej z serca.

Wkrótce w podomce, jak radził jej Roman, gnała po schodach na czwarte piętro, prawie nie dotykając stopni. W jego pokoju dopiero teraz zauważyła wnękę – kuchenny aneks z kotarą, za którą zniknął gospodarz. Rozglądała się jeszcze po kątach, kiedy zadzwonił telefon i dzwonił dłuższą chwilę.

– Roman, telefon! Nie słyszysz? – zawołała.

– Słyszę – odurzyknął z wnęki – pewnie znów jakiś hochsztapler, telemarketer. Będzie chciał sprzedać mi garnki albo naciągnąć na badania prostaty dla mężczyzn po pięćdziesiątym roku życia za darmo. Już nie mam do tego sił. A dziś szczególnie nie dają mi spokoju. Jakby w swym spisie numerów mieli tylko mój. Jak to ktoś znajomy, z pewnością zadzwoni później.

Słuchając go, Elżbieta siedziała cicho, jednak po chwili na palcach podeszła do telefonu i odczytała, kto dzwoni.

– Dzwoni Ilona. Kto to?

– A tam, taka jedna – zabrzmiało stłumione zza „ściany”.

W reakcji na jego słowa skoczyła do wnęki i uchyliwszy zasłony, wycedziła przez zaciśnięte usta do pleców mężczyzny.

– Nie, Roman. Tak nie będzie! Kim jest ta kobieta?

– Po co ci to wiedzieć? Ale jak już musisz... – W głosie Romana, kiedy odwrócił się do niej, pojawił się sarkazm. – Bo przecież bez tego nie dasz mi spokoju albo nawet umrzesz... – mówiąc to, przeciągał każde swoje słowo i sapał przez nos, jakby chciał coś ukryć. – Ilona to chora kobieta, specjalnej troski. Mieszkam z nią, bo mieszkam, ale jak na stancji. Jej matce w przededniu śmierci przysięgłem, że zajmę się nią w wolnych chwilach. „Roman – wyszeptała, nim wyzionęła ducha – a przypilnuj tam czasem moje dziecko, czy nie robi głupstw, no i czy chodzi do pracy”. Bo musisz wiedzieć, Elżbietko, że ona często bierze L4 z pracy i urlopy na żądanie. Ale nie czas się nad tym teraz rozwodzić, robota czeka. – Roman ostentacyjnie odwrócił się do kuchenki. – Więcej opowiem ci przy okazji.

- „Opowiem ci przy okazji” – wymruczała do opadającej kotary. Czyli na święty nigdy. Zawsze to samo... Z każdym. Jak coś o sobie, to cicho sza. Nagle podniosła głos: – A w ogóle co się tak guzdrzesz, miała być jakaś kolacja.

- I będzie. Ćwicz silną wolę – zabrzmiało głucho zza „ściany”.

Telefon umilkł. Elżbieta wróciła na swoje miejsce i w złości wyduła usta. W końcu pojawił się Roman z garnkiem.

- Nie złość się już, kruszynko, naprawdę nie ma o co – rzekł pojednawczo. – A teraz, w imię Boże, bierzmy się za jedzenie.

W jej nozdrza spod pokrywki uderzył wyborny zapach. Przelknęła ślinę. Telefon zadzwonił ponownie.

Roman doskoczył do stołu i trzasnął garnkiem o blat.

- Zaraz ją opierdołę!

Elżbieta poczuła rozpierająca ją od środka radość: „O, właśnie, właśnie! I to jest konkret!”.

- Ilona, o co znów chodzi?! – zakrzyknął Roman w słuchawkę.

- Roman, dlaczego nie dzwonisz, nie odbierasz telefonów? Kiedy ty wracasz do domu? – Żałosne słowa kobiety rozległy się w całym pokoju, bo Roman swoim zwyczajem włączył tryb głośnomówiący.

- Do kogo mam wracać? Do chorej baby, z którą się męczę na co dzień? Mam urlop. Nie zapominaj!

- Przyjeźdź, bo się zabiję!

- Chciałbym to widzieć! – Jego złość rosła. – Nie będę słuchać tych głupot! Wyłącz się teraz, bo sam to zrobię, a nie chcę być nieuprzejmy – mówiąc to, spojrział na Elżbietę, która znienacka wyrosła przed nim z napiętym wyrazem twarzy. Jedną ze swoich dłoni musnął ją po policzku, drugą zaś, tę z chlipiącą komórką, oparł na swoim biodrze. Tkwił w miejscu, rozdarty pomiędzy starą wygodą a żądzą, która wciąż w nim rosła.

To jest ta chwila! – uznała Elżbieta i padła na fotel, zakładając nogę na nogę. Jej bystre oko złowiło reakcję mężczyzny na widok jej

obnażonych ud. Jest dobrze! Ale dlaczego się nie rozłączył? To było celowe czy jak?

Roman jakby usłyszał jej myśli.

- Niech słucha - wydusił przez zaciśnięte zęby. - Może coś w końcu do niej dotrze. Wariatka!

Odłożył komórkę na stolik i rzucił się na kolana, próbując rozewrzeć gorące uda Elżbiety, która chichocząc, złapała go za koszulę. Ale pozycja na klęczkach nie była stworzona dla niego. Podnosząc się, prawie upadł.

- Słoneczko, podnieś się z fotelika. Tu niewygodnie - mruknął.

Elżbieta wstała, kierując kroki do stołu.

- Nie. Nie - wstrzymał ją w pół drogi. - To już jest zimne, odgrzeję później. A teraz pójdziemy poleżeć chwilkę, co? Opowiem ci żart o Stirlitzu, jak czekał na tramwaj w gabinecie Müllera. Albo nie. Opowiesz mi coś o sobie. W końcu jak mamy być razem, musimy się bliżej poznać. Choć czasem odnoszę wrażenie, że znam cię, jak mówią, od zawsze.

- Roman, muszę ci coś...

- Nic nie musisz, kruszynko. Chodź, chodź, maleńka, jeszcze dwa kroczki.

Od strony stolika dobiegło stłumione łkanie.

- Jeszcze tam jest i słucha? - Zdumienie Romana sięgnęło zenitu. - Zgłupiała do reszty? Dobrze, że męczą ją te jej strachy, bo jeszcze gotowa przywlec się tutaj i wstydu narobić przy ludziach. Co z tymi babami, że każda z nich zniesie wszystko, byle był z nimi facet? - Po czym ukucnął przy łóżku i objął biodra Elżbiety, która czym prędzej uniosła mu głowę w górę, chwytając za uszy i pokazując mu miejsce obok.

Kiedy usiadł, kobietę owionął zapach napalonego mężczyzny. Jęknęła, gdy dotknął jej pleców w miejscu, w które boleśnie wpijała się haftka stanika. Zaraz też zmienił pozycję na *vis-à-vis* i zajrzał jej głęboko w oczy. Nic z nich jednak nie wyczytał, bo je zamknęła, ale jej

rwący się oddech powiedział mu wszystko, o czym chciał wiedzieć, zanim przystąpił do rzeczy.

Za oknem zaświergotały ostatnie ptaki. Spóźniony majowy zmierzch zamieniał się z wolna w noc. Pachniało górskim powietrzem, czosnkiem i zrumienionym masłem. Na korytarzu ktoś schrypłym głosem rozpoczął góralską śpiewkę: „Hej, górol ci jo, górol, hej, spod samiuśkich Tater, hej, descyk mnie ukompoł i ukołysał wiater...”.

Para na łóżku zastygła bez ruchu i mimo że śpiew zaraz umilkł, to przepadł gdzieś tamten nastrój. Chcąc do niego wrócić, Roman wziął pilota i zaczął przerzucać kanały. Wyszukał muzyczny, czynny całą dobę. Spocony jak mysz Elvis Presley śpiewał: „You don't have to say you love me...” .

Nie było to jednak najlepsze wyjście, bowiem kreacja sceniczna króla rock and rolla przyciągnęła wzrok Elżbiety. Widząc to, Roman zaciemnił obraz. Z czarnego ekranu Elvis czarował głosem: „Left alone with just a memory...”.

W trakcie tych manewrów płomień przygasł. Elvis też kończył: „Believe me, believe me... Oh, believe meee...”.

– Może coś zjemy? – zapytał Roman.

– Byle szybko – odpowiedziała Elżbieta.

Po krótkim czasie skwierczenie i ostra woń czosnku poinformowały o tym, że zaraz będzie gotowe. Roman wynurzył się zza kotary z rondlem.

– Pokaż no, jak to wygląda... – Elżbieta podniosła pokrywkę, ale natychmiast trzasnęła nią w garnek. – Mam jeść te robale?! Brzydzę się! Nienawidzę!

– No, coś ty! To przecież krewetki. Skorupiaki.

– A gdzie ich pancerze? Skorupy to mają żółwie. Do dupy z taką kolacją!

Ze złością wyszła na balkon, gdzie zobaczyła, że wieczór skończył się bezpowrotnie, a mrok wokół Turni rozjaśniały jedynie latarnie.

Kiedy tak stała, jej gniew zaczął znikać, mimo że całkiem straciła apetyt. Z pokoju dobiegły ją skoczne rytmy. Splunęła przez poręcz, a kiedy ślina opadła, postanowiła zakończyć protest.

Kiedy wróciła, Roman leżał na łóżku i patrzył bezmyślnie w ekran telewizora.

– Roman, przepraszam, nie chciałam... – rzekła w poczuciu winy.

Nie zareagował. Mimo to brnęła dalej.

– Pozwól, że wyjaśnię. Kiedy byłam mała...

Szyderczy uśmiech wykrzywił mu twarz. I to jej nie powstrzymało.

– ...wtedy całą paczką z naszego podwórka biegaliśmy nad rzekę płynącą za starą, dawno nieczynną rzeźnią, by grzebać w jej mule w poszukiwaniu skarbów. Olek, herszt bandy, zazwyczaj kręcił się przy mnie, a jak coś znalazł, to pokazywał: a to dziurawą patelnię, a to czyjś stary but... – urwała, widząc zamknięte powieki Romana, który nagle drgnął i dźwignął się na łokciu.

– Przynies dwa piwa z lodówki. I przejdź do meritum – powiedział zimno jak nigdy.

Po chwili na nocnym stoliku stały dwie puszki. Pociągnął za zawleczkę w jednej, upił trochę piwa i rzucił jak z łaski na uciechę:

– Mów dalej, jak już zaczęłaś i koniecznie musisz.

Elżbieta wróciła do opowieści:

– Pewnego dnia Olek zarządził: „Dzisiaj szukamy robaków. Kto pierwszy zapełni blaszankę, ten, oczywiście, wygra. W nagrodę jednego robala z kolekcji każe zjeść, komu zechce”. Jak było do przewidzenia, najwięcej tego plugastwa znalazło się w jego puszcze. Stałam spokojnie, ale gdy spojrział na mnie, wiedziałam wszystko. – Elżbiecie nagle załamał się głos. – Reszta ferajny skoczyła do mnie i powaliła mnie na ziemię, gdy Olek w tym czasie przebierał w puszcze, strojąc głupawe miny. Raptem rozbłysły mu oczy, a ja ujrzałam TO. Ogromna, czerwona i obła, cała w pierścieniach dżdżownica skręcała się w jego paluchach. Olek powoli się do mnie zbliżał. Nie miałam sił wzywać ratunku; nic by to zresztą nie dało. Wokół żywego ducha.

Tymczasem to obrzydlistwo sięgnęło mojego nosa, a mordę miało rozwartą szeroko, jakby to ono chciało mnie pożreć. A nie odwrotnie...

- Elka! - rozdarł się Roman. - Streszczaj się, do cholery, bo zaraz sam się tu wścieknę! Zeżarłaś to w końcu?!

- Zeżarłam! - Elżbieta zbladła, wyrwała mu piwo i wypila duszkiem.

- Lepiej ci? To przynies następne - powiedział, odprowadzając ją wzrokiem. Co za klucha, pomyślał. - Jak już tam jesteś, weź popielniczkę! - krzyknął. - Znalazłaś piwo?

- Znalazłam. Po popielniczkę sam mógłbyś się ruszyć!

- Chodź tutaj, nie gadaj tyle.

W mdłym świetle lampki delektowali się piwem, które sprawiło, że wrócił im dobry nastrój. Pąs pokrył policzki Elżbiety, na twarzy Romana zjawił się szczerzy uśmiech. Na korytarzu zaległa cisza, podobnie jak w telewizorze, gdyż kanał muzyczny wyłączył się na amen. Alkohol wyostrzył ich zmysły na tyle, że dłoń Romana wróciła na plecy Elżbiety. W efekcie jej dotyku kobieta zaczęła trzeć udem o udo pod cienką warstwą podomki.

- Roman, co robisz... Ja nie chcę. Nie chcę. Nie mogę...

- Cicho, Elżbietko, cicho - powściągał jej słaby opór, majstrując przy haftkach stanika. A kiedy wreszcie puściły, przeniósł dłoń na jej brzuch, ugniatając go lekko opuszkami palców. Pod wpływem pieśczości Romana kobieta umilkła. Zaraz będzie moja - kalkulował w duchu sanatoryjny plejboj. Skradając się, palec po palcu, minął rozdęty pępek. Kolejny guzik wysmyknął się z dziurki w podomce. Oczom Romana ukazał się wielki beżowy trójkąt z obwódką z czarnego włosia, potarganego jak w końskiej grzywie, w chwili gdy Elżbieta rozchyliła uda. Nie czekając dłużej, jednym szybkim ruchem wsunął dłoń w jej majtki. W milczeniu nocy wdarł się zew łani w rui.

- Elżuniu, cicho, cicho, cicho - uciszał ją raz po raz.

Ale to nic nie dało. Jej pełen rozkoszy krzyk poniósł się po piętrze.

– Fuj! Obrzydlistwo! Fuj! – naraz zaczął krzyczeć i Roman, patrząc na swe palce umazane krwią, które wyszarpnął z przepastnych majtek kobiety.

W pokoju obok ktoś wyrwany ze snu zaczął łomotać w ścianę. Inny bił pięścią w drzwi.

– Co tam się dzieje, do kurwy nędzy?! Swolocz!

Ucieczka Elżbiety z pokoju Romana odbyła się jakby we śnie.

A więc tak to było... – wróciłem myślami do tamtej nocy, gdy Elżbieta, sunąc jak buldożer z góry, w byle jak zapiętym cienkim peniuarze – raczej niestosownym na pójście z wizytą, i to do mężczyzny – natknęła się na schodach na mnie i na Emila z Bożenką wracających z tańców. Wtedy pomyślałem, że nie dojdę prawdy, co się tam zdarzyło. A tu proszę bardzo... Poszczęściło mi się; uczuć ile tylko, jasno i w szczegółach. A i na okrasę parę złotych myśli autorstwa Romana. Trochę podrasować i będzie okej. Jeszcze dziś to wysłę na pocztę Ilony. Chciała, no to ma.

– Tak to się skończyło. – Usłyszałem wreszcie. – Wie pan, co ja czułam? Wie pan, co ja czułam?! – Na twarzy Elżbiety pojawił się gniew, ale taki jakiś... nie do końca szczerzy. Teatralnym ruchem odrzuciła koc, z czego natychmiast skorzystałem, narzucając go na swoje przemarzniete nogi. W nocy palacz w Turni przysypiał przy piecu, mając obowiązek trzymać ciepło w dzień. Ze wszystkich zabiegów tylko inhalacje brało się w odzieży, reszta w samych majtkach albo na golasa. Stąd te zalecenia.

– Dobrze by to było: wiedzieć, co kto czuje... – rzekłem, wykończony jej opowiadaniem. – Mogę się jedynie tego i owego w zasadzie domyślać. To już koniec, tak?

– Jeszcze panu mało?!

– Pani Elu droga... Mało czy niemało to pojęcie względne. Niemniej zanim wyjdę, bo już wydobrzałem, chciałbym coś powiedzieć, uczciwie i szczerze. Cierpieć przez Romana nie ma

obowiązku. Niech go pani rzuci! Póki przywiązanie (zmora wielu związków) nie da pani odejść od tego mężczyzny.

– Odejść od Romana? Żartuje pan ze mnie? – W jej głosie dopiero teraz zabrzmiały prawdziwe emocje. – Znajdzie pan lepszego na całym turnusie? Nie jest jeszcze stary, da się go urobić. Zatem zero seksu! Tylko obietnice: „Owszem, czemu nie, mój drogi Romanie, mnie też chce się seksu, ale może jutro? Jutro, po spacerze? Albo po dancingu?”. No i trzymać w szachu snuciem opowieści, jak to będzie super, kiedy zrobi ze mną, co mu się zamarzy, gdy go znajdzie chęć. Póki nie dostanie tego, czego chce – powiedziała twardo – będzie mi pod oknem śpiewał serenady albo wył jak pies. Wcześniej byłam głupia, wierząc w czułe słówka zwykłych kobieciarzy. Kto mnie chciał, ten miał. Ale to minęło! Już nie jestem taka. Albo będzie ślub, albo do widzenia.

Na chwilę oniemiałem. A to sucz przebiegła... A to szczwany źmij! Gdzie Ilonie do niej?

– Hm – mruknąłem i już innym tonem, jak zawodnika równego mi pod względem sprytu i wyrafinowanej przebiegłości, spytałem po przerwie: – A co z jego żoną, pomyślała pani? Że rozbije pani czyjś szczęśliwy związek?

– Jaki znowu związek?! – naskoczyła na mnie. – On nie jest żonaty, tylko z kimś tam mieszka, jako sublokator. Spełnia tylko prośbę matki tej kobiety. Słyszał pan, mówiłam.

Mimo jej postawy nie traćłem ducha.

– Może to oszustwo? Tacy jak ten Roman, tacy napaleńcy, bardzo często łą, by osiągnąć cel. A tam w domu żona, jakiś Roman junior albo nawet dwóch, córka z kupą wnucząt, no i teść na wózku, z alzheimerem zresztą. Czy nie skacze pani z tym afektem w ogień? – zapędziałem się. – Miłość w pewnym wieku bywa zbyt gwałtowna, absurda i mało tego: szkodliwa. Ostatecznie człowiek jakby przytomnieje, patrząc z przerażeniem na ruinę tego, co zburzył swym późnionym szaleństwem. Ale dzban już pękł!

- Panie Marku, dość! - zakrzyknęła w końcu, zrywając się z łóżka.
- Koniec tej dyskusji. No i koniec picia. Idź pan już do siebie, skoroś pan wydobrze!

Odrzuciłem koc.

- Tak, tak, już się zbieram, tylko jeszcze proszę, proszę mi powiedzieć, czy ma pani związek z kolejnictwem w Polsce. Może były mąż? Ojciec? Syn? Ktokolwiek!

W tym momencie uświadomiłem sobie, że nie interesuje mnie już, jak do tej pory, stan cywilny moich rozmówczyń. Pytania: „Przepraszam, czy pani ma męża? Czy pani jest wolna?“, utraciły dla mnie jakikolwiek sens. Teraz ważne było, czy dotyczy ich - niechby nawet luźny - układ zależności w spółkach kolejowych. W końcu dobry objaw. No bo ile można dręczyć się historią cudzołóstwa w związku (zresztą w byłym związku), kiedy świat ma dla mnie nowe propozycje, dużo bardziej trendy niż niewierność żony.

- Były mąż nie żyje. Zapił się na śmierć - odparła wciąż zła, zakręcając flaszkę z resztą wódki na dnie. - Dzieci w ogóle nie mam. Ojciec? Już mówiłam, chyba pan nie słuchał. Idź pan, pókim dobra! „Z kolejnictwem w Polsce” - powtórzyła za mną. - Co mu siedzi we łbie? Chyba jeszcze nie doszedł całkiem do siebie - usłyszałem jeszcze, już na korytarzu, domykając drzwi.

W moich myślach nagle pojawił się Roman. Dwie kobiety walczą o takiego gnojka. Wesprzeć w tym Elżbietę? Niech go sobie bierze, niech i ją upodli swoją niewiernością! Ale znów Ilona... To by ją zabiło. Jeszcze nie jest na to do końca gotowa. Czuję to wyraźnie. Jedno mogłem zrobić: tak go jej obrzydzić, żeby raz na zawsze przejrzała na oczy. Pod warunkiem jednak, by to wyszło od niej. Choćbym miał jej nałgać, nagiąć gołe fakty albo sfabrykować dowody rzeczowe. Ma to być coś ekstra! No bo taki romans z narracji Elżbiety, taki schematyczny i tak powtarzalny w realiach sanatoryjnych, na dodatek nudny i przewidywalny, nawet jej nie dotknie (mówię o Ilonie), spłynie jak po kaczce. Czy to pierwszy raz? Taka jej strategia.

Oswojonej bestii nie ma co się bać. W takim razie muszę, muszę się dowiedzieć, czy jest coś na świecie, co by ją skłoniło w sposób radykalny, by się rozstać z gościem, który ma ją za nic. No bo jeśli nie... Byłaby to moja osobista klęska.

- Jak już wracasz w nocy nie wiadomo skąd, to kładź się i śpij, a nie jeszcze ząbki i siku, i prysznic - warczał Emil z łóżka, zły i rozbudzony.

- Ciii, Emilek, śpij! - Przebrany w piżamę zapaliłem lampkę i wyjąłem laptop.

„Szanowna Pani Ilono! Wiem, że jest już późno, prawie środek nocy, ale przecież mailem Pani nie obudzę. A mam w końcu czas, by się do laptopa. Dzisiaj cały dzień, cały dzień do teraz, zszedł mi na czynnościach operacyjno-rozpoznawczych, no i uzyskałem, wedle pani prośby, sporo materiału - tego o uczuciach. Tylko przygotuję i zaraz to wyślę. Ale zanim wyślę, chciałbym o coś spytać. Niemniej zanim spytam, nie chcąc dłużej milczeć na bolesny temat, chciałbym Panią poznać z prostą tezą o tym, że jak ktoś zawodzi, i to regularnie, czyjeś zaufanie, w każdej zdrowej głowie w odpowiedzi na to rodzi się nienawiść. Jest to jak najbardziej logiczna reakcja na nikczemność, zdradę i wstyd na honorze. Pani jednak, cierpiąc, wciąż kocha Romana. Wciąż go Pani chce! W imię czego, pytam? To jest nienormalne! Dobra, spytam wprost: czy potrafi Pani znaleźć jeden powód, który mógłby wpłynąć na tę chorą miłość i ją raz na zawsze wybić Pani z głowy? To dla Pani dobra. Z poważaniem, M.”

Nie zdążyłem nawet rozejrzeć się w necie, kiedy usłyszałem sygnał wiadomości.

„Panie kapitanie! Co się Panu śni? Nie do tego wszak Pana wynajęłam. Niemniej jak już sobie rozmawiamy szczerze, chcę coś opowiedzieć. Dawno, dawno temu, będąc nastolatką, miałam koleżankę. Zapatrzoną w chłopca jak w najświętszy obraz. Według niej ten chłopak, oprócz warg, przełyku i kompletu zębów, nie miał w sobie nic, co by się składało w dalszej kolejności na układ

trawienny, zatem w związku z tym, mimo że spożywał pokarm za czterech jak to nastolatek, nie przerabiał tego na czynniki pierwsze. I, co za tym idzie, nie wypróżniał się. Ale przyszedł dzień, kiedy go dostrzegła w krzakach na wycieczce, jak podcierał tyłek pękiem suchych traw. No i jak Pan myśli? Miłość w jednej chwili przeminęła z wiatrem, jakby jej nie było. Wniosek z tego jeden: młodzi już tak mają, że najmniejszy impuls, dla nich karygodny, kończy związek dusz. Co innego starzy: wszystko już widzieli, wszystkiego zaznali. Im już wszystko jedno. Nie wiem, co by mogło naruszyć ten stan... Pewnie nic, co ludzkie... Rozumiemy się? Rozumiemy się?! No, a teraz proszę wysłać mi materiał. Przejrzę to przed snem. Dobrej nocy, I.”

Odłożyłem laptop i zacząłem myśleć, co też Ilona chciała mi powiedzieć w tych pokrętnych słowach. Wyciągnąłem z tego dwa ogólne wnioski. Pierwszy taki, że kiedy świat młodym ludziom wydaje się jeszcze kryształowo czysty i nieskazitelny – do tego stopnia, że najzwyczajsza czynność fizjologiczna jest w stanie zbrukać obiekt czyjejs szczenięcej adoracji i w jednej chwili całkiem go umniejszyć, aż do wstępu włącznie, kiedy serce dla nich nie jest zwykłym mięśniem, a siedliskiem wszelkich uczuć i porywów – wtedy dużo łatwiej przerwać taki związek. Dramat trwa dzień, dwa i jest po afekcie, nawet tym „dozgonnym”. W poczekalni wszak jest już nowa miłość, gotowa zwrócić im radość życia i na powrót wypełnić je doskonałością. Ale już w wieku dojrzałym nie jest to takie proste. Nawet jeśli kaliber draństwa i podłości, a także odstępstw od zasad wydaje się nie do zniesienia, to sama myśl o rozstaniu przeraża jeszcze bardziej niż trwanie w wyniszczającym związku, wypełniającym życie jednego z partnerów krzywdą, prowadzącą nawet do autodestrukcji.

Niemniej z drugiej strony... czasem wystarczy jeden drobny punkt zapalny, jedna mała iskra o ciężarze gatunkowym większym niż to, o czym wspominałem wcześniej (oczywiście z punktu widzenia ofiary), zwłaszcza w związkach ludzi mocno już starawych (znałem to

ze śledztw), by od wzniosłych uczuć przejść do nienawiści, która – czasem bywa – wiedzie aż do zbrodni. „Oskarżona (lat 80) twierdzi, że pchnęła męża (lat 75) nożem kuchennym, bo nie chciał jej obciąć paznokci u stóp, mówiąc wręcz z odrazą, że wolałby umrzeć – tak się tego brzydzi – niż się tego tknąć!”. Albo: „Oskarżony (lat 85) zapewnia, że zatłukł niechcąc żonę (lat 85) młotkiem, gdy spała, bo ta tydzień wcześniej, nie pytając o zgodę, wzięła jego chodzik, aby wyjść na balkon w pogodę pod psem, brudząc kółka” – notowali protokółanci na sali rozpraw. Szczęściem w takich sprawach wyroki sądowe najczęściej są zbieżne, a sprawcy nie kończą za kratą więzienną, bo – uwzględniając demencję starczą czy inną chorobę otępienną – sąd odstępuje od wymierzenia kary z art. 148 § 1 kodeksu karnego, karząc ich symbolicznie na pobyt w domu wariatów. Trochę inaczej jest w przypadku śmiertelnych zejść na zawał, wylew czy skutkiem innych tak zwanych sercowych stanów pod wpływem nagłych emocji, gdyż termin „serce” może zostać użyty przez lisów z palestry w ramach kruczków prawnych. Na to bowiem w prawie nie ma paragrafu. Wszak serce to termin bardzo wieloznaczny, nawet symboliczny. Jest serce zajęcze, serce zazdrosne, kamienne serce psychopaty, a nawet serce patrioty-katolika. A tak rozumiane nie może wszak zabić, no bo niby jak? Przypadek Ilony jednakowoż to całkiem inna historia. Po pierwsze ze względu na wiek kobiety – ani nastoletni, ani skrajnie stary – a po wtóre, i może przede wszystkim, z uwagi na przebieg jej związku z Romanem. Kogoś, kto latami żyje w mgłę groteski, w zasadzie nie rusza nic, co potrafi dotknąć, nawet do żywego, kogoś, kto w miarę trzeźwo ocenia rzeczywistość. Toteż równie pozbawiony sensu musiałby być powód, który by ją skłonił do autorefleksji. Ale ja go znajduję, choćby nie wiem co! Choćbym nawet musiał zastosować błąf! Przymknąłem oczy, próbując zasnąć mimo śwędzącej pięty.

Rozdział IX

PUSTELNIK Z CIERNIAKA

Nazajutrz obiad wydawał się zaledwie złudzeniem optycznym obiadu i – z tego, co mówiono – z wolna stawał się postną tradycją w Turni. W przeciwieństwie do innych domów sanatoryjnych w Łądku tradycję tę pielęgnowano tutaj z zacięciem godnym świętych pustelników z pustelni na górze Cierniak w nieodległym Radochowie. Jedzenie było byle jakie, a nosy kuracjuszy – zwieszona na kwintę. Po cienkiej, beźmiesznej zupie na oleju udającej rosół podano drugie danie – półmisek postnej, zaprawionej mąką brukselki w wianuszku też postnych kartofli.

Z racji permanentnego już braku snu i ekscesów dnia poprzedniego nie byłem w najlepszej formie, a tym samym w nastroju do żartów. Zauważyła to z miejsca Zofia. Biorąc na swój talerz dwie łyżki brukselki, zagała wprost, strojąc przy tym miny.

– Co się z panem dzieje? Zbiedniał pan, zmizerniał, tylko oczy płoną jak u pomyleńca. I ten guz na czole, hi, hi, hi, hi, hi. Bił się pan tu z kimś?

Gdyby nie ta sama zgrzebność jej ubioru, mógłbym nawet przysiąc, że jest to ktoś inny niż Zofia Dubrawska, którą wypatrzyłem w holu po przyjeździe. Stała się wesoła, a obecność w oczach figlarnych ogników odjęła jej lat, i to sporo. Na dodatek biust, który wciąż nosiła, dodał jej powabu i atrakcyjności. Zanim się zebrałem, by jej odpowiedzieć, żeby jej poszło w pięty, w chichotanie Zofii włączył się czyjś dziarski, choć starawy głos. Starszy pan, siedzący po mojej

przeciwnej stronie, który dotąd milczał, nagle się odezwał, jakby już od wejścia czytał w moich myślach.

- Dacie państwo wiarę - rzekł uczonym głosem, wznosząc palec w górę - że już w roku pańskim tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim, na dziesięć lat przed wybuchem powstania styczniowego, przy kaplicy na Cierniaku zamieszkał pierwszy pustelnik? Po nim w pustelni rezydowało jeszcze około ośmiu czy dziewięciu (źródła różnie mówią) takich dziwolągów. Ostatni z nich wyjechał z grupą rdzennych mieszkańców tego obszaru do Zachodnich Niemiec rok po konferencji w Jałcie. Później nie znalazł się ani jeden chętny do takiego życia. A i ludzie po latach zmagani wojennych i okupacji ciągnęli jeden do drugiego, chcąc się bawić i doświadczać przyjemności z seksu i jedzenia, a nie pościć.

- Trudno się im dziwić - mruknąłem pod nosem. - Musieliby żyć w radzieckiej strefie okupacyjnej. I co dzień meldować się na posterunku straży granicznej.

Starszy pan zgromił mnie wzrokiem, nim wrócił do opowieści.

- Dopiero parę lat temu na Cierniaku ponownie pojawił się człowiek, który postanowił zbliżyć się do Stwórcy, wybierając życie z dala od harmidru, bez prądu, gazu i telefonu, wodę czerpiąc ze źródła z drugiej strony góry.

- A jak wygląda, dajmy na to, dzień takiego pustelnika? - zainteresowała się siedząca u jego boku kobieta z rumianą okrągłą twarzą i figurą świadczącą o nieumiarkowaniu w jedzeniu i picciu.

Jej pytanie sprawiło staruszkowi radość. Wbił zęby widelca w ziemniaka i rzekł wniebowzięty, ale bez pośpiechu.

- Jak wygląda? Hm... Zwyczajnie wygląda... Wstaje o trzeciej...

Zdumienie babiny było bezgraniczne.

- O trzeciej rano?! Dlaczego tak wcześnie?

- To i tak za późno... Musi poczytać coś z brewiarza, potem medytuje.

- A po medytacjach? Śniadanko?

- Nie. Różaniec.

- Ale potem śniadanko? - nie odpuszczała grubaska. - Albo choć przekąska, boby umarł z głodu!

Mężczyznę w końcu rozgniewały wtręty kobiety o jedzeniu.

- A pani wciąż o jednym! - warknął. - Ale jedźmy dalej - rzekł po krótkiej przerwie i nadgryzł ziemniaka, co poprawiło mu humor. - Różaniec odmawia po drodze na mszę do kościoła w Łądku. Zajmuje mu to około godziny. I wyprzedzając pani pytanie o śniadanie - popatrzył z naganą na swą rozmówczynię - po mszy modli się dalej z brewiarza.

Grubaska prychnęła i odrzekła z drwiną.

- Zaraz nam pan powie, że on tam się modli od rana do nocy, żywiąc się czymkolwiek, co pochodzi z lasu. Kto wie, może korą i robactwem z ziemi. Albo i powietrzem, czerpiąc z sił natury. Gdzieś o tym słyszałam...

- Nie no, aż tak to nie - zachnął się staruszek. - Koło południa zje garstkę kaszy, czasem fasolę albo postny ryż. A pod wieczór chleb. Jedną kromkę chleba, najlepiej suchego, a i to nie zawsze. Poza modlitwą i medytacją dzień wypełnia mu praca przy kaplicy. Bez względu na pogodę i inne okoliczności, wzorem poprzedników sprzed ponad stu lat, w południe każdego dnia wysyła w świat sygnał z pustelni na Cierniaku, uderzając w dzwon.

Zastrzygłem uszami. Słyszałem nieraz ten dzwon. Jego brzmienie nie było typowe dla dzwonów kościelnych, tylko jakieś takie... - zacząłem kojarzyć - ...jak sygnał dźwiękowy dawnych parowozów w niektórych modelach niemieckich sprzed pierwszej wojny światowej.

- A można się tam jakoś dostać? - spytałem z bijącym mocno sercem.

Starszy pan spojrzał na mnie przychylniej, dyskretnie dobierając na talerz drugą porcję brukselki.

- Można, i to bez specjalnego trudu. Jak nawet ja dałem radę - rzekł z przechwałą w głosie. - Fakt, że z przewodnikiem, bo sam bym tam za nic nie trafił, no i w towarzystwie wielu innych śmiazków, ale przecież sam, sam wszedłem pod górę, nikt mnie tam nie wciągnął, choć starość, jak czasem, daje się we znaki. Ale w pana wieku... Chciałby pan tam pójść?

- Może... Czemu nie - udałem namysł - wciągają mnie takie klimaty: egzystencjalizm, nihilizm. Samotność z wyboru a bycie samotnym wśród ludzi, wie pan, o czym mówię? Zna pan te rozterki?

Nie odpowiedział, zajęty wydłubywaniem widelcem z ziemniaka czarnych oczek. To nie ten adresat - pomyślałem wnet i kapitulując, spytałem na koniec:

- To jak się tam idzie?

Starszy pan się ocknął, jakby pierwsze słyszał.

- Tam to znaczy gdzie?

- No na ten Cierniak!

- Na Cierniak? Na Cierniak...? - powtarzał bezradnie. - Ano tak. Na Cierniak... - Na jego napiętej z wysiłku umysłowego twarzy zjawiła się ulga. - Od przystanku autobusowego w Radochowiu, przy przejeździe kolejowym, idzie się w kierunku widocznych na horyzoncie zabudowań wsi, dalej trzeba pytać.

Zmartwiałem, słysząc jego słowa: „przy przejeździe kolejowym”. Puzzle zaczęły do siebie pasować. Jeszcze trochę, a wszystkie rządku ułożą się w jeden obraz... Możliwe, że tam się mieści od wieku z okładem zbójcecka kryjówka z piekła rodem. A ten udający pustelnika człowiek jest ostatnim członem trójki konduktorskiej, z którego twarzy wkrótce zedrę maskę. Dopadnę cię tam, psi synu! - wymruczałem w golf.

Okazało się, że Zofia, prócz zwykujących cech ciała, cieszy się dobrym słuchem.

- Pan, panie Marku, miast korzystać z wód, jak już pan tu jest, wciąż się za kimś skrada, śledzi i podgląda. Myśli pan zapewne, że

tego nie widzę? Śni się panu order? Na to, proszę pana, bym nie liczyła. Czerwonym pająkom nie dają. Hi, hi, hi, bez urazy.

– Omamy się leczy, droga pani Zofio – rzekłem urażony i usiadłem tyłem, przesuwając wzrokiem po jedzących gościach. Nie miałem dziś sił, aby z nią się droczyć, choć uczciwie przyznam, że te nasze sprzeczki, które boczkami, boczkami weszły nam już w krew, miały na mnie bardzo pozytywny wpływ. Mówiąc bez ogródek, polubiłem je. W ogóle zaszły we mnie osobliwe zmiany, jakbym w głębi duszy stawał się kobietą. Wszystko jedno którą – nawet jedną z moich z lokum po sąsiedzku. Tak się wczułem w rolę ich psiapsiółki z piętra, że niekiedy wręcz myślałem jak one, nawet jak Elżbieta. Co nie było złe, biorąc pod uwagę ciężar mojej misji. Tylko czy Ilona by to pochwaliła? Niewątpliwie tak. W końcu byłem tylko narzędziem w jej rękach. Jej wewnętrznym ja.

– A u pana za to byle jak z kulturą! – odcięła się Zofia zza moich pleców. – Po uczelni w Szczytnie – dodała z przekąsem – każdy taki sam: gbur i troglodyta!

Roześmiałem się.

– Oj tam, oj tam, oj tam.

Nagle za filarem dostrzegłem Urszulę. Siedziała wpatrzona w kształtny krzew magnolii kwitnący za oknem na różowo. Czytałem w jej myślach jak w otwartej księdze. Kwiaty w tym kolorze przeważały w wieńcu, który sprawiła mężowi na ostatnią drogę. I już na fali metafizycznych wzruszeń zbierała się do liryki, ale zgasła ją myśl, że nie ma jak tego uwiecznić. Nie wzięła ze sobą ołówka. „Zapomnę. Jak nic zapomnę!” – wyrzucała sobie zapominalstwo. Tymczasem wena opadła, przepadła też pamięć o Leszku. Wdowę zajął inny, bardziej aktualny temat do rozważań. Dlaczego on nie dzwoni? Zerknęła na torbę. A może dzwonił, a ona nie usłyszała? A może zagubił gdzieś kartkę, na której zapisała mu numer? Na koniec wyjęła telefon. Nie było żadnego nieodebranego połączenia ani wiadomości. Dwa stoły dalej siedział osobnik w jaskrawym golfie, na

którego już wcześniej zwróciłem swoją uwagę. Adorował wdowę jak największy fan. Teraz też nie spuszczał z niej rybiego wzroku, gdy tymczasem ona ze ściągniętą twarzą rolowała w palcach zalany czymś skraj obrusa. Wtem rozległ się gong radiowęzła. Głos recepcjonistki zabrzmiał przez megafon.

- Pani Urszula Serafin proszona jest do telefonu. Pani Urszula Serafin proszona do telefonu w recepcji.

Ledwo ją dognałem, gdy bez tchu stanęła przy ladzie w recepcji. Głos Jacentego przebijał się poprzez trzaski:

- Halo! Urszulko! Halo! Prawie cię nie słyszę.

Naciągnęła przewód, krzycząc do słuchawki:

- Co cię podkusiło, żeby dzwonić tu?! Przekręć na komórkę! - I nie dając mu dojść do słowa, wypaliła zła: - Miałaś dzwonić wcześniej!

Miała w pogotowiu jeszcze kilka równie kłopotliwych stwierdzeń, lecz z nadmiaru wrażeń zakrzuszyła się i rozkaszała.

Jej rozmówca z miejsca skorzystał z okazji. Teraz on był górą i nadawał ton.

- Ależ z ciebie raptus! - rzucił żartobliwie. - No i masz za swoje! Tylko się nie obraż, na żartach chyba się znasz? A co do tych twoich pytań, jak zapewne wiesz, czas wiosenno-letni to pora eventów literackich w kraju; targów dobrej książki i festiwali poezji. Zjeżdżają się licznie twórcy, a także państwo krytycy, ściągają też ludzie z establishmentu. Jest dużo krzyku i bicia piany... W ramach obowiązków jadę wtedy w teren. Naczelnym każe i nie ma dyskusji!

Urszula przestała kaszleć, próbując dojść do głosu.

- Ale czy to znaczy...

- Daj mi najpierw skończyć! - zdenerwował się.

Odetchnęła ciężko.

- No już dobrze. Mów.

Potrwało, nim się udobruchał i wrócił do urwanego wątku:

- Pewnie się domyślasz, że podobne akcje to „kopalnia złota” dla mętów z półświatka. Zwłaszcza złodziejasków. No i stało się. W drodze na nocleg napadli na mnie, zabrali, co miałem przy sobie, między innymi telefon!... - zawiesił głos dramatycznie.

- Napadli? Ale ty żyjesz? - dopytała z troską.

- Yyyy... Urszulko... Czy ja żyję? Nie no... Co to za pytanie?

- A, bo wiesz... - odparła, nim w ostatniej chwili nie wyhamowała.

Miała mu powiedzieć, że jej mąż nieboszczyk jako twór astralny, w sposób kompulsywny krążąc po wszechświecie, zagląda na Ziemię, by ją strzec i chronić przed robieniem głupstw, i przed złymi ludźmi?

- E, już nic... Nic. Nic - wycofała się. - No to jak ty dzwonicz? - zaptała w końcu. - Kupiłeś nową komórkę?

- Dzwonię z Wałbrzycha, z budki; z komórką muszę się wstrzymać. W portfelu było tysiąc pięćset złotych, które wyjąłem z konta. Za sześćset miał być dla ciebie prezent: warsztaty ze znanym poetą, w czerwcu. Nie pytaj, z którym, to niespodzianka. Za resztę opłaty i życie - rozliczał się jak mąż żonie. Na koniec bąknął coś niewyraźnie, po czym umilkł.

Urszula także milczała. Możliwe to? Prezent? Ostatni, jaki dostała, to jajko ze słomy od siostry Leszka w ubiegłym roku, na święta. W jej głowie dojrzywał pomysł.

- A może - zaczęła ostrożnie - gdzieś w zakamarkach kieszeni czy torby zostało ci parę złotych? Czasem człowiek bezmyślnie wrzuci gdzieś jakąś resztę i jest jak znalazł na czarną godzinę.

Jacenty po drugiej stronie jakby coś liczył po cichu.

- Było tu i tam trochę drobnych - powiedział w końcu. - Na dzień albo dwa wystarczy na przeżycie. Musi! Później się zobaczy. Być może wezmę chwilówkę w banku, napiszę jakąś recenzję...

- Posłuchaj - rzuciła krótko - przyjeżdżaj jutro! Na weekend.

- Oczywiście chciałbym, ale nie da rady - odpowiedział z żalem. W redakcji, jak co dzień, istny dom wariatów. A już wolny weekend...

nie ma o czym marzyć. Chyba że – spauzował – wziąłbym dzień urlopu. W sensie na żądanie. Ale tego naczelny mi nie daruje. Wywali z roboty na pysk.

Recepcjonistka, glansując pulpit, zbliżyła się do nas na szerokość lady.

– Jacenty! – krzyknęła Urszula, odwracając się tyłem. – Kończę, bo coś mi przerywa. A ty masz być. Bez dyskusji!

W słuchawce, mimo że połączenie zostało przerwane, sączył się głos, tym razem Leszka.

– Urszulko, chcesz pisać, pisz. We mnie masz fana na wieczność. A jeśli jeszcze powściągniesz język, na co tu w niebie zatykają uszy, Bóg to doceni i natchnie cię geniuszem. Iskra boża – mówi ci to coś? Tylko skończ z tym Olechem. To oszust!

– A skąd to wiesz? Żyjesz na innym świecie!

Rzuciła słuchawką i – jakby goniły ją własne myśli w starciu na argumenty – pomknęła przez hol do windy. Ja za nią, co sił w nogach.

Rozdział X

KIEDY WSTYD CHCE ZABIĆ!

Małże topniały, jeden po drugim... Dorosła stanęłam nad trumną. Jej ciemny podłużny kształt przejmował mnie grozą, podobnie jak ciężki dębowy krzyż i słodko-mdląca woń kruchty. Z daleka dobiegł mnie znany cierpiący głos: „Nie byłam dla ciebie najlepszą matką...”.

- Dlaczego to wciąż tak boli? - Zwróciłam oczy ku niebu. Lecz ono jak dotąd pozostało nieme, no bo co tam niebu... Widziało już wszystko od stworzenia świata. Za to gdzieś z przeszłości usłyszałam gwar, kakofonię głosów. I wszystkie chciały mówić na raz. Bez ładu, bez składu, byle mnie dopaść i rozszarpać. „Ruszyła maszyna po szynach...” Przytknęłam dłoń do czoła: „W imię ojca i syna...”.

Pierwsza wyrwała się opiekunka matki w chorobie.

- Pani znajomy, czy kim on tam jest, całymi dniami w stanie nietrzeźwym płacze się w gaciach po domu. Jak dewiant jakiś, wykołajeniec. Pani wie o tym? Pozwala mu na to?

Na nic moje wykrety, że przecież jest upały i że gdzie, jak nie w domu, ale że dobrze, że zwrócę uwagę, że na pewno jeszcze dziś... Skończyło się tak jak zwykle. Tabletką na sen dla matki, kiedy musiałam wyjść z domu na dłużej niż pół godziny.

- Mamo - szepnęłam. - Wybacz. Ja nie chciałam.

I nagle zmiana scenerii. Jestem na targu w pobliżu swojego domu. Przed jednym z kramów tandetna odzież z koronki (stringi wycięte w kroku i biustonosze porno) wisi na żerdziach, na wietrze, przy

skrzynkach z kapustą i grochem w strąkach. A wkoło ciśnie się tłum ludzi. I Roman w szampańskim nastroju.

– Wybierz coś sobie, wiesz... – Zaśmiewa się w kułak, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Niechby choć jeden raz oszczędził mi tego co zwykle, ale już dobiegł mnie jego głos w stronę straganiarki.

– Paniusiu, czemu tak drogo? U Triumphy byłoby taniej! Jak będzie upust, to kupię – woła rubasznie, strzelając gumką od biustonosza.

– Wstyd! Targować się przy kobiecie jak jakiś ostatni fiut! – Babina, krzycząc, wrywa mu stanik z rąk. – Dawaj pan to. Ale już!

Stojący blisko przekupnie i przypadkowi gapie mają uciechę na fest. Mnie zaś zalewa fala gorąca, a nogi wrastają w grunt. I nagle wszystko odchodzi. Przepadły gdzieś wszystkie dźwięki. Przepadły obrazy i myśli... Nie ma nic. Kiedyś, przed laty, poruszały mnie do żywego tak zwane oszustwa mózgu. Jak to sam z siebie, bez udziału woli potrafi przejąć kontrolę nad zachowaniem człowieka. Kiedy myślące ja mówi: „To jest dramat”, podświadomość wie, że to są tylko życiowe wzloty i upadki i że na upartego na jedno wychodzi. Incydent na rynku utwierdził mnie w tym do ostatka. Bowiem dopiero wtedy, gdy Roman z babiną dobili targu i mięłam w spoczonej dłoni czarną koronkę w foliowym worku, do moich uszu przedarł się zwykły bazarowy gwar. I głos stający w obronie Romana: „I co się takiego stało? Kupił ci prezent? Kupił. A taki już jego urok, że musi się potargować. Nie rób tragedii o nic”.

Raptem do tego głosu dołączył drugi, skrajnie inny: „Przestań go w końcu usprawiedliwiać! Ty wiesz i ja wiem, jak było! Jak choćby wtedy, kiedy za własne pieniądze kupiłaś pierścionek z rubinowym oczkiem, ale opowiadałaś każdemu, kto chciał i nie chciał tego słuchać, że z racji piątej rocznicy waszego związku dostałaś go od Romana. A to pamiętasz, jak pod stolikiem w kawiarni, by nie widziała tego kelnerka, dałaś mu banknot do ręki, żeby zapłacił rachunek za byle kawę i ciastko? Co wtedy czułaś? Co czułaś?! Nie

mów, że zapomniałaś, jak na koncercie znanej artystki marzyłaś o łyku wody, bo za ostatnie pieniądze kupiłaś mu bilet wstępu, przyjmując za dobrą monetę wykręt, że nie wziął portfela z domu. Przypomnij sobie, jak pożyczalaś pieniądze od ludzi, by przeżyć do końca miesiąca, bo zdarzył się nagły wydatek, a on udawał głupiego, byle cię w tym nie wesprzeć. Wtedy najczęściej zniknął, i wracał, gdy minął kryzys”.

Nagle tamten dwugłós stał się jednym, spójnym. Twardym i zaciętym.

„Myślałaś czasem, kim dla niego jesteś?! I byłaś dla wszystkich innych? Myślałaś czasem, do kurwy nędzy, czy tylko zmieniałaś kanapy?”

Połykając łzy, które spływały mi do ust, myślałam tylko o tym, dlaczego są takie gorzkie; powinny być słone, zawsze takie były. Zmienił mi się smak? Tamte znane mi głosy umilkły, ale byłam pewna, że wciąż tu gdzieś są. Czekają na swoją kolej. W napiętej ciszy coś we mnie zaczęło wzbierać. Czerwona luna przybrała na sile, zachodząc na moją twarz, szyję i górną część klatki piersiowej. Spadły zniecka. Jak harpie. Rozpoznawałam głosy sąsiadów, znajomych z pracy i innych miejsc. Smagały mnie bez litości.

- Zostawcie mnie już! To boli! Zostawcie mnie w spokoju! - Zatykając uszy, połykałam łzy.

I nagle, jakby coś we mnie pękło, włączyłam się w tę kakofonię, krzycząc po stokroć głośniejsze. To, co się działo teraz, było kumulacją. Apokalipsą. To był sądny dzień. Stałam w płomieniach. Naga. Wstyd. Czułam go całą sobą. Więc tak przejawia się wstyd? A prawda o sobie aż tak boli? Cuchnąca lawa chlustała mi z uszu, raniąc mnie aż do krwi, jak ranić mogą tylko słowa.

- Pić - wyskamlałam.

Czyjaś chłodna dłoń dotknęła mojego czoła.

Poddałam się temu z ulgą.

- Mamo, mamusiu... To ty?

- To ja, Rozalia, spod szóstki - usłyszałam niski, chropawy głos. - Niech pani leży spokojnie, zaraz coś przyniosę.

Szur, szur, szur... Oddalające się kroki cofnęły mnie do przeszłości.

Jeszcze kilka lat temu w kamienicy mieszkało więcej starszych osób. Znikali w ciszy, przeważnie wczesnym rankiem. Rozłożone na noszach, zawinięte w koce i przypięte pasami nieruchome ciała milczący panowie w czerni wsuwali do swoich czarnych samochodów. Albo - jak przyjaciółka Rozalii z drugiego piętra - jeszcze żyjący ludzie odjeżdżali karetką pogotowia na sygnale, by nigdy tu już nie wrócić... Pamiętam ten ruch na klatce, trzaskanie drzwiami i czyjś ściszony, pełen lęku głos powtarzający słowo „serce”. Rozalia, jak mówiono, od tamtego czasu do końca zdziwaczała, oddając bez reszty swój wolny czas kotom i innym potrzebującym pomocy braciom mniejszym. Szeptano po kątach, że uprawia magię, a co gorsza: czarną. „Czarownica z lasu!” - krzyczały za nią dzieci.

Leżałam więc w obcym łóżku, czując chłód i wstrząsające mną dreszcze mimo grubego wełnianego koca, który mnie okrywał. Za oknem panowała ciemność. W mojej ciężkiej głowie kłębiły się myśli. Jest wieczór? Noc? I jak się tu znalazłam?

Krok, szurnięcie, krok. Wróciła Rozalia.

- Proszę to wypić - powiedziała, podając mi kubek z jakimś dobrze ciepłym, balsamicznym płynem. - I porządnie się przykryć, a ja na chwilę otworzę okno. Trzeba tu przewietrzyć.

Ruch powietrza przyniósł z sobą rześkość i zapach ognisk z nieodległych działek. Gdzieś w ciemności nocy głośno miauknął kot. Po nim drugi, trzeci... Dygocząc, odstawiłam puste naczynie na stojący przy łóżku stolik.

- Pójdę już - szepnęłam.

- W takim stanie? Bzdura! - powiedziała twardo. - Nawet o tym nie myśl.

- Ale Roman... Muszę...

- Ani słowa więcej! - Rozalia sięgnęła po kódrę leżącą obok na fotelu. - Masz jeszcze i to, przykryj się i śpij! A ja przy tobie posiedzę. Śpij córeńko, śpij - usłyszałam jeszcze, pewnie już we śnie, który na mnie spłynął zamiast zwykłych mdłości i wymiotów.

A czas płynął. Od powrotu Romana z Łądką żyłam jak na krawędzi, na bakier ze zdrowym rozsądkiem, nie dbając ani o zdrowie, ani o dobrą opinię wśród sąsiadów. Nie licząc przelatujących gdzieś obok mnie dni. Wiedziałam tylko, że właśnie przekwitły lipy i zelżał upał, kiedy Roman znów wyjechał, teraz w delegację, żegnając się ze mną w kilku krótkich słowach, zdaje się, że: „Nie pij” i „Trzymaj się ciepło”. Ja od razu poszłam na L4 z pracy, dniami i nocami przebywając w łóżku, naprzemiennie pijąc i trzeźwiejąc. Przy tym moja pamięć odtajniała wątki, na wspomnienie których czułam tylko wstyd. I choć klapki z oczu spadły mi do reszty, nie umiałam z siebie zrzucić tego jarzma, które mi ciążyło jak grzech pierworodny w jakimś dzikim planie wymyślonym przez Stwórcę. Jeszcze się łudziłam. Jeszcze wyobraźnia nie złożyła broni. Ale z drugiej strony byłam pewna końca tej fatalnej więzi, która coraz mocniej zaciskała pętlę wokół mojej szyi.

Pewnego wieczoru - bez ustanku drażąc swój związek z Romanem - poczułam odrażający smród niemytego ciała, zakistej pościeli i zatęchłego powietrza w sypialni. Podniosłam się ciężko z łóżka, a potem długo moczyłam się w wannie z unoszącym się na powierzchni kożuchem brudu i mydła, z rzadka dolewając do niej gorącej wody. Wspomnienia przewijały się w mojej głowie niczym urywający się film, ale obrazy zatrzymywały się nie w tych miejscach, w których bym tego chciała - na swojskim, a więc bezpiecznym gruncie. Czułam się tak, jakby ktoś obcy zajął mój stołek operatora w kinie i rządził się tam jak u siebie. Co jakiś czas nagłe stop-klatki zmuszały mnie do uwagi, choć uciekałam przed konfrontacją z prawdą, zawartą w muszlach wewnątrz mnie, po części wziętych nawet na super glue. Czyjeś silne dłonie rozchyłały płaskie, szczelne

części skorup, ukazując wnętrza z wciąż aktywną treścią (w pewnym stopniu przyschłą, choć nie mniej toksyczną), niczym w beczkach z bronią masowego rażenia zatopionych w Morzu Bałtyckim po drugiej wojnie światowej.

„Niczego się nie bój, nie zrobię ci krzywdy – zapewniał głos w mojej głowie. – Otwieram je po kolei. Najpierw te niedomknięte, byś mogła płynnie, bez większej szkody zmierzyć się z cierniem, który jest w tobie i rani cię od środka. Jak będzie za bardzo bolało, krzycz!” Te same dłonie wsunęły mi okulary na nos i zaczęły się seans w 3D.

Obraz z kamery przedstawiał mnie i Romana z przeszłości. Staliśmy na wzgórzu porośłym krzakami dzikiej róży w środku upalnego lata. Rozgrzane powietrze tętniło życiem owadów unoszących się tłumnie nad obfitością bladorożowych, słodko pachnących, właśnie rozkwitłych kwiatów. Zaprowadził mnie tam po raz pierwszy. Było to miejsce w pobliżu domu, w którym mieszkał, w małym miasteczku wśród wzgórz. Krążyliśmy wkoło, zdawało się, że bez celu. Później usiedliśmy pośród rzadkich ościstych traw pod dziką, uschniętą po części gruszą, szukając choć skrawka cienia. Z Romanem u boku świat ścielił przede mną kilim utkany z rojeń o sielskim życiu, którymi karmiłam się na potęgę, nie patrząc na rzeczywistość. Wbijałam też sobie do głowy przekaz, że wszystko jest w moich rękach. Smakując wino z owoców róży, które nastawiał co roku, Roman wsparty plecami o kostropaty pień rozglądał się dookoła, jakby czegoś szukał. W pewnym momencie stracił moją dłoń, którą pieściłam mu skrawek ucha, i zadrżał. Potem spakował torbę, wstał z miejsca i rzucił zmienionym głosem:

– Rusz się.

Później prowadził mnie w ciszy prosto na krzak kontrastujący z innymi amarantowym odcieniem kwiatów, by stanąć w jego pobliżu nad dołem podłużnym i płytkim jak zapadnięty grób, w którym płożyły się ostre pędy, a trawa wyrosła aż po pas. Czego tu chciałeś? – zachodziłam w głowę. Do czasu, aż mnie pociągnął za sobą w tę dziką

wklęsłość, opuścił spodnie i zmusił mnie, bym uklęknęła. Kolce wbijały mi się w kolana, nasiona traw oraz szczawiu mieszały się w ustach z potokiem śliny. Po chwili, razem ze spermą, oddałam to Matce Naturze. Najgorsze jednak stało się potem, gdy uchwyciłam nabrzmiałe bólem spojrzenie Romana i usłyszałam opowieść o jego miłości. O dziewczynie, z którą chciał zbierać owoce róży do końca swych dni i robić z nią wino, dopóki starczyłoby sił, by je pić. Przerosły ich zwykłe, mało romantyczne sprawy i banał powszednich dni. Zerwała znajomość na wiosnę.

- Tu byłem z nią po raz ostatni - wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby i nagle załkał. Brakowało tylko tego, by się rozplakał na moim ramieniu, kiedy tak stałam z pustymi oczami, wrośnięta w darń nad grobem jego miłości. W mogiłę, którą zbeczczył, wykorzystawszy mnie bez skrępowań. W powrotnej drodze nie trzymał już mojej dłoni. Gnając wąziutką ścieżką pośród zarośli jak oszalały zwierz, odgarniał wściekle giętkie gałęzie, a te, wracając na swoje miejsce, boleśnie smagały mnie po twarzy. Robiłam uniki, jak mogłam, zwalniając tempo tego szalonego marszu, aż końcu zostałam w tyle. Jeszcze kilka razy mignął mi w gęstych zaroślach, a potem straciłam go z oczu.

Wtedy pojęłam, że fakt trzymania kogoś za rękę nie świadczy o niczym więcej, jak tylko o nawyku, z którym można się rozstać w każdej dowolnej chwili bez zbędnych przemyśleń i żalu, byleby tylko tego chcieć. Jak tamtego ranka, kiedy po cieplej, przyjemnie spędzonej nocy wyszliśmy z domu ze splecionymi dłońmi w letnią, słoneczną rzeźkość dobrze zapowiadającego się dnia. Roman po papierosy do kiosku (został mu ostatni), ja uśmiechnięta i nawet z ochotą do pracy. W dali dostrzegłam znajomą z busa, której wołałabym nigdy nie spotkać, idąc z Romanem u boku. Zwiewna sukienka oblepiała jej płaski brzuch, strzeliste nogi i odstający tyłek. Zbliżała się szybko, kołysząc biodrami niczym modelka na wybiegu. Ścisnęłam dłoń mego mężczyzny i czujnie zajrzałam mu w oczy, wpatrzone w idącą postać.

- Znam ją z dojazdów – szepnęłam.

Przecucie mnie nie zawiodło. Poczułam, jak palce Romana luzują uścisk i wyszarpują się z mojej dłoni.

- Muszę zapalić – powiedział schrypniętym głosem.

Moja raptem osierocona ręka, jak szyja łabędzia z ukreślonym łebkiem, opadła z wolna ku ziemi. Ale tej jednej śmierci było mi mało. Chciałam jej jeszcze więcej. I jeszcze więcej... Aż w końcu naprawdę umrę. Dziewczyna była już całkiem blisko... Teraz! – pomyślałam, unosząc głowę i składając usta do pocałunku na do widzenia, w chwili gdy znajoma zatrzymała się, czekając, aż się pożegnam.

- Daj spokój. Idź już – burknął Roman opryskliwie i odsunawszy mnie z drogi, odszedł. Poczułam, że krew odpływa mi z ciała i robię się zimna jak lód.

Podobnie było teraz. Leżąc w kąpielni, w lodowatej cieczy o konsystencji ścieków, w stanie zbliżonym do hipotermii, czekałam już tylko na śmierć. Przez warstwę osadu nie było widać dna wanny, lecz dobiegał stamtąd jednorodny stukot. Ktoś tam był? Czy jak? Po osunięciu się w rynsztok ujrzałam Małą Syrenkę siedzącą na wielkim kamieniu. Nie spoglądała jednak z tęsknotą w morze, jak tamta z baśni Andersena, ale trzymając dwie muszle w dłoniach, uderzała nimi mocno raz po raz o siebie, do wtóru moich szczękających zębów. Słyszałam trzask pękających skorup i odgłos wdzierającego się do ich wnętrza silnego strumienia wody, który wyrwał struchlałe, wciśnięte w najdalszy kąt małże – żywe skamieliny, rozrywając je na strzępy. Żałosne szczątki uniosły się w górę i naga prawda zaczęła wypływać na wierzch. Broniąc się przed tym do upadłego, i tak zachłystywałam się treścią, którą z sobą niosły. Ból, który czułam, odzierał mnie z resztek godności własnej. Twarz piekła. Czy była to kolejna, potężna fala wstydu, czy coś innego tym razem? Byłaby to złość?

- Tęskniłem za tobą – oznajmił znienacka Roman po powrocie, wręczając mi drzewko szczęścia o liściach z kamieni agatu w kolorze szmaragdowej zieleni.

Wydawał się jakiś inny. Daleki myślami i roztargniony. Pachniał swoim mieszkaniem i jeszcze czymś, czego nie mogłam znieść. Nie był więc w delegacji, o czym wiedziałam od pierwszej chwili, gdy zamknął za sobą drzwi kilka dni temu. Gdybym tylko chciała, mogłam to sprawdzić u pracodawcy albo znieśc odwiedzić dom i złapać go na gorącym uczynku. Mogłam... Lecz nie zrobiłam nic. Być może bałam się konfrontacji z prawdą, która cofnęłaby mnie do punktu wyjścia i obróciła wniwecz te parę kroków, które postawiłam, by wyrwać się z zakłętą kręgą bezradności. A może jednak chciałam to odwlec, poczekać na lepszy moment? I jedno, i drugie mogło być prawdą.

Znów bierna, nie podejmując nawet najmniejszych działań, które po wielkim bum! – boleśnie przeżytych wstydzie – powinny zbliżyć mnie do finału, śledziłam aktywność Romana pełną ambiwalentnych myśli. Bo nagle moja pewność, że wolność od niego przyniesie mi upragniony spokój, gdzieś zniknęła. Dopóki było to w fazie akademickich rozważań, mój zapał był autentyczny, a myśli chłodne jak u czekisty. Teraz w to wkradł się niepokój, a pomysł na zryw w moim życiu stał się znieśc jałową frazą, jak u życiowych kalek.

Wciąż czułam w sobie obecność małży. Jak to możliwe? Po takiej czystce? Widać niełatwo pozbyć się tego, co tam zaległo, warstwa na warstwie przez – było nie było – pół wieku. Że trzeba czasu, determinacji. Że pamięć będzie mi to oddawać w ratach, jak w brazylijskiej telenoweli, łagodząc skutki ujawnianej prawdy, bym mogła to w ogóle znieść. Że będą pękać i tajać partiami, przygotowując mnie na tę chwilę, kiedy ostatni pancierz, szczelny jak żaden dotąd, rozbije się w drobny mak. A stanie się to nie wcześniej, niż gdy wszystko, co we mnie sprzeczne, niespójne i nielogiczne, myśli i uczynki, zacznie ze sobą unisono współbrzmieć. Dopiero wtedy, kiedy obejmę się ramionami i zapłacę nad sobą, jak matka nad swym chorym dzieckiem. Dopiero wówczas, kiedy z żalną

istotą tkwiącą gdzieś w głębi mnie staniemy się jednością i zapłacemy wspólnie. Ona nade mną, a ja nad nią.

* * *

Nastaly gorące dni sierpnia. Nieheblowane deski budki dla kotów zmieniające barwę w zależności od pory roku z soczystej wiosennej zieleni przeszły w spłowiałą szarość. W pobliżu lokalny element przestępczy postawił wygodną ławkę z oparciem, przyniesioną z cementarza. Usiadłam na niej z Rozalią, zaraz po napełnieniu kocięj miski wodą.

– Co tam u ciebie? Wszystko dobrze? – spytała Rozalia, zerkając na mnie z troską. – Nie widziałam cię od dwóch dni.

Szorując podeszwą poźółką, wyschniętą trawę pod butem, czułam narastającą złość.

– A niby jak ma być? – odparłam opryskliwie. I od razu pożałowałam tych słów. – Przepraszam, pani Rozalio. Ostatnio źle się czuję.

Od tamtej pamiętnej nocy, kiedy pijana upadłam pod drzwiami staruszki, zbliżyłyśmy się do siebie w zaskakującym mnie stopniu. Z racji dzielącej nas różnicy wieku mogła być nawet moją matką. Ja, zawsze stroniąca od ludzi, w końcu miałam kogoś, komu mogłam powierzyć dręczące mnie wątpliwości i rozterki. Jak umiałam, odsłoniłam też przed nią paradoksy mojego związku z Romanem. Bowiem Rozalia umiała słuchać. Bez pouczania i dawania rad. Ostatnio jednak robiła to nieuważnie, jakby czuła przesyt. Jakby zmęczona mną i tematem. Wszak ciężar moich wynurzeń obarczał też ją w jakimś stopniu. Bo choć robiła wrażenie silnej, była w niej jakaś słabość, której z początku, nie znając jej bliżej, nawet nie byłam świadoma.

– Źle się czuję – powtórzyłam. – Nie wiem, co zrobić z Romanem. Miotam się z tym od ściany do ściany, jakbym to brała na przeczekanie. Lecz proszę mi wierzyć, tak nie jest – on dla mnie

naprawdę umarł, choć wiem, że dla pani brzmi to dość pokrętnie. Tyle że nie chce opuścić mieszkania, a ja przez to żyję w nieustannym stresie. Co robić, pani Rozalio? Mam go zabić?

Ale Rozalia milczała. Milczałyśmy obie, wpatrzone w miskę, w której radośnie świergocząc i tocząc boje o dostęp do wody, zążywały kąpieli wróble. Żar lał się z nieba, niemniej na ławce pod rozłożystym klonem panował przyjemny chłód. Koty, które zazwyczaj kręciły się wokół staruszki, po porannym karmieniu przepadły jak kamień w wodę. Pewnie z powodu upału zaszyły się w swoich kryjówkach, gdzieś po piwnicach i krzakach. Ucichły nawet koniki polne, ukryte w norkach wśród traw. Wtem w nasze milczenie wdarł się dźwięk mojej komórki. Esemes: „Zbliża się przełom. Przygotuj się! Więcej na Wróźby Online”. Raz z nimi zacznij, nie dadzą spokoju – pomyślałam, spoglądając ukradkiem na Rozalię, która zdawała się drzemać. Ale kiedy i ja przymknęłam oczy, wystawiając twarz do słońca ledwo prześwitującego w koronie drzewa, raptem doszedł mnie jej cichy, chropowaty głos.

– Jest takie porzekadło ukute przez marynarzy – zaczęła – że kiedy się ściemni, wszystko się wyjaśni... – Spojrzałam na nią uważniej, a ta po chwili przerwy podjęła swoją narrację: – Sens tej mądrości przybliżył mi dawno temu pewien stary marynarz, który przysiadł się do ogniska na plaży, przy którym siedziałam wraz z grupą przyjaciół, piekąc kiełbaski na ogniu. Wskazawszy pobliską latarnię, rozpoczął opowieść o statku stojącym na wodzie w pewnej odległości od brzegu i o latarni morskiej wysyłającej w dal sygnały świetlne o określonej charakterystyce, znane ludziom morza na całej kuli ziemskiej. Z jego swoistej, dającej do myślenia gawędy wynikało – ciągnęła Rozalia – że istotę ciemności i światła mało obyty w swym fachu marynarz zrozumie dopiero wtedy, gdy jego statek zatrzyma się w miejscu, gdzie dookoła mielizny i rafy, i mgła taka się ścieli na falach, że choćby nie wiedzieć jak wypatrywał, niczego w tej mgle nie dostrzeże, żadnego punktu odniesienia nie znajdzie, nie usłyszy krzyku mew od lądu ani

innego odgłosu. W takiej mgłę można się tylko zgubić i roztrzaskać na skałach. Dlatego statki o większym tonażu trzymają się z dala od brzegu. W tego rodzaju okolicznościach nie można zaufać nawet pokładowej nawigacji. Dopiero gdy zrobi się całkiem ciemno, bijące w głąb morza światło latarni pozwala jasno przypisać obiekt do informacji na mapie. I już wiadomo, co robić, aby ominąć przeszkody i dotrzeć bezpiecznie do portu...

Rozalia przerwała opowieść i znów przymknęła powieki, a ja w wyobraźni ujrzałam siebie niczym ten ciężki, załadowany po brzegi bagażem trudnych doświadczeń statek, który w zamglonym powietrzu zmierzchu czeka cierpliwie na światło mogące mu wskazać kurs. W otaczającej mnie mgłę byłam bezradna i ślepa jak kot, któremu natura nie pozwoliła w porę otworzyć oczu. Bo mimo że moja podróż z Romanem trwała, skazana na dryf w ciemności nie byłam w stanie przewidzieć tego, czym to się wszystko skończy. Pojęłam właśnie, że tylko ktoś z zewnątrz, ktoś racjonalny i stojący z boku wydarzeń, jak ta latarnia ze swym zbawczym światłem, mógłby ocenić to, w czym utknęłam, i wskazać mi dobre wyjście. Pozbycie się białej laski – symbolu ślepcy, piętna mojego życia – stało się nagle dla mnie strategicznym celem. Coś sprawiło, że zamiast spytać Rozalię, czy zechce mi pomóc wydostać się z owej mgły, z egipskich ciemności na słońce, poprosiłam cicho:

– Opowie mi pani coś o sobie?

Przetarła oczy i znużona wstała z ławki.

– Może kiedyś... – bąknęła w odpowiedzi. – Pójdę już, słabo się dziś czuję. Straszny gorąc.

Do miski z wodą zanieczyszczoną po harcach wróbli, drepzcząc, zbliżyły się dwa gołębie i zaczęły pić, zabawnie rozpryskując na boki zwisające im z dziobów krople wody. I znów odezwał się mój telefon. Dzwonił kapitan Konieczko. Kapitan Marek Konieczko po zakończonej misji w Łądku-Zdroju, którą mu zleciłam na okres pobytu Romana w Turni, w zasadzie powinien zniknąć z mojego życia. Ale nie. Wciąż

przypominał o sobie w mailach i kontaktował się ze mną telefonicznie. Bez żony, przyjaciół i braku perspektyw na przyszłość z pewnością czuł się samotny. Ale gdy jełam wsłuchiwać się w to, co ledwo brzmiało między wierszami w jego występach oratorskich przez telefon i mało oszczędnych objętościowo tekstach w poczcie e-mail, pojęłam ze zgrozą, że uwolniłam dzina z butelki.

Pobyty w Łądku sprawił, że Konieczko zmęźniał i nabrał pewności siebie, a sposób, w jaki mnie zaczął traktować, daleki był od pokory, a nawet wdzięczności za pracę. Jednocześnie jednak – bardzo to ciekawe – nabrał cech kobiecych. Jakby się przeglądnął w duszach wielu kobiet, zrobił z tego kolaż i wyświetlał mi, w celu pogładowym, obraz po obrazie. Bardzo sprytny fortel. Kapitan Konieczko, moje alter ego, nie dał się wyłączyć, a tym bardziej zwieść byle jakim skrótem, pozorami czegoś, czym posługując się, uciekałam wciąż w łatwą niedorosłość, mimo swoich lat pięćdziesięciu kilku. W stan bez śmiałych wizji i bez równie śmiałych, samodzielnych wolt i wyborów. Będzie zatem dzwonił i wysyłał maile, nim ja sama wreszcie, na wskroś i do końca, nie uznam się za dorosłą. Żywoć, który nie realizuje własnego sposobu rozwijania się zdarzeń w czasie od początku do końca, oddając to w ręce innych, jest jak dom budowany od dachu i nieuchronnie musi się skończyć schizofrenicznym rozdwojeniem jaźni. Dopóki więc jest, jak jest, Konieczko nie pozostawi mnie samej sobie, sterując mną na swój własny, specyficzny sposób. W końcu to policjant, swe metody ma.

– Panie kapitanie, jeśli jest coś, co ma związek z Romanem, a o czym z jakiegoś powodu zapomniał pan wspomnieć do dziś, proszę mi o tym powiedzieć wprost, a nie grać ze mną w półsłówka! Nie mam do tego sił! – wrzeszczałam w słuchawkę przed tygodniem.

Odpowiedział – tym razem bez wykrętów – że moje domysły są słuszne, bo istotnie jest coś, czego dopuścił się Roman dzień przed wyjazdem z Łądku. Okazało się, że kiedy wieczorem tego samego dnia zasiadł do laptopa, by mi o tym donieść (Konieczko, nie Roman) – jak

w ostrym ataku amnezji poczuł pustkę w głowie, jakby wywiało z niej całą treść, prócz wizji Romana w majtkach obracającego się w tej próżni jak na różnie. Żeby choć na piekielnym, ale nie... na zwyczajnym, takim do kurczaków (kapitan w swoje relacje uwielbiał wtrącać dygresje, zdarzało się że od rzeczy, jak teraz). Dalej ją opisywać swoją wybiórczą czy wrywkową (nie miał pewności, o jaką chodzi) utratę pamięci, której doświadczył pierwszy raz w swoim życiu. Skarżył się nawet płaczącym głosem, że choćby go kroić i solić – nie może przypomnieć sobie niczego, co byłoby z tym w jakimś związku. Dlatego mówi i pisze ogródkami. Wie, że gdzieś dzwonią, ale w którym kościele? Jeden Pan Bóg wie.

Być może chodzi o jakiś szczegół – hamletyzował dalej Konieczko – banał w gruncie rzeczy, ale dlaczego w takim razie to go tak uwiera i spędza mu sen z powiek? To może świadczyć (tak mówi mu nos policjanta), że sprawa jest jednak poważniejsza, niż z początku myślał. I zapewniając, że wrodzone poczucie obowiązku nie pozwoli mu przejść nad tym do porządku dziennego, już następnego dnia rankiem słał mi wiadomość e-mail, że jego obecność w moim życiu będzie konieczna tak długo, aż uchyli się furtka w jego pamięci, ukazując całą prawdę o Romanie, która z kolei zedrze bielmo z moich oczu. Stało się też tradycją, że kończąc rozmowę czy w dopisku poczty, kapitan ostrzegał mnie jeszcze, bym była przygotowana na każdą, nawet najgorszą ewentualność, jaką przyniesie mi życie, bo takie ono jest. Mimo zawiłych zapewnień Konieczki o jego nagłej amnezji miałam poczucie, że dobrze pamięta to, co wydarzyło się w Łądku tamtego dnia. Albo – co było nawet bardziej prawdopodobne – nic się takiego nie stało, a on intensywnie pracuje nad czymś, co – jeśli mi o tym powie – zadziała jak iskra, wyzwalacz, uruchamiając reakcję w moim mózgu, której skutków nie da się już cofnąć. Była jeszcze jedna, równie prawdopodobna opcja, że kupował sobie w ten sposób czas, by z czymś do mnie dotrzeć i zburzyć mój faryzejski, załgany świat z klocków, który zbudowałam na ruchomych piaskach. Sprawić, bym

się otrząsnęła, o co – bardziej lub mniej wprost – zabiegał od początku naszej znajomości, lata temu. Przy sile mojego oporu musiałyby użyć czegoś ekstra. Ale nie sądzę, by dysponował czymś równie mocnym, skutkujący efektem, na jaki w tej sprawie liczył. Tymczasem dzielił się ze mną rewelacjami, które jak scena po scenie w filmie – jak mówił – odtajniały jego pamięć, a które były tak pozbawione sensu, że nabierałam podejrzeń co do stanu jego zdrowia psychicznego.

E-mail:

„Pani Ilono, czy Pani zna przeszłość Romana na tyle, by mi powiedzieć, czy jakiś jego praprzodek brał udział w powstaniu styczniowym na ziemiach polskich przeciwko Imperium Rosyjskiemu w 1863 roku? A może w Pani rodzinie miał miejsce podobny patriotyczny splot okoliczności?”

Albo:

„Pani Ilono, przypomniało mi się (ale to nie to, o czym próbuję sobie przypomnieć, tylko coś innego), jak Roman natrząsał się z Pani wzrostu, opowiadając Elżbiecie, że razem wyglądacie jak Pat i Pataszon, że tylko boki zrywać!”

Takie i inne „sensacyjne” wątki mające mnie zrazić do Romana przewijały się w naszych rozmowach, tematycznie od Sasa do Lasa, gdzie absurd gonił absurd. Czyżby chciał w ten sposób, niemniej po omacku, znaleźć choćby jeden mój wrażliwy punkt? Żeby zabołało aż do szpiku kości! Niczym Wallenrod zawsze w pogotowiu. Zawsze pełen pasji, gotów do poświęceń w imię wyższych celów. Mimo jego dziwactw i nieczystych chwytów, które wciąż stosował w zakresie uprawnień, które mu nadałam, musiałam jednak przyznać, że moja zażyłość z nim stawała się coraz bliższa. I coraz bardziej serdeczna. Bo gdy zdarzyło się raz, że nie zadzwonił ani w inny sposób się ze mną nie skontaktował, poczułam się tak, jakbym rozpadła się od wewnątrz. Z poczucia braku? Z tęsknoty za drugą częścią mojej rozdwojonej jaźni? Ale w końcu sama, sama go wysłałam do innego świata, tam gdzie są emocje, aby ze mnie zdarł całą tę skorupę, każdy z obcych

wpływów, które sukcesywnie od najmłodszych lat miały jeden cel: odciąć mnie od uczuć. Do innego świata, tam gdzie ludzie mają, mają tę odwagę, aby czuć, co czują, wyrażać uczucia, a nie, rejterując, zamrażać je w muszlach, na przykład pijąc na umór. Lub pozwalać innym niszczyć w nich, co cenne, i zabijać myśl. Jeśli mu się uda uratować we mnie to, co jeszcze żyje, wyznam, że go kocham i że będę z nim, zanim nas śmierć rozłączy, by odrobić czas stracony z innymi.

Rozdział XI

WIECZÓR ZAPOZNAWCZY

W przeddzień wieczoru zapoznawczego obudziłem się rano rześki i wypoczęty. Łóżko Emila było puste, ale z łazienki dochodziły dźwięki świadczące o tym, że zwracał do muszli, i to ostro. Oho! – pomyślałem nie bez mściwej satysfakcji. „Cierp ciało, skorosć chciało”. Wyszedł po kilku minutach, blady i ledwo żywy.

– Nie śpisz? – zapytał, wycierając usta w rękaw od piżamy.

– Jak widać – odrzekłem, przeciągając się. – A ty, jak widzę, z podróży do Rygi? Jak nie masz, chłopie, zdrowia do picia, zostaw tę wódę w cholere.

– Jeśli chodzi o to, mógłbyś z moją żoną podać sobie ręce – skwitował i ruszył do stołu, gdzie stały szklanki i mineralna. – Ja mam większy problem, bo niestety nie wiem – pociągnął łyk wody z butelki – niestety nie wiem, co siedzi w głowie Bożenki po moich występach w Dolce Vita. Nie chce ze mną gadać. „Nie” i „nie!”. I koniec. A może... – popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem – pójdziesz do niej, co? Podpytasz dyplomatycznie... Pokajasz się w moim imieniu... Powiesz, że wódka mi rozum odebrała, że nie byłem sobą... Ale że mam prośbę w ważnej dla mnie sprawie i że się odwdzięczę. Co? Marek?

– A sam to nie możesz? Taki żeś mocny w gębie!

Patrząc na Emila, który z natężeniem w swych przekrwionych oczach wyczekiwał zmiany mego stanowiska, widziałem w nim siebie z niedalekich czasów. I trudno to wytłumaczyć, lecz w tej samej chwili pojąłem, że nie pozostaje mi już nic innego jak szczerze wyznanie, by u mnie w tych sprawach nie szukał protekcji w ramach solidarności

jąder. W mojej głowie wszak, w sensie afektywnym, była już kobieta. A jakby mnie tak zostawił w tańcu i poszedł hulać z inną? – postawiłem się na miejscu Bożenki. W tak nickszemnej sprawie jedna babka z drugą będą trzymać sztamię, choćby nie wiem co.

– Ale Marek... Marek – nie odpuszczał Emil.

Byłem jednak twardy.

– Nie Emil, nie! Nawet mnie o to nie proś. Znajdź sobie innego posłańca, kogoś, kto nienawidzi kobiet. Najlepiej jakiegoś maczo.

Ale on jakby nie pojmował, co do niego mówię, w jakimś szaleńczym pomysle rzucił się na kolana i jął bełkotliwie zawodzić:

– Co ty opowiadasz, a skąd tutaj maczo... Pójdziesz? Pójdziesz do niej? – dopytywał z desperacką determinacją. – Tylko raz, ten jeden. Ty wiesz, jak z nią gadać... Jak ją przekabacić... Sam słyszałem.

Powoli miękło mi serce... Jak kobiecie – odnotowałem ze zgrozą.

– Widzisz, Emil... Widzisz... Nie to, żebym nie chciał...

Nie dał mi skończyć, tylko poderwał się z miejsca i przypadł mi do rąk, które obsypał pocałunkami, dziękując mi raz po raz.

Co było robić w tej sytuacji... Przyrzekłem, zaznaczając jednak, że jeśli Bożenka nie zechce, to niech mi więcej w tej sprawie nie zawraca głowy. No bo co ja mogę? Zmusić jej nie zmuszę!

– Dzięki, brachu, dzięki – powtarzał rwącym się głosem, a na koniec rzucił staromodnie brzmiącym, jak gość po obiedzie gdzieś w majątku ziemskim w XIX wieku na rubieżach Polski: – Podziękował! – Brakowało tylko tego, by mu się odbiło i by znów, jak przedtem, przypadł mi do rąk.

Po żenującej scenie z Emilem wyszedłem i w krótkim czasie stawiłem się w pokoju kobiet. Szykował się dzień jak co dzień, mimo zmian w grafiku na usilne prośby przejętej Urszuli, w związku z jej planowym spotkaniem z Jacentym, którą jednak fakt, że przez to przyjdzie jej opuścić kompleks sanatoriów i wyjść poza bliską, tym samym bezpieczną część uzdrowiskową Łądką i iść kawał drogi aż do rynku w centrum, z jednak nie do końca poznanym mężczyzną,

napawał niepokojem. „Pójdzie pan za nami, na wszelki wypadek? Będę spokojniejsza”. Cóż, zgodziłem się, mimo że dalece psuło mi to szyki. Po śniadaniu wszak miałem taki zamysł, by podczas przechadzki z Zofią Dubrawską po parku – które to spacerowały weszły nam już w krew niczym obowiązek – przyprzeć ją do muru serią trudnych pytań. Byłem bardzo ciekaw, jak się z tego wyłga. W sprawie tych spacerów chcę powiedzieć jedno: poufałość z Zofią była mą gwarancją, wręcz piorunochronem przed napastliwością co niektórych młodszych (w porównaniu z Zofią) pań bez swojej pary. „Pani jest urocza, bardzo zajmująca, ale wolę starsze” – tłumaczyłem się. Kiedy taki wykręt nie odnosił skutku, sięgałem do racji cięższego kalibru: „Muszę pani wyznać, że już w pacholeństwie stałem się obiektem erotycznych ciągot swojej własnej ciotki. Mimo mych wysiłków tudzież wielu spotkań z tuzami psychiatrii tak mi już zostało. Co tu dużo mówić... zryła mi psychikę”. Wyjawiwszy sekret, ocierałem łzę, patrząc, jak z litością kiwają głowami nad mym marnym losem świętego za życia w szponach pobudzonych seksualnie babć.

Wracając do Zofii; przede wszystkim jednak byłem przekonany, że to dzięki niej trafię do kryjówki sprawcy moich długich nieprzespanych nocy, z którym, jak mówiła, nic jej nie łączyło prócz podróży busem z Kłodzka do Łądko Zdroju. Co w takim razie grubo po północy robił pod jej drzwiami? Zaglądał przez dziurkę od klucza? Pytał o płaszcz przeciwdeszczowy, bo leje? No i najważniejsze: czy K. z jej pamięci to ten sam osobnik, który tu się kręcił, wodząc mnie za nos, jak jakiegoś chłyłka?

To, co zastałem w pokoju kobiet, nie wyglądało dobrze. Siedząc na łóżku Urszuli, popatrywałem raz na Elżbietę – krążącą w szlafroku z paczką czipsów w garści dookoła stołu – raz na Bożenę – leżącą w pościeli z niewidzącym wzrokiem utkwionym w suficie.

– Cóż to, moje panie? – zapytałem w końcu. – Strajk tu urządzacie? Czy co to ma być?

- A tam... zaraz strajk - burknęła Elżbieta. - Niech się ktoś pomartwi. Niech pomyśli wcześniej, zanim się zachowa jak ostatni cham! Wie pan, o kim mówię, no i w związku z czym!

A to szelma z niej! - Nie wychodziłem z podziwu nad konsekwencją Elżbiety w postępowaniu z Romanem. Jak nic go stąd wyrwie i wywiezie do Rzeszowa.

- Pani Elu droga - odparłem z powagą - każde męskie chamstwo winno być karane, ale na śniadanie nie ma co się dąsać, trzeba iść coś zjeść. Koniec. Kropka. Już!

Roześmiała się.

- Spoko, panie Marku, pomyślałam o tym. Mówię o wałówce. Zakupiłam trochę tego i owego. Do wieczora starczy. Zresztą, tak po prawdzie, mam już dość ryżówki na ochrzczonej mleku i oślizgłej „szynki” nie wiadomo z czego, mytej w domestosie.

- W domestosie? Eee... Pani, jak coś powie... - Wzruszyłem ramionami, po czym wstałem, kierując się do Bożenki.

- A pani? Pani dlaczego głoduje?

Nie odpowiedziała. Mimo jej niechęci postawiłem stołek u wezglowia łóżka i realizując prośbę Emila, schyliłem się do jej ucha.

- Emil wyraża skruchę, zrozumiał swój błąd i przeprosza - zacząłem ostrożnie. - Ja na pani miejscu bym to wykorzystał... Niech przekuje w czyn swe poczucie winy... Jeśli jest więc coś, jakaś ważna sprawa, która panią dręczy, wykorzystałbym to, bo jak pani wie, Emil dużo może... - zawiesiłem głos i szybko ukryłem twarz w dłoniach.

W niedługim czasie w głowie Bożenki zjawily się sprzeczne myśli. Wspomnienie postępków Emila w knajpie zwarło się z widmem bankructwa, które zawisło nad jej biznesem na Monte Cassino w Sopocie. Złowrogi zarys urzędu skarbowego sprawił, że usta kobiety rozchyliły się i popłynęły słowa:

- Jego szczęście, kurna, że mam nóż na gardle.

Sobota od wczesnych godzin porannych biegła pod znakiem ostatnich zabiegów, porządków oraz przelotnych spotkań kuracjuszy. Prawdopodobnie z uwagi na oficjalnie otwierający turnus wieczorek zapoznawczy w poczynania ludzi wkradła się nerwowość, czego dowodziły liczne sprzeczki o nic. W ożywionych grupkach rozmawiano o tym, co przyniesie z sobą pierwszy weekend w Turni i jak potoczą się rozpoczęte w tygodniu sprawy. Od godziny siedziałem w holu, obserwując wdowę krążącą w pobliżu drzwi. Jeśli przystawała, to tylko po to, by sprawdzić, czy ma w torebce komórkę i brudnopis z poezją. Stojąca za ladą w kantorku Anna, recepcjonistka z wydatnym biustem, śledziła jej kroki z żywą ciekawością. Ogromna plansza osadzona na chwiejącym się stelażu z drutu wielkimi, wyciętymi z kolorowego kartonu literami informowała o wieczorku kulturalnym (wydarzeniu bez precedensu w historii ośrodka) w miejsce zwykłych orgii i pijackich burd. Tańce też będą, no bo co tu zrobić z tą przewagą ludzi, która nienawidzi wyższych form rozrywki. Wszystkie uwagi były dopisane ręcznie, a przez wzgląd na pewną niestabilność liter można było przyjąć, że trzęsącą się ręką kaowca na ciężkim kacu.

W końcu w drzwiach Turni stanął mężczyzna w panterce. Kiedy zobaczył Urszulę, napięcie na jego twarzy zniknęło, a na ustach pojawił się uśmiech, którym obdarzył Annę i ludzi kręcących się w holu jak swoich dobrych znajomych. Jednak nikt inny, tylko Urszula rzuciła mu się na szyję, na co z zażenowaniem odwróciłem głowę. Już wkrótce, idąc w milczeniu chodnikiem wzdłuż Białej Łądeckiej, zdążali w kierunku miasta. Ja w równym tempie, małymi krokami za nimi. Rzeka płynęła rączo, chlupocząc na białych kamieniach. Słońce srebrzyło się w płytkim nurcie oraz na łuskach pstrągów, które zdawały się wyskakiwać z wody, by wpaść w objęcia wędkarzy przybyłych na połów bladym świtem.

- Urszulko, może mi wreszcie powiesz, skąd pomysł na tę wycieczkę? Nie lepiej by było odpocząć na łonie natury? Pogoda w sam raz na skałki - przerwał milczenie Jacenty.

- Zaraz wszystkiego się dowiesz, trochę cierpliwości - odpowiedziała, błędząc gdzieś myślami.

Mimo to wciąż kwękał:

- Nie lubię kurzu i wykopalisk na drodze!

- Wytrzymaj jeszcze kawałek. Jesteśmy prawie na miejscu.

Zbliżali się właśnie do rynku. Urszulę zajęły mijane wystawy, mnie zaś rzucające się w oczy zmiany w jej wyglądzie. Miast koszmarnych butów na grubych koturnach założyła lekkie szpileczki z paskami; odrzuciła też czarną, woniejącą truchłem i żalobą chustkę. Jej twarz odmłodziła i nabrała wdzięku, a głos zabrzmiał dźwięczniej, kiedy powiedziała:

- Teraz zamknij oczy, no i nie podglądaj - rzekła nieugięcie i pociągnęła go za sobą.

Szli jeszcze kawałek, zanim przystanęła przy punkcie sprzedaży telefonów i akcesoriów telefonii komórkowej.

- Jesteśmy na miejscu! Tadam!

* * *

W powrotnej drodze Jacenty jakby oszalał. Nie bacząc na prestiż swojego zawodu, chwycił Urszulę za nogi i kilka razy podrzucił ją w górę, jak na wiwat. Pewnie z wdzięczności za prezent - nowego iPhone'a w komplecie z czarnym etui z eleganckiej skórki. W czasie gdy zaróżowiona z przejęcia kobieta poprawiała włosy i wygładzała na sobie bluzkę, odbiegał na parę kroków i dzwonił do niej.

- Halo, Urszulko, mówi się! Mówi! - krzyczał do mikrofonu i czekał, aż ona odpowie przez swą wysłużoną, staromodną nokię. Albo przyklekał, wołając radośnie: - Urszulko, fotka! Uśmiech i mar-me-la-da!

Tak dowodząc, doszli do przęsła mostu i siedli na pniaku, który przyniosła tu rzeka, podczas któregoś z wiosennych wezbrań wody. Jacenty spoważniał i rzekł:

- Chciałbym poczytać ulotkę.

W czasie gdy zgłębiał instrukcję iPhone'a, Urszulę zajęły otarcia i bąble powstałe na jej stopach od wąskich pasków sandałów. Z myślą, że lodowata woda ulży jej wściekle piekącej skórze, wstała i poszła na brzeg. Wędkarze ruszyli w dół rzeki, lecz jeden został, odziany w strój pletwonurka. Wyglądał znajomo. Siedział na otoczaku tyłem i wsparty o kij wędziska, porywczo majtał nogami. Przyjrzała mu się uważnie, a kiedy w końcu uniosła nogę, by zejść z kamienia, na którym przelewająca się woda chłodziła jej poranione stopy, znienacka odwrócił głowę.

- Leszek? Ty tutaj? Śledzisz mnie? - rzekła zaskoczona, na co on w jednoznaczny sposób popukał się palcem w czoło.

Kiedy wróciła do pniaka, Jacenty odłożył ulotkę i rzekł uroczyście.

- Urszulko. A teraz mi pokaż swój zeszyt.

Przez jej twarz przeleciał cień zakłopotania.

- Jak by ci to powiedzieć, Jacenty - odrzekła cicho. - Nic tam nowego, niestety, nie ma; nie miałam weny. A z tym sam wiesz, jak jest. Dopada nie wiedzieć kiedy! Albo każe czekać na siebie miesiącami - zagadywała, tłumacząc się z beczynności i unikając oczu mentora, który jej słów wysłuchał z kamiennym wręcz spokojem.

- Można i tak... - powiedział w końcu, przeciągając słowa. - Można i tak... Dlaczego by nie... Artyście wszystko wolno... Nawet na wenę czekać miesiącami... Tyle że praca twórcza, moja droga pani, to ciężki kawałek chleba, codzienny mrówczy wysiłek, powiedziałbym nawet, że znój. Myślisz, że manna sama ci z nieba spadnie? Szukasz gdzieś inspiracji? Czerpiesz z mentalności i zachowań ludzi? Bez tego nie ma poezji! - Wyraźnie puszczały mu nerwy.

W jego perorę włączył się ryk silnika. Biały volkswagen golf z dużą prędkością przetoczył się obok nich i zarył kołami w grząski, trawiasty grunt kilka metrów dalej, gdzie stałem ukryty za drzewem. Od strony kierowcy wysiadł mężczyzna z zafarbowaną na czarno, modnie przystrzyżoną bródką, dobrze posunięty w latach, i mówiąc: „To nic.

To nic”, otworzył drzwi pasażerke – dziewczynie o kształtach rusałki i płomiennie-rudych rozpuszczonych włosach.

Urszula, zauważyłem, odetchnęła z ulgą, bo Jacenty skupił uwagę na starcu, który wyciągnął z tylnego siedzenia koc i rozłożywszy go na trawie, wpierw na nim niezdarnie przykleknął, używając podpórek z rąk, aż w końcu przybrał pozycję leżącą, przyzywając dziewczynę palcem. Ta jednak dopadła brzegu Białej Łądeckiej i jęła rzucać w pstrągi zebrany wcześniej kamykami.

– A masz! A masz! – pokrzykiwała ze śmiechem, gdy jej towarzysz dla odmiany przyzywał ją teraz ledwo słyszalnym, starczo zmienionym falsetem.

– Chodź tu, maleńka, chodź, sikoreczko, nie drocz się ze mną. No chodź tu w końcu, bo zaraz wiesz co...

Urszula, patrząc na poczynania tych dwojga i pewnie skutkiem krytycznych słów redaktora, na gwałt, wyglądało, szukała czegoś w głowie. Wywnioskowałem to z ruchu jej gałek ocznych. W końcu jej wargi rozciągnął uśmiech, który wydawał się mówić: „Stary lubieżnik. Cap! Tak mógłby wyglądać Satyr, który się urwał z orszaku Bachusa...”.

– Jacenty! Mam! Mam pomysł na wiersz! Eureka! – wydała okrzyk, jaki rzekomo wydał Archimedes, wyskakując z wanny.

– E, nooo... – Jacenty popatrzył na nią życzliwszym okiem. – Naprawdę? A skąd taka wolta?

Machnęła ręką w stronę auta.

– A stąd!

– Ho, hoo – rzekł z uznaniem – tooo, to rozumiem. A tytuł do tego też już jakiś masz?

– Mam! Mam! – wykrzyknęła z triumfem. – *Eliksir życia. Satyra*. To oczywiście wersja na gorąco, zawsze można zmienić. Co powiesz?

– Brzmi całkiem niezłe... I wiesz co... – Zdawał się nad czymś intensywnie myśleć. – Mam pewien pomysł w związku z tym. A zdążysz napisać ten wiersz do wieczora?

- No pewnie! Mam go już w głowie, od pierwszych strof aż do końca, wystarczy, że się przyłożę – i wuala!

- Naprawdę?! – Jej zapał udzielił się Jacentemu. – Czapki z głów! – Po czym przyknał oczy i znów się pogrążył w myślach. – Urszulko – zaczął po krótkiej przerwie – dziś u was w Turni, poniekąd przy „zapoznawczym”, odbędzie się wieczór z kulturą. Widziałem billboard w holu.

- Coś mi się tam obilo o uszy. I tak nie pójdę! Za całą kulturę w Turni starczy mi chamstwo Elki.

Serdecznym gestem przykrył jej dłoń swoją dłonią.

- Urszulko! – rzekł z nagłą powagą. – Posłuchaj mnie teraz uważnie. Na debiut, przy wciąż rosnącej podaży w branży, musiałabyś jednak trochę poczekać... Z publiką też może być różnie, nim nie wyrobisz sobie nazwisko. A tutaj? Tu zrobią ci salę (myślę o kuracjuszach) w ilości, jakiej się innym nie śniło. Zwałą się licznie, bo co innego mają do roboty? – Uruchamiał w sobie górnołotne tony. – Widzisz te tłumy fanów? Jak jeden przez drugiego walczą o autograf? Taa... Niemniej jest coś, co mnie martwi – postukał palcem w jej zeszyt. – Brzydkie wyrazy, że tak to ujmę, których nagminnie używasz, są dziś w literaturze *passé*. Mnie to się nawet podoba, ale jak inni to wezmą na warsztat? Skoczą ci do gardła krytykować w czambuł? Każdemu tłumaczyć się będziesz z choroby? Jeśli więc chcesz coś naprawdę osiągnąć... Zrobić karierę, zyskać rozpoznawalność i sławę... Musisz się z tym pożegnać. I to raz na zawsze! – Umilkł i szczerząc zęby, włożył zdrewniały pęd trawy jako zakładkę w jej zeszyt.

Wysłuchawszy jego bezcennych porad, Urszula spojrzała na starca, który po bezskutecznym nawoływaniu młódki – teraz bujającej się na gałęzi rosnącej w pobliżu płaczącej wierzby – dźwignął się w końcu z podpórką z koca i jął czyścić spodnie z zaschniętych traw oraz kłaczków.

Od Cierniaka rozległo się bicie w dzwon. Dwunasta. Po plecach przeleciał mi dreszcz i usłyszałem Urszulę.

– Nie mam przekonania do tego, co mówisz. Ale dobrze, pójdę – rzekła z ociąganiem, odwracając wzrok od sceny ze starcem. – Ale ty przyrzeknij – wymierzyła palec w swego impresario – że tam ze mną pójdziesz, bo inaczej pewnie trema by mnie zjadła. Znam jej smak z występów w teatrzyku szkolnym. Do dziś czuję tamte trzęsące się nogi...

Jacenty uniósł dwa palce w górę.

– Możesz na mnie liczyć! – przyrzekł uroczyście. – Debiut to jak wyjście z niebytu na świat, to kamień milowy na drodze każdego artysty. Któż inny, nieznający bólu istnienia, miałby cię w tym wesprzeć, jak nie ja? – Przeciągnął się, ziewnął i rzekł, porzucając swój kwiecisty ton: – Pójdziemy stąd, co? Zmarzłem.

– Oczywiście, chodźmy. Najpierw do apteki, bo jak widzisz sam, paski porznęły mi stopy do krwi. Muszę kupić plastry z jakimś opatrunkiem.

Kiedy odeszli na kilka kroków, za ich plecami znów rozległ się ryk silnika. Koła białego volkswagena golfa buksowały w błocie, do wtóru śmiechu dziewczyny i przekleństw starego satyra za kierownicą auta.

W drodze powrotnej redaktor przystanął w progu apteki przy głównej ulicy Łądka. Ja wśliznąłem się tam wcześniej i ukryłem za trójnogiem z reklamą pasty wybielającej do zębów.

– Chodź szybciej, zobacz, jaka kolejka! – ponaglił Jacenty wlokącą się z tyłu Urszulę. – Szkoda marnować czasu. Wytrzymasz jeszcze kawałek?

Skrzywiła się z bólu.

– W żadnym wypadku. Odpada. Nawet o tym nie myśl!

– Dobrze, już dobrze, tak tylko mówię. To idź w takim razie, a ja poczekam na zewnątrz.

Od kasy odszedł mężczyzna z zapasem lekarstw „na wojnę” i przekrwionymi oczami przyglądał się klienteli. No i doigrał się

w końcu! – pomyślałem z cichą satysfakcją. Po objawach sądząc, pana „europośla” dopadł kac morderca.

– Pani Urszulko, pani tu? Nie na obiadku? – zawołał Emil w stronę Urszuli, która natychmiast odwróciła się do niego plecami. Ktoś inny straciłby pewność siebie na tak dosadnie wyrażony afront, ale nie Emil. Nie on. Podszedł i złapał ją za ramię.

– Nic to pani nie da – wychrypiał jej w twarz – i tak panią widzę.

Wykrzywiła nos, gdy uderzyła ją woń przyprawiającego o odruch wymiotny przetrawionego alkoholu, i wyszarpnęła się z jego uchwytu, mówiąc:

– Aaa... Pan Emil... A pan tu czego? Chory?

– Tak trochę, ale to przejdzie – odpowiedział szybko, choć twarz miał cierpiącą i bladą. – À propos: widziała dziś pani Bożenkę?

– Jak mogłam nie widzieć! – Przewróciła oczami. – Co z ludźmi robi wódka!

– To miała pani szczęście. Ja dzisiaj nie miałem szczęścia... A w jakim była humorze?

– A niby skąd mam to wiedzieć? Spała, jak wychodziłam.

– Spała... Tak długo? Oj, to zła wróżba... Ciekawe, co jej się śniło... – powiedział na koniec ni w pięć, ni w dziesięć i wyszedł, powłócząc nogami.

Pomartw się jeszcze, pomartw – pomyślałem w duchu. – Wcale mi cię nie żal.

Po wyjściu z apteki Urszula na pierwszej napotkanej ławce poobklejała stopy plastrami z kojącym ból żelem. Z wyraźną ulgą spytała:

– Co teraz, Jacenty?

– Teraz to ja cię zapraszam na torcik, potem zrobimy sesję zdjęciową w plenerze. A co tam! Choćby i do „Playboya”! – Zaśmiewał się przy tym jak młokos. I wstając z ławki, upomniał ją z troską. – Urszulko, uważaj na nóżki. Dziś jest twój wielki dzień.

Zgodnie z umową zawartą z Urszulą, że moja rola kończy się w parku zdrojowym, odbiłem od rozbawionej pary, udając się w stronę knajpki „U Antka” nieopodal Turni, by wypić tam piwo i zaplanować, co dalej z tak dobrze rozpoczętym dniem. Już z daleka zauważyłem siedzącego pod parasolem Romana, który raz po raz podnosił komórkę do ucha, po czym odkładał ją na stolik. Próbuje ugłaskać Elżbietę – pomyślałem, po czym z kuflem piwa usiadłem w pobliżu. Jego mina, gdy po raz kolejny wykonał swój manewr, wyrażała pewność, że tym razem osoba, do której tak uporczywie dzwoni, w końcu odbierze telefon.

Wciąż trzymał komórkę w dłoni, kiedy ta znienacka się rozdzwoiła. I zaraz potem usłyszałem Ilonę. Roztrzęsionym głosem, jakby recytowała wyuczoną przez lata kwestię, jęła przepytywać Romana na okoliczność ciągłej zajętości numeru jego telefonu – i co ona ma o tym myśleć? Po czym płynnie, nie czekając na odpowiedź, powiedziała, znów jak przez lata wyuczoną kwestię, że w związku z nagłym atakiem choroby domaga się od niego, by w końcu wrócił do domu. Odpowiedź Romana – w której zawarł wiele drogocennych porad niczym specjalista w ramach konsultacji, a to by stanęła przy otwartym oknie, ćwicząc wdech i wydech, jak ją kiedyś uczył, a to by zażyła jakiś lek na nerwy (tyle ich w ofercie) – chyba nie była tą, której oczekiwała, bo nagle zaniosa się płaczem. Poniosło ten szloch między stoliki; między raczących się piwem, uśmiechniętych ludzi, którzy po kolei jęli gromić wzrokiem gościa w kapeluszu, który właśnie przywiódł żonę do rozpaczy, kiedy wokół tyle roześmianych par w apogeum flirtu. Ich przekaz był jasny: „Zjeżdżaj stąd, idioto! Nie psuj nam powietrza!”. Może by i poszedł, ale w kuflu miał jeszcze trochę piwa. Miało się zmarnować? Z pazerności zatem, z której przecież sływał, rzekł do telefonu nagle autentycznie zatroskanym głosem:

– Żał mi cię, kruszynko, ale co ja mogę? Mogę tylko spytać: czy chodzisz do pracy? Nawet jakbym teraz skrócił trochę pobyt... Co ci to

pomoże? Tylko stracę kasę, którą już wydałem na poczet zabiegów.

- Roman... Ja... Ja... - Pociągnęła nosem i wstrzymując płacz, wyjąkała w końcu: - Ale wrócisz... Wrócisz?

- Wróć, przecież wróć, czy to pierwszy raz? - odparł naraz zły i pewniejszy siebie. - Skąd ten cały szum? Mam przerwać kurację i natychmiast wracać, bo ty tego chcesz? Zrezygnować z kroków, które poczyniłem w trosce o kręgosłup? - rozpędział się coraz bardziej. - A masaż co? Mają ot tak przepaść?

Znów zaczęła chlipać, ale już inaczej, czyniąc dłuższe przerwy, jak ktoś, w kim nagle wzrosła świadomość, że nie tędy droga. Jak ktoś przekonany do największych ofiar w imię wyższych racji i w imię przyszłości, jakakolwiek by była.

Wydmuchała nos i nabrała tchu.

- No już nie bądź zły - rzekła innym tonem. - To ten mój egoizm... To się nie powtórzy. Ja wiem, ty bardzo dużo przeszedłeś w życiu... I jesteś naprawdę chory, nie to, co ja... Stara histeryczka. A jakby ci brakło na więcej zabiegów, to powiedz. Wyślę ci te pieniądze i po sprawie. Na szczęście oboje mamy pracę. Czego ja znów chcę? Czemu znów się czepiam?

Słuchałem bełkotu Ilony, nie wierząc własnym uszom. Byłem tym wstrząśnięty i zażenowany. A kiedy pomyślałem, że bardziej już nie można się upodlić i niżej upaść, w reakcji na słowa Romana, który właśnie rzekł, że musi już kończyć, bo robi się zimno, a on w cienkiej kurtce, Ilona zawyła:

- Dobrze, tylko powiedz, czy mnie jeszcze kochasz?

- Teraz mi kochaniem głowy nie zawracaj! - rzekł, podnosząc głos. - Dziś jest „zapoznawczy”. Dziś ma być inaczej, z kulturą pod pachę, całkiem po nowemu. A teraz się wyłącz, bo już nie mam czasu. Muszę iść po flaszkę. Kultura to jedno, a tradycja drugie.

Wieczór zapoznawczy – może z racji nazwy – był czymś na kształt święta magii i sekretów. Atrakcyjną zmianą. Wręcz odskocznią. Jak wieść gminna niosła, tak się działo wszędzie, gdziekolwiek by nie pojechać w ramach sanatorium: czy to w jakiejś dziurze zabitej dechami, czy to w uzdrowisku kategorii lux. Jeszcze przed osiemną w pokojach trwały ostatnie przygotowania do wyjścia. Na sali tanecznej zatem było mniej tłoczno niż zwykle o tej porze. Didżej na swoim miejscu, miksując dźwięki, sprawdzał swój sprzęt akustyczny.

– Szanowni państwo! – rzekł ceremonialnie, gdy się z tym uporał. – W imieniu zarządu Zespołu Uzdrowisk w Łądku witam was na balu z racji swej istoty zwanym zapoznawczym. Dziś mówimy „nie!” każdej izolacji jednostki ludzkiej. Dziś dyrekcja Turni daje wam okazję, byście uczynili choćby jeden krok w tak wrażliwej kwestii, jaką jest samotność w otoczeniu ludzi. Turnus to nie cela, to nie zakład karny. A doraźny związek to nie dożywocie. Nie ma co się bać! Więc popatrzcie w koło za kimś odpowiednim, a jak będzie trzeba, sparuję was palcem. Stąd lepsza widoczność – zachęcał niczym rajfurka. – *Sorry*, wskażę palcem – poprawił się szybko i uderzył w śmiech.

Jego rozbawienie było uprawnione, bowiem nasz prezydent doskonale wiedział, że po sześciu dniach zapoznawczy bal był nim wyłącznie z nazwy. Kto chciał się koniecznie z tym czy z tą zapoznać, zrobił to na fali tak zwanych przedbiegów, bez niczyjej łaski oraz pośrednictwa. Zatem nikt nie skoczył za tym hasłem w ogień. Wielu zwartą ławą ruszyło do baru, a wielu innych do drzwi w charakterze komitetu powitalnego. Byłem wśród tych drugich, umówiony z Zofią. Właśnie schodziła po schodach. Jej świeżo ufarbowane włosy zachwycały blaskiem. Koronkowa wszywka w odważnym dekolcie sukni sięgała szyi, tworząc równie sexy wykończenie kryzą. Kreacja była zupełnie nowa; brakowało tylko metki.

Czułem w głowie zamęt. To tylko gra świateł, no bo co innego? Jak zgasną, czar pryśnie i szarobury, zwykły ubiór Zofii objawi się w swej brzydocie. A może jednak nie? Może zaszalała w butikach z drożyzną dla

klientek spa. Bo przecież nie dla kuracjuszek z biedaośrodków NFZ. W komplecie z najbardziej udaną atrapą piersi, którą kiedykolwiek widziałem na kobiecie (a widziałem ich trochę na denatkach), mogło to mieć nawet jakiś głębszy sens.

Zanim się otrząsnąłem, Zofia stanęła obok.

– Co się panu stało? – zapytała z troską. Wchodzimy na salę czy będzie pan tutaj tak stał?

– Pani Zofio droga, to naprawdę pani? – wydukałem w końcu.

Roześmiała się.

– A niech pan zgaduje, do trzech razy sztuka. Idzie pan czy nie?

– Jedna chwila... proszę. – Nadstawiłem ramię. – Niech mnie pani szczytnie! Ojej! Nie tak mocno!

Zabawa wyraźnie się rozkręcała. Kobiety emanowały seksem i wyglądały inaczej niż zwykle, i całkiem możliwe, że z tego powodu poczynania wielu tymczasowych mężów stały się błazeńskie i nieobliczalne. Znikali z pola widzenia swych doraźnych żon i cumowali przy barze. Inni znów szukali ucieczki w chorobę bądź nagle stawali się ofiarami tragicznych zbiegów okoliczności. Jednego na przykład dopadł ostry atak kolki wątrobowej, więc paru kamratów zabrało go z sali, by doszedł do siebie w pokoju, testując wraz z nim nalewki na ziołach, które mu znosili w porcjach niewspółmiernych do aptecznych racji. Drugi niespodzianie otrzymał wiadomość o śmierci szwagra w wypadku drogowym pod Łomżą. Więc koniec zabawy. Żałoba. Tak mocne reakcje mężczyzn mogły wskazywać tylko na to, że czynili sobie poważne wyrzuty z powodu pośpiechu (biorąc pod uwagę stan liczebny kobiet w stosunku do panów – plus minus dziesięć do jednego), z jakim zabrali się do szukania pary, jakby już nazajutrz miał się skończyć świat.

Tego samego wieczoru poluzowałem swój związek z Zofią. Nastrój zapoznawczego i wpływ promili sprawiły, że siadłem przy żeńskim stoliku, gdzie strojąc sobie żarty w typie damsko-męskich, dałem się ponieść zabawie. Przychyłność znalazłem u hożej brunetki

o wydętych ustach i rozpuszczonych – pewnie dla odmłodzenia – włosach, z którą ruszyłem w tany. Z oczywistych względów wciąż miałem na oku Zofię, którą do tańca, w karkołomnym stylu, porwał staruszek z brodą, siwą i długą jak jego krawat. Następny kawałek był wolny, więc kawaler Zofii, która na ten czas utonęła w myślach, nie czekając dłużej, podjął coś na kształt radosnego flirtu, mlaszcząc w okolicy jej skroni i ucha, gdy tymczasem ślina, którą toczył z ust, spływała jej po szyi. Na co ona czeka? Nie da mu po pysku? Sprawia jej to rozkosz? – zachodziłem w głowę, nim zaczęła wołać:

– Odklej się ode mnie, ty zboczeńcu jeden! Obrzydliwość! Fuj!

– Rychło w czas! – mruknąłem.

Wtedy dziad znienacka upadł na kolana, krzycząc wniebogłoso:

– Pani rozpałała wszystkie moje zmysły! Dziś nie będę spał!

Mógłbym się założyć, że wyznanie dziada, i to na kolanach, ucieszyło Zofię, bo frywolnym gestem, niczym nastolatka, okręciła wokół palca pukiel włosów. W dyskretnym mroku przy wejściu mignęła mi blada, wykrzywiona twarz. A to kto? Konduktor! Był tu cały czas? Czy dopiero przyszedł? Chwilę stał, nie odrywając od Zofii wzroku, po czym chwiejnym krokiem, łapiąc się za serce, ruszył w stronę schodów. Ja za nim, puściwszy w trąbę brunetę. Nie było czasu na Wersal! Czy był świadom faktu, że go obserwuję? Tego oczywiście nie mogłem wykluczyć, ale miałem pewność, że nadkłada drogi wilczym obyczajem. Nawet dla adepta szkoły policyjnej zrozumiałe było, że każdy osobnik z nieczystym sumieniem będzie kluczył i krążył, byle udaremnić potencjalny pościg. Tyle choć dobrego, że obchodząc Turnię, trzymał się z daleka od głównego wyjścia. No bo dziś nie mógłbym opuścić budynku, gdyby trzeba było śledzić go na zewnątrz. Po prawdzie to mógłbym, tyle że w efekcie konsekwencje tego ze strony Ilony mogłyby być dla mnie co najmniej niemiłe. Jako że i dla niej, jak dla wszystkich innych, zapoznawczy bal był wartością samą w sobie, wyznacznikiem wręcz. Tylko czego? Ludzie! Skąd wam się to bierze? Jakaś paranoja. Pozostało mi wierzyć,

że nikt o zdrowych zmysłach nie poszedłby w noc, zwłaszcza do roboty, w stanie wskazującym na problemy z sercem, może przed zawałem. Nawet ten morderca. Nawet on!

Kiedy wyczerpany kręceniem się w kółko pomyślałem w końcu, by wrócić na salę, staruch właśnie stanął przed drzwiami z wywieszką „Pielęgniarka główna” i nacisnął klamkę. A więc tego szukał. Strach mu zajrzał w oczy! Gdyby ta historia działa się w normalnym tego typu miejscu, teraz usłyszałbym wrzaski pielęgniarki, że dyżurka „główna” to nie jakiś chlew i że trzeba pukać, kiedy chce się wejść! Ale on tam wszedł jak do swej chałupy i zatrzasnął drzwi. Poczekiałem chwilę, w której nie stało się absolutnie nic, więc zostawiłem go w rękach służby zdrowia, powziawszy decyzję, by zajrzeć do Elżbiety: jak jej idzie protest. I co na to Roman? Zawział się w staraniach, aby ją ugłaskać, czy odpuścił sobie i wziął się za inną?

Zalaną łzami kobietę zastałem w łóżku. Właśnie odczytywała kolejny esemes: „Poczytałem w necie i wszystko już wiem – pisał Roman. – Okres u kobiety to jest mocna rzecz, a nie żadna ujma. Świadczy o młodości. Kiedyś, gdy ustanie, jest już po kobiecie. W pierwszej kolejności zwiotcze jej skóra, może też wyłysieć i zostać bez zębów. To z braku hormonów, związków seksapilu. Zatem albo starość, albo krew, niestety... A ja jak ten gbur. Jak ostatni cham. Wszystko to z niewiedzy. Wybaczysz mi, Słonko? Czekam z utęsknieniem na dole, przy barze”. Wiadomość podpisał: „Bez urazy! Roman!!!!!!”. Serią wykrzykników podkreślił swój przekaz i najszczerszą skruchę.

Elżbieta, z początku twarda, z każdą chwilą miękła. Poddała się w pełni, gdy usłyszała *Zielone wzgórza nad Soliną*, ich piosenkę.

– Słyszysz pan? To dla mnie! – Ucieszyła się, a na jej spuchniętej, zapłakanej twarzy pojawiła się radość, która w jednej chwili ulotniła się na myśl o następstwach. Zerwała się z łóżka i bez ładu i składu, powtarzając w kółko: „Nie ma co przeginać! On tam, a ja tu!”, doskoczyła do szafy, wcześniej wyrzucając mnie na korytarz.

Kiedy wreszcie wyszła, zdążając za nią niespiesznie, nie mogłem oderwać wzroku od jej garderoby. Od zwiewnej apaszki w egzotyczny wzorek, serdaka w góralskim stylu wdzianego na bluzkę z żabotem, obcisłych niebieskich džinsów i w końcu czólenek na słupku do białych skarpetek frotté.

Gdy Roman siedzący na stołku w bufecie spostrzegł Elżbietę, która wyrosła przed nim jak spod ziemi, zsunał się z niego z gracją i omijając wzrokiem, na ile to było możliwe, jej wyjściowy strój, wyjętą z kieszeni pomietą kraciatą chustką jął pocierać splakane oczy kobiety.

– No już przestań, nie bec. No już przestań, przestań – powtarzał w koło Macieju.

Cofnęła głowę, bo tarł bez wyczucia.

– Dobrze jest! Wystarczy! – rzekła naraz zła i trzeźwo spytała: – A ty co, nie tańczysz? – To z gruntu niewinne pytanie miało być dlań pułapką.

– Kruszyńko, a widzisz tu jakieś girlsy? – odpowiedział zręcznie. – A nawet jeśli by były, to jak by to wyglądało? Ty cierpisz u siebie w pokoju, a ja się bawię w kółeczku albo, co byłoby jeszcze bardziej karygodne, do pary z jakąś szantrą? Oj, oj, Elżuniu... Kiedy ty mi zaufasz? Napijesz się piwka? – zakończył śliski temat i powiódł ją do stolika.

Teraz nic tu po mnie – pomyślałem sobie. Będą się tu ścisnąć, obmacywać w tańcu, jak to robią zawsze, w obecności innych. Zatem żaden nius. Trzeba iść zobaczyć, co tam u Urszuli. Opuściłem więc salę do tańca, schodząc do czytelnicy, gdzie miałem być świadkiem, między innymi, występu poetki pod auspicjami Jacentego Olecha. Coś mi w tym człowieku nie dawało żyć. Intuicyjnie czułem, że wkrótce w wyniku jego aktywności pojawi się wątek kryminalny. Tylko patrzeć. Choć to i tak lepsze od melodramatu!

Pełną regałów na książki salę biblioteczną w Turni od dyskoteki na górze oddzielał jedynie strop. Niektóre lżejsze półki na czas imprezy

przesunięto pod ściany, a na ich miejsce rzędami stanęły krzesła. Wprawdzie tu i ówdzie zgłaszano obiekcje, że głośne przytupy, ogólne wrzaski i disco polo na maksa mogą wyrzucić wpływ, niekorzystny wpływ, na przekaz twórców i komfort odbiorców ich dzieł, lecz wątpliwości w tej sprawie rozwiął kaowiec, parafrazując Szwejkę: „Oj tam, oj tam. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było”.

Występujący siedzieli pod ścianą przeciwną do wejścia. Od publiczności, w zastępstwie podium, dzielił ich pas wolnej przestrzeni. W tej strefie ustawiono stół mający służyć artystom do prezentacji dzieł stworzonych przez nich na okoliczność imprezy w pocie czoła. Urszula miała na sobie granatową suknię z białym kołnierzykiem, do której przypięła broszkę w kształcie zakładki do książki; warkocz upięła dokoła głowy i bez większej tremy, z teczką z kartonu pod pachą, wodziła wzrokiem po publiczności. Przybyli tłumnie: ci, którym zdudziły się tańce, kilku ciekawskich z natury, kilkoro pacjentów siedzących na wózkach oraz – w znaczącej przewadze – rozprawiające z wypiekami na twarzy, wystrojone odświętnie starsze panie, spragnione potrzeb wyższego rzędu, tak zwanej duchowej strawy. Siedzący w pierwszym rzędzie facet w jaskrawym golfie swoim zwyczajem nie spuszczał z Urszuli wzroku. W szeroko rozpostartych ramionach miał szarfę z napisem: „W hołdzie najpiękniejszej z pięknych!”.

Dotrzymujący jak dotąd towarzystwa Urszuli Jacenty na sygnał inicjujący imprezę dosiadł się do kaowca koczującego przy bocznym regale z książkami. No bo gdzie miałby usiąść, jak nie przy ojcu tej *event culture* i siewcy, który od lat w Turni rzucał ziarno w jałową glebę z uporem godnym lepszej sprawy. „My, ludzie kultury, musimy trzymać się razem, bo inaczej z pewnością będziemy wisieć oddzielnie...” – mógł myśleć Jacenty, adaptując na potrzebę chwili zdanie Benjamina Franklina, które tenże miał wypowiedzieć tuż po ogłoszeniu Deklaracji niepodległości. Tocząc rozmowę z przedstawicielem redakcji miesięcznika „Dziewięć muz”, kaowiec

pociągał z kubka ukrytego w regale, po który sięgał co rusz, stając się coraz weselszym i coraz to bardziej przejętym emocjonalnie.

Nie wiadomo kiedy (w rozgwarze umknęło to jakoś wszystkim) pierwszy do prezentacji stanął starszek z męczeńskim wyrazem twarzy, z dłonią opatrzoną bandażem, w którą wziął mikrofon. W drugiej dłoni trzymał spękany i uschły fragment korzenia drzewa, w trzech czwartych wsunięty w wytartą foliową torbę, z nadrukiem logo Biedronki.

- Będzie tam cicho czy nie! - zakrzyknął w stronę widowni. A kiedy ludzie umilkli, zaczął swój pokaz od wyciągnięcia przed siebie dłoni, tej z opatrunkiem. - Pod tym bandażem jest rana - powiedział straszliwym głosem. - Nie wiem, na ile głęboka, gdyż odwróciłem oczy, nie mogąc patrzeć na krew (na widok której zawsze robi mi się słabo), gdy pielęgniarka ściągała z niej chustkę do nosa, której użyłem jako tamponu, udzielając sobie pierwszej pomocy. Siostra Ewunia (wiecie, pielęgniarka główna) powiedziała, że gdyby ostrze trafiło ciut wyżej, mógłbym pożegnać się z palcem, nie pamiętam tylko, z którym... kciukiem, środkowym czy... hmmm...

Na sali zrobił się lekki szum. „O czym on opowiada? Dość tych dyrdymałów!” - dało się słyszeć z kilku miejsc.

- Miał pan przedstawić rzeźbę, a nie pitolić bez sensu! - Podniósł się jeden z wózka. - Jak tak ma wyglądać ten wieczór, to ja dziękuję uprzejmie. Już wolę na górę, na tańce!

Rozprawiający z Jacentym kaowiec uznał, że czas najwyższy się wtrącić i przerwać rosnącą wrzawę. Wstał od regału i lekko chwiejnym krokiem podszedł do starowiny - wciąż grzebiącego w zasobach swojej pamięci - by nadać dalszy bieg sprawie.

- Więcej empatii, szanowni państwo. - Potoczył karcącym wzrokiem po sali. - Więcej empatii, naprawdę... Pan pozwoli - zwrócił się do artysty - że przyjdę panu z pomocą, bo sam pan słyszy... Chamstwo się szerzy w naszym pięknym kraju! Cóż, takie czasy... takie czasy...

Kaowiec obrócił się do widowni i jął opowiadać o tym, jak to stojący przy nim pan Józef, poszedłszy na spacer do zabudowanego w formie fontanny źródła świętej Jadwigi, znalazł w pobliżu uschnięty korzeń – wypisz wymaluj jak ta fontanna, tyle że w miniaturze. To cud! – pomyślał nasz mistrz. I jeszcze pomyślał o tym, że trochę go podrasuje i tylko się skończy turnus, ruszy z nim w objazd po Polsce. Dobywszy kozika z podręcznej torby, zaczął wprowadzać myśl w czyn.

– Jaki był tego finał, widzicie państwo sami. – Kaowiec westchnął z ubolewaniem. – Lecz owoc krwawicy się ostał i teraz pan Józef przedstawi nam swoją rzeźbę. Do dzieła zatem, drogi artysto. Do dzieła!

Rozległ się charakterystyczny szeleszczący dźwięk folii i większość na sali ujrzała Statuę Wolności, symbol autonomii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Natomiast patrząca inaczej mniejszość zderzyła się z wizerunkiem wyprostowanego na baczność pana Józefa trzymającego w wyciągniętej ku górze dłoni fragment korzenia przypominający brzoźową miotłę, w którą strzelił piorun.

Kaowiec czknął i przy wtórze dudnienia, które nagle dało się słyszeć z góry, powiedział lekko sepleniącym głosem:

– Brawa dla pana Józefa! Brawa dla jego talentu i zaciętości w pracy twórczej! – Złapał artystę za łokieć i pchnął go w kierunku krzeseł. – A teraz zapraszam do stołu cudowne dziecko baletu, panią Barbarę z Tych.

Ze swego miejsca zerwał się motyl z pawimi oczkami na końcach przednich i tylnych skrzydeł. Starszawa pani o pociągłej, niepokojącej urody twarzy jak z obrazów Modiglianiego, w powłóczyстых szatach (pewnie nabytych w second handzie – można nawet przyjąć, że specjalnie na rzecz kreacji), jęła okrążyć stół w fascynującym motylim tańcu. To się wzbijała do lotu, to zapadała się w dół, bezczeszcząc swój narząd ruchu kurzem z podłogi (również się przy tej okazji wznoszącym) wydzielającym zatęchły, przykry zapach, drażniący oczy i nosy publiczności. W natchnionym zapale niosło ją coraz dalej od

bezpiecznego miejsca przy stole, aż ostatecznie głośne „ach!” na widowni przerwało jej występ przed czasem. Stało się bowiem tak, że motyl w swojej beztrosce, w owadzim pędzie do światła musnął skrzydłami szarfę z sentymentalnym hasłem wciąż rozciągniętą w rękach faceta w jaskrawym golfie, a tak naprawdę i mniej lirycznie przywalił w twarde krzesło stojące w przejściu przy mężczyźnie.

Kaowiec natychmiast zarządził przerwę i przez tubę trzymaną u pasa zawezwał pomoc medyczną. A kiedy motyl z przetrąconym skrzydłem opuszczał salę na wózku, mężczyzna popędził pod regał i łknął ze swego kubka. Potrwało trochę, nim widownia przeszła nad tym tragicznym incydentem do porządku dziennego i nim ucichło na tyle, by prowadzący mógł wznowić ten jakże ekscytujący wieczór.

– Ach, te emocje... – wyraził się lakonicznie, trzymając się stołu dla równowagi. – Ale że życie to sinusoida, wzloty i upadki, więc teraz dla odmiany należy się państwu spokojniejsza chwila. Poetyckiej refleksji i zadumy. Dostarczy nam tego Urszula – poetka z Wrocławia, przed którą obiecująca przyszłość w kraju i kto wie, patrząc na jej pęd do pisarstwa, może i poza ojczyzną, poza krajem przodków. Choć jakby chciał to ocenić prawdziwy Polak patriota – kaowiec ściszył głos – kto wie, jakich by użył słów. Ale tymczasem nagrodźmy brawami jej wejście!

Na sztywnych nogach, ze skoroszytem pod pachą Urszula podeszła do stołu, z pliku zadrukowanych kartek wyjęła jedną i złożyła ukłon w stronę publiczności.

Facet w jaskrawym golfie jakby tylko na to czekał. Zerwał się z miejsca i jął wyrzucać w górę i obracać we wszystkie strony szarfę, jak robią to kibice, tak zwani szalikowcy, na wszystkich stadionach świata. W scenie tej brakowało tylko petard i ryku z tysięcy gardeł – mniej lub bardziej ultra – fanatyków piłki.

– Co pan? Co pan tu?! – huknął na niego kaowiec. – Proszę sięść na dupie i nie robić cyrku! Entuzjazm wyrazi pan później. A panią

zapraszam do prezentacji – zwrócił się do Urszuli, która swój występ rozpoczęła wstępem.

– Przedstawię państwu balladę, która nosi tytuł *Eliksir życia. Satyra*. Będzie to mała impresja powstała pod wpływem historii, której byłam dziś świadkiem na brzegu Białej Łądeckiej. Jak z tego widać, natchnienie można znaleźć wszędzie, trzeba mieć tylko oczy i uszy dookoła głowy.

Kaowiec, który już zdążył dopaść regału, słysząc to, kiwnął głową, że tak, tak właśnie rodzi się sztuka. Zaś podniesiony w górę kciuk Jacentego wyraził wszystko, co ten chciał wyrazić bez słów. Urszula zaczęła czytać.

Eliksir życia. Satyra

Półcap

Pólcztowiek

Sterany wiekiem i prowadzeniem lekkim

Z orszakiem boga Bachusa wędrował po całym świecie

Nie dając zgody wyrokom boskim, że jest śmiertelnym, pomniejszym bóstwem

Opuścił wesole bractwo, by znaleźć klucz do wieczności

Zaopatrzony w wiedzę, że wszelka istota jest tym, czym się żywi

W ostojach znikał w szuwarach, by sięgać soczystych pędów

Ale tam było grząsko

Tam w topiel zanęcał Błotnik

A głodem kapalo mu z brody

A oczy by wszystko jadły

W młodnikach i młodych sadach chciał skubać stulone pączki

Lecz one mierzyły wysoko, bawiąc się jego kosztem

*Więc w żądzę tłukł rogiem w korę
A łysym ogonem w złości okładał spadłe listowie*

*A głodem kapało mu z brody
A wzrok oslepiało mu słońce*

*Na leśnej polanie, gdzie dotarł za płochym i świeżym rumieńcem
Jego zachłanny ozór poktuły ostrza niezłomnych
stojących na straży cierni*

*I chociaż oczy by jadły
To jęzor postawił się:
- Wal się!*

*Za łykem tańczącej wody wyruszył w stronę przeciwną
Na żyzne dalekie pastwiska*

*Było już ciemno, gdy dotarł w miejsce
Gdzie trawa była młodziutka, a koniczyna zielona*

*Gdzie pośród wielu dobrodziejstw migwały błędne ogniki
I swoim wątłym światełkiem świeciły menadom i nimfom
Tańczącym przy norwiu księżycy*

*Choć wielce strudzony wędrówką
I srodze sterany wiekiem
Wciąż miał okrutną ochotę na zbytki i pohulanek*

*Dobrywszy fletu z za pleców, grał na nim skoczne kawałki
A z rogu, co miał go przy pasie, raczył się młodym winkiem*

*A nimfy śmiały się wdzięcznie
Płając dokola niego
Do taktu dźwięków fujarki*

*Dopiero koło północy, zalany w tak zwaną pestkę
Rozpoczął zachłanną ucztę*

*A oczy mu zaszyły rozkoszą
A broda stanęła mu sztorcem*

*Obżarty nad przyzwoitość
Na krótko przed świtem usnął
Gdy ocknął się koło południa, spragniony i z ciężką głową
Zobaczył z niemalym wstrętem, że leży w zdrewniałych chaszczach
I ani śladu zielonki*

*A jeszcze jak wzrok zanurzył w zmętniałej kałuży obok
To skonstatował z trwogą, że z rogów ostały się resztki
A broda zbierała mu do cna*

*Ostatkiem woli i sił
Nie napił się wody z kałuży...*

*O słynnej tańczącej wodzie, zwanej też eliksirem życia
Mówili mu starsi z ferajny
Że starczy stuknąć kopytem, a tryśnie ożywcze źródło
To stukał raz po raz
I stukał*

*A wzrok mu dogasał powoli
A z brody ostały się frędzle*

*Na koniec runął na ziemię
Ostatkiem sił ruszył powiekiem
Podwinął ogon pod siebie
I w proch się obrócił czarny*

Jeszcze w powietrzu wisiała ostatnia strofa, jeszcze z Satyra szedł czarny dym, gdy facet w jaskrawym golfie zaczął owację na stojąco.

– Genialne! Bravo! *Bravissimo!* – krzyczał.

A potem pomknął do stołu, pochwycił kartkę z wydrukowanym tekstem i wetknął długopis w dłoń Urszuli. Zawirowało jej w głowie. Jak w lunatycznym śnie złożyła tam swój autograf. Pierwszy w życiu. I nagle krew uderzyła jej do głowy. W żołądku i sercu, i każdym swoim nerwem poczuła słodki, zniewalający smak sławy. W wypełnionej do ostatniego miejsca auli wrocławskiego Ossolineum kłaniała się publiczności. Oklaski nie milkły. Ludzie zrywali się z miejsc, a kwiaty pokryły podium i jej stopy. Poprzez wiwaty i brawa przedarł się w końcu do niej ledwo słyszalny bełkot. Zamroczony alkoholem kaowiec wyrывał się z mową pochwalną. Lecz sił starczyło mu tylko na dość lakoniczny tekst:

– Wielka to chwila dla naszej poetki. – I okrzyk w stronę widowni: – Ej tam, wy wszyscy! Ruszać się, po autograf!

Z krzeseł wstało dwóch, może trzech. Jeden o twarzy inteligenta, w okularach w rogowej oprawie, z marsmem na czole i wskazującym palcem na policzku, podszedł do Urszuli. Wyglądał na wstrząśniętego.

– Zaiste! Niezaprzeczalny talent! Mistyczne przeżycie! Potęgę manipulacji słowem, erupcja dwuznaczności! Nie ma innego wyjścia, trzeba się zatrzymać i zacząć myśleć. Zejdźmy więc z monopłaszczyzn i wejźmy w inne optyki. – Wyraźnie się nakręcał. – „Gdyby oczyścić drzwi percepcji, każda rzecz jawiłaby się taka, jaka jest: nieskończona”, a to już Wiliam Blake. – Raptem umilkł, a milczenie jego było wielkie i znaczące. Po czym rzekł: – Tak, droga Muzo, nasz ziemski świat zmysłów to Kosmos! Zaś Satyr tych zmysłów strażą przednią. Szpicą! I pani to właśnie w swym arcydojrzałym dziele uświadomiła nam wszystkim! Nam, maluczkiem!

Wtem z ostatniego, w lwiej części ukrytego zza regałem rzędu krzeseł po sali poniósł się czyjś teatralny szept. Jakbym słyszał siebie sprzed tygodnia.

- Najmocniej przepraszam, czy pani jest wolna? - I dalej: - Choć po tygodniu przy pani urodzie to pewnie marne szanse, ale może jednak...?

Pokryty kurzem wybiegłem przed Turnię na skwer, gdzie przy fontannie z aniołkiem zebrały się grupki ludzi. W głębi alejki na ławce zauważyłem Bożenkę, która okryta kocem zdawała się o czymś intensywnie myśleć. Czas poznać, co jej siedzi w głowie, bo to, co wiedziałem o niej od Emila, to jedno, a drugie to własne doświadczenie śledcze. Choć nic jak dotąd nie przemawiało za tym, by miała jakikolwiek związek z branżą kolejową. Mogła się jednak przydać, służąc Ilonie za wzór, jak sobie radzić z męskim wyrachowaniem i fałszem, jak się nie dać.

- Mogę przy pani usiąść? - spytałem Bożenkę i usiadłem, nie czekając na odpowiedź. - Wracam z imprezy w czytelnicy i ledwo dycham przez kurz, który tam zaległ w potwornych ilościach, jak w każdym miejscu, w którym mówią wieki. - Rozkaszałem się dla efektu, ciągnąc: - Ale pani tam w ogóle nie widziałem... Ani na zabawie. Czy to przez Emila? Ale à propos... Widziała go pani od rana?

- A tam przez Emila - zachnęła się z miejsca. - A co do rozrywek, teraz mam na głowie poważniejsze rzeczy niż tracić czas na byle co z byle kim - prychnęła ze złością, lecz nagle, jakby ją coś siekło, podskoczyła w miejscu i zmieniła ton: - Ale... ale... Właśnie! Czy pan mówił serio, że nasz aktywista przez układy w partii może to i owo?

- Jak najbardziej serio! - zapewniłem z miejsca. - Niemniej, jak go znam, trzeba działać szybko. Emil to chimeryk, raz tak, a raz siak. Skoro jeszcze dotąd nie zajrzał do pani, by wytłumaczyć się z *faux pas* w Dolce Vita, przyjdź z przeprosinami, wręczyć bukiet kwiatów, mógł dać za wygraną. Mógł się też zniechęcić, widząc obcesowość i chłód z pani strony. Mogę się tym zająć, jeśli pani chce. Chyba że...

- Wolę, żeby pan - nie dała mi skończyć. - Emil to niewdzięczny partner do rozmowy, a do tego kłamie. Pan, jako były funkcjonariusz policji, ma wrażliwe ucho na wszelakie kłamstwa. Mowa ciała, oczy...

Pan się zna na sztuczках starych wyjadaczy. – Pokręciła głową. – Czy on w tej Brukseli, jakby go wybrali, zrobi coś dla Polski? Nie wiem... Nie przypuszczam.

– Zrobi czy nie zrobi... Oni tam jak jeden, wszyscy siebie warci – rzekłem z przekonaniem. – Byle się załapać na wypłatę w euro... Nasze biadolenie niczego nie zmieni. To co, do roboty! – Zaklaskałem w dłonie. – Pani opowiada, ja zaś jak tu siedzę, zamieniam się w słuch.

Bożenka mówiła zwięźle i na temat. Kobiety interesu już tak mają, że na byle gadki szkoda im energii, czasu i uwagi. Mówiła o mężu, który zeszłej wiosny wdał się w ostry romans z wczasowiczką z Kielc. I od tamtej pory nie dość, że przeciągał swój flirt w nieskończoność, to jeszcze zaniedbał pracę w pawilonach oraz obowiązki, których cały ciężar zrzucił na jej barki. Ale czerpać z zysków, i to pełną garścią, to już bardzo chętnie. Wydawać pieniądze na wystawne życie z młodą kochanicą – jasne, kto by nie chciał! Szybko więc Bożenkę wpędził w otchłań długów, mimo że od ręki, jako człowiek czynu, cerowała dziury w dziurawym budżecie. Niemniej terażniejszość, za sprawą fiskusa, przerosła nawet ją. Kto miał do czynienia z urzędem skarbowym – tym bezdusznym tworem na usługach państwa – to wie, czym to pachnie. Gdy Bożenka nagle przejęta umilkła, z tyłu ławki zagrzmiął gromki głos Emila:

– Ja was wszędzie szukam, a wy sobie tu?!

Kiedy wyszedł z cienia i siadł koło mnie, rzekł ściszym głosem:

– I co? Załatwione?

Nawet nie zdążyłem policzyć do trzech, gdy on już wpadł w nerwy, sycząc mi do ucha:

– I licz tu na kumpli, całuj ich po rękach, a i tak na koniec wykręca ci wała!

No idiota ciężki! I mnie wzięła złość. Miałem już odpowiedź na końcu języka, gdy uprzedził mnie kpiący głos Bożenki.

– Proszę, jest pan Emil. Jak diabeł z pudełka. Czego pan tu chce?

Jego nagle przyjście popsło mi szyki, ale z drugiej strony byłem ciekaw tego, jak Bożenka przyjmie jego pokaz skruchy.

- Wiem, że cię zawiodłem - głos Emila zabrzmiał jak zwykle obłudnie - ale w Dolce Vita ja nie byłem sobą. Bodajbym tak szczerł, jak mówię nieprawdę! Za dużo wypilem, no i stało się. Obsiadły mnie zewsząd te babsztyłe wstrętne i wzięły do węża przy użyciu siły. Miałem się z nimi bić?

Patrząc na Bożenkę, na błyski w jej oczach, byłem prawie pewien, co się zaraz stanie. Niemniej podskoczyłem, kiedy zawołała:

- A ja mogłam? Tak?!

- Właśnie o tym mówię - odpowiedział Emil, nie tracąc rezonu. - Bo gdyby nie ty, nie wyszedłbym cało z całej tej opresji. W imię tego zatem proś mnie, o co chcesz, proś mnie nawet o to, czego bym nie spełnił w innej sytuacji - rozpędzał się z wciąż z pochyloną głową, nad którą zamiast popiołu do posypania pojawił się okrąg złożony z dwunastu złotych gwiazd na lazurowym tle. A kiedy uznał, że dość tej samokrytyki, zaklęć i oświadczeń, i uniósł lekko głowę, by dostrzec reakcję Bożenki, w jej spojrzeniu ujrzał, ujrzał coś takiego, że wnet pożałował swoich deklaracji. Był w nim jakiś głód oraz ultimatum. „Jej chodzi o seks! - krzyczał całym sobą. Nie! Tylko nie to!”.

Widząc to, Bożenka uśmiechnęła się, ale jakoś tak... Aż mnie przeszły ciarki.

- Jak dołożysz starań, mój Emilku drogi - rzekła przytłumionym, przez to strasznym głosem - puszczyć to w niepamięć... Może i wybaczę... Ale nie tak szybko, jak byś tego chciał.

Mógłbym przysiąc, że Bożenka w tej chwili podjęła jakąś intencjonalną grę z Emilem jako narzędziem w swoich rękach. Zje go na przystawkę jak ropucha muchę - ucieszyłem się. Trafił swój na swego, no i bardzo dobrze! Nagle usłyszałem odpowiedź Emila, najgłupszą, jaką słyszałem w życiu.

- Wszystko, czego chcesz, ale już nie dziś, dziś mi pęka głowa. Wziąłem parę proszków, popiłem to piwem, ale jednak nie. Nic a nic

nie lepiej.

We wzroku Bożenki pojawił się błysk.

– Okej, jak uważasz... Byleby na wszystko nie było za późno... Ale rób, jak chcesz.

Już nie żyjesz, Emil – szepnąłem ze zgrozą. Ależ to jest pajac. Pewnie sobie myśli w swoim kurzym mózdzku, że wszyscy są głupi, a on jeden nie.

Dochodziła północ, kiedy wstałem z ławki, zostawiając na niej Emila z Bożenką, by wrócić na salę, na której gdzieś tam, *de facto* na pół śpiąco, kręciło się kilka par. A gdzie cała reszta? – zachodziłem w głowę, bowiem sam słyszałem, ile to gadania było jeszcze wczoraj. I te wściekle spory: „Panie oświatowy, jakże to do pierwszej?! Co to my, harcerze? Kółko różańcowe?” – targowali się. „Dobra, nie ma sprawy. Ale ma być ruch!” – Klepał ich po plecach, chichocząc, kaowiec, który obserwując swoich podopiecznych turnus po turnusie, mógł po latach stwierdzić, że koło północy przerzucają wajchę swego ożywienia na tryb spowolniony, by w niedługim czasie wylądować w łózkach. Ale to kaowiec. Ja czerpałem wiedzę z teorii Ilony, for internetowych, no i z Instagrama, gdzie przechwałki mężczyzn: „Te tabuny pań w erotycznym szale, a ja pośród nich. I tak trzy tygodnie!”, były adekwatne do gwiazdorstwa kobiet: „Každy chciał się rozwieść i ożenić ze mną”.

„Dopóki czegoś nie sprawdzisz, dopóty nie bądź tego pewny. Nigdy z drugiej ręki” – truł nam do znudzenia major wykładowca. Pomyślałem więc, że obejdę salę, a w kolejnym kroku przejdę się po piętrach, czy przypadkiem tam co niektóre pary, choćby i we wnęki, nie przeniosły swojej grzesznej aktywności. Wbrew moim podejrzeniom ani przy bufecie, ani na parkiecie nie było Romana z Elżbietą; nie było też Zofii ani jej tancerza. Urszula już wcześniej, czego byłem świadkiem, zaraz po występach rozstała się grzecznie ze swym impresario i poszła do łóżka, a Emil z Bożenką zostali na ławce mimo chłodu. Ale z nimi sprawa była oczywista. Dalszy ciąg

wypadków w ogólnym zarysie mógłbym nawet sobie łatwo wyobrazić. Już Bożenka wie, co należy zrobić, by wyszło na jej. Pójdę także o zakład, że tak też się skończy batalia Emila o europarlament, biorąc pod uwagę wydźwięk jego słów, choćby tych ostatnich, tych o bólu głowy. Czyżby kandydaci do brukselskich ław, wszyscy bez wyjątku, byli aż tak tępi, jak ten tam Kozibąk z IQ nie wiem... mola?

Otrząsnąwszy się z myśli o Emilu, zjechałem windą na parter, planując stąd zacząć generalny obchód. Tu mogłem się natknąć na pary obściskujące się w fotelach albo wracające z parku i z ławeczki, gdzie spędzili czas pod rozgrzanym kocem, bynajmniej nie po to, by iść zaraz spać. Ale jednak nie. W holu były pustki, ani żywej duszy poza jakimś łysym facetem za ladą, w zastępstwie recepcjonistki. Jak to możliwe? Czyżby zapoznawczy miał się okazać zbiorem klechd i legend powtarzanych w kółko na rzecz oczekiwani szukających wrażeń potencjalnych gości polskich sanatoriów? Zwykłym *science fiction*? A te bestsellery oparte na faktach, proza literacka z pornografią w tle? A te białe kruki? Humoreski, szkice i melodramaty, których zatrzęsienie? Skąd by się to brało? Z sennych wyobrażeń, półprawd czy wymysłów zwykłych bajerantów na rzecz trwania mitu? Kto miał w tym interes, bo przecież nie ZUS? Jeśli tak, to chciałbym dotknąć i rozpoznać choć wierzchołek góry tego mechanizmu; zdemaskować fałsz i odnaleźć sens w całym tym misterium. Wszak *show must go on!*

Szedłem zatem dalej, czujny i uważny na najmniejszy ruch. Parter zajmowali, z oczywistych względów, kuracjusze w wózkach. Tu hipotetycznie nic atrakcyjnego nie mogło mnie spotkać, niemniej by nie ulec istniejącym przecież w mentalności ludzkiej, także w mojej, wartościującym stereotypom, zajęły mnie teksty zapisane w dymkach, sączące się z dziurek od klucza oraz przez rozeschłe, wypaczone drzwi. To wtajemniczenie rozwinąłem w sobie w nadzwyczajnym stopniu. Guru w swej nauce był jak zawsze zwięzły: „W dymkach znajdziesz wszystko, starczy przetrzeć wzrok”. Kosztowało mnie to

pięć tysięcy złotych, ale było warto. „Skąd u policjanta taki pęd do wiedzy?” – powiadano o mnie (dawno i nieprawda) od najniższych szczebli kadry oficerskiej aż do władz najwyższych. „Że też mu się chce...”

Wracając do dymków: były one różne, całkiem jak w komiksach. W dymkach jajowatych były zapisane zwykle wypowiedzi. Pod postacią gwiazd kryły się emocje – te z wykrzyknikami. Były jeszcze dymki w kształcie znaków dymnych – tych widziałem gąszcz. Oznaczały myśli. Szedłem zatem wolno mrocznym korytarzem, coraz bardziej pewny, że powszechna wiedza w kwestii sanatoriów nijak nie przystaje do rzeczywistości. „Panie, ja tu za cholere nie chciałem przyjeżdżać! Żona mi kazała. Na terapię wziewną, żebym przestał chrapać” – głosił napis w dymku pod postacią jaja. W odpowiedzi na to spod tych samych drzwi pojawił się drugi: „Posiedziałem dzisiaj na ławeczce w parku i już chrypię, kaszlę... W domu bym pokroił dwie cebule w kostkę, zasypał to cukrem i już po dwóch dniach byłoby po krzyku, a tu co? Apteka. I bul jak za zboże!”. Spod następnych drzwi dotarł do mnie inny, zawiedziony głos: „Panie Boże, ratuj! Chodzi o jedzenie. Winno mi wystarczyć to, co tutaj dają, a wciąż dokupuję i jem za pięcioro. Co ja po powrocie powiem swej doktorce?”. Zza kolejnych drzwi wysunął się tekst: „Jak tam zapoznawczy? Wybawił się pan?” – i zaraz odpowiedź: „Owszem, byłem tam, ale bardzo szybko dałem stamtąd nogę. Kto by to wytrzymał? To dudnienie, basy. A pan? Gdzie pan był?”. Zapytany na to: „Ja spędziłem wieczór w kulturalny sposób w sali biblioteczej. Podpytam kaowca, czy nie dałoby się podobnych występów aranżować częściej”. W odpowiedzi dostał trochę filozofii: „To pan lepiej wybrał. Już nie dla nas, starych, dyskoteki, bale... Już nie juwenalia... Raz zakręcić, dwa jeszcze da się znieść... Ale nic poza tym, nic a nic, niestety...”.

Tym więc żyją ludzie z drugiej strony drzwi – zamyśliłem się. A nie tym, co naród przekazuje sobie z ust do ust z przejęciem, z wypiekami wręcz na przejętych twarzach: jedni przed wyjazdem, inni po

powrocie, celem utrzymania w ludzkiej świadomości legend i wymysłów. Bo jak wytłumaczyć, że tu, w sanatorium, ich rozmowy i myśli dotyczyły rodzin, chorób i narzekań; w dalszej kolejności dotyczyły wspomnień. Ale też możliwe, że tu na parterze starzy i na wózkach w związku ze starością porzucili mrzonki, zarzucili chuć. Może by i chcieli przeżyć jakiś romans, łyknąć świeżej krwi, ale kiedy ciało stare i kalekie, mogli sobie chcieć.

W tym momencie usłyszałem z tyłu, gdzieś z prawej strony, wyraźny dźwięk jędrnego pocałunku. Całus? Jak to? Tu?! Obejrzałem się, sądząc, że to spóźniona para na wózkach żegna się z taką ekspresją, którą już jutro odchoruje, ale nie. Nikogo nie było. Dopiero po chwili, gdy doszedł mnie ten sam, wręcz gorszący dźwięk, zorientowałem się, że wyływa on spod drzwi dwóch wąsatych mężczyzn z paralizem nóg po wypadku. No i co? Co z tego? Wielkie mi mecyje. Takich jest pięć procent populacji ludzkiej. Skoro są, to znaczy, że Bóg też, jak innych, stworzył ich li tylko, dla swej wielkiej chwały.

Zostawiłem parter i poszedłem dalej, schodami na piętro, bardzo ciekaw tego, co zajmuje głowy nie do końca chorych, no i trochę młodszych gości na turnusie. Tu już było różnie, niemniej i ci chętni do przeżycia flirtu byli wstrzemięźliwi na myśl o następstwach. „A jak się zakocha taka jedna z drugą? Zadzwoni do żony? Weź się potem tłumacz”. Inni, też myślący, brali pod uwagę opcję „podłapania” tej czy innej francy z kategorii „W”. „Weź się potem lecz!” Także zagrożenie możliwym rozwodem (i co za tym idzie, zubożeniem życia, ostracyzmem w pracy, w kręgu towarzyskim, nawet bezdomnością) z dobrym rezultatem studziło ich żądze, podobnie jak średnia wieku pań. Z mężczyznami zresztą, co do wieku właśnie, było nie inaczej. Niemniej ich liczebność w stosunku do kobiet kształtowała popyt. Kto by w takim miejscu i przy tych proporcjach liczył chłopu wiek czy weryfikował poziom intelektu?

Pod ciężarem słów różnorodnych osób doszedłem do drzwi z tabliczką „Pielęgniarka główna”. Śledząc konduktora, byłem tu już dziś, choć dopiero teraz coś mnie uderzyło w wyglądzie tych drzwi. Rama była szczelna, jak w statku kosmicznym, a w dziurce od klucza, zamiast klucza właśnie, tkwił szpunt z twardej masy, z tych nie do ruszenia. Nastawiłem uszu, wyteżyłem wzrok. Ani śladu dymka. W zwykłym miejscu pracy środki ostrożności jak, nie przymierzając, w jakimś CIA? Nie czekając dłużej, nacisnąłem klamkę, ale zamiast ciszy z drugiej strony drzwi usłyszałem głos – ostry i stanowczy:

– Gdzie mi tu po nocy! Spać, cholera, spać! – Rozległ się szcęk skobla i zza drzwi wyjrzała pielęgniarka główna z czepkiem pielęgniarskim na smolistych włosach, zebranych w kok z tyłu głowy.
– Czego pan tu chce?

– Mam do pani prośbę – zagailem grzecznie. – Mój znajomy z balu, zanim wybiegł z sali cały roztrzęsiony, zdążył mi powiedzieć, że ma atak serca i że właśnie leci szukać gdzieś ratunku. Był u pani, prawda? No bo gdzie mógł być, jak nie u siostrzyczki? Chciałbym go odwiedzić, zapytać o zdrowie, ale tak naprawdę nie wiem, kto to jest... Bowiem nie zdążyłem w całym rozgardiaszu poznać go z nazwiska, a jak pani wie, znaleźć kogoś w Turni to jak wygrać w totka. Zerknie pani w kartę?

Jej stalowy wzrok przeszył mnie na wskroś.

– A przepisy RODO, słyszał pan kapitan?

Widząc, że zdრętwiałem, odchrząknęła z triumfem.

– Właśnie tak myślałam. „Spytać, jak się czuje”... A nie napić się wódki? Już! Do łóżka. Spać!

Ze zdenerwowania nie wiem nawet, jak, piechotą czy windą, dotarłem na czwarte piętro, pod drzwi Romana. Dobiegały stamtąd spazmatyczne jęki. Czas *Różowych nocy* na Polonii 1 – domyśliłem się. Nic nadzwyczajnego, a już dla Romana raczej chleb powszedni. Ale gdy zajrzałem przez dziurkę od klucza, zobaczyłem coś, co mi się nie

śniło w najczarniejszych snach. Co ja tutaj robię?! Zerwałem się z miejsca i pobiegłem w mrok.

Gdy w końcu znalazłem się w swoim pokoju, zdjąłem marynarkę i zamiast odwiesić ją do szafy, cisnąłem o podłogę i zacząłem deptać. Twarz mi się wykrzywiła i nabiegła krwią, a palce zacisnęły się w pięści, całkiem nieoczekiwanie. Sądząc po objawach, byłem w furii. Ale ja przecież nigdy nie byłem w furii. Wszędzie ceniono mnie za opanowanie, nawet w okolicznościach mało sprzyjających mojej konstrukcji psychicznej. Nawet przy rozwodzie, w którym własna żona ograbiła mnie z marnych paru groszy, które zgromadziłem na bezpiecznym koncie w banku. Nawet wtedy. Nie zdejmując butów, z laptopem pod pachą wskoczyłem do łóżka i zacząłem wściekle walić w klawiaturę. E-mail do Ilony brzmiał jak kanonada w sylwestrową noc:

„Starczy! Szlus! *Finito!* – wystukałem wściekle. – Zwalniam się od dziś! To zdecydowanie nie na moje nerwy. Kim ja się tu stałem? Jakimś podglądaczem infantylnych akcji pani „psa na baby”! Żeby był w tym chociaż... chociaż jakiś pomysł, ale nie, to puste pierdolenie w bambus!” Nie przebierałem w słowach, nadużywając wykrzykników i umyślnie pisząc „pani” małą literą, czym mogłem dotknąć Ilonę, a nawet doprowadzić ją do łez. I co z tego? A mi kto współczuje? Kto... Odpalone raptem, całkiem przypadkowo, polecenie „wyślij” położyło kres mej dezynwolturze. Przestałem oddychać. Długo nie czekałem, oddźwięk przyszedł w mig:

„Panie kapitanie! Nie pieprz mi pan głupot, tylko pisz, jak było. Za to panu płacę! Co zaś do angażu... Odsetki umowne... Wie pan, co to jest? Jeśli tak, to pilnie chcę mieć notkę w poczcie. Pilnie, znaczy już! Rozumiemy się?” Ona też odeszła od zwykłych grzeczności (pisząc pan, nie Pan) i niczego nie pozostawiła niedomówieniom.

A to ci Ilonka! Niby cicha myszka, a tu proszę. O! Jednak miałem nosa, że na jej postawę względem chłopów w życiu ma wpływ zgubny nałóg, a nie żaden lek. Żeby ona chciała choćby jeden raz skoczyć do

Romana, i to tak na ostro, jak skoczyła do mnie, może by i mogła wyrwać się z potrzasku, w którym tkwiła lata. Wyżyć się na innych, owszem, jak najbardziej, zrzucić na nich winę za garbate szczęście w swoim własnym związku, ale coś z tym zrobić? A, to nie! To nie!

Odłożyłem laptop i spojrzałem w sufit. Na myśl o odsetkach obleciał mnie strach. Z czego bym je spłacał? Wziąłem głębszy oddech i – czując się jak przebity na wylot balon – jąłem stukać w klawiaturę jednym palcem, nieco ślamazarnie po wojennym zgiełku, który we mnie zagrał, i jak szybko zagrał, jeszcze szybciej ścichł. Nie ma co, czas wracać do swej czczej roboty, z której miałem chleb. Najpierw więc spytałem swą chlebobawczynię, kto jej nabił głowę tym, że zapoznawczy to jakiś szczyt szczytów, doświadczenie chwili, której darmo szukać w prozie codzienności, jaką jest kuracja – między zabiegami a chodzeniem spać. Po ostrożnym wstępie ton mej wiadomości stał się poufalszy. Rozpędzając się, poddałem Ilonie pomysł na wizytę w przychodni lekarskiej, wzięcie skierowania i wyjazd zdrowotny byle gdzie na turnus, celem dokonania własnych obserwacji. Niech zobaczy sama, jeśli mi nie wierzy, że bal zapoznawczy to zwyczajne disco, tyle że z reklamą, nadającą rangi tym bańkom mydlanym; sztucznie rozdmuchany środek zastępczy. Taki myk, placebo! Pusty zabieg. Dalej napisałem, że nie zreferuję, bo to strata czasu, jak przebiegał wieczór, który Roman w sumie przetańczył z Elżbietą, ale jej opiszę, co on później robił w swym apartamencie, kiedy tam zajrzałem przez dziurkę od klucza. Na wszelki wypadek, by nie doprowadzić Ilony do pasji i zyskać na czasie, gdy to będzie czytać, wysłałem jej to od ręki i utworzyłem nową wiadomość, wracając do etykiety w pisowni zwrotu Pani.

„Cd. Pani chce dowodów na zdradę Romana. Wiem, że Pani chce, bo to Pani zna. Bo strach oswojony przestaje być straszny – wiem to z zajęć w Szczytnie. Ale co ja mogę? W sensie erotycznym Roman jest niewinny, jako że Elżbieta trzyma go na dystans – że z wyrachowania, to już insza inszość. Ale jest coś jeszcze – czego byłem świadkiem,

czego w gruncie rzeczy Pani się obawia, zresztą nie bez racji. Bo to, co widziałem, to już nie przelewki. Chciałem Pani tego z całych sił oszczędzić, ale nie mam wyjścia, bo mi Pani grozi. Uprezdam, zaboli. I to bardzo mocno!”

I nagle, jakby pękła we mnie jakaś blokada, jakbym stał się raptem zwykłym zwyrodnialcem, jałem dźgać Ilonę słowem ciętym, ostrym, takim do żywego, by dotarło do niej wszystko, co powinno, bez drobiny fałszu i konfabulacji. Takie, jakie jest! Że Romana tutaj nie rajcują filmy z kręgu pornografii, że *Różowe noce* na Polonii 1 nie aktywizują jego wyobraźni, że to, co ujrzałem, przeszło nawet moje (a miewałem różne) wytwory umysłu. Roman płakał. Płakał nad zdjęciami z wycieczki do Kłodzka, na którą pojechał z Elżbietą w tygodniu. Ocierając łzy, które były słodkie i gorzkie zarazem, powracał do przeżyć, których zakosztował w murach Twierdzy Kłodzko. Jak to przyciśniętą do prastarej ściany panią swych uniesień obsypał pocałunkami, które mu oddała, ale nic ponadto. I jak bez namysłu dała mu po łapach, kiedy śmiałym gestem chciał je włożyć tam... Tam, gdzie się nie wkłada porządnym kobietom. I jak potem piła zachłannie z butelki, a płyn luźną strużką ściekał po jej brodzie i dalej na szyję, aż do wielkich piersi pod tandetną kurtką, budząc w nim uczucia, o które siebie nawet nie podejrzewał. Płacząc, kontemlował swój gest prosto z serca, którym było ofiarowanie po wyjściu z lochów zmarzniętej na kość kobiecie własnego okrycia i rękawic męskich z futerkiem w środku. Parę tych rękawic kupił okazyjnie od starej góralki stojącej przed Turnią i spakował razem z jadłem i napitkiem przed wypadem w teren z miejskim przewodnikiem.

Wniosek wyciągnąłem z tego tylko jeden. Roman się zakochał bądź był na potężnym seksualnym głodzie skierowanym głównie na wdzięki Elżbiety, że mógł nie rozróżniać obu tych afektów. Ale dla Ilony wszystko było groźne, póki winny płaczu i troski Romana obiekt pożądania w osobie Elżbiety trzyma go w odwodzie. Jak ta informacja

nie wstrząśnie Iloną, jak bym tego chciał, to już nie wiem co! Bowiem o nią Roman nigdy się nie starał. U niej jak w komunie, w świecie dzikich plemion w dżungli amazońskiej, wszystko miał za darmo. Wikt i opierunek, i do tego seks według swych najdzikszych, pieprznych scenariuszy.

Wysłałem wiadomość i zamknąwszy laptop, obrzuciłem wzrokiem byle jak nakryte posłanie Emila. Gdzie on się podziewa? Moją pierwszą myślą było podejrzenie, że został na ławce w charakterze zwłok, gdy sprawczyni mordu składem Pendolino czmycha do Sopotu, gdy nagle zauważyłem, że nie jestem sam. W gardle natychmiast mi zaschło. Przy wieszaku w rogu, gdzie nie docierało słabe światło z zewnątrz, stał jakiś nieznany mi gość. Serce skoczyło mi do gardła. Mogła to być zjawa? Zbłąkany mąż Urszuli, który pomylił drzwi? Czy ewentualnie, co niewykłuczone, wytwór mej fantazji? Naraz poczułem, że to żaden duch ani żaden wytwór, tylko żywy człowiek. Zwęszyłem człowieka swoim czułym nosem. I znów ta suchość w ustach. I przyspieszone bicie serca. Stał z głową pochyloną, ze spuszczoneym wzrokiem, długie chude ręce zwisały mu wzdłuż tułowia. Widać było, że się boi. Jego lęk dodał mi odwagi. Wstałem z łóżka, robiąc krok w jego stronę. Ta twarz... Nie, to nie była twarz, raczej maska. Oblicze stężało w bólu, które jak stempel, jak piętno nosiłem w sobie od kilku ostatnich lat. Wspomnienie nabierało kształtów... Nie... to nie może być on! A jednak, nie myliłem się. To był on! W rogu pokoju stał świadek wydarzeń w pociągu na trasie Gliwice-Bytom, denat z upiorną, oddającą rysy jego twarzy maską w miejscu głowy. Skąd on się tu wziął? No i w jakim celu? Ale nim doszedłem do jakiegoś wniosku, denat się poruszył, skinął na mnie palcem i otworzył usta.

- Panie kapitanie, jest mi pan to winny - rzekł głosem zza grobu i zniknął, przenikając przez drzwi.

Potykaçąc się w ciemnościach, szedłem jego śladem. Droga prowadziła przez las. Gdzieś na odległych wzgórzach rozległ się

dźwięk dzwonu, który wnet zastąpił gwizd lokomotywy. Ten złowieszczy dźwięk przyprowadził mnie o dreszcze na zmianę zimne i gorące. Zjeżdżają się... A więc jednak... Jednak miałem rację. Nie dziś, to jutro stawia się tu wszyscy jak na apel poległych. Wywacham ich po kolei. A potem... Potem... Nie dane mi było snuć dalej swojej wizji, gdyż zza rzadniejących coraz bardziej drzew powoli wyłonił się wielki, podłużny kształt i stanął w miejscu ze zgrzytem hamowanych kół, dysząc parą, na przejeździe kolejowym w Radochowie. Drzwi pierwszego wagonu za lokomotywą stanęły otworem i jakaś siła wciągnęła mnie do środka. Pociąg ruszył. Z każdym przejechanym kilometrem było coraz chłodniej, jakby nagle z wiosny, z pominięciem lata i jesieni, zrobiła się zima. Pozbawiony szyi świadek w sprawie „Pociąg” drzemał na siedzeniu naprzeciwko mnie. Spojrzałem przez okno, za którym, jak okiem sięgnąć, rozciągała się biała równina, która nieoczekiwanie przeszła w połać lasu. Zdażyłem pomyśleć, że podobny plener byłby idealnym – jak w wojennym filmie – miejscem na zasadzkę, gdy potężny wybuch wstrząsnął całym składem, zrzucając mnie z ławki na podłogę. Od czoła pociągu rozległy się jęki powstańców styczniowych, a potem, potem... – nie do wiary – ... usłyszałem pokrzykujące na zmianę nienawistne głosy, na dźwięk których włosy stanęły mi na sztorc.

– Bilety do kontroli... Proszę przygotować bilety do kontroli...

Chciałem uciec, bo jechałem na gapę, ale ani drgnąłem. W dodatku zaswędziała mnie pięta. A że jakimś cudem ręce miałem sprawne, więc się ucieszyłem, że wnet sobie ulżę. Ale gdzie ta pięta? Pełen niepokoju szukałem jej po omacku. Na próżno. Nerwy przewodzące impulsy nerwowe były nieaktywne. Zacisnąwszy dłonie, czekałem na śmierć bądź na mandat karny, jakby lepiej poszło. Wtem przy mojej głowie zobaczyłem buty w ilości trzech par. Czarne, kolejarskie i lśniące od pasty. Głosy mych oprawców dobiegały z góry w brzmącym arogancko, upiornym dialogu. Wskazywały na mnie jak

na idealny, według ich kryteriów, obiekt do swych praktyk. Jeden był mi znany. Był to głos starucha od Zofii Dubrawskiej.

– Nie ma na co czekać! – rzekł zdecydowanie. – Werbujemy go! On za dużo wie! Wszędzie jest go pełno, wszędzie musi wsadzić ten swój wścibiński nos! Ale z drugiej strony z nikim nie jest blisko. Może trochę z Zofią w sensie koleżeńskim. Ale jak wiadomo, trochę to jak nic. Kto go będzie szukał?

– Racja! Słuszna racja! – poparł go głos drugi. – Będzie miał robotę, to przestanie węszyć! – Głos był zniekształcony, jakby ktoś celowo mówił przez chusteczkę. Gdzie ja go słyszałem...? I to nie tak dawno...

Nagle ponad tamte wzniosł się głos donośny jak spiżowy dzwon. Niósł się z elitarnej warstwy społeczeństwa i uderzył we mnie butą i pogardą.

– I co teraz, glino? Teraz już niczego mi nie udowodnisz. Będziesz jednym z nas.

Kolej Śląska... Prezes...? To na pewno on! Ten bezczelny ton w słuchawce telefonicznej, lata temu, gdy go chciałem przycisnąć i zmusić do zeznań w pozaoficjalny, sprzeczny z prawem sposób. Bo komendant główny nie wyraził zgody, bym o szóstej rano wpadł mu do chałupy z grupą uzbrojonych antyterrorystów i w kajdankach zawiązał, celem przesłuchania, na tak zwany dołek. Tak jak to się robi z każdym podejrzanym. Zapłaci mi za to! – zmełłem w ustach groźbę, wciąż zachodząc w głowę, kim jest trzeci z trójki. Byłby to pustelnik, tak jak podejrzejm? Nos mi jednak mówił, że to nie ten trop...

Z poziomu podłogi przeglądałem się w butach konduktorów, zachwycając się ich blaskiem. Jakże one lśnią, jakby je noszono od wielkiego dzwonu. Raptem coś mnie wzięło, chwyciło za duszę i ścisnęło w środku. I jakbym stał się dzieckiem, małym bezradnym chłopczyzną, z całą swoją nastoletnią niezgrabnością i burzą hormonów – rozplakałem się na całego. Łzy kapiące z oczu uświadomiły mi coś, od czego, zdawało się, uciekłem raz na zawsze. Próżny był dalszy opór i wykręty, musiałem to w końcu przyznać.

Znużony tyłoma wysiłkami i tyłoma minami (mającymi ukryć moje wewnętrzne ja – prawdziwą twarz i naturę) zapragnąłem podzielić się z kimś tym przejmującym uczuciem osamotnienia i lęku – naraz przybity faktem, jak łatwo mi to poszło. Byłbym aż tak słaby? Prawda o Ilonie, jakby o mnie samym, spadła na mnie nagle. Przerwał to brutalnie władczy głos prezesa:

– Do roboty więc, zaraz będzie świt!

Moje drętwe ciało zabrano z podłogi i posadzono na ławce; narzucono na mnie kolejarski płaszcz, obok położono torbę konduktorę w muzealnym stylu na solidnym pasku. Później ktoś zaświecił mi latarką w oczy, w dygoczące dłonie wcisnął coś ciężkiego i rzekł twardym głosem:

– Będziesz z tym rynsztunkiem jeździł w tę i we w tę trzy dni i trzy noce. Kiedy znajdziesz kogoś jak ty, niczyjego – bez perspektyw, pracy, no i bez bagażu – i zwerbujesz go, jak my teraz ciebie, przekażesz mu to i odbierzesz później z przechowalni w Zabrze. Jakby ktoś się dosiadł, ktoś za bardzo wścibski, jak ten oto chojrak – wskazał ręką świadka – chyba wiesz, co robić. Dziurkacz masz pod ręką.

Nagle przed swą twarzą zobaczyłem lustro. Wyglądała z niego demoniczna mumia owinięta w płótno, ale tak przemyślnie, by jej nie pozbawić zdolności widzenia czy uniemożliwić otwieranie ust. Czy to ja...? Na pewno. Czy to pierwszy raz patrzę sobie w oczy? Mój Boże... – wyszeptalem ze zgrozą, jestem w samym sercu sprawy mego życia. Kto by to pomyślał. Niech mi się pokaże ta piekielna trójca! Muszę ich zlustrować. I natychmiast zgłosić do najwyższych władz, by zaradzić temu, co od tyłu lat, od półtora wieku, jak piekielna klątwa wisi nad narodem. Ale oni szybko zgasili latarkę, obracając mnie w stronę okna, że widziałem ich ledwo kątem oka. Pociąg ruszył z miejsca. Oni poszli dalej, pokrzykując gromko jeden przez drugiego:

– Bilety do kontroli... Proszę przygotować bilety do kontroli!...

Na nic moje krzyki, by mi pokazali swoje dokumenty. Wtem potężny wybuch za okienną szybą, trochę poniewczasie, oświetlił

wnętrze wagonu, co pozwoliło mi ujrzeć tyły głów oprawców. Jeden miał smoliste, połyskliwe włosy, jak po nabłyszczaczu. Drugi z nich był łysy. Albo ogolony, jak to teraz w modzie. Mało. Mało danych. Choć zawsze to coś. Ale co tam dane, jak ja mogę polec w całej tej historii. Świadek spał naprzeciw, a i mnie po przejściach zachciało się spać. Sen, który mnie zmorzył, był świadectwem lęku, bumerangiem czasu, którego nie pamiętałem albo nie chciałem pamiętać; który pozwolił mi ujrzeć siebie takim, jaki byłem, mając lat piętnaście. W ponemieckiej kuchni na żelaznym łóżku spał starszawy gość. Bałem się, że zaraz się obudzi i wyciągnie pas ze swych czarnych spodni zwisających równo na oparciu krzesła. Jakaś starsza pani, chodząc na paluszkach, przestawiała garnki, mamrocząc pod nosem:

– Weź się do nauki, weź się do nauki... Bo inaczej wiesz...

Czarne spodnie, czapka... I błyszczące buty... Skąd ja to pamiętam?! Skąd pamiętam słowa, słowa bezlitosne i apodyktyczne:

– Masz być kolejarzem jak twój dziad i pradziad! Żadna szkoła w Szczytnie! Nawet o tym nie myśl!

Miałem więc i ja swoją mroczną przeszłość, której się wyparłem jak Piotr Pana Jezusa. Zatem i mój pradziad, jak antenat K., nosił w sobie piętno powstańców styczniowych. Byłem więc i ja zakładnikiem rodu, który mimo buntu w nastoletnim wieku i lat trudnej służby w roli policjanta musiał kiedyś wrócić. Wrócić do korzeni. Stąd ta ma pokrętna fiksacja koleją. Stąd grzebanie w danych: genach i biografjach kuracjuszy Turni. Odkrywana prawda biła wręcz po oczach. Jak oni to zręcznie urządzili. Ściągnęli mnie tu podstępem. A ja jak ten... jak ten... I nagle wszystko jęło układać się w całość. Byłem tutaj po to, rozdarty na pół, by odrobić czas stracony z innymi.

Pociąg gwałtownie zahamował. Zbudzony nagle, chciałem pędzić do wyjścia, bowiem zdało mi się, że to moja stacja, ale jak wspominałem, miałem nogi z waty. Za to ciągle w dłoniach trzymałem kasownik, którym obracałem z zawrotną prędkością, jak na zawodach

o palmę pierwszeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej. Pewnie z nerwów.

Świadek z mych horrorów wstał i spojrzął w okno.

– No i jest Radochów. Ja będę wysiadał.

– A dlaczego tu? – zapytałem wprost.

Spojrzął na mnie ciężkim, apatycznym wzrokiem.

– Nie da się w dwóch słowach... Dość powiedzieć, że czynię tu pokutę, znaczy na Cierniaku, poszcząc i się modląc nie dość, że za własne, to i za cudze grzechy. Byłem w swoim życiu łotrem i kanalią, zatem już po śmierci, jak pan wie: okrutnej, jestem tu za karę, odkupując winy. – Schylił się i swymi pustymi oczami zajrzał mi w głąb duszy. – Panie kapitanie, jam jest ten pustelnik, na którego padło pańskie podejrzenie w związku z aktywnością trójki konduktorów, tych ze sprawy „Pociąg”. Ale to nie ja. O dwóch pan już wie, a ten trzeci... trzeci...

Chciałem go zatrzymać, lecz powietrze przeszył gwizd lokomotywy. Pociąg się rozpędzał. Mój naoczny świadek szedł poboczem drogi, dopóki z niej nie zboczył, wchodząc w las pod górę.

Obudził mnie Emil.

– Wykolejasz się! W buciorach do łóżka, jak ostatni lump!

Rozdział XII

I PO JUWENALIACH

Rankiem po balu zapoznawczym w jadalni panowały pustki, choć świąteczne menu było wręcz królewskie po tygodniu wydzielania racji i serwowania potraw wątpliwej jakości, w sensie właściwości regeneracyjnych i daty przydatności do spożycia. W miejsce rozwodnionej zupy mlecznej z ryżem podano kakao w poszczerbionych dzbankach. Pachniało kiełbasą i jajecznicą na maśle. Masło na mój węch było sprzed dwóch lat. Ale... co tam masło.

Starszy pan zazwyczaj jedzący w milczeniu nagle uniósł głowę znad swej jajecznicy.

- Dzisiaj jest niedziela - rzekł, mrugnawszy do mnie porozumiewawczo.

- No jest. I co z tego? - skwitowałem krótko.

Utkwił we mnie oczy, w których płonął ogień.

- Zaraz po śniadaniu nasz przewodnik górski będzie zbierał chętnych - ciągnął zaczęty temat z nerwowym tikiem w okolicy ust. - Wie pan, na ten Cierniak. Ciepła kurtka, czapka i może pan iść. - W jego głosie brzmiała jakaś niecierpliwość, wręcz histeria, jak u nastolatka, który chce się pozbyć swych rodziców z domu, aby móc doświadczyć choć namiastki seksu ze swą młodocianą szkolną koleżanką.

Najeżyłem się. Jeszcze jeden będzie planować mi czas? Coś się za tym kryje? I jałem, posiłkując się logiką, łączyć pasmo faktów i wykorzystując schemat wnioskowania - na podstawie wiedzy ze

Szczytna – szukać poszlak. Ale szybko, znużony daremnością tego zajęcia, uznałem, że namolność starca jest wyłącznie próbą znalezienia wspólnej idei dla pokoleń: osiemdziesiąt i pięćdziesiąt plus. Tylko tym. Odetchnąłem więc i odparłem, patrząc w zaokienną aurę:

– Nie będzie wycieczki, bo zaczyna padać. Nikt o zdrowych zmysłach nie poleci w góry przy takiej pogodzie, nawet nasz przewodnik. Założymy się? Może innym razem... – dałem mu nadzieję, choć w obliczu swojej aktualnej wiedzy, po wyznaniu świadka, była to nad wyraz pusta obietnica. Po co bym tam szedł?

Lecz on ani myślał rezygnować ze mnie; z tego, o czym potem, po moim powrocie, zrobiłby się temat. Że pustelnik to, a w pustelni tamto... I czy dałem radę wejść na górę Cierniak, tak jak on, bez laski, no i bez zadyszki. Pewnie zaraz chciałby intymniejszych więzi i co z tym się wiąże: spacerów po parku, w trakcie których chciałby zwierzyć mi się z wszystkich swoich klęsk życiowych, z wszystkich prac i żon. Stary, biedny człowiek. Choć na dobrą sprawę nie bardziej niż ja, biorąc pod uwagę moją przeszłość.

Raptem wstał od stołu, przewracając kubek.

– Idzie pan czy nie?! – ryknął niespodzianie. – Chciał pan przecież iść!

Na szczęście kobiecina o rumianej twarzy szarpnęła go w dół za pasek od spodni, zmuszając, by usiadł, i udzielając mu jednocześnie reprimendy.

– Coś się pan tak czepił pana kapitana? Nie chce iść, to nie! Ja bym też nie poszła. Ani tam jedzenia, ani tam rozrywki. A pustelnik? Phi! Wielka mi atrakcja. Zabiedzone to, przed ludźmi się chowa... Może to deserter?

Starszy pan zmarkotniał. Mnie się też zrobiło jakoś niewesoło, ale niespodzianie w nasz podwójny żal wdarł się zwykły gwar, który w jednej chwili poprawił nam nastrój. W międzyczasie bowiem na śniadanie przyszli pospóźniani ludzie, każdy żądny plotek

o wczorajszym balu, przekrzykując się, jakby chcąc pokazać, kto potrafi głośniej.

- Widziała pani tę ruda, widziała pani?! O matko boska, co ona nie wyczyniała! - krzyczała jejmość w zielonej sukni. - Cycki na wierzchu. Brzuch goły. A jak kręciła dupa, jak didżej puścił *Bięłyje rozy!* - Jej oczy nagle zasnuły się mgłą nostalgii...

- Ta ruda to jeszcze nic. Ale ta stara? Ta z żyłakami, co brała się za młodego. - Przebiła ją druga, z mysim ogonkiem na karku.

- Jakiego młodego? Takich tam przecież nie było - wtrąciła się jeszcze inna.

- No tego, co siedział pod oknem, w czerwonej bluzie. Stawiała mu piwo za piwem. Pewnie go chciała upić. Pijany... Te sprawy... Wiadomo!

- Taa? Nie widziałam.

- To żałuj pani. Śmiał się z niej w żywe oczy, ale korzystał... ile wlaźło!

Trzech mężczyzn przy wyjściu przekrzykiwało się po swojemu.

- Panie, a wiesz pan, że z tego gościa, który mieszka ze mną, to pierwszy tancerz na sali. Dopiero się okazało. Ho, ho. Dał popis. Z trzema! - Nie mógł nadziwić się pierwszy.

- A ten, co chodzi tak wolno, wie pan, o kogo chodzi? - zawołał drugi. - To tak wywijał, tak fikał, aż się doigrał na koniec. Zgarnęli go zaraz z parkietu, na którym wywinął kozła, powieźli na SOR do Bystrzycy i tam do gipsu dziada. Moczyć go nie można, znaczy tego gipsu, zatem nici z wanien... Tylko lampy, masaż, krótko mówiąc: dupa!

- To jeszcze nic - zabrał głos trzeci. - Do jednej z drugiego piętra przyjechał jakiś zazdrosny, przylał jej na dzień dobry, spakował torby i do domu. Widziałem na własne oczy!

Emocje w jadalni urosły do tego stopnia, że kilku starszkom zrobiło się słabo, a wielu z braku oddechu sięgnęło po inhalator. Słuchałem tego wstrząśnięty. O czym oni mówią?! Wylegarnia

ogłupiających niusów poczyniała sobie w najlepsze. Sanatoriusze wrócą do domu, powtórzą to po wielokroć, aż w końcu sami w to uwierzą. Niektórzy nawet (o zgrozo!), nawet to opiszą. Kolejny kłamliwy, grafomański tekst powędruje w lud. Bowiem by mit wyjazdów do sanatoriów (w niezmienionej formie i w dobrej kondycji), mógł w narodzie przetrwać, trzeba go dokarmiać zbitką plot i łągarstwa, tudzież zwykłych bredni, którą społeczeństwo pielęgnuje w sobie jak relikwię. By nikt nie ważył się mówić, że sanatoria to marazm i martwota, relikw po komunie chylący się ku upadkowi, zmierzch i dekadencja – kiedy to wciąż tętniący życiem i wrażliwy organizm, twór wzbudzający wielość uczuć, jak żaden inny w branży usług prozdrowotnych w skali kraju. I raptem stała się rzecz straszna. Nagle i ja – i co gorsza, nie wiedząc, jak to się mogło stać – i ja uległem tej nieznośnie załganej narracji; w końcu i ja wstałem i zacząłem krzyczeć:

– A Roman, wiecie który? Ten w kapeluszu. Pół nocy gził się z Elżbietą! Wiecie z którą? Tą wielką i grubą z trzysta dwadzieścia jeden. A niby taka świętoszka, taka cnotka, myślałby kto! He, he, he... Ha, ha, ha... „Nie rusz mnie”, „nie dotykaj”. Trzymajcie mnie, ludzie, trzymajcie, bo zaraz tu pęknię ze śmiechu!

* * *

Lwią część niedzieli spędziłem w łóżku z bólem głowy. Dopiero około piątej udałem się na kolację, która toczyła się w ciszy, bo o czym tu jeszcze można było mówić? Wrażenia z zapoznawczego balu zostały wyczerpująco przedyskutowane, fakty połączone i rozłożone na czynniki pierwsze, plotki rozsiane, więc kuracjusze zajęli się prozą życia, popijając ciekawą herbatę lub mocząc w niej wyschłe bułki ze śniadania. Zofia otrzepała sweterek z okruszków i wypiąwszy pod nim swój wydatny biust, uśmiechnęła się.

– Smakowało panu? – zapytała z troską.

Czy mi smakowało? Miast zadawać mi kretyńskie pytania, niech mi lepiej powie, czy ten nędznik z busa jest jej mężem K. Niech się z nim nie cacka, tylko mi go wyda dla swojego dobra, zanim ją oskarżę o współudział w zbrodni. Czy jej nie jest wstyd mieć za męża kogoś, kto bez drgnienia powiek uczestniczył w zbrodni obcinania głowy i to kasownikiem, może i niejednej, niewinnej ofierze? Niech mi lepiej powie. Bo i tak się dowiem, nim się skończy turnus i nim prosto z Turni trafi do aresztu.

- Dzięki za troskliwość, droga pani Zofio - rzekłem, krzywiąc się - ale czy naprawdę nie ma innych spraw wartych omówienia? Choćby i z przeszłości, pani i małżonka, który, jak przypuszczam, żyje w dobrym zdrowiu. A tak à propos: gdzie on teraz jest? - rzuciłem znienacka i zawiesiłem wzrok na jej wargach, które wnet zadrżały w hamowanym śmiechu.

- A pan wciąż to samo! - zawołała w głos. - A pan wciąż o mężu. „Gdzie on teraz jest”? Czemu pan nie spyta, czy go w ogóle mam? A nawet jak mam, co też nie jest pewne, to skąd ta ciekawość? A jak jednak mam, może być gdziekolwiek. Może być na dworcu (chodzi tam na bigos i pierogi ruskie), może być w kościele albo poszedł spać. Może być i tu.

Miałem wrażenie, że od kiedy zaczęła nosić ten swój sztuczny biust, nabrała jakiejś swoistej pewności siebie, na którą nie miały wpływu ani jej ubrania w niezmiennie tych samych szaro-burych barwach, ani moje częste działania zaczepne. Powiedziałbym nawet, że w ostatnich dniach zyskała jeszcze na poczuciu humoru, nie mówiąc o tym, że bez wybrzydzenia jada, co podali. Zatem trudna sprawa. Zdradzić się nie mogłem, że wiem o niej więcej (nawet o przeszłości), niż to pokazuję, infiltrując wszędzie, wszędzie gdzie się da, w nielegalny sposób. W tych okolicznościach, nie mając pomysłu, jak by tu ją podejść, nadałem się:

- Z panią zawsze tak!

Roześmiała się teraz na całego.

– Oj tam, oj tam, oj tam!

Minęła kolacja, a ja nie spotkałem żadnej z moich mojr. Trzeba iść zobaczyć, co tam się znów dzieje – pomyślałem w końcu.

– Można do was w gości? – krzyknąłem od drzwi, wyjmując zza pleców małą bombonierkę, których w razie czego miałem zapas w szafie. – Czekam przed stołówką, wypatruję oczy, a wy sobie w łózkach. Co to, znowu strajk?

Bożenka od razu odwróciła się do mnie plecami.

– Tylko bądź pan cicho, bo ja będę spać – mruknęła spod koca.

Urszula z ołówkiem, pewnie w wienie twórczej, nawet nie zauważyła mojej obecności. Prawie jak Elżbieta do której akurat przyszedł esemes. Ktoś na moim miejscu, ktoś, kto tylko stał koło policjanta, w takiej sytuacji pewnie by się z miejsca poczuł obrażony. Ale nie oficer z policyjnym stażem, który czasem gorsze ludzkie nieobycie musi wziąć na klatę w ramach czynności operacyjnych.

– Zrobię sobie kawę do tych czekoladek – rzekłem, biorąc czajnik.

Wnet z gorącą kawą zasiadłem za stołem, obserwując dymki nad głową poetki, która w międzyczasie stanęła przy oknie, patrząc na fontannę z moknącym na deszczu gipsowym aniołkiem, który jej przypomniał ostatnią drogę jej męża. Tamtego dnia też padało, tyle że podówczas była pełna żalu, a nie jak w tej chwili: w różowym humorze. Bowiem żal po Leszku zasadniczo stępiał w konfrontacji z wizją odmiany jej życia. Za myślą poszedł ruch ręki w stronę telefonu. Może jednak później – rozmyśliła się. Potem znów wskoczyła z zeszytem do łóżka i wśród utyskiwań, stęków oraz jęków wzięła się za ostrą selekcję utworów. Stos wyrwanych kartek rósł w szalonym tempie. Serce jej krwawiło, gdy przedarła na pół skrajnie ekstremalną – znaczy z takim tekstem – i westchnęła z ulgą. Chcąc wydać wiersze z okazji kolejnej rocznicy śmierci męża, musiała się sprężyć, by nadrobić straty. Bo później warunki, przy jej braku szczęścia, mogły znów się zmienić na niesprzyjające. A los na parszywy. Trzeba działać szybko, nim więź z redaktorem przejdzie do historii. Z jego kuratelą

wyda pierwszy tomik, no a potem szlus! Koniec tej żałoby! – Aż się przestraszyłem, śledząc tok jej myśli. Z trudem osiągnęła pożądany stan, aż na kartce wreszcie zjawiły się wersy, których przekaz był, jak na moje ucho, nie do końca spójny.

*Włosy z warkoczy żalobnic puszczone luzem na wietrze
Jak nicią, jak pajęczyną oploty jesienny pejzaż z lasem
spróchniałych krzyży*

Oczy żalobnic jak stare dziuple są ociemniałe, puste

Ale ich serca – wciąż żywe, biją na rewolucję

Wystarczy! – tłuką się zgodnie. Dosyć już łez i spazmów

I starczy śmierci za życia

A jak wam wciąż jest za mało

To idźcie i się powieście!

Zeszyt wysunął się z rąk poetki. Ten wers, ta zwrotka... Całość bez zarzutu. Ani jeden bluzg. Czyżby wyzdrowiała? Zastłona okienna zafalowała... Ktoś chciał stamtąd wyjść? To zwid – odetchnąłem. Także Urszula, jakby wielki ciężar spadł jej raptem z piersi, sięgnęła do telefonu, lecz ubiegł ją ostry dzwonek.

Elżbieta wrzasnęła z łóżka:

– Wyłącz to, bo zwariuję! *Ars poetica* za dychę, walnięta muza!

– Pani zachowanie osiągnęło dno – rzuciła Urszula przez zaciśnięte zęby. – Nie życzę też sobie „tykania”. Nie piłam z panią bruderszaftu.

Telefon wciąż dzwonił, wyświetlacz naglił: „Dzwoni Jacenty, odbierz”.

I jakby w końcu do wdowy dotarł ten fakt; wyskoczyła z łóżka, niemal w pełnym biegu zakładając kapcie z przydeptaną piętą. Aż zrobiło mi się głupio i nieswojo. A to z racji czego? – skarciłem się z miejsca. Bo co? Bo jest wdową? Czy z tego powodu ma trwać we wdowieństwie do usranej śmierci? Nosić wdowi strój? Pisać wdowie

wiersze i wdowie powiastki? Ależ ze mnie kołtun. Byleby jej tylko nikt nie zrobił krzywdy – pomyślałem jeszcze – kiedy zaczniesz zdrowieć, i to na całego, odurzona życiem w jego lepszej wersji; jak ten chrabąszcz w maju, leżący na plecach z podbrzuszem na wierzchu, które dziobie ptactwo, a on sobie macha krótkimi nóżkami jakby nigdy nic, ciesząc się, że wiosna.

Wyskoczyłem za nią, gdy zniknęła w drzwiach, krzycząc do słuchawki:

– Jesteś tam, Jacenty? Jeszcze raz mnie wnerwi, mówię o Elżbiecie, wezmę i zabiję!

Głos Olecha zabrzmiał w pustym korytarzu.

– Jestem, jestem, jestem... Ale już się nie złość, jakoś to wytrzymasz. A zmieniając temat... Piszesz? Czy marnujesz czas, czekając na wenę?

– I tu cię zaskoczę! – zawołała w głos, czerwieniąc się z dumy. – Właśnie tyle, co napisałam wiersz. W moim przekonaniu całkiem przyzwoity. Przejrzałam też zeszyt i powiedzieć „wstyd mi!” to nic nie powiedzieć.

– Jaki wstyd? Kobieto! Ludzie w swym cierpieniu zdolni są do czynów, jakich świat nie widział; wpadają w odmienne stany świadomości albo w komfort psychoz czy innych urojeń. Twoja skłonność przy tym może być, jak już, lekką anomalią. Sądząc po objawach, myślę, że najgorsze właśnie masz za sobą. Ani się obejrzyysz, będzie po żałobie.

Wątek śmierci męża chyba ją już męczył, bo zmieniła temat.

– A możesz powiedzieć, o czym tak żarliwie gadałeś z kaowcem, jak czytałam wiersz? Znalście się wcześniej?

Cisza z tamtej strony była sugestywna. Znałem to aż nadto z konfrontacji śledczych, gdy załganym typom nagle zapalała się w głowie lampka ostrzegawcza, że trzeba uważać, by nie powiedzieć za dużo. Czułem też przez skórę, że nagła aktywizacja Urszuli nie jest Jacentemu za bardzo na rękę, biorąc pod uwagę fakt, jak łatwo

manipuluje się ludźmi oderwanymi od rzeczywistości jak ona. A już kiedy zamiast z miejsca odpowiedzieć, co i jak tam było, i zaczął od: „Hm, jak by to powiedzieć” – wiedziałem, że łże. Z jego ust płynęło jedno wielkie kłamstwo:

– Poznałem go tutaj, na kiermaszu książki. Ze trzy lata temu. Naczelnym mnie wysłał, bym zrobił reportaż o człowieku stąd, który niczym wieszcz, siedząc na prowincji, nie oszczędza sił, dwojąc się i trojąc, by w otumanionym, ongiś mało karnym społeczeństwie polskim obudzić ducha z *Wesela*.

Urszula słuchała go jednym uchem.

– Dobra, duch, rozumiem – rzekła niecierpliwie. – Ale ja bym bardziej, bardziej chciała wiedzieć, czy choć słowem wspomniał o moim występie. Mówił coś czy nie?

I znów jak poprzednio usłyszałem przerwę. A po chwili to, zabarwione złością:

– Czemu tak naciskasz? Nie wystarczy ci, co ja o tym myślę? Nie dowierzasz? Sprawdzasz? Słucham. Proszę. Mów!

– A, bo pomyślałam... – zająknęła się. – Ale nic, już nic. Miałaś dzwonić wcześniej – szybko zmieniła temat, strwożona własną obcesowością.

– Wszystko przez ten postęp! – W głosie Jacentego usłyszałem ulgę. Raźniej ciągnął dalej: – Dawniej pchnąłbym konie i już po dwóch dniach miałabyś wiadomość. Że padł mi telefon, a czart pod ogonem ukrył ładowarkę. – Zaśmiał się prostacko ze swojego żartu. – Właśnie ją znalazłem.

Mógłby to być Leszek? W głowie Urszuli zjawił się obraz męża jako szatańskiej siły, broniącej komórce Olecha dostępu do źródła prądu.

– Nie mów! A gdzie była? – zapytała szybko, chcąc zapewne zatrzeć fatalne wrażenie, które mogła zrobić na swym impresario z racji swego wścibstwa.

Odpowiedział lekko, ciesząc się na zwrot w meandrach jej myśli.

- W kieszeni panterki, a przeszukałem je wcześniej wszystkie. Nawet po kilka razy! - I z namysłem dodał: - Jakby ktoś się zakradł do mnie na kwaterę i podłożył ją, choć najsamprzód ukradł... Hm... Naprawdę... Hm... Ale to już przeszłość. Wracając do dziś. Zaraz, za pięć minut, wracam do Wałbrzycha. Jutro skoro świt muszę być w redakcji.

Głos Urszuli zadrżał, kiedy zapytała:

- Jak to do Wałbrzycha? Mieliliśmy się zająć moimi wierszami: co i jak do druku, a co do poprawki...

- E, no... moja pani... A skąd te pretensje? Przecież ja pracuję.

Mógłbym pójść o zakład, że się zdenerwowałam, ale on w te pędy rzekł weselszym tonem:

- Wynalazek Bella, mówi ci to coś? A nawet gdyby pojawił się jakiś problem, ot choćby z zasięgiem, pomyślałem i o tym. W czytelniku jest faks. Zatem w razie „w” pójdziesz do kaowca, on przekaże faksem, co tam będziesz chciała, ja odbiorę w pracy i będzie po sprawie. A tak à propos... I tak w warunkach twojej kuracji nasz wzajemny kontakt to za przeproszeniem jak jakiś tor przeszkód. Bo na przykład właśnie zbierasz się na zabieg albo siedzisz w wannie. Albo jakimś cudem jesteś u siebie w pokoju, ale nie da rady swobodnie rozmawiać... Tak jak teraz...

- No tak, no tak... - zgodziła się z jego argumentacją. - Nie da się zaprzeczyć. W końcu to kuracja, nie gorąca linia. Ale w weekend będziesz? Może w międzyczasie zdążę coś napisać... Zresztą jakie „może”? Kiedy wena jest, nie może być „może”!

- Pewnie, że przyjadę, przecież obiecałem! Przejrzę też te wiersze, może trzeba będzie coś poprawić, zmienić... Zresztą zobaczymy... Ale teraz biegnę, bo mi bus ucieknie.

- Biegnij, tylko błagam, uważaj na światłach! - wykrzyknęła jeszcze w głuchą już słuchawkę i bez sił opadła na pobliski fotel. Wkrótce nad jej głową zjawiły się dymki, z których wyczytałam jasno i wyraźnie, skąd w niej ta troskliwość. Że nie ma to związku

z wartością samą w sobie, jaką jest każde ludzkie życie, ale bardziej z lękiem o życie tego mężczyzny. Że wraz z jego śmiercią skończy się jej sen. Póki więc nie ujrzy zbioru swej poezji we witrynach księgarń wszystkich większych miast, będzie nad nim czuwać niczym anioł stróż. O święta naiwności! – westchnąłem i wróciłem do pokoju. Nie, żeby dopić zimną kawę, ale – kierując się interesem Ilony – przekonać Elżbietę do zmian w jej ostrożnej, niemniej samobójczej (tak jej to przedstawię) grze o ślub z Romanem. Niech już w końcu pójdą ze sobą do łóżka, niech już to się stanie, aby się bidula (mówię o Ilonie) dłużej nie szarpała. Niech już jej nie męczą czarne scenariusze, że jej własny facet śpiewa serenady tyle co poznanej, w końcu obcej babie, nie śpiąc i nie jedząc. Niech wie, że ją pieprzy tak jak każdą inną, jakakolwiek by była, byle była chętna.

– Nie to, bym namawiał kobietę do grzechu – zagaiłem wnet, przysiadłszy na łóżku Elżbiety – ale, pani Elu, widzę to wyraźnie, że ten pani kurs w relacji z Romanem wiedzie panią wprost drogą na manowce. To nie z tym mężczyzną takie babskie gierki. Takie fiki miki, jak u nastolatków. To jest pies na baby. Rasowy i ostry! Myślę że wystarczy już tej kwarantanny, bo się chłopu znudzi i poszuka innej. Widzi pani przecież, jak się przymilają, jak czekają tylko na fałszywy krok, tak, tak, z pani strony, no bo co tam jemu... Wczoraj go widziałem na balkonie w majtkach, jak do takiej jednej machał zza chorągwi, która wciąż tam wisi od państwowych świąt i zza której często obserwuje podjazd, gdy podjeżdża bus. Ja na pani miejscu zmieniłbym taktykę, a i może z raz zwolniłbym hamulec, niech chłopina wie, czego się spodziewać. Nie zna pani mężczyzn? Radzę to przemyśleć, a nie potem płacz i zgrzytanie zębów.

Gdy zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem, ucieszyłem się. Teraz ją zostawię. Teraz niech pomyśli i wyciągnie wnioski z mojej lekcji życia. Byle szybko.

Rozdział XIII

KIEDY SIĘ ŚCIEMNI, WSZYSTKO SIĘ WYJAŚNI

Kolejny dzień zmarnowałam w łóżku, wpatrzona tępo w ekran telewizora, który przyniosłam z piwnicy i postawiłam w sypialni. „Na francuskim wybrzeżu morze porwało starsze małżeństwo spacerujące deptakiem wzdłuż plaży. Silny wiatr osiągał tam prędkość nawet stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a fale sięgały pięciu metrów wysokości. Zginęli oboje” – przeczytał z promptera prezenter *Faktów* i przeszedł do dalszych wydarzeń. Zamknęłam oczy, by odpocząć, gdy nagle pod powiekami, zamiast ciemności, ujrzałam wściekłą, cofającą się na otwarte morze, bryzgającą pianą falę, na której grzbiecie szamotała się para staruszków. Śledząc ich zmagania, myślałam leniwie, czy uda im się połączyć dłonie przed pójściem na dno i jak by to miało wyglądać, patrząc z technicznej strony. Interesująca też dla mnie była temperatura ich związku. Czy po półwieczu wspólnego życia, według moich założeń, przetrwała w nich wola okazywania sobie nawzajem uczuć? Nawet w ostatniej godzinie i tak ekstremalnej sytuacji? „Gdzie ty, Gajuszu, tam i ja, Gaja...” A może tkwili w małżeńskiej zgniliźnie, czekając już tylko każde z osobna na śmierć, jak ja i Roman w naszym związku?

Pamiętam, jak będąc na pierwszych wspólnych wczasach w Dąbkach, wbiegliśmy razem do morza, trzymając się za ręce. Nie bacząc na wyjątkowo zimną tego dnia wodę, jęłam dokazywać, oplatać Romana rękami i nogami nie tyle jak morski potwór, ile bałtycka

syrena, żeby go wciągnąć w odmęty. Udając, że się topię, wieszalałam mu się na szyi, chlapiąc mu w oczy wodą z solą morską. On zaś udając, że się dobrze bawi, znosił to jakiś czas, nim w końcu oślepiiony słońcem i wodą zalewającą mu twarz odepchnął mnie najwyższym wysiłkiem i ledwo dotykając gruntu czubkami palców, uciekł na plażę jak niepyszny. Kilka godzin później, pod osłoną nocy, zdradził mnie z kelnerką z pensjonatu obok, o czym już w południe następnego dnia jęły ćwierkać wróble z bliższej i dalszej okolicy. Podobno musiał odreagować stres, którego doświadczył za moją sprawą, walcząc o życie wśród fal. Już wówczas obarczał mnie winą za wszystkie swoje grzeszki i niepowodzenia. „Bo gdyby nie ty...”, „To przez ciebie!”... I tak dalej. Standard.

Służyłam mu za chłopca do bicia. Lecz na przekór temu byłam przekonana, że jest między nami niezwykajna więź. Ja się przeglądałam w jego neurotycznych, wylęknionych oczach, on zaglądał w moje, czarne od rozpacz. Dwa osobne ciała, jeden wspólny mózg. Byliśmy parą szukającą schronienia. Na wszelki wypadek lądującą w każdej spelunie, w każdym zalatującym stęchlizną bunkrze czy strychu z odorem zalegających tam warstw kurzu i wyschłych na wiór odchodów ptaków. Bo nigdy nie było wiadomo, z której strony zaatakuje to przerażające uczucie trwogi i zaczniemy krwawić aż do wykrwawienia, do trupiej bledkości naszych ziemskich powłok. Oto nasza więź, trwalszej darmo szukać. Niemniej od przygody Romana na czasach wątek słodkowodny z morskim dla odmiany przewijał się często w moich snach i myślach, w rozmaitych scenkach i konfiguracjach. A to jak go topię w naszej małej wannie, podawszy mu wcześniej środek nasenny, a to jak zapraszam na spływ rwącą rzeką, zawierając wcześniej układ z flisakami, by doprowadzili do kolizji tratwy z wystającą z nurtu rafą z otoczków. Ja, jak się należy, w bezpiecznym kapoku, on: „A kto mi każe!” – no bo jakże to? Chłop na schwał, wiadomo, prawdziwy lew morski, w sprzeczce ratunkowym jak jakiś tchórz i histeryk?

W telewizorze zaczął się blok reklamowy: olej z pierwszego tłoczenia, podpaski i banki. Kto by to oglądał? Ale przełączyć na inny kanał... Komu by się chciało. W zasadzie nie chciało mi się nic prócz obmyślenia najbardziej nieprawdopodobnych rodzajów śmierci, w których ginie Roman, a razem z nim wszystkie moje rojenia o krainie szczęścia, którą według jego karkołomnych tez „utraciłam w pełni na własne życzenie”. Ostatnio pod wpływem opowieści Rozalii o statku i latarni morskiej dla odmiany przerzuciłam się z wodnego trybu zemsty na Romanie na piekielny, w ogniu. W końcu to też żywioł, jeden z czterech. A śmierć? Bardziej bolesna czy mniej? Będzie mógł i chciał, opowie mi o tym zza grobu. Albo... Zaraz, zaraz... Sprawdzę to u źródła – przypomniałam sobie, że każdemu z czterech żywiołów odpowiadają trzy znaki zodiaku. A u Lwa to jak? Sięgnęłam po laptop. A więc jednak... Ogień.

„Kiedy się ściemni, wszystko się wyjaśni” – słowa starego marynarza z historii Rozalii zabrzmiały mi uszach jak zew, wezwanie do bezzwłocznego działania. Latarnia, owa „gwiazda zaranna” żeglarzy, pulsując światłem w ciemnościach, bezbłędnie wskazała mi kurs. Kuchnia, lodówka, spirytus. Później stanęłam nad śpiącym Romanem z butelką pełną łatwopalnej cieczy. Dłoń swoim zwyczajem miał wciśniętą w krocze, po „innych czynnościach seksualnych” z Elżbietą. Komórka leżała obok. Mogłam z nią zrobić, co chciałam. Mogłam ją nawet zniszczyć. Ale nie miało to już znaczenia. Już nie. Smród alkoholu uderzył mnie w nozdrza. Bulgot towarzyszący lejącej się z flaszki substancji podkreślił wydzwięk tej chwili. Spirytus wsiąkał w kanapę, w koszulę Romana i majtki. Padła komenda z mostka:

– Podnieść kotwicę!

– Jest! – odpowiedziano z dziobu.

Zostało tylko się schylić i wprawić kciuk w ruch, co zrobiłam. Trzask zapalniczki. Błysk. I wszystko zajęło się ogniem.

Kiedy się ocknęłam po finale zbrodni, której dokonałam w swej imaginacji, w głowie miałam zgliszcza i kompletny chaos. Zatem tak się kończą sny o namiętności. I o wielkiej sprawie, jaką jest entuzjazm, i klapki na oczach w destrukcyjnym związku, który pewnie wkrótce przyjdzie mi odcierpieć. Tak się dzieje zawsze, gdy uzależnienie od obiektu uczuć w całej rozciągłości – od euforii, ognia aż po czarną rozpacz – bierze się za miłość. Tak się kończą sny, którym brak logiki. W których więcej chciejstwa niż oleju w głowie. A co do tych zbrodni... Gdyby każda myśl, każda moja myśl i rachunek zysków chciały się przełożyć na realny efekt, Roman byłby trupem już niejednym raz. Już niejednym raz gryzłby piach od spodu. A ja po tym fakcie gniłabym w więzieniu. Tyle że nie każdy zdolny jest do zbrodni z zimną kalkulacją, spoglądając w twarz wybranej ofierze. Choć i tacy są. Ale mówią też, że gdy czynnik sprawczy sięgnie apogeum, każdy, bez wyjątku, mógłby to uczynić. Zabójstwo w afekcie... Stare jak ten świat. Czyli, co? Wzburzenie, detonacja uczuć i śmiertelny cios! Wyteżyłam pamięć, by przypomnieć sobie więcej o afekcie. Z różnych publikacji, które miałam w ręku, wyłaniał się obraz tego stanu uczuć jako wręcz eksplozji o potężnej sile skutkującej utratą kontroli umysłu nad zachowaniem. Wszystko ładnie, pięknie, tylko jak dać upust wszystkim tym uczuciom, zamrożonym we mnie pod postacią małży, by je wreszcie poczuć, poczuć każdym nerwem, jak ostatnio wstyd w mojej małej wannie? By mną potrząsnęły, niszcząc we mnie wszystko, co nieautentyczne: wszystkie moje maski, pozy i preteksty. Tylko jak to zrobić? Jak to zrobić? Jak?

Tymczasem Roman nie spieszył się z wyprowadzką. Był u mnie zameldowany, więc póki sprawował się dobrze, nie mogłam nic zrobić w tej sprawie. Miałam nająć zbirów? Zrzucić go ze schodów, a za nim walizki, jak to się robi w filmach? Nie no, bez przesady. Złorzecząc chwili przed paru laty, w której mnie namówił do tego meldunku, we własnym domu żyłam z dnia na dzień niczym zaszczute zwierzę, mając za azyl sypialnię. Dwa obce sobie istnienia ludzkie w jałowej

próżni przepołowionej ścianą. „Traktują cię tak, jak na to pozwalasz” – czyjaś życiowa mądrość tłukła się w mojej głowie. Ale nie byłam w stanie sprawić, by w końcu wziął swoje rzeczy i raz na zawsze zamknął za sobą drzwi. Raz wykrzyczałam mu w twarz:

– Długo tu jeszcze chcesz siedzieć? Do kochanicy! Won!

Mój piskliwy głos ociekał śmiesznością, jak u aktorki ze spalonego teatru w zawstydzającej scenie... zazdrości? Upokorzenia? A słowa brzmiały prostacko, jak i ja sama w całej tej historii. „Do kochanicy! Won!” – a co to za tekst, kto tak teraz mówi! Ależ jestem głupia – urągałam sobie. I było to wszystko, na co było mnie stać, gdy tymczasem Roman śmiał mi się prosto w twarz.

– Ilona... Mówiłem ze sto razy. Elżbieta to koleżanka.

Czułam się jak w Matriksie. W schizofrenicznej matni. To jakby złodzieja złapać za rękę, a on przysięgnie na wszystkie świętości, że to nie jego ręka. Czy jak w tym żarcie o Stirlitzu i pomarańczach, do którego Roman często lubił wracać, kiedy sobie wypić:

Zebranie w gabinecie Hitlera w ścisłym gronie zaufanych. Drzwi się otwierają, wchodzi oficer z tacą pomarańczy, stawia na stole, zabiera tajną mapę i wychodzi.

– Kto to był? – pyta Hitler.

– *Standartenführer von Stirlitz z wydziału Schellenberga. A tak naprawdę radziecki szpieg Isajew.*

– *Dlaczego go nie aresztujecie?*

– *Nic to nie da, znowu się wykręci! Powie, że przyniósł pomarańcze.*

Czy jak w tej grotesce z puli kiepskich żartów o niewiernych mężach:

Mąż wraca o trzeciej nad ranem do domu pijany. Szminkę ma na koszuli, sprawa jest jasna, wiadomo, o co chodzi. Ale gdy żona, w zasadzie pro forma, zapyta: „Gdzie byłeś?”, on wzruszy ramionami i odpowie: „Jak to? Całą noc przesiedziałem tutaj w fotelu”.

„Nie mamy pańskiego płaszcza, i co pan nam zrobi?” – mówił szatniarz w *Misiu* do osłupiałego ze zdumienia Tyma. „I co pan nam zrobi?” – no właśnie. Na tak postawione pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

Miotając się po mieszkaniu, chwilami bliska obłądu, szukałam czegoś, byle czego, co by mi pomogło w zrozumieniu tego, dlaczego Roman zwlekał z wyprowadzką. Jakiś powód był, bowiem Roman nigdy nie robił niczego ot tak sobie. Aż wreszcie przyszedł ten dzień. Pod koniec września wpadło mi w ręce pismo z jego zakładu pracy, gdzie czarno na białym było napisane, że Roman taki a taki z nastaniem nowego roku na własną prośbę odchodzi z pracy na wcześniejszą emeryturę. A więc to tak. W końcu jakiś konkret.

Wieczorem, gdy drzemał w fotelu, szarpnęłam go za koszulę.

– Chciałeś tu dociągnąć do nowego roku dla tych paru groszy?! – zawołałam z furją. – To się leczy, chłopie! Torby są w pawlaczu!

Zeszło trochę czasu, zanim się obudził.

– Chcesz mnie stąd wyrzucić? – rzekł, kierując na mnie przekrwione spojrzenie. – A jak to chcesz zrobić? A zresztą, odliczając urlop, to nawet nie trzy miesiące, tyle mnie jeszcze ścierpisz. I tak śpię tutaj – rzucił na koniec i nucąc, tanecznym krokiem wyszedł z salonu jakby nigdy nic.

Z bezsilności jęłam obgryzać paznokcie. Po chwili z kuchni dobiegł mnie odgłos wlewanych do miarki płynów – toniku i spirytusu w stałych proporcjach, pół na pół. Tak jak lubił.

Późnym wieczorem, nie mogąc zasnąć, liczyłam owce, a kiedy byłam przy drugiej setce, drzwi do sypialni skrzypnęły i zapaliło się światło. Prześwit w opuchłych powiekach, kryjących moje palące z bezsenności oczy, pozwolił mi ujrzeć palec Romana wycelowany w łóżko. Głos niechcianego gościa wskazywał na stan nietrzeźwy, w umiarkowanym stopniu. A słowa zabrzmiały tak, jakby chodziło o zakup węgla albo kartofli na zimę.

– Możemy pogadać, słonko?

Uniosłam głowę z poduszki.

- Pogadać? O czym tu jeszcze gadać? Miałeś się pakować.

- A ja akurat w tej sprawie – rzekł pojednawczo, jakby nigdy nic. – Pogódźmy się lepiej, zostawmy te głupstwa. Bo musisz wiedzieć, że jak bym stąd poszedł, to już nigdy bym tu nie wrócił. Choćbyś mnie potem błagała, choćby i na klęczkach. To moja pierwsza zasada w związkach.

O czym on mówi? Pogodzić się...? Matko! Zasady w związkach? To już naprawdę szczyt szczytów! Co on ma w głowie, by przyjść z czymś takim po tym wszystkim? Ileż w tym chłopie wyrachowania! Ileż zgnilizny i bagna!

- Pogodzić się? Zostać? – Nabrałam oddechu. – Wynos się w końcu, bo tracę cierpliwość. Już teraz brakuje mi sił.

Spojrzałam na jego raptem pobladłą twarz, na usta skrzywione w grymasie złości. I na to, jak przygryzł chudego wąsa à la Clark Gable, o który dbał regularnie. Patrzyłam na koszulinę w kratę i widoczne spod niej sprane majtki z targu. I nagle ogarnął mnie pusty śmiech. Nie przestałam się śmiać nawet wtedy, gdy usłyszałam, jak popędliwie, cienkim dyszkantem wyrzuca z siebie fontanny słów. Jak mówi, że było mu ze mną wygodnie, bez fochów i zobowiązań. I że oszczędził przy mnie pieniądze, za które kupił full akcji. Full! Dalej wykrzyczał mi prosto w oczy, że o miłości to mogę sobie pomarzyć albo poczytać w romansach. I jeszcze o tym, że w sanatorium nigdy, ale to nigdy nie zwróciłby na mnie uwagi. Nawet przed laty, gdy byłam młodsza. Nawet gdybym tam była jedna pośród setki mężczyzn. Śmiech powoli zamierał mi w gardle, a w to miejsce jak w marnej tragikomedii zjawily się łzy, lecz nim się polały na dobre, wróciła wesołość. Już z przedpokoju dobiegł mnie pełen wściekłości głos.

- Pójdę stąd wtedy, kiedy będę chciał!

- Będzie to prędzej, niż myślisz! – rzuciłam za nim przez łzy.

Wskazówki zegara stanęły na drugiej w nocy. O takiej porze na świat przychodzą demony, te z najwyższego rzędu. Anioły śmierci.

Zwiastun zbliżającego się końca w postaci dojmującego chłodu dotknął mnie przed godziną, gdy za Romanem zamknęły się drzwi sypialni. To trzeba mieć tupet! Co za arogancja! Ale niech nie zaciera rąk, nie napawa się triumfem pośród nadętych póż i inwektyw, bo to, co przez lata jak miecz Damoklesa tylko nad nim wisiało, stanie się naprawdę. Jeszcze się cieszy życiem, jeszcze nie widzi niebezpieczeństwa, bo nawet mu na myśl nie przyjdzie, że dla mnie już śmierdzi, i to z daleka, trupem. Jakby to odnieść do polityki – bo ta najbardziej kojarzy mi się z rozkładem moralnym i śmiercią – szef partii, prominent polityczny, otrzymujący śmiertelny cios od suwerena za swój niedopuszczalny błąd nie upada od razu, jak aktor przebity drewnianą szpadą na teatralnych deskach. Zgon odłożony jest w czasie. Agonia trwa tygodniami, czasem wydłuża się o miesiące. Trwa i trwa, nim do przybocznych wodza nie zacznie docierać, że już po sprawie, że ich mistrz suspensu, wieloletni lider śmierdzi już od dawna politycznym trupem. Tak jak teraz Roman, który umarł dla mnie w sposób ostateczny po powrocie z Łądką. Śmiertelny cios zrazu nie wygląda na kończący. Delikwent wciąż czuje się mocny. Odgraża się, walczy. Zalewa popółstwo propagandą i czerpie radość ze słupków, bo na początku wskaźniki poparcia wcale nie spadają. Wyborca jest zdezorientowany. Ludzie nie są do końca pewni, komu wierzyć. Na wszelki wypadek zatem nie wierzą też świadkom, taśmom i fakturom. Nawet własnym oczom. Ale po jakimś czasie, gdy sprawa pozornie przysycha, nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, obraz nabiera ostrości i odżywa, i wszystko jest raptem oczywiste, kto, co, z kim i za ile. I dopiero wtedy nasz aktor upada na scenę i zastyga w bezruchu. Roman nie ma już wiele czasu...

Sygnał esemesa przerwał moje myśli: „Numerologia nie kłamie! Nadciąga katastrofa. Ciąg liczb ułożył się w SKRYPT. Podam go w pierwszym SMS. Odpisz teraz!”

Do rana leżałam bezsennie. Przewracając się z boku na bok, w stanie wzmoczonego wysiłku umysłowego, który nie pozwala zasnąć,

a zarazem wskutek nieznośnego kręcenia się w kółko jest jakby snem na jawie, szukałam wyjścia z tej nieznośnej matni, w której się znalazłam na własne życzenie. A przecież już Sartre mówił, że piekło to drugi człowiek. A jeszcze inny filozof, że świadomości siebie uczymy się w związkach z ludźmi, tyle że na koniec ta świadomość sprawia, że bliższa relacja z drugim człowiekiem staje się nie do zniesienia.

Za oknem zaczęło się życie. Trzepot skrzydeł ptaków lecących na żerowiska mieszał się z gwarem ulicy z tyłu skweru. Podnosząc się łóżka, pomyślałam ciepło o moim czarnym gołębiu. Przez ostatnie dni przylatywał sam, bez swej ukochanej w biało-szare plamki, rządząc na „wybiegu” z jeszcze większą pasją i zapalczywością. Niechby choć spróbował się tam inny ptak, wnet robił się krzyk i leciały pióra. Jego zachowanie stało się nerwowe i nieracjonalne. Gdzie jest gołębica? – zamartwiałam się, łącząc te dwie sprawy. A przy okazji: dlaczego ludzie tak nie lubią gołębi? Człowiek powinien być pełen podziwu dla tych ptaków – które dzięki swojej łatwo dającej się zauważyć bystrości i inteligencji tak dobrze radzą sobie w mieście – a nie je zwalczają. Dlaczego wciąż słyszę: „Od rana to cholerne gruchanie!”, „Szczury, wstrętne szczury!”, „Wiedziecie jak po czesku nazywa się gołąb? – He, he, he, he, he! – Dachowy zasraniec!”. A przecież gołąb to symbol miłości i spokoju, zwiastun dobrej nowiny. Gołąbek pokoju, gałązka oliwna... Cnoty ewangelii. Jak więc to się ma do pomstowań wiernych na wysłańców Boga?

Dwóch „wczorajszych” typów z ławki obok skweru zaczęło mędrkować, kiedy z torbą ryżu przystanąłam w oknie.

– Gołąb, proszę pana, to taki, mniej więcej, latający szczur! Wie pan, co jest sensem ich durnego życia? Żreć patologicznie i rozmnażać się! – rozdarł się idiota w czapce w kratę z daszkiem. – Zaraz któryś z nich nasra nam na głowę.

Drugi w ortalionie, skopiowany żywcem z lat siedemdziesiątych, zadarł głowę w górę i z namysłem rzekł:

- Kiedyś, panie dzieju, pełnił ważną rolę, dostarczając wieści o ruchach wojsk wroga na frontach pierwszej wojny światowej. Ale już przeszłość. Teraz robią w mafiach, tych narkotykowych, przemycając prochy w paczkach na swym grzbiecie. Sporo ich złapano, jak w najlepszej wierze szmuglowały towar do zakładów karnych. Albo są - te białe - według nowych trendów ślubną dekoracją u nowobogackich. By weselnym gościom, sprawnie i „na szczęście!”, zrobić zrzut na głowę. Taki nowy zwyczaj.

Typ w kraciastej czapce sięgnął do swej torby, z której wyjął „małpkę”.

- Żeby nie głupota i nieostrożność w kontaktach z ludźmi - rzekł, upiwszy łyk - byłoby ich tyle, że aż zgroza myśleć. A tak, proszę pana, starczy je oswoić, no a wtedy cap! I jednego mniej!

- A jak to potrafią godzinami siedzieć na występach dachów i cierpliwie czekać, aż im ktoś coś rzuci. Wie pan, że są tacy, którzy zamiast ziarnem, karmią je skisłymi odpadkami z zupy albo stęchłym chlebem? A te głupolaki łapią się na wszystko, wszystko, co podlecą i w zasięgu dzioba. Wszystko przez łakomstwo. - Człowiek w ortalionie (o którym z miejsca pomyślałam z sympatią) sięgnął do kieszeni, wyjął z niej zegarek i zerwał się z ławki. - Siódma, panie dzieju. Lotto cię wyzwoli! - rzekł, parafrazując Jezusa Chrystusa. - Jak pan dzisiaj puści? Ja na chybił trafił!

Kiedy odchodzili, z wietrznym furkotaniem nastroszonych skrzydeł sfrunął na parapet mój spóźniony gość. Kręcąc piruety z napuszoną piersią i gruchając głośno, żądał natarczywie swojej porcji ziaren.

- Gdzie się było dotąd? Zaspało się, co? - droczyłam się z nim żartobliwie. Potem wzięłam z torby parę ziarenek ryżu. Kiedyś się odważył, pewnie bardzo głodny, wziąć połówkę grochu z mej otwartej dłoni, ale tylko raz. A jak będzie dzisiaj? - Wysunęłam rękę. Cofnął się natychmiast.

- Nie bój się, maleńki. Nie zrobię ci krzywdy - wyszeptalam tkliwie.

Gdzie jest gołębica? - mój niepokój rósł. Mógł ją ktoś rozjechać? Albo zabić z procy? No bo u nich nie ma, jak u ludzkich par, cichych dni i zdrad. Nie ma też rozwodów. Jeśli już się wiąże, to na całe życie. Czarny gołąb zaczął się niecierpliwić, gruchał coraz głośniej, podskakując w miejscu i bijąc skrzydłami na każdy ruch mojej ręki. Ale wciąż się bał wziąć z niej choćby ziarnko. - Dobra, dobra, masz. Sypnęłam mu z torby.

Z dachu niespodzianie, prosto na parapet, sfrunął szary gołąb. Już nie żyjesz, stary! Odsunęłam się i przymknęłam okno. Walki o jedzenie zawsze miały tutaj swoją dramaturgię, tyle że zwycięzca mógł być tylko jeden. Zadając sobie ciosy dziobami w okolicy głowy i szyi, ciągnąc się za pióra i tarמושąc puch, wyglądały jak kula zła, jedna wielka furia w rotacyjnym ruchu objajająca się o szybę. Miałam tego dość. Otworzyłam okno i packą na muchy próbowałam wejść w tę ich bijatykę, uzyskując tyle, że się wzbily w górę i opadły w dół w jeszcze większej zapalczowości i zaciętrzewieniu. Nie no, koniec z tym - zdążyłam pomyśleć, gdy pierzasty twór jak piorun kulisty wdarł się do sypialni, tuż nad moją głową, i dopiero wówczas rozpadł się na pół. Na dwa przerażone, półprzytomne ptaki, uderzające o ściany i szyby drugiego okna wskutek rozpaczliwych i daremnych prób wydostania się na wolność.

Na to wszystko w progu stanął Roman w majtkach.

- Co tu się wyprawia?

- Gdzie mi tu w tych gaciach! - Wypchnęłam go za drzwi. Potem otworzyłam drugie okno z boku, zsunęłam firanki i poszłam pod ścianę, schodząc ptakom z drogi. Szary wypadł pierwszy. Zatoczył nad skwerem dwa szerokie koła i zniknął mi z pola widzenia. Natomiast Czarny, jakby rozregulował mu się zmysł orientacji, miał w kierunku okna frunął w stronę drzwi, uderzając w nie dziobem i skrzydłami z zaskakującą konsekwencją i uporem. Tracąc resztki sił, opadł na

podłogę i opuścił lebek, rezygnując z prób, z półotwartym dziobem, jakby dysząc. Nieoczekiwanie z głębi mej pamięci, jak z otwartej rany, wyłonił się dawno pogrzebany obraz. Łysy plac za domem, domem mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, i nieletni gołąb, który tyle co sfrunął z mojej dłoni, lądując na ziemi kilka metrów dalej w swojej pierwszej próbie nauki latania. Wnet też usłyszałam swój dziewczęcy głos, pełen entuzjazmu: „Gacuś, podfrun w górę. Jeszcze raz, dwa razy i się nauczysz. Patrz, jak to się robi”. Unosząc ramiona, wykonałam nimi kilka płynnych ruchów, jak to czynią ptaki, wprowadzając młode w zawilości lotów; aby go przekonać, że już wieki temu, w drodze ewolucji, zrzucił gadzią skórę za swą użyteczną, boską parę skrzydeł.

Teraz w moim głosie nie zostało nic z tamtych ekscytacji. Łamał się, gdy stojąc z wyciągniętą ręką, zachęcałam ptaka:

– Podfrun trochę w górę i odbij się stąd. – Otworzyłam dłoń. – Przecież umiesz latać.

Stałam w pogotowiu chwilę, może dwie, gdy znajomy tekst, „że będą pękać i tajać partiami, przygotowując mnie na tę chwilę, kiedy ostatni pancierz, szczelny jak żaden dotąd, rozbije się w drobny mak”, dotknął mnie wraz z bólem w rejonie przepony. Czy to już? To już? Nim zebrałam myśli coś szczelnego dotąd wybuchło we mnie razem ze skowytom, który jak cierpiący, poraniony ptak wyrwał mi się z gardła i wzbił się pod sufit. Tak jak czarny gołąb, który nie wiem kiedy usiadł na mej dłoni, zrobił pełen obrót i odleciał w przestwór przez otwarte okno, gubiąc na swej drodze kilka kruczoczarnych, lotnych piór ze skrzydeł.

Rozdział XIV

ROZTERKI I WIEDZA TAJEMNA

Zauważyłem, że w Turni ostatnio zaszło wiele zmian. Sporo lekkomyślnych, nietrafionych związków rozpoczętych pod wpływem męskiego alkoholowego pożądania i pośpiechu zakończyło swój wyskokowy sen, zostawiając w tyle niespełnione wizje, łyzy i czarną rozpacz. Ale trend wciąż trwał. Właśnie dojadłem ostatnią kanapkę, gdy dwie kuracjuszki z Nakła nad Notecią – notabene stare koleżanki z pracy – starły się przy stole jak dwie dzikie harpie, sądząc po jazgocie, który stamtąd szedł. O co poszło, nie wiem, bo skupiony byłem na stroju Elżbiety zajmującej miejsce niedaleko nich i na smętnym gościu w typie chaplinowskim, który w pewnej chwili wziął nogi za pas i tyle go widziałem. Oho! Wszystko jasne. Zawiedziona miłość, zdrada i cios w plecy – niosło się od kobiet z Nakła nad Notecią. Objaw desperacji wybił jak ściek z szamba i zasmrodził salę, budząc niesmak w nawet odpornych na tego rodzaju awantury stołownikach. Im wszystkim to samo w głowie – wzbierał we mnie gniew na kobiety.

– A tak pocziwie wyglądał – skwitowała ucieczkę smętnego gościa rumiana babina, sięgając po kromkę chleba.

Starszy pan przymrużył swe wyblakłe oczy.

– Pocziwie, pocziwie... – rzekł, hamując złość. – Każdy z nich tu myśli, że jest pępkiem świata. A to wszystko przez nie, wszystko przez te baby! Rozpuściły ich, to mają za swoje. Jakbym ja był zdrowszy i miał na to czas, już bym je poduczył, co i jak się robi, by jednego z drugim maczo z Koziej Wólki spuścić do rynsztoka. Bo musi pan

wiedzieć... – starszy pan wbił we mnie raptem ostry wzrok i ni stąd, ni zowąd walnął z grubej rury: – Jestem feministą!

Jego *coming out* i mój zrozumiały gniew na brak rozsądku, wręcz głupotę kobiet nakazywał mi włączyć się w dyskusję, lecz zrezygnowałem, widząc, że Elżbieta zerwała się z miejsca i sprężystym krokiem ruszyła do wyjścia. Poszturchując ludzi, z ręką wytrącała im kubki i widelce. No! Początek niezły – ucieszyłem się. Niemniej zobaczymy, zaraz się okaże, ile przyswoiła z moich rad i przestróg. Życząc stołownikom jeszcze raz „smacznego!”, odsunąłem krzesło i wstałem od stołu, udając się biegiem za Elżbietą. Szła nie tak jak zwykle, czyli ciągnąc nogi z racji swojej tuszy. Szła jak dumny żołnierz na placu defilad. Szła, stawiając kroki, że aż furkotała jej nowa spódnica zakupiona pewnie z myślą o Romanie, swoją lewą dłonią przeczesując włosy, a potem je mierzwiąc, jak niesforna klacz przed swym pierwszym biegiem na nieznanym torze. Jednak gdy stanęła u podnóża schodów, konwulsyjnym gestem łapiąc się poręczy, mogło to oznaczać, że zaczyna wątpić w słuszność przedsięwzięcia, a jej silna wola zamiast się umacniać, kruszy się i gniew. Może nie do końca była przekonana, aby mi zaufała. Bowiem jej wyraźnie wyrażana ciałem karuzela myśli biła wręcz po oczach. A jak coś nie wyjdzie? Ale z drugiej strony – „kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi”. Stojąc za Elżbietą, siłą swej energii (za tę umiejętność Guru mnie naznaczył, stemplując mi czoło tajnym znakiem mnichów – jakich, tajemnica) wkroczyłem do akcji. Chcąc odeprzeć atak jej panicznych myśli, dźgnąłem ją pod żebrem. Tu nie ma co myśleć! – krzyknąłem bezgłośnie. – Trzeba wejść na schody, noga w górę. Raz! Żadna filozofia. No. I już jest trzecie! Było się tak szarpać?

Nadszedł z drugiej strony. W kapeluszu z piórem i skórzanej kurtce, ciągnąc za sobą po korytarzu smugę wody toaletowej, Roman jakby czuł, że dziś będzie zmiana w nieaktywnej dotąd strefie erotycznej relacji z Elżbietą. Że dziś może da się wyjąć ze dwie cegły

z podwaliny zasad, których się trzymała. A jak to się uda, dalej pójdzie gładko. Kiedy przed nią stanął, chwycił ją za rękę.

- Sprawdzalem, czy jesteś - rzekł, zniżając głos.

Jak na moje ucho - niebywale czule na nieczyste dźwięki - był to dobry wstęp. Roman się przyłożył, by zabrzmiało to w pełni wiarygodnie i przekonująco nawet dla Elżbiety, która poprawiła na sobie spódnice i spytała chłodno, chociaż głos jej drżał:

- No i co, zamknięte? Literatki nie ma?

- Nie no, jest... Dlaczego? - spytał zaskoczony. - Ale jak to ona... Z długopisem w zębach, ze wzrokiem w suficie, duchem bóg wie gdzie.

- I nie powiedziała, żebyś siadł, zaczekał?

- Przecież ci tłumaczę, nie zauważyła, że tam w ogóle wszedłem... No i „siadł, zaczekał”... prędeż: „Czego tu?”.

Wzniosła w górę oczy.

- Trzeba było podejść, spytać, jak tam wena. A ty jak ten gbur.

Roman słuchał, nic nie rozumiejąc, lecz nagle - jakby się ocknął z tego stanu - spojrzął na Elżbietę innymi oczami. Ciągnie swój do swego, to pewne jak nic. Ale czy to dobrze? - zmytygował się. Źródła różnie mówią...

- Wydawało mi się, popraw, jak się myślę - zaczął dość niepewnie - że radosna twórczość naszej literatki tyle cię obchodzi, co zeszloroczny śnieg. Skąd ta zmiana frontu? Polubiłaś ją?

Przekląłem pod nosem. Sprawy przybierały niekorzystny obrót. Czulem, że Elżbieta chce się wymiksować z naszego układu. No bo co to znaczy? O Urszuli? Teraz?! Miał pociągnąć gacha do najbliższej wnęki - jakieś ble, ble, ble... Obleciał ją strach? Uświadomiłem sobie nagle, że jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, moja dobra wola, cierpliwość i zapał - wszystko to przepadnie. Perfidia Elżbiety w sterowaniu żądzą miłosną Romana może mnie przerosnąć, odebrać mi sprawstwo lub pozbawić siły. W takiej atmosferze nawet jak się w końcu zaborą do rzeczy, będzie to, jak sądzę, żenujący erzac, a nie

twardy seks, na który czekałem od początku. Jednym słowem lipa! Jeszcze dzień lub dwa, w których ta „forteca” będzie pajacować, kilka jego darmo ponawianych prób i poczuję do niej to, na co od początku sobie zasłużyła. Pojąłem, że są to ostatnie chwile mojej determinacji i że jeśli ma się to udać, muszę uczynić wszystko tu i teraz. Mój plan był uszyty na miarę turnusu. Szybki seks od zaraz, ogień namiętności ze strony Romana, no i wygaszenie na dzień przed wyjazdem. Szykowałem palec, by znów dać Elżbiecie impuls do działania, kiedy usłyszałem jej marzący głos, potwierdzający moje domysły.

- Jak ty mnie już znasz... Pewnie że Urszula i te jej dziwactwa tyle mnie obchodzą, co zeszłoroczny śnieg, ale musisz wiedzieć... Musisz wiedzieć, że...

Dotknął ją łagodnie.

- Mów, słoneczko, mów.

Wargi jej zadrżały, kiedy powiedziała:

- Od kiedy pamiętam, śniłam o mężczyźnie, który byłby gotów stworzyć dla mnie wiersz. Taki o miłości. A że wdowa pisze, a ty ani w ząb...- zawiesiła głos, dając Romanowi czas, by reszty sam się domyślił. Widząc, że w jego oczach nie zalśnił nawet błysk zrozumienia, odetchnęła ciężko i spytała wprost: - Mógłbyś do niej pójść na korepetycje?

O nie! Zagotowało się we mnie. Tak nie będzie! Z Romana maczo poetę chce zrobić! Wiersze dla niej pisz! Co wymyśli jeszcze, by zyskać na czasie? By się wykpić? I nim Roman zdążył ochłonać na tyle, by jej odpowiedzieć, wkroczyłem do akcji - ostro, choć bezgłośnie dla postronnych uszu.

- Co to za manewry?! - wrzasnąłem w jej głowie. - Jaki znowu wiersz? Nie rozumie pani, że to samobójstwo? Chce się pani poddać? Oddać walkowerem miłość swego życia?! Jeśli tak, to cóż... Widać nic tu po mnie... Tylko potem proszę nie płakać mi w mankiet, bym odkręcał sprawę. Będzie miał już inną panią do kochania. A jak stąd wyjadą, zaraz wezmą ślub. Naprawdę nie zauważyła pani, że Roman

gdzieś w sobie dojrzał do ożenku? Chce z legalną żoną współżyć po bożemu, a nie kochanicą kłuć sąsiadów w oczy w sąsiedzkiej wspólnocie! Ale kota w worku też nie będzie brał!

Chyba dodarł do niej mój mentalny krzyk, bo nagle jakby sobie przypomniała, o co chodzi w tej grze, jęła całą sobą wyrażać uległość, co jednak przy jej braku świadomości własnego ciała, a może raczej na odwrót (do czego przyczynił się jej własny ojciec), wyglądało tak, jakby w postawie obronnej stawiała czoło czemuś, chroniąc swoje wdzięki przed nawałą pieśczot, która – tylko patrzeć – miała na nią spaść.

Roman nie czekał dłużej. Wykorzystując dwugłós jej kobiecej jaźni, pociągnął Elżbietę do najbliższej wnęki, gdzie stały dwa duże wytarte fotele, które przesunął nogą, organizując miejsce pod ścianą, do której przyparł kobietę. Jego kapelusz przekrzywił się na bok i tak został. Pod wpływem zapachu baranich skór, papierosów i ciała mężczyzny, Elżbieta zadrżała i przymknęła oczy. Intymność wnęki, ale zarazem jej łatwa dostępność, budziła w kobiecie zmysły – trzymane na wodzy od przyjazdu – a myśl, że każdy, choćby nawet nie chciał, mógł zostać świadkiem jej pieśczot z Romanem, sprawiła, że serce waliło jej w piersi jak w tybetański bęben. W gwałtownym tempie stawała się sobą sprzed Łądka, kiedy – że przypomnę – kto chciał, to ją miał, byle obiecał małżeństwo. No, najwyższy czas! – pomyślałem. Dość już tego cyrku i strugania cnotki. Tu nie czas i miejsce na takie wykrety. To jest sanatorium, a nie zakon kontemplacyjny mniszek kamedulek. I śledząc ich poczynania zza załomu ściany, sięgnąłem po sprzęt, żeby to utrwalić i od ręki wysłać mailem do Ilony. Niech już się nie martwi, że Romana porwał prąd niewinnie czystych uczuć do Elżbiety, ale że jak zwykle chodzi mu o jedno. Niech jej ulży. Niech już nie narzeka, że zawalam pracę. Niech ma i się cieszy, póki nie zmadrzeje! Wymierzyłem w parę oko mej kamerki i zbierałem się do snu na zajęcia, kiedy od lamperii dotarł do mnie chłód. Jak to? Jakim cudem?!

Roman stał na baczność, teraz przodem do mnie, jakby tyle co odtrącił Elżbietę. W oczach miał histerię, a pod kapeluszem kakofonię myśli. Czyżbym się pospieszył, coś przegapił, przespał? Albo tracił formę, a razem z tym splendor i twarz superszpiega? Rzecz w tym, że tego rodzaju przypadków w swojej karierze zawodowej miałem bardzo mało, więc brak doświadczenia mógł też z tego względu wtrącić mnie w manierę. W złudny stereotyp radzenia sobie z każdą sprawą, bez względu na okoliczności. W chodzącą doskonałość i nieomylność. „Pamiętajcie, chłopcy, by nie mylić waszych nieporadnych działań w trakcie szkolnych praktyk na komisariatach – co do których zresztą, jako prowadzący, mamy wiele uwag – z biegłością zawodową funkcjonariusza policji po zaprzysiężeniu. Co zostanie z tego w waszych pustych łbach, stanie się nawykiem. Zatem uczyć się, a nie zbijać baki!” – wbijał nam do głów major wykładowca wieki temu. Przewinałem taśmę. A więc jednak! Szok! Major wykładowca wiedział, o czym mówi. Było na niej coś, co zignorowałem między snem a jawą. Był to nader trzeźwy, głośny szept Elżbiety: „A po ślubie, Roman? Gdzie będziemy mieszkać? U mnie nie da rady, bo na ścianach grzyb. Później ci opowiem, co i jak z tym grzybem”.

A więc o to chodzi. Mieszkać u Romana... Przecież to znaczyło przestawiać mu meble i zaglądać w skrytki – w których trzyma listy, zdjęcia byłych kobiet w nieprzebranej liczbie i nieprzeliczalne na żadną walutę strzępy swego życia w postaci pamiątek, dzięki którym wraca w lata swej młodości, roniąc łzy nad nędzą doczesnej wędrówki. Jest w nich jak w pigułce cały jego miałki, obsceniczny świat. Mieszkać u Romana... Przecież to znaczyło grzebać mu w szufladach, gdzie ma dokumenty, sprawozdania z banków i zapas kondomów – jakby się trafiła jakaś młodsza panna, ufna i beztroska w korzystaniu z życia. Mieszkać u Romana... Przecież to znaczyło sprawdzać mu komórkę, gdy pójdzie pod prysznic, i wybrawszy kontakt z książki adresowej, w obcesowy sposób nękać po kolei

wszystkie jego Anny, Ewy i Halinki i – co już w ogóle jest nie do przyjęcia – ślać im esemesy, niby że od niego.

Czytając w twarzy Romana jak w otwartej księdze, znalazłem się nagle w miasteczku wśród wzgórz, w jego mieszkaniu na drugim piętrze, w miejscu ucieczki od zobowiązań, łez i pretensji tak zwanych kobiet po przejściach, wdów i mężatek gotowych porzucić dla niego wygody przy boku męża, w miejscu, w którym każda „pani jego serca” przeszła do historii. Gdzie zbierając siły między podbojami, zazwyczaj od południa, gdy się budził, do bladego świtu następnego dnia popijał wino, które produkował na masową skalę, jak mówił: „Dla higieny umysłu i dezynfekcji jamy ustnej”. Nigdy się jednak nie upijał na maksa, bo po wypiciu dwóch lampek (każda o pojemności pół litra) wychodził przed dom, by przewietrzyć głowę, wystawiając twarz na ostre podmuchy wiatru od strony pobliskich wzgórz. Dużo też palił, czasem jednego za drugim, i czytał na przemian powieści grozy i science fiction, jakby nie starczyło, że sam tkwił w horrorze złudnych wyobrażeń na swój temat. Gdy chciał odpocząć, oglądał telewizję. I tak sobie siedział w tym swoim wiecznie zadymionym mieszkaniu, że tylko siekierę wieszać, które czasem wietrzył, otwierając okno i drzwi na korytarz, a dym szparami pod drzwiami sąsiadów przenikał do ich mieszkań.

Życie z kobietą pod własnym dachem dłużej było dla niego czymś niewyobrażalnym. Kochał tę swoją wolność, a im bardziej się starzał, tym bardziej stawała się ona skrajna, omal fanatyczna. A teraz co? Miałby zamieszkać z Elżbietą, której zazdrość była nie do wytrzymania, a pomysły miała rodem z Nikodema Dyzmy. Żeby choć na zasadzie merytorycznej wymiany poglądów, ale nie! Jak przekupka z targu, biorąc się pod boki, brała go na krzyk. Mogła to robić bezkarnie, bo w odróżnieniu od niej nie miał wyższego wykształcenia. Jej wykształcenie, choć zdobyte późno na jakiejś płatnej, posledniej uczelni, lechtało jego próżność w sensie towarzyskim. Lubiała się też obrażać, o czym przekonał się w ten pamiętny wieczór, gdy go

odwiedziła, krwawiąc krwią miesięczną. A potem wyszło, jak wyszło. Była przeciwieństwem Ilony, z tym swoim głośnym, pożądanym jednak przez niego dyszkantem i śmiechem, jak u samca żaby w pełni godowego szaleństwa. Może tak bardzo jej pragnął właśnie przez ten kontrast. Ilona mówiła stanowczo za cicho jak na jego mocno przytępiony słuch, a jej rżenie, kiedy wpadała w popłoch, doprowadzało go do furii. Miała też wyschnięte pośladki i piersi, podczas gdy ciało Elżbiety, być może z uwagi na swój rozmiar, liczbę zakamarków i sekretnych miejsc do zgłębienia, podniecało go jako badacza i eksploratora nieodkrytych łądów na jego mapie erotycznych podbojów. Możliwe że właśnie ta ostatnia myśl plus wyższe wykształcenie pani jego żądź przeważyły szalę na jej korzyść, bo naraz szeroko uśmiechnął się do swych myśli. Może nie będzie tak źle? Szafki się pozamyka na klucz, a telefon wszędzie będzie brał ze sobą. A że tak czy siak wszystko ma swój koniec... Jakoś to przeżyje. Czy to pierwszy raz?

Elżbieta, która stojąc z boku, śledziła, podobnie jak ja, wewnętrzne rozterki malujące się na twarzy Romana i wyrzucając sobie, że za szybko – przejęta dreszczem przedślubnym, wizją kościoła i białego welonu – wspomniła o przeprowadzce, nagle na widok jego rozciągniętych w uśmiechu ust zrobiła coś, co mnie wbiło w ziemię. Złapała rękę Romana i włożyła ją sobie pod bluzkę. A skąd taki pomysł? Czyżby w czasie przerwy na jego refleksje przemyślała sprawę? Czyżby jednak? – ucieszyłem się, skupiając uwagę na buczeniu wydostającym się teraz z gardła Elżbiety, wpierywającym, ale z wolna narastającym coraz bardziej i bardziej... Jakbym słyszał triumfalne buczenie syreny okrętowej na MS Batory wychodzącym z portu w swą dziewiczą podróż z Gdyni do Nowego Jorku.

Roman, ze spojrzeniem wbitym w stulone usteczka Elżbiety, podobnie jak ja wsłuchał się w te dźwięki, z początku nie reagując w żaden sposób. Ale gdy buczenie zmieniło tonację, przechodząc jakby w indyjski gulgot, mężczyzna drgnął, a ja ujrzałem nad jego

głową obłok złożony z jego nagle historycznych myśli: „Nie no! Co to jest?! Co to za kociokwik?”. To wystarczyło, by odzyskując wzrok, z przerażeniem zobaczył obracające się w szybkim tempie cyferki licznika gazu, gdy Elżbieta, najmniej ze trzy razy dziennie, z uwagi na swoją tuszę, wchodzi pod prysznic, zużywając wodę w ogromnych ilościach, podobnie zresztą jak gaz. Bo przecież nie powie jej tego – przynajmniej od razu: „Elżbietko, oszczędzaj gaz i wodę albo płac rachunki!”. To wystarczyło, by przed oczami stanął mu odczyt licznika prądu wskazującego na pobór w tydzień tyle energii, co on sam zużywał czasem przez pół roku. Bo co tam ta lampka do czytania czy telewizor od czasu do czasu. Romana zawsze gniewało, gdy patrzył na marnotrawstwo gazu, wody oraz prądu przez kobiety. Zapomniał o tym, nie płacąc rachunków u Ilony. Teraz to wróciło. Ani jedna baba nie jest tego warta! – stwierdził z przekonaniem. Powoli dochodził do siebie po wstrząsie i kiedy pomyślałem, że najgorsze za mną, ujrzałem, jak nagle wyjmuje rękę spod bluzki Elżbiety, mówiąc twardo:

– Nie, Elżbietko, nie! Jesteś warta więcej niż szybkiego seksu pod obskurną ścianą. Jesteś warta wiersza! Pójdę do Urszuli – tak jak sobie życzysz – na korepetycje i napiszę wiersz, jaki ci się marzy, choćbym nawet później miał to odchorować. Choćby to potrwało... tyle, co ma trwać. Chcesz, bym na coś przysiągł? Na ojczyznę? Honor? Czy wystarczy zwykła deklaracja słowna?

Ledwo uskokczyłem, gdy z zacisza wnęki, zamiast odpowiedzi, wypadła wprost na mnie znarowiona klacz z rozczochraną grzywą i dopadłszy schodów, popędziła w dół, ledwo trzymając się poręczy. Teraz dam jej spokój, niech dojdzie do siebie. Potem się zobaczy – pomyślałem zły i wsiałem do windy, aby nią zjechać do holu.

W holu mą uwagę szybko przyciągnęła lysiejaca głowa mężczyzny w recepcji, widoczna pod czapką rogatywką z fasonem założoną na bakier. Rogatywka... Hm... Lampka w mojej głowie rozbłysła na alarm.

- Pan tu na zastępstwo? - zagadnąłem chytrze. - A co z Anną, chora?

Spojrzał na mnie drwiąco spod krzaczastych brwi, zza pazuchy wyjął zmiętoloną kartkę i podsunął mi ją pod oczy. W treści przeczytałem: „W tym miejscu nie udostępnia się żadnych informacji osobom trzecim. RODO!”.

Nie do wiary, nie no... Jeszcze pobudzony po akcji z Elżbieta, wyrwałem mu z rąk tę kartkę, zgmiotłem i wrzuciłem do kosza.

- Będziesz mi tu RODO mydlił oczy, gnojku! - ryknąłem, łapiąc go za kłapy marynarki. - Gadaj, ale już! I ściągaj tę czapkę, przebierańcu jeden. Dość sztydzenia z ofiar narodowej klęski! Liczę do dziesięciu! Raz... dwa...

Nie zdążyłem nawet doliczyć do trzech, bowiem czyjeś ręce wzięły mnie za kołnierz, odciągając od lady. Za mną stał postawny zawodowy palacz na etacie w Turni.

- Panie kapitanie! - rzekł, podnosząc głos. - Niechże pan ochłonie! To jest głuchoniemy, skrzywdzony przez los, człowiek na zakręcie. - I już ciszej rzekł: - Teraz tylko takich zatrudnia dyrekcja, w związku z RODO. Taki nic nie powie, choćby go kroili. Łapówki nie weźmie. Rozlokuj go gości, a jak ktoś się uprze poznać personalia tego czy owego, pokaże mu kartkę i śpi jak niemowlę.

Czyżbym się pomylił? Opuściłem głowę. Kiedy ją uniosłem, moje wątpliwości rozwiały się z miejsca w konfrontacji z kpiącym, bezczelnym wzrokiem recepcjonisty. Skok adrenaliny podwyższył mi tętno i ciśnienie krwi. Jednak to był on! To on! Ale póki milczy, nie byłem tego pewny w stu procentach. Na tę myśl potężna, kolejna dawka hormonu stresu zalała mi mięśnie i mózg. Pod jej wpływem skoczyłem na ladę, chwyciłem leżący tam zaostrzony do szpica ołówek i dźgnąłem prześmiewcę w szyję. Ani jęknął.

-Takiś twardy?! Takiś?! A co powiesz teraz?

Zamachnąłem się, ale złapali mnie za nogi i ręce, wynieśli z Turni i posadzili na ławce przy krzaku kwitnącej na biało magnolii. Ktoś

skropił mnie zimną wodą, ktoś rozpiął mi kurtkę pod szyją, a jeszcze ktoś inny wołać chciał policję. Tylko tego trzeba! – wystraszyłem się i wyjąwszy z torby identyfikator (nie oddałem go w przepisowym czasie, kłamiąc, że zgubiłem), dałem im do wglądu. Nagle w głębi drogi idącej od Turni w dół do źródła Chrobry mignął mi ostatnio niewidziany staruch od Zofii Dubrawskiej. Pewnie chyłkiem przemknął za moimi plecami, wykorzystując zgiełk i ogólne zamieszanie.

– Stać! Policja! Stać! – zawołałem w głos, wymachując swoją nieważną plaketką, i zerwawszy się z ławki, pobiegłem za K., zwalniając po kilku metrach.

Szedł szybkim krokiem, przystając przy klombach wiosennych kwiatów, od czasu do czasu spoglądając na zegarek. Czyżby był spóźniony? W holu zakładu przyrodoleczniczego, gdzie wreszcie dotarł na zabieg, sięgnął do torby po grafik. „Diabli nadali, znów pod trzynastkę” – zazgrzytał zębami, myśląc o swojej ostatniej kąpieli, która skończyła się awanturą wynikłą z karygodnego czynu, którego dopuścił się łaźnienny przy napełnianiu wanny.

K. siedział wtedy przy wannie w majtkach, czekając na znak łaźniennego, że będzie można w końcu wejść do wody i rozpocząć zabieg. Był rozdrażniony ślimaczym tempem przygotowań, gdy wydarzyło się to najgorsze, o co zaczęła się kłótnia. Otóż łaźnienny odszedł od wanny, do której lała się woda, poczłapał do szafki, w której miał cały swój sprzęt, i wyjął stamtąd pękatą kanapkę z twarogiem, ignorując stan irytacji starszego pana. Pewnie dlatego, że ten wdarł się do wnętrza mimo wyraźnego nakazu „Wchodzić po drugim dzwonku!”. Coraz bardziej wzburzony K. spoglądał, jak tamten z torebki po chipsach wyciąga kanapkę i wgryza się w nią z apetytem. Obserwował, ściskając pięści, jak tamten ujmuje specjalistyczny przyrząd do badania zawartości tlenu w cieczy, a także jak przy tym do wody spadają okruchy twarogu, nadając jej mleczny odcień. „Pan jesteś jak świnia w chlewie! Higieny nie nauczyli?!” – tymi słowami K.

wszczął wtedy karczemną kłótnię z łaźniennym, a jej efekty – klucie i ściskanie w okolicy serca – odczuwał do późnej nocy.

Myśli o Hipolicie, tęgim, potęgującym w K. złe uczucia łaźniennym, nie nastrojały go dobrze. Może dziś będzie kto inny? Daj Boże, oby! Tymczasem szedł z holu do piwnic, trafiając na duszny korytarz, gdzie drzwi do pomieszczeń z wannami zlewały się z burą ścianą. O tych podziemiach krążyły mroczne historie, że wielu biorących tu kąpiel pacjentów doznało zawału, wielu zapaści i dokonało żywota, nie doczekawszy pomocy. Grobowa cisza zdawała się to potwierdzać.

Musiałem na maksa skupić swą uwagę – ba, nawet cofnąć się w czasie – aby odtworzyć wypadki w ramach retrospekcji, bowiem pięć minut wcześniej na progu „trzynastki” stanęła rozgrzana kąpielą babinka, wcisnęła Hipolitowi kopertę w kieszeń i odeszła. Ten spojrział na kartkę, którą trzymał w dłoni, i zerknął w głąb korytarza. Spóźnia się staruch – pomyślał. Super! Na jego ustach zjawił się skryty uśmiech, podkreślający nikczemność wypisaną na twarzy. Oto łaźnienny Hipolit miał swoje tak zwane pięć minut. Cofnął się do środka, ze schowka z detergentami wyciągnął grzałkę o mocy przerobowej... jakby chcieć porównać... w każdym razie dużej, następnie jakieś mazidło i fiolkę z brunatnym płynem i mając to wszystko w kieszeniach, podszedł do wanny z przestygłą wodą, która pozostała po kąpieli babki...

- Proszę o wybaczenie za tamtą kanapkę z serem – powiedział Hipolit, kiedy spóźniony K. pojawił się w progu boksu. – Jak mogłem się z panem kłócić w tak ewidentnej sprawie? Przecież tylko ostatni flejtuch chciałby się kąpać w szambie. To żadna przyjemność, gdy twaróg się lepi do skóry! Przecież to wstrętne i, miał pan rację, niehigieniczne! Toteż na przeprosiny przygotowałem dla pana kąpiel. Będzie w niej panu jak w raj. Zapraszam zatem do wanny, do której ekstra dodałem esencji z sosnowych szyszek. A teraz zostawię pana samego, życząc niezapomnianych wrażeń.

K. z zadowoleniem przeciągnął się w bulgoczącej wodzie. Chcąc nie chcąc, przyznał obsłudze rację: dzisiejsza kąpiel z uwagi na ciepło i nasycenie tlenem, jak i dodatek ekstraktu z szyszek była najwyższej próby. Dziś nawet wanna zdawała się gładka i jedwabista jak kokon z motylić nici. Szum przetwornika energii koł zszargane nerwy K., a wyobraźnia z miejsca przeniosła go na ocean. Bujając się w łódce na falach, K. śledził odległy horyzont, na którym wprawdzie zauważył latające ryby, a potem jakieś dziwne, nieznanne mu morskie stwory. Z daleka usłyszał przecudny śpiew, który wciąż się zbliżał. W końcu przed dziobem jego łódki z morskiej piany wynurzyła się syrena. Jej szklisty ogon połyskiwał w słońcu, a morska bryza, kołysząc leciutko łodzią, łagodnie bujała go do snu. Naraz nieboskłon pociemniał i zerwał się silny wiatr. Nadciągał sztorm. Rozkołysane fale zaczęły bić o burzę, znosząc syrenę w głąb morza. Pod wpływem nagłego impulsu K. wziął się do wiosł i zaczął płynąć za swoją rusalką, ale cel wciąż się oddalał. W desperacji postawił żagiel, a ten, szarpany wiatrem, poniósł wreszcie łódź. Szybko i daleko. Za widnokrąg.

– Płynę do ciebie, syreno! – wołał K., przekrzykując ryk fal i wycie wichru. – Poczekaj tam na mnie... Poczekaj...

Szkwał, który spadł nagle, nakrył go wielką falą. Do gardła samotnego żeglarza desperata wdarła się woda o smaku sosnowych igieł. Przyczajony za drzwiami, nadstawiający ucha łaźnienny tylko na to czekał. Z uciechą doliczył do dziesięciu i dopiero wtedy wszczął alarm.

Zamieszanie związane z akcją reanimacji K. ułatwiło mi ukrycie się w pomieszczeniu sąsiadującym z gabinetem pielęgniarki głównej, dokąd na wózku przywieziono niedoszłego topielca. Do wyjaśnienia postanowiłem nie spuszczać go z oka, przerażony tym, że mógł się faktycznie utopić w wannie, wraz z tajemnicą, którą by zabrał do grobu.

– No jak tak można! – Załamywała ręce naczelną pielęgniarka, Ewa. – Jak można przysypiać w wannie... Dużo pan połknął tej wody?

- dopytywała, szukając dla K. ciepły, pożywny napój, gdy on w tym czasie zagryzał smak igieł kolejną już rurką z kremem.

- Ma pani rację - przyznał ze skruchą w głosie. - Mogłem się przecież utopić. Wielu w taki sposób, najgłupszy z możliwych, przeniosło się do wieczności. Z wodą nie ma żartów. Ale ta syrena... Wiodła mnie do zguby, a ja mimo to...

- Jaka znów syrena?! - powiedziała ostro. - W kąpieli się nie śpi! Mówi o tym pierwszy punkt regulaminu! Nie czytało się?

- Regulamin znam, i to po całości. Ale dziś naprawdę nie mogłem się oprzeć. Dzisiaj moja kąpiel miała w sobie coś... coś najwyższej próby. Przy pierwszej okazji spytam łaźniennego, co to mogło być.

Ukryty za parawanem z zapartym tchem czekałem na dalszy ciąg tej historii.

Ewa skończyła i z kubkiem gorącej czekolady podeszła do K.

- Pan to wypije. Na lepszy humor i posmak w gębie po szyszkach, a później marsz na leżankę! - Wskazała rozlatujący się mebel. - Zajmę się panem zgodnie z najnowszą medyczną wiedzą, jaką dysponuję.

Ich luźna rozmowa wskazywała na to, że są z sobą zżyci; bardziej jednak jak para wiarusów wojennych niż kochanków. Kiedy to się stało? W wieczór zapoznawczy, gdy K. pobiegł do niej niby to z zawalem? Czy znali się wcześniej? Niczego w tej sprawie nie mogąc wykluczyć (nawet uczestnictwa pielęgniarki głównej w mobilności starca), wprawilem się w stan najwyższej gotowości.

Gdy K. z pełnym żołądkiem spoczął na wąskiej kanapce pod kocem, Ewa opuściła żaluzje w oknie, mówiąc, że zaraz wróci. Wtedy on znów pogrążył się we śnie i ponownie znalazł się na otwartym morzu, tyle że teraz nie w łódce, ale w wynajętym przez agentów Tymczasowego Rządu Narodowego (będącego najwyższym organem wykonawczym w powstaniu styczniowym) angielskim parowcu Ward Jackson, mającym dostarczyć drogą morską na Litwę ładunek nie tylko broni i amunicji, ale też płaszczy, onuc, koszul flanelowych i butów piechoty angielskiej, do użytku polskich oddziałów

powstańczych na ziemiach Królestwa Polskiego. Szamocząc się w swojej koi, K. przeżywał atak choroby morskiej. Gwałtowne torsje chciały mu wyrwać wnętrzności, a wokół nic tylko wycie fal, głuchy ryk morza i zbliżająca się zguba.

Skąd u tego K. tak pokrętny sen? – myślałem wstrząśnięty. Gdzie angielski statek a gdzie los rodziny, której był potomkiem. Wszystko poplątane, gdzie Rzym, a gdzie Krym? Ale z drugiej strony... Może w tej dostawie były też znoszone buty i okrycia, które jako dary kolejarskiej braci Królestwa Wielkiej Brytanii były przeznaczone dla służb kolejowych w odległym Królestwie Polskim jako dowód wsparcia przeciwko Imperium Rosyjskiemu. Może jakiś pradziad tego tu starucha płynął tym parowcem, pełniąc straż przy darach pod pokładem statku. I tak mogło być. Moje rozważania przerwał krzyk kobiety. To Ewa, która tymczasem wróciła, wszczęła alarm, szarpiąc K. za rękaw.

– Wszystko zarzygane! A mówiłam przecież: dwie rurki i dość! Mówiłam, że zemdli? Mówiłam!

K., który się na ten krzyk ocknął, wycharczał zboląłym głosem:

– To nic, to nic... to nic. Zaraz przejdzie.

Ale wieczorem było już tylko gorzej. Do wcześniejszych dolegliwości K. doszły ostra biegunka oraz wysoka gorączka. Znowu posadzono go w wózku i powieziono, tym razem do izolatki sąsiadującej z pokojem doktora Ladaco, by odbył tam kwarantannę. W zakresie pierwszej pomocy podano mu węgiel lekarski i miskę na wymiociny. Nikt nie zawezwał karetki, bo jakby zabrali go do szpitala, a po wymazie z odbytu okazałoby się... Strach myśleć, co by było... Sanepid, protokół z zajścia i kontrola za kontrolą.

Noc przeczekałem na stercie brudnej pościeli za ażurowym przepierzeniem z dykty.

Rankiem przy łóżku K. stanęła komisja złożona z doktora Ladaco i laborantki z mobilnym sprzętem, zwalniając z dyżuru na ochotnika Ewę, skonaną zmienianiem podkładów i opróżnianiem miski

z wymiocinami. Z tą chwilą Ewa powinna odejść do swoich zwykłych obowiązków pielęgniarki głównej, jednak zwlekała z wyjściem.

- Coś jeszcze? - zapytał doktor półgłosem, bo chory zdawał się zapaść w drzemkę. - Pani też ledwie się trzyma na nogach, powinna pani odpocząć.

- Ja jak ja. Bardziej martwi mnie stan chorego. Nie wiem, czy aby nie zaszkodziły mu moje rurki. Według mnie zjadł ich za dużo, bo jakby coś było w kremie, też bym zachorowała, prawda?

- No raczej, ale pewności nie ma. Ma pani jeszcze te rurki?

- W kubie na śmieci powinny być jakieś resztki. Przynieść?

- Byłoby dobrze. Daleko?

- Nie. Nie. W dyżurce. Na zapleczu.

Po wyjściu Ewy doktor Ladaco popatrzył na blade, zapadłe policzki pacjenta i dotknął jego ramienia.

- *Sorry*, czy pan mnie słyszy? - zapytał.

No! - odetchnąłem. Z doktorem Ladaco tak łatwo K. nie pójdzie. Nie będzie wciskania kitu i zabaw w kotka i myszkę. Zaraz mu wszystko wyśpiewa.

Mężczyzna drgnął, składając usta w niemą, fikuśną trąbkę.

- Rozumiem, sprawia to panu trudność - powiedział doktor. - W takim razie to ja będę mówił.

Zdażył powiedzieć trzy słowa, kiedy do izolatki wróciła Ewa z papierem zgniecionym w garści.

- Panie doktorze, tyle znalazłam. Wystarczy?

- Musi. - Wziął od niej „próbkę” i podał ją laborantce. - Pani jest już wolna - dodał, widząc rozterkę na twarzy Ewy. Ja teraz zajmę się chorym.

Gdy Ewa ponownie wyszła, w przegrodce kufierka analityczki znalazła miejsce także szpatułka z wymazem z odbytu pacjenta. A kiedy i analityczka opuściła pokój, doktor Ladaco opadł na stołek stojący przy łóżku K., i zapytał:

- Jak pan się dziś czuje?

- Jak można czuć się po takiej nocy, a teraz po tym? - wycharczał chory, wskazując na tyłek pod kołdrą.

- Zaraz pan sobie odpocznie, tylko odpowie na kilka pytań. *Sorry*, takie są procedury. Nazwisko i imię poproszę. - Doktor Ladaco wyjął z kieszeni swój notatnik.

Zauważyłem, że K. próbuje uniknąć pytań doktora Ladaco, o którym przecież, nie bez powodu, krążyła opinia służbisty.

- Znów mi niedobrze... - usłyszałem słaby, ale brzmiący fałszem głos starego K.

- Treści żołądka już raczej nie ma, trochę poszarpie i przejdzie - nie ustępował doktor Ladaco. - Pytam jeszcze raz: pańskie nazwisko i imię.

- Ale doktorze...

- Żadne ale! Muszę mieć te dane do opisu w karcie. Zatem...

- Yyy... Yyy... Nie powiem! - Zuchwałość K. na chwilę pozbawiła mnie oddechu. - Jestem tu incognito! Pan doktor nie słyszał o RODO?

- Słucham? - Doktor Ladaco podniósł brew i spojrzał zimno na K. - Naprawdę chce pan zakończyć kurację i udać się w podróż powrotną do domu jeszcze dziś?

W złowróżbnej ciszy, która nastąpiła po groźbie doktora, usłyszałem wprawdzie ciche:

- A żeby cię pokręciło...

A zaraz potem głośniejsze:

- Dubrawski. Kazimierz.

A więc jednak. Mąż! Z radości o mało nie wypadłem zza ścianki, gotów wyściskać doktora. Jednak miałem nosa. K jak Kazimierz. I co, pani Zofio? Wydało się, co? Wcześniej czy później zawsze się wydaje. Skończy się „oj tam, oj tam, oj tam” i zacznie się inna gra! Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni!

Tymczasem doktor kontynuował wywiad.

- Dubrawski... Hm... Brzmi znajomo... Gdzie mieszka?

- W Radomsku.

- Aaa... w Radomsku... Żonaty?

- A na co...

- Im szybciej skończymy - Ladaco przerwał mu ostro - tym lepiej dla pana! Zatem?

- Żonaty - poddał się chory.

- Proszę o numer telefonu żony. Trudno przewidzieć finał tej pańskiej historii. Może się skończyć, sam nie wiem... nawet w szpitalu.

- Ale...

- Co: ale? Dzisiaj telefon ma każdy.

Pacjent był w stanie poprzedzającym zawał, gdy doktor wyjął komórkę.

- Sostro! - rzucił do telefonu. - Proszę do izolatki. Trzeba wymienić choremu podkład i przynieść mu coś do picia, by nam tu nie zsechł na wiór... choć Bóg mi świadkiem... - wstrzymał się z trudem. - Do pana zagładnę jutro - zwrócił się do chorego - choć to wątpliwa przyjemność. Niestety, taki mam obowiązek.

Lecz pacjent już tego nie słyszał. Zemdlał pod naciągniętą na siwe włosy zmiętą pościelą w modry, spłowiały wzorek.

Kiedy doktor wyszedł, natychmiast podniosłem się z betów. Kwarantanna, hm... To się dobrze składa. Dopóki tu był, mogłem się poświęcić innym swoim sprawom, niecierpiącym zwłoki. Korciło mnie jednak pobiec za doktorem i podszeptać mu, by wziął na poważnie interesy Ewy z tak szemranym typem jak ten tu Dubrawski. Aby coś z tym zrobił jako przełożony. Ale z drugiej strony... Przypomniałem sobie, że on też jest w kręgu podejrzanych osób w związku z jego żywą, dla mnie dość pokretną słabością do Zofii. „Stronników nie szukać w kręgu podejrzanych!” - Major wykładowca wiedział, o czym mówi, bo swojego czasu, w związku z pewną bardzo

tajemniczą sprawą, odczuł to na sobie, lądując w szkole w Szczytnie z samej wierzuszki komendy głównej policji.

Ale nagle... co to? Zobaczyłem wizję (tego typu wizje niezwykle rzadko nawiedzały mnie w kontaktach na odległość), jak doktor Ladaco w swoim gabinecie bierze z szafy tampon na krwawienia z nosa. Z kieszeni fartucha wyciąga komórkę i ważąc coś w myślach, obraca ją w palcach, by w końcu w kontaktach wyszukać numer zapisany pod Z.

Sam nie wiem, kiedy dotarłem na swoje piętro, by wziąć szybki prysznic po nocy spędzonej z K. w izolatce i zmienić śmierdzące ciuchy. Przed pokojem kobiet zatrzymał mnie podniesiony głos Urszuli.

- Nie no, od początku! O co panu chodzi?

Jej rozmówca jednak zwlekał z odpowiedzią. Zwlekał jakiś czas, nim odezwał się, na mój słuch za ostro.

- Tłumaczyłem już!

Czyżby szło o lekcje? – dośpiewałem sobie, słysząc głos Romana.

- Tłumaczyłem już, ale dobrze, powiem. Teraz bez ogródek – odparł innym tonem kandydat na wieszca i zrezygnowany rzekł spiskowym szeptem: – Chodzi mi o jedno. Jak Elżbieta spyta, jak mi idą lekcje, niech jej pani powie, że się bardzo staram, ale że to potrwa, bo nie mam talentu. Dopóki nie złapię właściwego rytmu i nie stworzę kilku akuratnych rymów, będę się poruszał trochę po omacku w tej jakże wrażliwej materii, jaką jest poezja. – Wyglądało na to, że Roman solidnie przygotował się do rozmowy z wdową. – Chciałbym też, by pani jej uświadomiła – ciągnął swoje dalej – że nikt ot tak sobie nie rodzi się poetą, a nawet jak już, to nie rodzi się bezboleśnie. Zrobi to pani dla mnie?

- Wie pan, sama nie wiem... – głos Urszuli zabrzmiał otwartą niechęcią. – Elżbieta i ja... jak by to powiedzieć... Mamy złe relacje. A też i z panem nie jest mi po drodze, o czym tu rozmawiać...

Nie dał jej dokończyć. Zza pazuchy wyjął małą bombonierkę ze swoich zapasów, co przyuważyłem przez dziurkę od klucza.

- Ale ja tak proszę...

Zostawiłem ich i poszedłem dalej. Później, odświeżony, siadłem do laptopa, pisząc do Ilony:

„Otóż, droga Pani – zacząłem bez wstępów – podejście Romana do związku z Elżbietą jest nawet jak dla mnie mało zrozumiałe. Ja już się w tym gubię! W myśl naszej umowy jestem tutaj po to, aby mogła Pani moimi oczami poznać go jak Księżyc z jego drugiej strony, której nigdy dotąd Pani nie widziała, z opcją niewierności na wyjeździe. Ale jak to zrobić, kiedy jego kroki, wszystkie w tym kierunku, kończą się na chęciach. Czy to jest normalne? Czy normalny facet rezygnuje z seksu na myśl o licznikach – prądu, gazu... wody? Składa obietnicę, że napisze wiersz – i to wiersz miłosny – a zarazem patrzy, by się z tego wyłgać? Moim zdaniem Roman to typ psychopaty, który w życiu wszystko musi mieć za darmo; sam od siebie nic, a od innych «daj!». A Pani jak myśli? Pani zna go dłużej. Teraz będę kończył. Z poważaniem, M.”

Wysłałem e-mail i zasnąłem.

* * *

Wieczorem, wzmocniony snem, wszedłem na dach Turni, stamtąd zaś po rynnicy zjechałem na czwarte piętro. Moja aktywność, na tle najnowszych faktów dotyczących K., kiedyś musiała wejść w fazę o podwyższonym ryzyku. Ulokowany na gzymsie za oknem, widziałem Zofię chrupiącą fistaszki ostrożnie, by nie złamać mostka na implantach w szczęce, który pochłonął jej całą odprawę emerytalną i pożyczkę z banku. W wieczornym mroku, z daleka, niosły się śmiechy rozbawionych par, a także okrzyki singli włączających się z nimi po Łądku. Co oni tam jeszcze robią? Od dawna powinni być w łózkach. Nagle zajęta myślami Zofia na ślepo dotknęła swych piersi, wpadając z miejsca w panikę. Jedna wyraźnie zmalęła.

Jad przestał działać?! Strach myśleć, co będzie, jak Marek Konieczko, tajniak z bożej łaski, weźmie ją w dwa ognie podchwytliwych pytań. Sięgnęła po karnet i zobaczyła, że termin następnej sesji w jaskini wypada dopiero w niedzielę.

Zgębniona odeszła od okna i była w drodze pod prysznic, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Pani Dubrawska? - upewnił się męski głos, który rozpoznałem, mimo że brzmiał glucho, jakby gdzieś spod ziemi. Wizja się spełniała... Zatem do doktora dotarł mój mentalny ostrzegawczy gryps. Dobry znak na zaś! Jednocześnie myśl, że miałby on grzebać w mych sekretnych sprawach, które dla pewności miałem tylko w głowie, przeraziła mnie. A jakby tak role się odwróciły? Nie no, aż strach myśleć.

- Tak. Przy telefonie - potwierdziła Zofia.

- Dzwonię w ważnej sprawie - powiedział Ladaco tonem osoby dobrze poinformowanej. - Dotyczy to pani męża, Kazimierza.

- Słucham? - zapytała. I zaczęła myśleć. Co mogło przydarzyć się K.? Gdyby coś naprawdę mu się przytrafiło, od plot i dyskusji trzęsłaby się Turnia. Przecież tu nikomu nic a nic nie umknie.

Zauważyłem, że Zofia, nawet w myślach, używa inicjału imienia męża. To się ktoś postarał, kodując jej mózg. Tylko chylić czoła.

- Jest tam pani jeszcze? - zaniepokoił się doktor.

Otrząsnęła się.

- Jestem, proszę pana. Ale jaki mąż?

- Pani mąż, kochana! - odpowiedział twardo. - Zatem, jak mówiłem, pragnę pani donieść, że małżonek pani, w związku podejrzeniem choroby zakaźnej, jest na kwarantannie w pokoju chorych na pierwszym piętrze. Ale nie to jest ważne. Ważne jest to, że niańczy go obca kobieta. A przecież on jest żonaty. Z panią!

- Dobry żart, doprawdy! Mój małżonek? Tutaj?

Daj cierpliwość, Boże – westchnął w myślach doktor i rzekł lodowato:

– Ładnie to tak łąać?

Zofia trawiła wszystkie te rewelacje i rosła jej złość na szpicla.

– A pan? Kim pan jest? I jak pan zdobył mój numer?

– Do czego to pani potrzebne? Ale już jak tak bardzo chce pani wiedzieć, jestem kimś, kto widzi dalej niż czubek własnego nosa, dostrzega sprawy, które inni wolą zamiatać pod dywan niż się z nimi zmierzyć. Tak jak pani. *Sorry*.

Zofia opadła na krzesło. Choroba zakaźna? Kwarantanna? Co jak co, ale w problemach zdrowotnych K. zawsze zwracał się do niej jak do lekarza pierwszego kontaktu. Pokorniał wówczas jak małe dziecko i – odkąd sięgała pamięcią – trwało to tyle, aż nie wyszedł z choroby. Dlaczego tutaj miałyby być inaczej, tym bardziej że w sanatorium wiadomo jaka opieka... Tylko skąd ten ktoś miał te informacje? Chociaż z drugiej strony... W życiu jak na wojnie, wszystko jest możliwe.

– Dobrze, proszę pana, ale co ja mogę?

Odpowiedział szybko:

– Nie no! Nie! Nie wierzę! Trzeba pójść tam zaraz i pogadać z mężem. Zagrozić rozwodem albo samobójstwem. Niech się zacznie bać.

Sięgając do puszki, roztrzęsiona Zofia całkiem zapomniała o fortunie w szczęce. To się stało nagle. Raz chrupnęło i... Na jej dłoni leżał pęknięty na pół porcelanowy mostek, który kosztował majątek.

Natychmiast zjechałem po rynnice na taras, skąd równie szybko dotarłem do wnęki w pobliżu pokoju chorych, przed którym akurat stanęła Zofia. W miseczce stanika pod piersią miała zwitek waty, który tam wetknęła bez ładu i składu. Owinięte ligniną połówki mostka kurczowo trzymała w dłoni. Nieszczęścia chodzą parami – myślała, sztywniejąc na samą myśl o tym, co mogło ją spotkać w środku. Ale największą jej troską było to, co ludzie powiedzą na braki w jej

użębieniu. Zaczną się plotki, docinki i branie na spytki. Niby to będą współczuć, a tak naprawdę wytykać palcami. Złowieszcze wizje wciągały ją w otchłań rozpacz, czego – rad nierad – byłam świadkiem. Na szczęście na dole, w holu, rozległy się głosy powracających z miasta kuracjuszy, co przesądziło o tym, że nacisnęła klamkę. Wśliznąłem się tam za nią i przycisnąłem się w kącie za szafą, stojącą zaraz obok drzwi.

Zapach będący zlepkiem ludzkiego potu, wymiocin i ekskrementów osadził Zofię w połowie drogi do łóżka.

– Kazimierz, jesteś gdzieś tutaj? – spytała, świdrując półmrok oczami, w których pojawił się strach.

„Kazimierz” – powtórzyłem w myślach. Raz Kazimierz? Raz K.? Raz tak, a raz siak. Konspiracja w kratkę?

W świetle oszczędnej żarówki na łóżku pod ścianą bielą drobna, opatulona kołdrą istota ludzka, budząc współczucie Zofii. Tyle że na przekór słowom konfidenta nikt tej osoby nie niańczył. Była tu sama, samiuśka.

– Kazimierz, słyszysz mnie? – szepnęła Zofia ze zgrozą, kiedy stanęła przy łóżku.

Miał poorane cierpieniem czoło, ściśnięte powieki i wykrzywione usta. Śpi i pewnie go dręczą koszmary – rozczuliła się, wpatrzona w znajome rysy. Jej żal nad nim rósł, aż przerósł jej własną krzywdę. Nagle uległa wrażeniu, że Kazimierz to alter ego doktora Ladaco. Ten sam wyraz twarzy, to samo cierpienie zawarte w ustach wygiętych w podkówkę. I troska o losy całego świata bijąca z wątlej postaci. Toteż bez zwykłej uwagi chwyciła męża, niby Ladaco, za ramię.

– Doktorze, jak dobrze, że pana widzę! Moja pierś stęchła, a tu do niedzieli i seansu w Żupie jeszcze kawał czasu – urwała na chwilę, by raptem od żalu przejść do irytacji. – Niech pan sam zobaczy! – Zadarła bluzkę do góry. – Jak mam się ludziom pokazać na oczy, jak na zabiegi chodzić w staniku wypchanym watą. Że o stołówce nie wspomnę, bo taki temat jak ten to woda na młyn dla Konieczki!

Poczułem się ważny. Liczyła się ze mną, a to zawsze coś!

Zofia tymczasem potrzasała chorym, a pokrzykując poprzez bezzębną wyrwę po mostku rozpryskiwała w koło i na twarz męża obfitość kropelek śliny. K. jednak milczał, choć obrzydzenie na jego twarzy było widoczne na milę. Jesliby Zofia była w normalnym stanie, niczego by przed nią nie ukrył, lecz szczęściem dla niego... Nie była.

Wtem w drzwiach pojawiła się Ewa.

– Co tu się wyprawia? I co to za ryki? Co pani tu w ogóle robi?

Żrenice Zofii zajęły całą tęczęwkę.

– A pani???

– Słucham? – spytała tamta, unosząc brew w gniewnym zdumieniu. – Natychmiast proszę stąd wyjść. To sala chorych, nie jarmark!

W tej chwili Zofia pojęła sens posłannictwa szpicla: „Ważne jest to, że niańczy go inna kobieta. Wszak on jest żonaty. Z panią!”.

– Teraz rozumiem! – Z ust Zofii trysnęła ślina. – Ukryłaś go tutaj! Ubezważnowolniłaś! I faszeryjesz lekami, by myślał, że znowuż jest w kawalerskim stanie i może wyczyniać, co mu się tylko zechce. A ja ci mówię, że on jest żonaty. Ze mną!

– Może coś na nerwy? – rzekła tamta oschle. – Doktor jest u siebie. A teraz proszę stąd wyjść, muszę się zająć chorym.

Kazimierz skulił się w łóżku i chyłkiem naciągnął koldrę na głowę. Gdyby mógł, zniknąłby, wyparował, zapadłby się pod ziemię, byle jak najdalej od własnej małżonki, której oczy nieomal wyszły z orbit. Jej usta skąpane w ślinie zasepleniły:

– „Muszę się zająć chorym”? – Zerwała się w stronę Ewy, a kiedy stanęła przed nią, była gejzerem spienionej śliny toczącej się na podbródek. To zamykając, to otwierając usta, zbierała siły do starcia, starcia na śmierć i życie.

Na twarzy siostry pojawił się ironiczny uśmiech i stęzał w złym grymasie.

– Jeszcze się pani przeziębii, radzę zamykać usta...

Z początku Zofia nie zrozumiała sensu tych słów. W końcu pojęła. W jej oczach zalśniły łzy żalu, upokorzenia i złości i wzbierającą strugą polały się po policzkach. Powłócząc nogami, obeszała Ewę i wyszła na korytarz. W pobliżu trzasnęły drzwi. Przez łzy ujrzała postać wygrażającą jej palcem.

– *Sorry*, a co to? Wycieczki po nocy?

– Panie doktorze, to pan? – Rzuciła mu się na szyję. – Naprawdę? To pan?!

Ladaco wyrwał się z jej objęć i wcisnął w dłoń ligninę, którą wyciągnął z kieszeni.

– Któżby inny? – odrzekł. – Proszę się uspokoić i wytrzeć porządnie nos.

Potrwało chwilę, nim Zofia uspokoiła się na tyle, aby coś powiedzieć.

– Stała się rzecz straszna – wyrzuciła z siebie. – Pierś mi stęchła. Jedna. Da się coś z tym zrobić? Bo Marek Konieczko, wie pan, ten policjant, ma rentgen w oczach. Jak coś sobie ubrda...

– Proszę do meritum, robota na mnie czeka.

Zofia ponownie zalała się łzami.

– Świat mi się wali, nieszczęście jedno po drugim, a pan... pan...

– Wszystkich tak szybko pani osądza? – Przezeszał włosy palcami.
– Proszę pójść za mną. Do gabinetu. – Te słowa i sposób, w jaki na nią spojrział, sprawiły, że geniusz doktora Ladaco znowuż miał nad nią władzę.

Siedząc przy ciężkim dębowym biurku, zakłopotana Zofia skubała kieszonkę bluzki, gdzie wcześniej schowała mostek. Doktor tymczasem za parawanem z nieznanym mi bliżej składników szykował jakąś miksturę. Gdy stamtąd wyszedł, w dłoniach miał szklane naczynie z gęstym brunatnym płynem, które postawił przed Zofią.

- Proszę to wypić, powoli - powiedział, siadając za biurkiem.

Sącząc gęsty syrop o smaku palonych liści, Zofia czekała w milczeniu, aż doktor - zajęty pisaniem - poświęci jej w końcu czas. Dopiero koło północy oderwał się od notatek.

- Zatem, droga pani, zamieniam się w słuch.

Wpatrzona w oczy doktora Ladaco jak w jeden jedyny punkt odniesienia na oceanie nieba milczała, czując, że zmienia się w ciało niebieskie, zbląkane w metafizycznej próżni. Czyżby stawiała się białym karłem w otchłani czarnej rozpaczycy? A on mesjaszem, barankiem bożym czy kimś w tym rodzaju? Działy się z nią dziwne, tajemnicze rzeczy, którym - czuła to wyraźnie - powinna położyć kres, i to jak najszybciej. Dopiero jednak po dłuższej chwili udało jej się przełamać i odzyskać mowę.

- Panie doktorze, dla mnie to bardzo wstydlivy temat, do tego słabo się czuję... Może tak być po tym czymś - wskazała na kubek. - A może dlatego, że jest tak późno i dawno powinnam być w łóżku?

- Nie ma wstydlivych tematów, są pruderyjni ludzie! - odpowiedział, wstając. - A teraz proszę przejść do meritum. Sam przeszedł na drugą stronę i usiadł przed nią, na biurku.

W chwili gdy dłoń mężczyzny, przez bluzkę, dotknęła jej piersi w wacie, poczuła zapach lawendy. Zadrżała pod tym dotykiem. A słabość w głowie zmieniła się w czarną dziurę, która z twardego dysku jej pamięci wysysała pliki... Powoli traciła świadomość.

- A w końcu czy to ważne... - szepnęła słabnącym głosem. - Prawda, panie doktorze?

- Ależ oczywiście - poparł jej postawę. - Nasze strapienia są niczym przy randze Kosmosu, w tej skali praktycznie nie istnieją... Ale wytłumacz to ludziom... Mogę coś o tym...

- Nie, nie, nie trzeba... Co to ja jeszcze chciałam... - Zofia mdlejącym gestem przetarła twarz. - Ach, tak... Pękł mi mostek, który kosztował majątek, ale w obliczu Kosmosu to faktycznie szczegół... Czym się tu przejmować.

Doktor Ladaco nie czekając dłużej, podciągnął jej bluzkę do szyi, przesunął też wyżej rozciągnięty stanik. Przez lekko otwarte usta kobiety zaczęła się sączyć ślina. Jej głowa opadła do tyłu. Bezwładne ciało na krześle zaczęło się niebezpiecznie chwiać.

– Poczekaj, ja zaraz... – mamrotał doktor Ladaco. – Albo inaczej, poczekaj, najlepiej nam będzie na biurku.

Chwycił leżące mu się przez ręce ciało Zofii i, przesuwając po krawędzi mebla, umieścił je na pulpicie. Leżała przed nim na wznak z rozrzuconymi na boki ramionami. Patrząc na jej piersi – z których jedna przypominała obsychający owoc gruszki, druga zaś wciąż była obrzmiała po pszczelim jądzie wstrzykniętym na sesji w jaskini – zdawał się na coś czekać. Na coś, o czym wiedział, że nastąpi.

A mimo to drgnął, gdy gdzieś z wysokości, może nawet z nieba, dobiegł go głos matki.

– To już czterdziesta trzecia z kolei, synu?

– Dalej je liczysz, mamu? – odpowiedział z męką. – Dlaczego wciąż mi to robisz?

Wymiana zdań tych dwojga kazała mi z miejsca zmienić tor myślenia, który mnie prowadził w rejony absurdu. Jak ja mogłem myśleć, myśleć bez żenady, że doktor i Zofia... Że oni coś z sobą... w sensie erotycznym... Czyżbym tracił węch?

Głos matki doktora Ladaco wezbrał smutkiem.

– Bo jestem twoim poczuciem winy, czyż nie? – powiedziała cicho.
– Może jak dojdiesz do stu... Może wtedy zniknę... Ale nie bądź tego pewny na sto procent. Uzbierało ci się. Pamiętasz, jak mówiłeś, że żaden śmiertelnik, żaden tam byle człowieczek nie ma kompetencji, aby ingerować w regulacje Boga? Że on wie najlepiej, w Przenajświętszej Trójcy, co i komu zesłać na ten padół łez. A te złote myśli, buńczuczne i pyszne, które wygłaszałeś niczym kaznodzieja: „Człowiek jak ten pył. Jest i już go nie ma. Jeden we Wszechświecie sprawiedliwy Bóg” – ależ ty byłeś nadęty. Klauzula sumienia...

U szczyła z mlekiem pod nosem. Doprawdy, koń by się uśmieł. Ha, ha, ha, ha, ha... – Jej śmiech był szyderczy i głośny.

W oczach doktora Ladaco zabłyśły łzy, a z ust wydobył się szept:

– Mamó kochana, proszę...

Wtem jakiś ruch przerwał ten quasi-seans spirytystyczny. To noga Zofii zsunęła się z biurka, sprawiając, że koszmar z głowy doktora ulotnił się w jednej chwili. Niestety niebezpiecznie, o co się modlił każdego dnia. Bo doktor Ladaco chciałby zapomnieć raz na zawsze o wielkiej rodzinnej tragedii, której był sprawcą w swych durnych i chmurnych młodzieńczych latach. A przecież jeszcze w okresie studiów wszystko układało się według jego śmiałych planów. Specjalizację z dermatologii umiejętnie łączył z dalszą nauką na studiach podyplomowych w zakresie medycyny estetycznej, ciesząc się życiem ateisty. Ale gdy na swej drodze napotkał Marię, wszystko się zmieniło. Studiowała religioznawstwo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dość powiedzieć, że zamroczony jej boskim ciałem przyjął za własny jej światopogląd. I podpisał klauzulę sumienia, głosząc wszem wobec, że tylko skończy te studia (w które zainwestował jednak pieniądze), zajmie się ortopedią. Nie będzie naciągał zmarszczek ani sztukował biustów starzejących się kobiet, torpedując plany Boga Stwórcy. Ale przede wszystkim doktor Ladaco chciałby wymazać z pamięci – a nawet z tego powodu zapaść się w nicość – sposób, w jaki się obszedł z matką, gdy w związku z aktywizacją guza poddała się amputacji piersi. Psychicznie znosiła to coraz trudniej. Do tego ojciec Ladaco opuścił ją dla innej, z parą własnych piersi. Pocieszała ją jedna myśl: że jej syn, Michał, już wkrótce operacyjnie odtworzy narząd, przywracając jej sens i radość życia. Ladaco nie chce pamiętać, jak w każdy wieczór, zdejmując protezę, szlochała u siebie w pokoju. I nie chce słyszeć pączkującej w jej głosie czarnej melancholii: „Synu... Obiecałeś... Pokazywałeś mi zdjęcia piersi po przeszczepach. Mówiłeś, że się uda. Zmieniłeś się, bardzo... Nie kochasz już swojej matki?”. Ale to Maria była wtedy

całym jego światem. Nie zauważył nawet, kiedy matka, już o nic nie prosząc ani nie skarżąc się na nic, odeszła cichutko, z dnia na dzień, po zażyciu garści psychotropowych leków nasennych. Powstała pustkę zauważył po roku, dopiero gdy Maria zerwała z nim nagle, wiążąc się z uczelnianym księdzem katechetą.

Doktor Ladaco spojrzął z tkliwością na Zofię. Spojrzął dokładnie tak, jak patrzył na wszystkie starsze kobiety przed nią, którym wstrzykiwał żel w ich pomarszczone biusty, w poczuciu winy, spłacając swój dług wobec matki. Jeśli to miało choć w części zmienić ich życie na lepsze... Było warto. Nie poprzestawał jednak tylko na tym, stojąc na stanowisku, że zmian przede wszystkim dokonuje się w głowach. Doktor Ladaco otrząsnął się z myśli, sięgnął po mostek, który wypadł Zofii z kieszonki jej bluzki i włożył go do szuflady. Później w gorącej bieżącej wodzie starannie szorował dłonie. Gdy skończył, z szafki za parawanem wyciągnął ampułkę ze szklistym żelem i ze strzykawką w dłoni podszedł do kobiety. Naciągnął jej zwiędłą na piersi skórę i zrobił pierwsze ukłucie.

Tak więc to wygląda... – otrząsnąłem się. Przykra sprawa, niemniej scena się rozjaśnia. Jeden sekret mniej.

Spędziłem noc, czuwając przy łóżku Zofii. Koło dziewiątej w jej płytkim śnie zjawiał się doktor Ladaco. Ręcząc, że zabieg się udał i teraz jest wszystko w porządku, siedział na wózku dla inwalidów w otwartych drzwiach szafy i robił przegląd na półkach. Chciała dopytać, co to znaczy „wszystko w porządku”, i rzucić mu się na szyję, dziękować, ale on zerwał się z wózka i niczym mydlana bańka uleciał pod sufit, gdzie się rozprysnął na milion milionów kropli. Do pokoju weszła młoda praktykantka, przysiadła na wózku i spytała bardziej rzeczowo niż z troską.

– Jak się pani czuje?

Powieki Zofii zatrzepotały. Jej mętne spojrzenie padło wpierw na wózek.

- Gdzie ja jestem, matko? I skąd tu ten wózek? - spytała na wpół przytomna.

- Jest pani w swoim pokoju, dochodzi pani do siebie - odpowiedziała tamta. - Poznaje pani? - W wyciągniętej dłoni trzymała zwitek ligniny.

- Mój mostek...? Co robi u pani mój mostek?

Stażystka podniosła się z wózka.

- O tym porozmawiamy później - odrzekła krótko i poszła w kierunku szafy. - Teraz pomogę pani się ubrać i wyjeżdżamy z Turni. Na miejscu musimy być przed południem. Potrzebny będzie kamuflaż - dodała, przeszukując półki. Ale jak widzę, wszystko tu pasuje. Wszystko prima sort, hi, hi, hi, hi...

Ot młoda, głupia - pomyślałem.

Później sprawy potoczyły się szybko. Przed tylnym wyjściem z Turni pojawił się bus do przewozu osób niepełnosprawnych i stanął przed wózkiem pchanym przez stażystkę. Kierowca wyskoczył z szoferki.

- Następnym razem w ostatniej chwili proszę nie liczyć na transport. Zamawiać trzeba dzień wcześniej. I to z samego rana - upomniał stażystkę, po czym pochwycił rękojeść wózka i wtoczył go po pochylni do auta. Na koniec przypiął pasami. - A pani? - odwrócił się do dziewczyny. - Pani z nią nie wsiada?

- Niech pan zamyka. Babcia, jak sądzę, od przyzwoitki będzie wolała drzemkę. Mamy kawałek do Kłodzka, a dzisiaj na drodze ślisko, więc zejdzie nam pewnie z tym dłużej. Usiądę przy panu, można?

Kobieta na wózku w busie strąciła z nosa okulary przeciwsłoneczne (model wczesny Gierek), z głowy zaś pilotkę zrobioną na drutach, również z tamtych czasów. Spod kamuflażu wyjrzały na wpół przytomne, okrągłe oczy Zofii. Co oni chcą jej zrobić? Dokąd ją wiozą? Luki w jej pamięci zaczęły wypełniać nagle, krótkotrwałe przebłyski i światła, wywołujące nasilający się ból w skroniach. Kiwając się w wózku i podskakując na nierównościach

drogi, Zofia zwiesiła głowę i skrzyżowała ręce na piersi, starała się zebrać myśli. Jeżeli to sprawka doktora Ladaco, tego mu nie daruję. Wkrótce zapadła w drzemkę, z której ją wyrwał kłujący ból piersi. Sztywniejąc, odpięła guzik zmechanicznego swetra, następnie zatrzasnęła w dawno niemodnej bluzeczce bouclé – i oniemiała. Jej piersi sterczały dumnie, rozkołysane jazdą. W niewielkim stopniu wrażenie psuły małe czerwone punkty, jak po nakłuciach igłą.

Rozdział XV

SPRAWY DO ZAŁATWIENIA

Rankiem, po śniadaniu, zaszedłem do pokoju kobiet. Zastałem tylko Urszulę, która miotając się po pokoju, przestawiała krzesła, powtarzając w furii:

- Niech zrobi to jeszcze raz, a zabiję! Niech zrobi to jeszcze raz!

- O kim pani mówi? - zapytałem z troską. - Mogę jakoś pomóc? Ale o zabójstwie nie może być mowy. Zresztą zdałem broń. Ale jak pani nie chce, może pani nie mówić.

Spojrzała na mnie i warknęła:

- Pan też się doigra!

Pewnie znów, jak co dzień, wściekła się na gościa w odbłaskowym golfie. Taki fan to skarb, a ona go nie chce. Nic tylko Olech i Olech!

Groźną sytuację skoczną melodyjką rozładował sygnał telefonu wdowy.

W głosie Jacentego brzmiały nuty żalu na przemian z cierpieniem. Ale przez te brzmienia przebijały inne, odstające od nich, które najwyraźniej, jak na moje ucho, gość próbował ukryć. No bo jednak smutek kłóci się ze stanem radosnej euforii.

- Nie dzwonię nie w porę? - rzekł po przywitaniu.

- Nawet tak nie żartuj! - obruszyła się i zaczęła mówić, jak jej było ciężko samej pośród ludzi. Jak jej brakowało jego cennych porad, których jej nie szczędził. Że przeżyła tylko w konsekwencji tego, że każdego dnia zaraz po obiedzie biegła na przystanek dla wysiadających, bo a nuż, widelec... Wałbrzych niedaleko, ile to

przyjechać? Z radością na przemian ze smutkiem oddawała żywo chwile swej frustracji: – Dasz wiarę, że rozkład jazdy z tablicy znam z góry na dół na pamięć? Skąd, dokąd, przystanki. Roboty drogowe, objazdy... Ale o tym dość – powiedziała nagle i sięgnęła po zeszyt. – Teraz niespodzianka! *Impresja o żądzy w synonimach*, taki krótki tekst. Przeczytam ci, co?

Żądzę w synonimach znamy już od dziecka: to pragnienie piersi nabrzmiałej pokarmem naszych rodziców. To zachłanność w silnym zacisnięciu rączki na trzonku grzechotki czy kółeczku smoczka. Albo na butelce z mieszaniną mleka pod postacią proszku pół na pół z kranówką po przegotowaniu.

W wieku nastoletnim żądza to namiętność, której czynnik sprawczy w pełnej gotowości tylko czeka chwili, by się wyrwać z majtek, aby szaleć, psocić. Zapomnieć się w grzechu.

Żądza w dorosłości to ambicje głupków do pełnienia funkcji, która ich przerasta. To gorączka złota przywleczona z Klondike – złotonośnej rzeki, która pochłonęła więcej ludzkich istnień niż biblijne plagi zesłane na Ziemię przez naszego Stwórcę razem wzięte. Ile ich tam było? Znaczą się tych plag?

Hyś, fiksaja, fijoł to też z tej rodziny pochodzące słowa, które oznaczają, podobnie jak tamte: miłość do mamony i pęd do kariery, choćby i po trupach.

Pościg i ucieczka to znów głód przygody, czyli znów ta żądza, która rządzi światem. A mówią, że pieniądź... Choć to też, to też.

A na koniec żądza jako dzień spadkowy, kiedy w aureoli potencjalnych świętych, ze świadectwem zgonu w zeszytywniałych palcach i z komunią świętą uwięzłą w przełyku, staną u bram raj, pożądając Boga.

Ale nie tak szybko... Nie tak szybko, nieee...

Święty Piotr wpierw zajrzy przez judasza w furcie.

A gdy ujrzy żądzę, zamachnie się kluczem i zakrzyknie w głos:

- *A paszła stąd won! Bo poszczuję psami!*

Urszula skończyła czytać i umilkła.

- Jesteś tam, Jacenty? - zapytała w końcu, zdjęta niepokojem. Bo po drugiej stronie nie słyszała nawet jego zwykłych mruknięć, takich jak „yhy” czy „ta, taaa... ta, taaa”. Wyłączył się? - pomyślała. Nie, no... Bez przesady. W końcu *paszła won* to żaden wulgaryzm.

W końcu się odezwał.

- Jestem, jestem, jestem... Tyle że Urszulko, zabrakło mi słów. Jakże celna myśl, memento dla żywych: „Pamiętaj o śmierci”. Jestem pod wrażeniem twojego talentu, który w mej opinii przerósł już epokę. Niemniej jest coś jeszcze, o czym chciałbym wspomnieć...

Raptem w słuchawce zaczęło piszczeć, a słowa mężczyzny zaczęły się rwać, jakby telefon tracił zasięg. Wytężyłem słuch. Spośród kilku westchnień i ze strzępów sylab wyłowiłem tylko „nie, nie” i „spotkanie”. Na koniec zapadła cisza. Na nic próby wdowy, aby wznowić kontakt. Numer Jacentego przestał odpowiadać. Co się mogło stać? Co on chciał powiedzieć? Chodzi o sobotę? Że co? Nie przyjedzie? Zaraz, jak to było? Żeby w razie „w” poszła do kaowca? Mnie zaś ogarnęły czarne myśli o tym, czym się skończy dla niej to maniackie szoł. Ten swoisty mariaż, w który się rzuciła z ślełą wiarą w szczerosc i intencje ludzi, ludzi z kręgu pióra. W urojony świat, w którym własne wizje i dzikie fantazje traktowane są jak prawdy objawione, ale już badawcza i dogłębna wiedza, i uczciwa gra nie obowiązują. Na domiar złego tak się w to wkręciła, że choćby i chciał, nikt by nie był w stanie ustrzec ją przed tym szaleństwem.

Drzwi biblioteki były otwarte. W poszukiwaniu kaowca Urszula obeszła regały, po czym nawołując, zaszła do kantorka z tyłu biblioteki. Nigdzie ani śladu. Nagle z antresoli dobiegł nas ochryply, rozbawiony głos:

- Jestem tu! Na górze! Wejdzie pani po tym? - Drabina sznurowa rzucona w dół wzneciała z podłogi kłęb kurzu.

Siedzieli w mroku, zwrócenii do siebie twarzami. Brzęczenie muchy złapanej w pajęczą sieć zlewało się z szumem zza okna. Urszula z rosnącym niedowierzaniem słuchała słów kaowca, wypowiedzianych ze swadą i tą swoistą nonszalancją charakterystyczną dla ludzi obracających się w kręgu bardziej kultury masowej niż tej skierowanej do elit. Policzki miał zapadnięte, a oczy zażławione, pewnie od dymu z fajki, którą palił. Z jego ust jak zwykle bił smród alkoholu.

- Taaa, moja pani... - powiedział po chwili przerwy. - O czym to ja mówiłem?

Wzdrygnęła się.

- Mówił pan o tym, między innymi, że informacje kosztują pod każdą szerokością geograficzną...

- A, tak... tak. Więc jak, zdecydowała się pani? - Kaowiec wstał z fotela, podszedł do biblioteczki, nalał do szklanki trochę żołądkowej gorzkiej ze stojącej tam flaszki i wypił.

- Nieee... Raczej nie... Zresztą sama nie wiem... - zmagła się z sobą, wyłamując palce. - Co ja mam zrobić z tą wiedzą? I dlaczego mam panu wierzyć?

- Zrobi pani, jak zechce - oświadczył, udając obojętność. - Na pani miejscu jednak pojechałbym tam i sprawdził. Za taką życiową nauzkę zapłaciłbym każdą cenę. No tak zbałamucić kobietę! Wdowę! Nadużyć jej zaufania... Przejąc jej twórczość jak swoją. Ale przecież - kaowiec jakby stopniowo trzeźwiał, a może popadał w coraz większą pijacką rozpacz - ale przecież sam mi to wyznał po pijanemu. Tak czy inaczej ten pan to nie jest znajomość dla mnie!

Urszula zwiesiła głowę, a gdy ją uniosła po milczącej przerwie, w jej oczach czaił się mord.

- To ile pan chce za ten adres? - Jej głos tym razem brzmiał twardo, a myśli skupione na jednym pobiegły do Emila. Odczytawszy je, puściłem się pędem do siebie, gdzie zaraz wskoczyłem do łóżka, mając za towarzystwo siedzących przy stole Emila z Bożenką i jakichś

nieznanych mi bliżej, rozbawionych gości. Wkrótce usłyszałem pukanie do drzwi. Oho! Już jest! – pomyślałem.

– Panie Emilu, przyszedłem do pana z musu – zaczęła Urszula od progu. – To sprawa życia i śmierci! Może pan wyjść na słówko?

Bożenka zerwała się z krzesła i zasłoniła Emila ciałem, pewnie myśląc, że straci go z oczu na chwilę, jak w Dolce Vita onegdaj, a potem szukaj wiatru w polu. Pewnie wciąż pamięta, co potrafi Emil i ile są warte jego obietnice i przysięgi.

– Ja i Emilek nie mamy przed sobą tajemnic. Prawda, Emilku?

Ten jednak wstał i odsunął ją na bok.

– Prawda, Bożenko, prawda. Ale nie mogę pozwolić, by pani Urszula trąbiła przy wszystkich o sprawach życia i śmierci. Tym bardziej jeśli to tajne łamane przez poufne! Już idę, idę! Słuchać Polaków, służyć Polsce! – zawołał, skinął na wdowę i wyszedł z nią na korytarz. Zanim zamknął za sobą drzwi, ta zaczęła mówić:

– Pomoże mi pan w ważnej dla mnie sprawie? Muszę do Wałbrzycha, choćby nie wiem co!

* * *

Koło południa w związku z awarią prądu pacjenci tłumnie wylegli na taras i wyklinając na przerwy i inne bolączki mączące radość kuracji, rozsiedli się na leżakach. Byłem tam i ja, za towarzystwo mając Emila, który uparcie tarł brodę, wpatrzony w odległy punkt na linii horyzontu, którego pewnie nikt poza nim samym nie widział.

– Co z tobą, Emil? Stało się coś? – zapytałem.

Zamrugnął oczami załzawionymi od wpatrywania się w dal.

– Jest chyba gorzej, niż myślałem – mruknął w odpowiedzi.

– Ale w jakiej sprawie? Zaczynasz, nie kończysz...

– Żeby to było takie proste... Ale to nie jest takie proste, nawet do opowiedzenia – odparł i znów zapadł się w udręczone milczenie.

Musiałoby się jednak chyba w nim gotować, bo zerwał się z leżaka i kręcąc się w miejscu z uwagi na ścisk, jął opowiadać o tym, o czym tak naprawdę chciałby już zapomnieć. O tym, że mimo walki z wewnętrznym oporem w końcu pogodził się z myślą o seksie z Bożenką. Emil w swej narracji cofnął się do zdarzeń z ubiegłego dnia, kiedy po obiedzie zaszedł do kaowca, by ten mu wynajął lokal na zapleczu. Kaowiec, za pół litra żołądkowej gorzkiej i paczkę tytoniu do fajki, wręczył mu klucz od kantorka z upchniętym tam stosem książek przeznaczonych na przemiał. Tam Emil wyznaczył swoje spotkanie z Bożenką, uwiódłszy ją wcześniej obietnicą seksu. I w przekonaniu o własnym sprycie przyjął za dobrą monetę śmiech i nawet sarkazm w jej głosie, gdy odpowiedziała: „Nie mogę się już doczekać...”.

Na samo wspomnienie tego, co stało się potem, Emil gwałtownie drgnął. Jak to w zastępstwie gry wstępnej z Bożenką dał upust swojej frustracji, zdradzając kobiecie intymne szczegóły ze swojego życia. I że on, rzecz jasna, w pełni rozumie fizjologiczne potrzeby płci odmiennej (bo czymże jest miłość fizyczna, jak nie tym), ale osobiście nie cierpi seksu, nawet z własną żoną, bo tak naprawdę kręci go polityka. Już w szkole średniej jednym ciurkiem potrafił wymienić skład rady ministrów RP, jeszcze za sanacji. Ale on oczywiście nie mówi, że nie. Wywiąże się z obietnicy. U niego słowo rzecz święta. Po czym z ledwo, ledwo ukrywaniem wstrętem pociągnął kobietę na wytartą sofę i jął – chcąc jak najszybciej mieć to już za sobą – całować jej szyję, policzki i czoło, zręcznie omijając okolice ust. Ale zamiast o seksie, myślał o kampanii. No i stało się. Poległ na całej linii.

Na moje szczęście oszczędził mi dalszych szczegółów.

– Masz pojęcie, Marek – Emil padł na leżak – co ja tam przeżyłem? I tak miałem szczęście. Mogłem dostać w pysk, czego, prawdę mówiąc (biorąc pod uwagę temperament Bożenki), oczekiwałem po tym fackie. Ale jej to jakby w ogóle nie obeszło. Pojmujesz coś z tego, Marek? Założyła szlafrok i spojrzała na mnie oczami modliszki, mroząc mi krew w żyłach. Wychodząc, od drzwi powiedziała tylko:

„Jesteś beznadziejny. Szukaj sobie innej!”. I to mnie dopiero rzuciło na ziemię. Dotąd byłem pewny – że chce seksu ze mną, ale teraz myślę, że prowadzi ze mną jakąś swoją grę. A tu czas ucieka i terminy gonia! Przecież ja potrzebuję, i to na gwałt, jej deklaracji w sprawie kampanii wyborczej!

Roześmiałem się.

– To o to ta cała tragedia ludzka? A ja już myślałem, że dzieje się jakiś dramat.

– A żebyś wiedział, że dramat! – rzucił jednym tchem. – Postawiłem na nią, zmarnowałem czas i co?! I co teraz?

– Emil, a może ten seks – rzekłem, tłumiąc śmiech – nie bardzo jej przypadł do gustu? Nie wiesz, jak to jest? Niektórym kobietom trudno jest dogodzić, zwłaszcza tym, jak im tam... feministkom spod znaku tęczy, genderu i lewactwa. Więc zamiast użalać się nad sobą, weź klucz od kaowca, przeproś Bożenkę za tamto i użyj dziś innych technik. W czytelnicy, jestem tego pewien, znajdziesz coś na ten temat, jakiś poradnik czy coś...

– Nigdy w życiu! – rozdarł się Emil. – Nigdy w życiu – powtórzył ciszej, bo parę osób spojrzało na nas, piorunując wzrokiem. – Ja nienawidzę seksu, a jeszcze jak pomyślę, że z Bożenką... Zwyczajna szcztotka na kijku ma w sobie więcej „tego czegoś” niż ona... – Zacisnął zęby i ponownie wpatrzył się w odległy punkt na linii horyzontu, który, jak przypuszczam, miał na jęgo nerwy dobroczynny wpływ.

Milczałem i ja.

– A może, Emil, postaw raz na szczerość – rzekłem po namyśle – i powiedz Bożence wprost, że nie masz głowy do seksu w przededniu kampanii wyborczej. Biznes i polityka w jedną trąbę dmucha, więc kto jak kto, lecz ona z pewnością zrozumie, że pewnych rzeczy po prostu nie uda się z sobą połączyć. Obiecaj jej coś w zamian. Na pewno się dogadacie! Skoro wam z tym nie wyszło (aż szkoda, bo to najczęściej załatwia sprawę), to dalej nie ma co po omacku. Bierz się do roboty, bo inaczej wiesz... Brukselo, baj, baj!

Emil ożywił się nagle i spojrzał na mnie przez lzy.

- Myślisz, że to coś da?

- Gwarancji nie ma, ale spróbować zawsze można.

Przed obiadem Emil, znów z paczką tytoniu w kieszeni i z butelką wódki, zaklinając w duchu, by ktoś go nie ubiegł, ktoś równie potrzebujący jak on, pobiegł do kaowca, by załatwić lokal na czas poobiedniej sjesty.

Konsumpcja klusek z olejem i wodnistego barszczu z buraków nie sprawiła gościom najmniejszych problemów, zatem na stołówce kilka minut później zrobiło się pusto, z wyjątkiem paru guzdralskich, między innym Bożenki, która rysując palcem esy-floresy na poplamionym obrusie, zdawała się na coś czekać. Nagle postać Emila wyrosła przy niej jak na zawołanie. Jest! Nawet szybciej, niż myślałam - roześmiała się w duchu.

Emil, jak uprzednio, miał na twarzy skruchę.

- Wiem, wiem, znów zawiodłem, ale to naprawdę nie jest moja wina. - Emil bił się w piersi. - Mnie już od chłopaka odrzuca od kobiet. To przez politykę. Przecież ci mówiłem! Czy tobie tylko to w głowie, Bożenko? Seks jest już od dawna przereklamowany, a już w naszym wieku... Dogadajmy się.

Cień rozbawienia przemknął przez twarz kobiety.

- Obiecywałeś mi rajski seks i co? - Bożenka wyraźnie kpiła z Emila. - Co, nie wiedziałeś wcześniej, że tak to się skończy? I nie dość, że ci wybaczę upokorzenie w knajpie, to jeszcze i to! W życiu nie spotkał mnie taki afront!

Emil siadł ciężko na krześle.

- Bożenko, porozmawiajmy spokojnie. Bo przecież trzeba rozmawiać! Może w kanciapie kaowca, jak wczoraj? Chcesz, pójdziemy tam zaraz. Tylko mi powiedz, co i jak mam robić, bym jeszcze bardziej, niechcący, tego nie spieprzył, jak to ja... Okej?

Słyszając tragiczne tony w jego głosie, Bożenka powstrzymała się z trudem, by nie parsknąć śmiechem, ale nie dała rady. Nie był to

jednak śmiech szczerzy, był to śmiech złowieszczy. Podobnie jak słowa.

- Ostatni raz daję ci szansę. Ostatni raz, Emil! Pamiętaj!

* * *

W składziku z tyłu biblioteki panował dyskretny półmrok. Z zapadłej sofy Bożenka śledziła kroki Emila, który niczym w klatce, szarpiąc się z myślami, krążył po kanciapie. Nagle znieruchomiał i wyrzucił z siebie:

- Dobra, kurcze, dość! Miejmy to za sobą!

Odczekała chwilę z niemą satysfakcją (w czasie której Emil, spocony jak szczur, odmawiał zdrowaśki) i na koniec rzekła dobrotliwym tonem, że zmieniła zdanie w kwestii tego seksu.

- Nic na siłę Emil, odpuszczam ci to! Ale wiedz, że z inną łatwo by nie było. Dałaby ci viagrę... dajmy na to w drinku, a po viagrze wiesz... wiesz, co by się działo - straszyla go z premedytacją. W końcu Emilowi zaświtało w głowie.

- Bożenko... to czego chcesz w zamian?

Słyszac to, Bożenka zaśmiała się w duchu. W interesach jednak nie jest taki głupi... - pomyślała jeszcze i udając namysł, rzekła od niechcienia:

- W sumie... nic wielkiego... Chodzi tylko o to, by fiskus w Sopocie wstrzymał się z kontrolą w moich pawilonach, póki nie dam ci znać, że już może wejść. Bożenka podniosła głos: - Tylko pamiętaj, to ważne - dopóki nie dam ci znać! Wpierw muszę uporządkować kilka swoich spraw. Potrwa to, myślę... cztery, góra pięć dni.

Emil zamrugał oczami, czując w tym jakiś przekręt, bo co jak co, ale w tego rodzaju sprawach raczej go węch nie mylił. Ale nie rzekł nic, no bo co miał mówić w tych okolicznościach. A problem Bożenki był dla niego żaden i mógł załatwić jednym telefonem. Skarbowkę w Sopocie w ostatnich wyborach przejęła wszak jego partia. Ale jeśli tak... Teraz jego kolej.

- Wiem, Bożenko, wiem - przyznał po namyśle. - Wiem, że zawiniłem w kwestii tego seksu, ale z drugiej strony to, o co mnie prosisz, to jest przestępstwo, podpadające pod paragraf! To bardzo ciężki zarzut wykorzystywać państwowy urząd w prywatnej sprawie. To korupcja polityczna i gospodarcza razem wzięte! - nakręcał się coraz bardziej. - Przez to nawet mógłbym pożegnać się z partią, jakby ktoś życzliwy doniósł komu trzeba! Aż strach myśleć komu.

Bożenka przeszła go wzrokiem. Oho! Już się wykręca! Już patrzy, jak tu przy okazji coś dla siebie ugrać. Nie było jednak innego wyjścia.

- Yhm... rozumiem... Więc co by to miało być?

Emil niewinnie zamrugął oczami.

- Biorąc pod uwagę karkołomność sprawy...

- Do rzeczy, Emil! Do rzeczy!

Nie czekając dłużej, Emil ją wyrzucił z siebie ciągi ożywionych i pospiesznych słów, wymachując rękoma i potrząsając głową. Mówił i mówił, co tchu i w szczegółach, że lada moment nadmorskie plaże zaroją się od turystów, zapełni się też Trójmiasto, sopockie molo i Monciak... Trzymając się wciąż tematu, przedstawiał go z różnych stron, nim w końcu, przelękły milczeniem Bożenki, urwał monolog w pół słowa, by z twarzy kobiety wyczytać, czy jest jakaś szansa na dil. Spokój na jej twarzy spowodował to, że i on odetchnął i obliznął spierzchnięte usta.

- Lepszego miejsca na moją kampanię wyborczą, z dyspozyturą w twoich pawilonach, nie mógłbym sobie wymarzyć. Zaangażujesz się w to, Bożenko? - wyrzucił z siebie na jednym oddechu i uśmiechnął się, widząc na jej twarzy sympatyczny spokój i gotowość do ustępstw.

Kiedy Bożenka na rauszu (po paru wódkach „U Antka” z Emilem, by oblać ich wstępną umowę) wróciła do Turni, stwierdziła z niemałą radością, że los jej nareszcie sprzyja. W pokoju nie było nikogo prócz mnie, skulonego w szafie. Wybrała więc numer do męża, modląc się w duchu, by odebrał. Zrobił to pierwszy raz od dłuższego czasu.

- No, w końcu! - rzuciła w słuchawkę. - Jeszcze dzień czy dwa i nic już nie dałoby się uczynić w sprawie, w której dzwonię. Posłuchaj więc, co i jak, i - jeśli możesz - nie przerywaj mi.

Zaczęła od słów, że zakochała się w gościu, obcokrajowcu, który zawitał do Łądka, by wziąć tu serię kąpielni siarkowych słynnych na cały świat. Zrobiła to z żalu, bo przecież nie z zemsty, do której nie jest zdolna. W tej sytuacji ona wybacza mu jego romans i prosi o wybaczenie za swój. Czas przerwać ten ciąg nienawiści! Mówiła dalej, że gdyby jednak poczuł się dotknięty (w końcu oficjalnie jest wciąż jego żoną), pragnie wynagrodzić mu jakoś tę krzywdę. Ale musi działać, działać bardzo szybko, bo tylko się skończy turnus, razem z ukochanym wyjeżdżają z Polski. Przed wyjazdem jednak chce uregulować wszystkie swoje sprawy, aby móc bez przeszkód w egzotycznym kraju zacząć nowe życie. Chce się zatem zrzec, w ramach rozrachunku, praw do pawilonów. Niech się nimi zajmie i sam ciągnie forszę z handlu pamiątkami. Jeśli jednak teraz nie ma do tego głowy (dzisiaj, gdy sama jest zakochana, rozumie go jak nikt inny), niech je sobie sprzeda. Z nimi tylko kłopot. I ból kręgosłupa od stania za ladą czy noszenia ciężkich pak z towarem. Bożenka zmierzała do końca:

- Jutro, zaraz z rana, pędź do notariusza, niech natychmiast stworzy stosowny dokument, po czym przez kuriera, tak będzie najszybciej, wyślij mi go do Łądka. Podpiszę, co trzeba, i odeślę szybko tym samym kurierem, no a później zrobisz, jak będziesz uważał: zostawisz sobie ten garb na plecach lub spieniężysz. Adres za chwilę podam ci w esemesie.

Wysłała mu adres i tanecznym krokiem pobiegła do łóżka. Wkrótce przestrzeń w szafie (w której, przypominam, byłem nielegalnie) zajęły myśli Bożenki. Jej intryga była godna mistrzów pióra, tych od kryminałów. A zarazem prosta do realizacji. Przepisać na męża swe udziały w budach, budach - że przypomnę - z długami na maksa, a po wszystkim nasłać na niego skarbówkę. Ten piekielny

plan z użyciem partyjnych kontaktów Emila miał realną szansę udać się bez przeszkód w związku z odurzeniem miłosnym jej męża, który pewnie ocknie się z tego w więzieniu. No bo niby z czego spłaci zaległości, których sam narobił? Fiskus nie zna zmiłuj. Odsunąłem z twarzy rąbek sukni wdowy (szafa była wspólna dla wszystkich trzech mojr) i dałem kciuk w górę w geście aprobaty: no, Bożenko... Szacun! Mogłaby Ilona zrobić coś w tym stylu, aby Roman poczuł, co znaczy *fair play*, poczuł to w kieszeni! Albo jeszcze mocniej, cokolwiek miałyby to być.

Rozdział XVI

TRZECIA STRONA KARTKI

W sobotę około szesnastej na plac z tyłu Turni zjechał ciągnik załadowany drewnem, a w sali do tańca rozgrzewał się zespół muzyczny, ściągnięty *ad hoc* przez kaowca. Obchodząc budynek wraz z przyległościami, byłem niemal pewny, że będzie to czas, w którym wyjaśni się wiele zagmatwanych, nie do końca jasnych nawet dla mnie spraw. I że w związku z tym nie da się inaczej niż skorzystać z daru bycia osobiście w wielu miejscach naraz. Względnie po kolei, na tak zwany styk. Gdybym mógł wybierać, wybrałbym to drugie, bowiem bycie wszędzie, i to w jednym czasie, zwykle mnie rozprasza i pozbawia sił. Tyle że, niestety, priorytety często narzuca nam życie wedle swych przebiegłych, tajnych scenariuszy. Zatem tak czy owak oba te warianty będą mym udziałem na ostatniej prostej. Gdyby to powiązać z nauczaniem Guru, kiedy nam objaśniał światy równoległe, nie jest żadną sztuką móc się w nich poruszać, bowiem moc wnikania w inne sfery bytu – przykładowo w snach – jest zakodowana w naszych ludzkich genach. No bo czy świadomość, czasem zwana duszą, chce mieć coś wspólnego z prawami fizyki, które tylko patrzą, jak przywiązać nasze ciężkie i bezwolne, nieporadne ciała do jednego świata, z grawitacją ziemską? Trzecia strona kartki... Jak to mówił Guru? Że przekroczyć próg do innego świata znaczy afirmować jego inny wymiar. Dostrzec, mimo tego, co się widzi wzrokiem, trzecią stronę kartki. Niby czegoś nie ma, ale jednak jest. Treści nauk Guru nawet dla otwartych na wiedzę umysłów mogły być za trudne do rozszyfrowania, jak mógł więc nadażyć za tym szary człek.

Zajęty myślami dotarłem pod drzwi gabinetu doktora Ladaco, który akurat skończył rozmowę i odłożył telefon. Wiadomość potwierdzająca brak salmonelli w próbce papieru po rurkach od Ewy ulżyła mu tylko w połowie, bowiem w wymazie z odbytu pacjenta stwierdzono obecność bakterii świadczącą o nosicielstwie. Jak on ją podłapał? – głowił się wciąż Ladaco. Cieszyło go jednak to, że atak choroby miał dość łagodny przebieg i że stary satyr, zwalniając miejsce w pokoju chorych, zejdzie mu wreszcie z oczu. Zostało tylko formalnie wyłączyć kąpiele z harmonogramu dziada, ustalić warunki, na jakich nosiciel będzie mógł zostać w Turni do planowego wyjazdu, i porozmawiać z Zofią.

Nim myśli doktora dotarły na czwarte piętro, byłem tam przed nimi. Przez dziurkę od klucza czułem nawet zapach kielbasy na stole, którą ktoś dostarczył Zofii na ognisko, zapach, który przyprawił ją o torsje. Wychodząc z łazienki, dotknęła piersi i przesunęła językiem po mostku, który po naprawie protetycznej w Kłodzku wrócił na swoje miejsce. Ostatnio tyle się działo z jej organizmem, że zaczęła wątpić, czy jeszcze jest sobą, czy też już kimś innym. Jak nic był to efekt działania kropli doktora Ladaco, których jej nie skąpił na każde życzenie. Podtrzymywany brunatnym syropem odlot niósł jednak z sobą ryzyko tego, że doktor, wykorzystując jej słabość, w którejś chwili przejmie władzę nad jej życiem. Badanie kontrolne w jego gabinecie, na które ją wezwał około południa, upewniło ją w tych podejrzeniach.

– Proszę zdjąć górę i sięść na leżance – powiedział doktor Ladaco, wyjmując z torby specjalistyczny sprzęt do pomiarów. – Zaraz sprawdzimy, czy wszystko w porządku, by pójść do przodu z terapią.

Poddała mu piersi, a on kształtując je po swojemu i mierząc na wiele sposobów wyginał się przy tym i cmokał. Skupiony na diagnostyce, nie zauważał reakcji Zofii, jej odlotowych min i szczerzenia zębów.

- No dobrze... - powiedział, wstając z leżanki. - Czas zagrać w otwarte karty.

Działanie syropu na Zofię osłabło niemal natychmiast. W jej głowie włączył się alarm. Otwarte karty? O jakiej on grze mówi?

- Panie doktorze - odparła. - Do gry potrzebni są ludzie, a ja to za ludźmi nie bardzo. Na tyle mnie chyba pan poznał.

Doktor Ladaco przeszedł się po pokoju i nagle usiadł przed Zofią. Widziała postępującą zmianę na jego twarzy, teraz wyrażającej zgrozę.

- Ludzie!?! - zawołał straszliwym głosem. - Ludzie?! Te manekiny puste w środku? Zdegradowani do roli przedmiotów wartych tyle, za ile można je kupić. Oddani duchowi komercji, wyrzuci do cna z człowieczeństwa. Macki upadku i zgnilizny moralnej sięgają wszędzie, a ja, nie kryję - złagodniał - mam wielką słabość do pani. Słabość w sensie innym, niż niektórzy myślą! - podkreślił z naciskiem, jakby jednak cudem czytał w moich myślach. Tych sprzed paru dni.

No... nie doceniłem doktora Ladaco.

Śledząc bijący z oczu doktora Ladaco gejzer uczuć, Zofia nagle ujrzała w nich coś, co nią wstrząsnęło, kierując jej myśli do pamiętnego faktu z przeszłości, z wakacji u dziadków na wsi. I odkryła w końcu, co miał w swym spojrzeniu „głupi Albert z wioski”, kiedy przyparł ją do kraty altanki z pnącym się tam winobluszczem. Miał w nim poza swoją mroczną duszą z ognia, swoistą subtelność: czystą ludzką tkliwość, do czego tęskniła całe swoje życie, nie znajdując tego w swym pożyciu z K. Załamała ręce, a łza spłynęła jej po policzku.

A tymczasem doktor, jeszcze raz, łagodnie wziął jej piersi w dłonie.

- To tutaj, to pierwszy doraźny etap - rzekł znużonym głosem - wstęp do właściwej terapii. Gdy pani pojmie ideę piękna i jej wewnętrzny wymiar, nie będzie to pani potrzebne. Pani nie musi, proszę mi wierzyć, zniżyć się do podobnych sztuczek, przeróbek czy imitacji. Gdy przyjdzie właściwy czas, uwierzy pani w cud własnych

piersi, A komu to nie pasuje – głęboko zająztał w jej oczy, jakby coś sugerował – to *sorry!* Fora ze dwora!

– Co pan doktor mówi... A pszczoły w jaskini? – dopytywała słabnym głosem. – Doktorze, krople... Chcę pańskich kropli.

Ladaco skoczył do szafy, odmierzył solidną porcję do kubka i podał jej, mówiąc:

– Duszkiem.

Kiedy wypiła, odczekał chwilę, a gdy zobaczył, że na jej twarz wraca znajomy głupkowaty uśmiech, będący efektem działania kropli, odetchnął z ulgą i usiadł na skraju biurka.

– Użyłem innego środka. Jad pszczeli w pani przypadku zawiódł – oświadczył zwięźle. – A teraz proszę posłuchać tego, co powiem, i pilnując zaleceń, zacząć stosować w praktyce.

Nos Zofii przywykł do zapachu wędlin. Ustały mdłości, zaś porcja brunatnych kropli wprawiła ją w błogi nastrój. Czekając na praktykantkę – tę samą, która przy słotnym czwartku pilotowała jej wyjazd do Kłodzka i której kazał spodziewać się doktor – zerkiała w lustro, myśląc o jego dziwnym, acz wciągającym planie do realizacji. Była ciekawa, czy był on świadom całej tej sytuacji, w której się znalazła przez wyczyny K. Kto wie, może nie drażył tematu ze względu na przynależny mu takt? A może w tej całej sprawie nie było to aż tak ważne? Pod wpływem kropli jej wzrok się zamglił i złagodniał. W odbiciu lustra ujrzała piękność z gęstwiną włosów na głowie, których wciąż przybywało. Wsunąwszy palce w czuprynę, uniosła ją do góry i zaraz puściła wolno. Z uwagi na swoją realną lichotę włosięta nie chciały opaść, przypominając teraz gniazdo trzciniaaka, małego ptaszka, wiszące nad lustrem wody. W tym czasie jej usta wypowiadały słowa ni to zaklęcia, ni mantry:

– O Zofio, Zofio z miodorodnego sadu, jesteś jak grusza, jak kwiat jabłoni, jak stara dziupla dla ptactwa dająca im azyl w mrozy...

Gwałtowny łomot do drzwi przerwał ten osobliwy obrzęd. A kiedy stażystka, która przyniosła torbę, opuściła pokój, Zofia przykucnęła

i wysypała na podłogę jej zawartość złożoną z butów i odzieży samych drogich marek. Ale nie dane jej było długo się tym cieszyć, bowiem wnet opadła na leżącą stertę w stanie wskazującym na głęboki trans albo sen zimowy, właściwy dla pewnych zwierząt.

Zbliżała się dziewiętnasta. Zapachy z ogniska dotarły również do K., który stojąc w otwartym oknie izby chorych, napawał się wonią kielbasy z rożna, gdy nagle w drzwiach izolatki pojawił się doktor Ladaco. Jego wizyty K. nie kojarzyły się z niczym dobrym.

– Proszę natychmiast odejść od okna – zawołał doktor. – W żadnym razie tam! Znów się do czegoś pan dorwie i *sorry!* Kłopot gotowy! Do wtorku włącznie, ostrzegam, jest pan na ścisłej diecie. Odbieram też panu kąpiele z uwagi na nosicielstwo. Zostawiam lampy i gimnastykę. I ciesz się pan z tego, bo, na dobrą sprawę, powinienem z miejsca usunąć pana z turnusu za łamiące regulamin ośrodka kontakty z pielęgniarką główną. A teraz proszę się zbierać i wracać do swego pokoju. Wystarczy tej kwarantanny!

Na korytarzu doktor przystanął, rozważając w myślach czy by nie zajrzeć do Zofii. Jej przywiązanie do kropli zaczęło mu spędzać sen z powiek, bowiem przy byle okazji żądała kolejnych i coraz większych porcji. Czyżby dostała się w szpony nałogu? E, chyba nie... Nie po tym! Lecz nakaz moralny zabronił mu odciąć się od tej sprawy, bo gdyby jednak się okazało... Pierwsze spojrzenie doktora po wejściu do pokoju Zofii padło na puste łóżko, drugie na parkiet-pobojowisko, gdzie pośród markowych ubrań z policzkiem wtulonym w biały twarzowy sweter leżała nieszczęsna Zofia, sądząc z pozoru: bez życia. Rzucił się na kolana i przywracając jej oddech, wołał w przerwach:

– Bój ty się Boga, kobieto! Bójże ty się Boga!

Potem przeniósł ją na łóżko, rozebrał i wsłuchał się w bicie serca. Uspokojony, odchylił wargę w miejscu, gdzie miała na powrót swój mostek, i ucieszony efektem naciągnął jej koldrę pod brodę.

– Przyjdę do ciebie później, jak obowiązki pozwolą, teraz porządnie się wyśpij – powiedział miękko, podszedł do torby,

spakował ją, zaciągnął pod okno i ukrył za kotarą.

* * *

Stałem pod drzwiami dyżurki, nasłuchując. To tutaj Dubrawski po wyjściu z pokoju chorych skierował swoje pierwsze kroki. Dziurka od klucza była wciąż zapchana (ten cholerny szpunt!), ale przez ścianę słyszałem radio dyspozytorni pogotowia ratunkowego puszczone na maksa, pewnie by zagłuszyć wszystkie inne dźwięki. Z jazgotu wyłowiłem urywki zdań: „Pilnie do Żelazna”, „poród w autobusie...”. Mijały minuty. Z godziny mojego bezczynnego oczekiwania na nasłuchu zrobiły się dwie i gdy zacząłem już tracić nadzieję, że coś się wydarzy przed nocą i że opłaci się moja wytrwałość, drzwi się uchyliły i postać w ciężkim kolejarskim płaszczu wymknęła się na korytarz. Spod służbowej czapki wystawały włosy, kruczoczarne włosy pielęgniarki głównej. A co to ma być?! Przytomnie zauważyłem, że postać znika na schodach prowadzących w dół. Natychmiast puściłem się w pościg. Gdy ją znów ujrzałem, stała tyłem do mnie za ladą w recepcji, obracając w dłoniach zmiętoloną kartkę. Dobięgam tam szybko. Drżąc przed nieuchronnym, moim zdaniem, końcem, końcem sprawy „Pociąg”, wyciągnąłem rękę na szerokość lady, by pochwycić postać, ale ona nagle obróciła się do mnie przodem. Spod krzaczastych brwi patrzył na mnie drwiąco starzec od Dubrawskiej w smolistej peruce pod służbową czapką. W dłoniach trzymał kartkę i – jak wówczas tamten, łysy w rogatywce – podsunął mi ją pod oczy. „W tym miejscu nie udostępnia się żadnych informacji osobom trzecim. RODO!” – przeczytałem.

Jednocześnie za drzwiami Turni zaczął się jakiś ruch. Spojrzałem kątem oka. Rozpłaszczony na szybie, zniekształcone usta i nosy jak w twarzach topielców pod lodem, podobnie jak staruch stojący przede mną za ladą, zdawały się ze mnie kpić. Prawdę rzekł pustelnik z głuszy na Cierniaku. Byli tu w komplecie. Wszyscy trzej z drużyny trójki konduktorskiej. Ośmieszili mnie – szepnąłem bezdźwięcznie. Jak oni

to zręcznie urządzili... Kiedy ja pobiegłem tu za przebierańcem, tamci sobie wyszli jakby nigdy nic. No i proszę. Są! Tyle że na zewnątrz, strojąc do mnie miny. Ani ich rozpoznać, ani biec za nimi w kapciach i bez kurtki. Z wściekłości złapałem leżący na ladzie dziurkacz biurowy i z całych sił rzuciłem go w szklane drzwi. Natychmiast odezwał się alarm. Ktoś wrzasnął: „Co to, znów ćwiczenia?!”, ktoś nadbiegł z gaśnicą i nagle w holu zrobiło się pełno ludzi. A mnie ogarnęło szaleństwo. Jak tego Satyra z ballady Urszuli, ścięło mnie z nóg i jałem się wić, jak jeszcze nigdy się nie wilem, z pianą na ustach, w drgawkach i konwulsjach. Co się działo potem, nie pamiętam.

Ocknąłem się w sali do tańca, przy barze, z kieliszkiem wódki w dłoni. Wypiłem dwa szybkie, popiłem to piwem i nie wiem, jak to się stało, że usnąłem z głową złożoną na ladzie, z wsuniętym pod nią ramieniem. Sen mnie natychmiast przeniósł w odległe rejony trzeciej strony kartki, w inny wymiar, którego mechanizm działania już wytłumaczyłem – według mnie przystępnie. Siedząc więc przy barze, jednocześnie byłem w bagażniku auta, wracając drogą krajową z Wałbrzycha do Łądka-Zdroju. Emil za kierownicą prowadził pewnie i tylko czasem zza okularów zerkał na pogrążoną w milczeniu Urszulę wpatrzoną w jeden punkt na pulpicie kontrolnym. Od wyjazdu z Wałbrzycha nie odezwała się ani słowem. W innych okolicznościach włączyłby radio partyjne, by sprawdzić najnowsze trendy poparcia, lecz w tej sytuacji powściągnął ochotę z uwagi na stan pasażerki. Bo Emil miał rzadki wśród polityków talent do wsłuchiwania się w głosy wyborców, zwłaszcza kiedy milczą. „Dziś milczą z takich czy innych względów, jutro przemówią nogami” – tłumaczył partyjnym kolegom.

Zbliżaliśmy się do Kłodzka. Z racji powrotów mieszkańców miasta na nocleg do swoich domów na drodze zrobiło się tłoczno. Emil więc skupił uwagę na jeździe, przestając zajmować się wdową i jej milczącą obecnością. Niech siedzi, byle spokojnie – pomyślał. Byle tylko nic głupiego nie wpadło jej do głowy. Prowadził ostrożnie, nie spiesząc

się. Wtem zza wzniesienia wyłonił się wielki rozpedzony tir na kolizyjnym kursie. Nie było innego wyjścia jak gwałtowny skręt w prawo i ucieczka na pobocze. Skutkiem manewru Emila wóz przetoczył się przez rów i wjechał w pole, uderzając w jedną jedyną dziką czereśnię stojącą na ich drodze. Głowy obojga uczestników kraksy poleciały w tył i w jednej chwili do przodu. Kobieta swoją uderzyła w deskę rozdzielczą. Głowa mężczyzny grzmotnęła o kierownicę. Pierwsza z omdlenia – z guzem na czole w zawrotnym tempie powiększającym swój rozmiar – ocknęła się Urszula. Z zastygłym wzrokiem utkwionym w czereśni powiedziała jak gdyby nigdy nic, jakby wracając do nagle urwanej pogawędki:

– Czym by tu jeszcze państwa zaskoczyć... Ach tak... Właśnie stworzyłam coś, wiersz-niewiersz, oceńcie to państwo sami... Tytuł brzmi *Sajensfikszyn dla ubogich*... Idzie to jakoś tak:

Szpilki wbijające się w topniejący asfalt czubkami połączonych nosków wytyczają kurs... Analitycy zgodnie wskazują, że rynki wschodzące Europy skorzystały z ogólnej poprawy nastrojów w krajach zachodniej cywilizacji.

Zrobiła pauzę, w czasie której Emil rozwarł zamknięte powieki i pewnie nieświadom obrażeń (miał rozcięty łuk brwiowy i mocno opuchnięte oko) jął przemawiać do pnia czereśni jak przedstawiająca swój utwór literacki, występująca przed nim poetka.

– Nauczeni doświadczeniem mówimy głośno: nic o nas bez nas w Unii Europejskiej! – grzmiał. – Bo komu przed podpisaniem traktatu akcesyjnego przyszłoby do głowy, że to podstępna organizacja zmierzająca do stworzenia nowego typu człowieka, człowieka bez tożsamości, bez historii, bez rozróżnienia dobra i zła. Nie po to nasi przodkowie znaczyli drogi swą krwią ze wschodu na zachód i odwrotnie, by teraz ona ich potomków wiodła na bezdroża wiary chrześcijańskiej! – W powietrzu jeszcze drgał jego głos, gdy na proscenium wdarła się wdowa, kontynuując swój wiersz-niewiersz:

W przypiekającym żarem słońcu krzew gorejący, pustynny cud nad cudy – z małej odległości patrząc, jest jedną wielką fantasmagorią...

– Rozsadzić od środka to gniazdo źmij! – ryknął znieca Emil, brutalnie wchodząc jej w słowo. – Piąta kolumna, Konrad Wallenrod, mówি wam to coś?

Na promenadzie przedsiębiorczości trzy młode kobiety lekkich obyczajów dzielą się plackiem na grubym cieście z KFC – sieci barów szybkiej obsługi, wypatrując chętnych w nadjeżdżających autach.

Napis na ich T-shirtach odstaniających pępek, widoczny z odległości kilometra, krzyczy: „5 aplikacji, które przyspieszą twój smartfona”.

Ich naprzemienne głosy współbrzmiały ze sobą niemal unisono.

– Naród i państwo narodowe! Precz z komuną! – wykrzykiwał Emil.

Dwóch alfonsów z wąsem, w biegnącym wzduż drogi rowie, dzieli się utargiem swoich podopiecznych w szeleszczącym euro.

Ostatnie słowo należało do poetki.

Oboje lekko trzeźwiejąc, łowili dźwięki karetki pogotowia i innych służb jadących do wypadku.

Siedzieli z Ursulą na tylnym siedzeniu w audi. Auto prowadziło się samo. Jak to możliwe? – nie mógł się nadziwić Emil, którego uraz był chyba groźniejszy, niż myślał ratownik medyczny, który go puścił wolno po obejrzeniu rany. Groźniejszy w sensie behawioralnym, gdyż Emil, w następstwie wstrząsu po uderzeniu w czereśnie, funkcjonował jak ktoś bez świadomości swoich czynów. Wszak sam wezwał pomoc drogową i sam wjechał autem na lawetę po okazaniu ubezpieczenia OC. To nie wróżyło dobrze na przyszłość. To mogło mieć dla niego daleko idące, trudne do przewidzenia skutki. Tak dojechali do Łądka, a i ja wróciłem do obiektywnej rzeczywistości, budząc się.

Przerwa na sali tanecznej się wydłużała. Kaowiec rozprawiający o czymś z grajkami przy ich stole, w reakcji na rozlegające się zewsząd krzyki kuracjuszy, zatoczył się w drodze do mikrofonu.

- Jeszcze chwila! Jedna! Cierpliwości, ludzie! Co to, pali się?! - wołał, chcąc uspokoić nerwową atmosferę.

Postawa kaowca doprowadziła jednego z krzykaczy do furii.

- Zebrania się robi w dyrekcji, nie tutaj! Macie minutę i ani sekundy dłużej! - Wichrzyciel potrząsnął pięścią i objął kibić tęgiej blondyny w lamparcej skórce, wzbudzając tym zazdrość i tęskne spojrzenia siedzących w pobliżu kobiet.

Właśnie upływał czas, który krzykliwi kuracjusze dali orkiestrze w ramach ultimatum, gdy w drzwiach pojawił się Emil, który zawzięcie gestykułując, prowadził Urszulę do baru na drinka, ochłonać po wypadku. Swym oplakany stanem wzbudzili ogólną ciekawość, ratując kaowca i grajków przed potencjalnym linczem. A gdy już usiedli na wysokich stołkach i można by sądzić, że z Emila zaraz opadną emocje, on wprost przeciwnie - zapalał się coraz mocniej.

- Tam pod czereśnią stała się rzecz wielka! - trąbił do ucha Urszuli. - Odkryłem w sobie potencjał, o jaki nigdy bym siebie nie podejrzewał. W pani się tli to samo. Pani i ja! Kunszt literacki i myśl politycznej strategii razem wzięte. Duet prima sort!

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Niechże pan policzy choćby za paliwo. - Jej odpowiedź była totalnie od czapy. - Pewnie dużo poszło, do Wałbrzycha trochę kilometrów jest. No i jeszcze powrót. Jak to tak za darmo?

Emil machnął ręką.

- Jakie „za paliwo”? Jeszcze dzięki Bogu wiąże koniec z końcem - rozchichotał się chichotem człowieka poszkodowanego w wypadku. -

Może nie do końca brał w tym udział Bóg – spojrział nabożnie w sufit – ale moja partia już na pewno tak. – Znów się rozchichotał.

Urszula zamruwała nieprzytomnymi oczami.

– Niechby nawet partia, ale w zbożnym celu – rzekła, znów bez sensu. – Partia zawsze wie, co kto potrzebuje. – I nie czekając na odpowiedź, zsunęła się ze stołka, wkładając do ręki Emilowi nóż z zestawu sztucców leżących w kartonie na ladzie. – Proszę to przyłożyć ostrzem do powieki. Ja na chwilę wyjdę, ale zaraz wrócę.

Akurat skończyła się długa przerwa. Parkiet natychmiast zadudnił pod uderzeniem stóp wielu osób. Śpiew muzykantów niósł się wysoko, aż pod sufit: „Jesteś szalona, mówię ci”.

Urszula szła w stronę kaowca. Z wysokości stołka jakiś kwadrans wcześniej uchwyciła jego mętny, triumfujący wzrok, który wydawał się mówić: „I co? Nie mówiłem?! Wyszło na moje? Wyszło!”. A że nie było to odpowiednie miejsce do prowadzenia rozmów, udali się do czytelnicy i weszli na antresolę. Kaowiec pociągnął ze szklanki łyk żółdkowej gorzkiej, drugą zaś nakazał milczącej Urszuli przyłożyć denkiem do czoła.

– Jestem pod wrażeniem pani zimnej krwi – powiedział z uznaniem. – Ja na pani miejscu zatłukłbym gada od ręki i teraz bym siedział na dołku w Wałbrzychu, a nie jak pani przede mną, zajmując się swoim guzem. À propos: jak to się stało? Wypadek?

Machnęła lekceważąco ręką.

– Tak, tak. Wypadek – mruknęła. – A wie pan – zaczęła po chwili, pierwszy raz od wyjazdu z Wałbrzycha dopuszczając do siebie myśli o Jacentym – wie pan, faktycznie w pierwszej chwili byłabym nawet skłonna to zrobić. I byłby to mord w afekcie, okoliczność łagodząca dla każdego sądu. Ale... – Urszula nagle wyciągnęła rękę ze szklanką do kaowca. – Należy mi pan?

– Należę, czemu nie. Kobięcie zawsze.

Wypiła duszkiem.

– Jeszcze raz poproszę, i więcej, jak można.

Tym razem lekko się skrzywił.

- Jak już pani musi - rzekł bez entuzjazmu, choć tyle co, w przeddzień, przyjął od niej sumkę, i to całkiem sporą za zdradziecki donos na Olecha.

Obracając w dłoniach szklanke z alkoholem, Urszula dopiero teraz - a minęło już przecież sporo czasu od szoku, którego doznała w Wałbrzychu w jakiejś zatechłej klubokawiarni, w której brylował Jacenty - zaczęła przytomniej myśleć. Jak bardzo ją wykorzystał i zawiódł jej zaufanie, prezentując jej twórczość jak swoją na spotkaniu autorskim. Nie mogła go nawet oskarżyć o kradzież wierszy, wszak nigdy nie zostały wydane. Gdyby nawet chciała, zakładając wstępnie, założyć sprawę o plagiat, jak miała to udowodnić? A koszta sądowe? Świadkowie? Wszak pijanica kaowiec wyparłby się wszystkiego. Nagle targnęła nią myśl, straszne podejrzenie. Czy kaowiec mógł mieć jakiś mały udział w tej szemranej sprawie? Mogli działać w zмовie? I czy to, czego była świadkiem w klubokawiarni w Wałbrzychu, było zwykłą szopką przeznaczoną dla niej, z myślą od początku o pieniądzach? Pamięta, jak z ożywieniem rozprawiali o czymś podczas występów w bibliotece. Ale co z tego mógł mieć Olech? Zamyśliła się... Ależ ja jestem głupia! O mało nie wykrzyczała tego na głos. Jako reżyser planu i naganiacz w jednym dostał pewno więcej niż połowę sumy, którą podjęła z konta i przekazała kaowcowi w banku. O premii za wysługę lat sama wszak wspomniała już pierwszego dnia ich znajomości na ławce w pobliżu pijalni wód. Do tego komórka w prezencie... I etui. Kosztowna nauczka, nie ma co. Ale najgorsze było to, że wszystko, na co liczyła przez wzgląd na znajomość z Jacentym, runęło jak domek z kart. Było jej snem wariata o rodzącym się właśnie cudownym dziecku literatury. Było jej snem o wydawcach zabiegających o prawa do publikacji jej wierszy i o zaszczytach, które w związku z tym miałyby ją spotkać. W jej uszach zabrzmiał ociekający sarkazmem głos Leszka: „A może,

Urszulko, coś z mowy wiązanej «na okoliczność»? *Kakojeto stichotworienie? Szto?»*.

Kaowiec, w czasie gdy ona zbierała myśli, obracał się w swoim fotelu z uśmiechem przyklejonym do warg. Wyglądała na szczęśliwego.

– I jak tam? Lepiej? Nie ma to jak żołądkowa gorzka – rzekł, widząc rumieniec na policzku wdowy. – Na przyszłość jednak radzę uważać i nie zadawać się z byle kim. Co się porobiło z tymi ludźmi! Nikomu już nie można ufać! Co się z nimi porobiło... Boże, ty widzisz i nie grzmisz!

Spojrzała w jego zapijaczone oczy i nadstawiła szklanekę.

– Do pełna! Ale już!

* * *

Noc zapowiadała się chłodna i bez księżyca. Siedzący kawałek od ogniska Elżbieta z Romanem wrzucili właśnie resztki kiełbasy do kosza, gdy nagle zza krzaka forsycji wyjrzała nietrzeźwa Bożenka.

– Nie ma tu Emila? – spytała, chwiejąc się na nogach. – Gdzie on może być? Szukam go od rana. A jeszcze gdziekolwiek bym poszła, częstują wódką, i nic, że mówisz, że nie pijesz, że alkohol ci szkodzi...

Elżbieta zerwała się z ławki.

– Trzeba nie mieć wstydu latać tak za chłopem! Pić też trzeba umieć. Mówić „nie!” tym bardziej! – rzekła, kładąc nacisk na ostatnie zdanie, na co Roman również poderwał się z miejsca.

– Elżbieto, pani Bożenka, z tego co wiem, ma swoje sprawy z Emilem – wycedził zimno. – Nie wszystko jest takie, jak myślisz. Twoje uwagi naprawdę są nie na miejscu. Powinnaś ją za to przeprosić.

Wzruszyła ramionami.

– Przeprosić? Za co tu przepraszać?

– Kruszyńko...

W sekundę Elżbieta straciła cały rezon.

– Widziałam go, jak zaraz po obiedzie wyjeżdżał stąd swoim autem – powiedziała szybko. – Zdaje się, że z wdową... Ale czy wrócili? Nie wiem. Nie widziałam.

Krzak zaszeleścił i bizneswoman z Sopotu jak się zjawiała, tak znikła.

Roman zdjął koc z oparcia ławki i okrył Elżbietę do pasa.

– Ciepłej? – spytał szeptem, sięgając pod kocem do brzucha kobiety, rozpląszczonego w opiętych dżinsach. Może dzisiaj się uda – pomyślał w przyływie optymizmu.

* * *

Doktor Ladaco zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. Komerca, gdziekolwiek by spojrzeć komercja. W jakim kierunku to idzie? Dobrze pamiętał czasy, gdy sanatoria nie znały prywatnych gości, a regulamin obowiązywał wszystkich, bez względu na stan ich konta oraz status społeczny. Obowiązkowy był udział w zabiegach, no i obecność w łózkach, choćby w ubraniach i butach, nim zegar wybił godzinę dwudziestą drugą. Alkohol i „te sprawy”, owszem, to było od zawsze, lecz goście robili wszystko, by nie dać się na tym złapać. To miało nawet swój smak. Specyficzny urok. Teraz nadeszło nowe. Teraz tylko pieniądź, teraz to on rządzi! Pokręcił głową z ubolewaniem i spozjrzał w grafik dyżurów.

Do gabinetu zajrzała Ewa.

– Panie doktorze, pobiegnę teraz na obchód, bo ludzie dziś jacyś nerwowi i bardziej skłonni do kłótni. Kilku, tych komercyjnych, widziałam pod dobrą datą. Ale im przecież wolno. Do czego to doszło, mój Boże... Jakby coś się działo, proszę wołać siostrę. Są dwie na dyżurze.

Tymczasem w sali do tańca kapela zagrała dwa szybkie kawałki oraz jeden wolny, po czym muzykanci pobiegli do stołu, aby znów zająć się piciem i jedzeniem. Przy dźwiękach toczących się wkoło rozmów, siedząc na stołku przy barze, Emil powtarzał w myślach

ułożone przez siebie słowa interpelacji poselskiej: „Musimy poddać refleksji strukturę Unii Europejskiej, przemyśleć na nowo projekt integracji. Nie może on być tak ambitny w sferze politycznej czy źle pojmowanych wartości, można powiedzieć: dewiacji, mając na uwadze nasz święty Kościół powszechny”.

Nie było w tym jednak tego żaru, tej pasji, tej niemal mistycznej wirtuozerii (mało tego: wiało nuda) jak tam pod czereśnią, gdy wespół z Urszulą dali do wiwatu Unii Europejskiej; on z całych sił z ideowym ogniem, ona w subtelnym, literackim stylu. Ale czemu się tu dziwić, przecież to poetka. Gdzie ona przepadła na tyle czasu? – zaczynał się złościć. Wyciągnął komórkę, aby jej przypomnieć, że on wciąż tu czeka, ale uderzyła go myśl, że przecież nie zna jej numeru telefonu. Do kogo by tu zadzwonić...? – pomyślał, chcąc zająć czymś czas oczekiwania. Coś mu chodziło po głowie... Nic jednak nie chciało się złożyć w żadną sensowną całość. Bożenka... telefon... Pod wpływem umysłowego wysiłku pustka w jego głowie zaczęła się jakby zagęszczać. „Zadzwonisz i powiesz...” – dobiegł go głos bizneswoman. W końcu zaczęło mu coś świtać. Chyba chodziło jej o to – pomyślał i, mimo że jego plany na kampanię wyborczą pod wpływem wstrząsu i tego, czego doświadczył z Urszulą pod czereśnią, uległy gruntownej zmianie, połączył się ze swym partyjnym kolegą pełniącym wysoką funkcję inspektora kontroli podatkowej w Urzędzie Skarbowym w Sopocie. A niech tam, niech jej będzie. Na otarcie łez. Akurat kończył rozmowę: „Tylko pamiętaj, to ważne! Mają tam być z samego rana w poniedziałek! A my? Widzimy się na kongresie, tak?”, gdy w drzwiach stanęła wdowa. Nie nooo... tylko nie to – pomyślał, widząc ją w stanie nietrzeźwym. Ona pije? To mogło obrócić wniwecz cały jego projekt. Lecz kiedy jakoś, choć z trudem, udało jej się dotrzeć do baru i wdrapać na stołek, przestał tym sobie zaprzętać głowę.

– Pani Urszulko – zaczął, nie tracąc ani chwili. – Chcę panią zapewnić, że w trakcie pani przedłużającej się nieobecności, o co już nie mam żalu, nie marnowałem czasu. Jak już wspomniałem,

wspólnie dysponujemy czymś, czego świat nie widział. Ten potencjał, jak broń atomowa, zetrze na miazgę każdego, kto odważy się nam przeciwstawić w walce politycznej. Tacy będą mali, o tacy... – Zniżył dłoń do podłogi, zerkając na wdowę, czy patrzy i czy napawa ją to satysfakcją. Ale jej mętne spojrzenie utkwione było w ekspresie do kawy za barem. Ciekawe, ile wypita... – pomyślał. Jeśli za mało, może ostro negocjować warunki. A jak za dużo, jutro nie będzie o niczym pamiętać. I tak, i tak było źle.

– Pani Urszulo! – przywołał ją do porządku. – Przecież nie chodzi tu tylko o mnie. Dotyczy to również, a może nawet przede wszystkim, pani. No dobra, niech będzie: naszej wspólnej sprawy. Proszę się skupić, a ja najszybciej, jak tylko się da, przedstawię swój plan kampanii. A, i poproszę panią o numer telefonu. Musimy być w kontakcie.

Wyciągnął notes, ale się rozmyślił i zapisał numer w komórce. Po czym znów zaczął mówić i wciąż z entuzjazmem:

– Nie mamy innego wyjścia, jak stać się jednością! Jak w komunie! Nawet jak nie duchową, bo o to zapewne byłoby nam trudno, to interesów już tak! Na czas kampanii wyborczej załatwię pani wolne od obowiązku świadczenia pracy. Jeden telefon do naczelnika stacji Wrocław Główny powinien załatwić sprawę. Biorę to na siebie. Podobnie jak zakwaterowanie, koszty przejazdów i całą resztę, jeśli chodzi o wydatki. Pani tylko pisze! – Emil odpływał w świat swojej wizji. – Jeździmy od miasta do miasta i w wynajętych miejscach robimy nasz polityczny *show*! Pani ma swoją promocję i staje się sławną autorką, ja zaś rozpalam tłumy do białości, czerpiąc pełną garścią z pani wyobraźni. Genialne, prawda? Tam pod czereśnią... Ach... Wciąż czuję w sobie tę boskość! No i nie przyjmę odmowy!

Urszula, która zdawała się tego słuchać jednym uchem, a wypuszczać drugim, spojrzała na niego załzawionym wzrokiem, dotąd wciąż utkwionym w ekspresie do kawy.

- Tyle pan dobrego przecież dla mnie zrobił, to jak bym mogła odmówić? Inni potrafią tylko krzywdzić - odpowiedziała szeptem.

Raptem, jakby pękła w niej jakaś struna, jakby dopiero teraz dotarło do niej to, co wyparła na długie godziny między Wałbrzychem a Łądkiem Zdrój aż do teraz, jej głos stał się drżący, ciało zaś przechyliło się do mężczyzny. W zmiętą i przepoconą podróżną koszulę Emila wsiąkały strugi wdowiego losu, parzące jak barszcz Sosnowskiego.

Rozdział XVII

ZEW KRWI

Najpierw szli drogą prowadzącą wzdłuż starej linii kolejowej. Następnie skręcili w las. Wąską wilczą ścieżką wszedłem tam za nimi, zachowując dystans, by mnie nie spostrzegli i, używając znanych im sztuczek, nie zgubili w lesie, wyłączając z gry. Szedłem nie za szybko, wzdrygając się i przyspieszając kroku w tych rzadkich momentach, gdy ni stąd, ni zowąd trzaskała za mną sucha sosnowa gałązka, jak pod czyimś butem. Przecież to nie ja miałem być zwierzyną. Byłem psem tropiącym. Byłem jak ta dzika, zwyrodniała bestia. Byłe dopaść gardła i rozszarpać na strzępy. Spadający z drzew wszechobecny śnieg wpadał mi za kołnierz, ale nic nie mogło zwolnić mego tempa, spowodować zwłoki i oddalić od celu. Nie było już czasu. Turnus nie jest z gumy, a i noc, ta noc – czułem to przez skórę – miała być ostatnią, by połączyć z sobą znane mi szczegóły i zmienić to w jasny przekaz. Moim być albo nie być. Trop, za którym szedłem, wiódł wprost ku polance, na środku której płonął stos gałęzi.

Siedząc na leżącym potężnym pniu dębu w kręgu ognia, rozprawiali o czymś z dużym poruszeniem. Nie byli tu sami. Było ich tu razem może ze trzydziestu. Wszystko tchnęło wonią tak odrażającą, że zatkałem nos. Przyprawiający o mdłości smród, na jaki natknąć się można tylko w zapomnianych przez Boga miejscach, był mieszaniną zaduchu, parującego ludzkiego potu i intensywnego fetoru psującej się krwi: ludzkiej i zwierzęcej. Zapach wczorajszego dziegiu, towarzyszący pionierom bieszczadzkich kniei, walczył ze stęchłym smrodem niepranych powstańczych onuc, nasiąknięch potem

i śniegiem leżącym tu od stycznia 1863 roku. Powietrze wypełniał drażniący swąd przypalającego się tłuszczu, kapiącego z wiszącej nad ogniem tuszy sarny, tłumiąc i tak nikłą woń środka nadającego połysk włosom – z wiatrem dolatującą do mojej kryjówki za pnem starego świerku. Spinał to wszystko drażniący opar smaru do konserwacji broni palnej kontrastujący z odorem odchodów ludzkich wybijającym z szamba pośród chaszczy. Życie w leśnych obozowiskach, z dala od rodzin i w warunkach urągających człowiekowi, głównie dla powstańców z wyższych warstw społecznych było z pewnością wyczerpujące i – wstrząsnęło mną na tę myśl – musiało rodzić mnóstwo patologii.

Opuściwszy kryjówkę za świerkiem, obszedłem polanę i przykucnąłem za powalonym pnem dębu, za plecami siedzącej nań, interesującej mnie trójki mężczyzn. Co ciekawe, nie czułem już tego napięcia – uczucia, które towarzyszyło mi w związku ze sprawą o kryptonimie „Pociąg” od początku. Stałem się narzędziem wolnym od emocji, twardym i bezwzględny, które z zimną krwią zada swój śmiertelny, odroczone w czasie cios trójgłowej hydrze. Starzec od Dubrawskiej wstał z pnia i zapytał:

– Kiedy wyruszamy?

Ktoś zaintonował dawną pieśń powstańczą, którą wnet podjęła reszta partyzantki ściszonymi głosy, o ułanach, którzy, jak onegdaj było, siadają znów na koń; o bojowej trąbce, która poprowadzi do zwycięstwa wnet – i że Bóg jest z nimi, Ojczyzna i Honor. Śpiew niósł się przez las, rzewny głos solisty mógł wycisnąć łzę. „Wojenko, wojenko, tra ta ta ta ta...” Moje oczy jednak pozostały suche na ten czczy w istocie, nadęty patriotyzm.

Ptasie ruchy K. – czynione ze starannością, gdy poprawiał na sobie ocieplane spodnie wpuszczone w buty z cholewami – odbijały się tańczącym cieniem na rozwieszanej na niskich gałęziach drzew brudnoszarej męskiej bieliźnie. Rzadkie kosmyki jego siwych włosów sterczały spod rogatywki.

Na dwóch pozostałych – widocznych także od tyłu – głowach były identyczne wyliniałe czapki, woniejące czynnym i powszechnie znanym środkiem na mole pod postacią kulek. Za odzież wierzchnią całej trójce służyły ściągnięte sznurem baranie kożuchy do pół łydki.

– Kiedy? Jak najszybciej – skwitowała głowa ze smolistym kokiem ledwo mieszczącym się pod czapką, odnosząc się do pytania K. głosem pielęgniarki głównej.

Żadna niespodzianka. Został tylko ten – najważniejszy z nich, z całą pewnością mózg szajki. Niewiele myśląc, sięgnąłem po patyk i – ryzykując wpadkę – straciłem mu czapkę z łysej głowy. Jeśli się odezwie, poznam go po głosie.

– Bez wygłupów mi tu! – krzyknął, podniósł czapkę i wstając, zawołał: – Zewrzeć mi tu szyki! Zbiórka! Raz, dwa, trzy!

A gdy już stanęli zwarci i gotowi, zakomenderował:

– Oddział! Naprzód marsz!

Nie myliłem się. To był ten sam głos. Głos wiceprezesa Kolei Śląskich do spraw taboru kolejowego, którego lata temu ciągnąłem za język przez telefon. Bo tylko na taką formę przesłuchania, o czym wspomniałem na początku, wyraził zgodę komendant w sprawie o kryptonimie „Pociąg”.

Szedłem znów za nimi w pewnej odległości. Biała śmierć dookoła miała używanie. Śmierć kłującego jak igły zimna, popychanego wiatrem wysysającym ciepło z wszystkiego, co miało temperaturę ciała w zakresie trzydzieści sześć–trzydzieści siedem stopni Celsjusza. Ziab i biała furia pędzącego śniegu ogarnęły teren tego swoistego pasa taktycznego, jakby poligonu, nie dając szans na przeżycie rannym i słabszym osobnikom. Co rusz potykałem się o zwłoki odarte z wszystkiego, co miało jakąś wartość dla żyjących.

Bezludna wyspa na zamrzniętym stawie, do której wkrótce doszliśmy, miała nie więcej niż trzy kilometry kwadratowe, a jej większą część zajmował brzozowy las. Do szopy ukrytej w zagajniku w centralnej części wyspy (będącej pewnie dziuplą ze składem

odzieży i broni) ze stałego ładu szliśmy najpierw wąskim pomostem przez staw, następnie zaś leśnym duktem. Krocząc za zastępem powstańczej wspólnoty, turlałem przed sobą nabierającą objętości kulę śnieżną, by się za nią ukryć, gdyby – oby nie – nabrali podejrzeń, że za nimi idę. W drodze powrotnej nie było już tak bezpiecznie, gdyż teraz to oni szli za mną. Czując na plecach ich oddechy, udawałem, że o niczym nie wiem, że trafiłem tu przypadkiem. Szedłem i szedłem... Szedłem w rozmaitych kierunkach jak zbłąkany piechur szukający szlaku czy jadalnych grzybów ukrytych pod śniegiem, dla przeżycia. I kiedy wydało mi się, że zszedłem tę wyspę wzdłuż i wszerz i zapuściłem się w każdą jej ścieżkę, kątem oka dostrzegłem skraj płaszcza. Nie kozucha, ale płaszcza. Czarnego, kolejarskiego płaszcza. A przed sobą tory.

Niewiele osób może powiedzieć, że ich życie zmieniło się w konkretnej chwili jak moje w tej jednej, na widok torów pod śniegiem. Głos mojej matki, który zadźwięczał mi w uszach, przeniósł mnie znów w czas miniony. „A uważaj tam na siebie... Dziś jest tęgi mróz, tory oblodzone”. Pamiętam te słowa od dziecka. Słyszałem je każdej zimy, gdy ojciec jak co dzień zakładał na głowę kolejarską czapkę, wychodząc z domu na służbę. Do czasu, aż pewnej nocy już z niej nie wrócił, a wtedy i w gnieździe rodzinnym zamarzło wszystko, wszystko po kolei. Mnie pochłonęła nauka w Szczytnie, a matka... Matce pękło serce.

Nie może być nic gorszego niż powrót do spraw, z których się wyrosło jak z młodzieńczych grzechów, dawno popełnionych i odfajkowanych – z myślą, że na zawsze. Chorobę sierocą, która przejęła mnie chyłkiem, zjadając od środka, tłumilem w każdy dostępny mi sposób, byle poczuć ulgę. Teraz stanąłem z tym twarzą w twarz. Kim byłem? Bo kimże jest człowiek bez świadomości wspólnych cech i jedności z przodkami, których się wyparł dla pracy w sprzedajnej policji, wcześniejszej milicji obywatelskiej, której karty w historii Polski nigdy nie były czyste? Poczawszy od sanacyjnej za

drugiej RP i „granatowej” z czasów okupacji, przez marzec sześćdziesiątego ósmego, a później przez stan wojenny w latach 1981–83, gdzie milicyjną pałę nazwano bijącym sercem partii. Doprawdy... sercem? Było się czym szczyścić... Na wspomnienie tego przejął mnie pusty śmiech. I lęk, na który się wzdrygnąłem, bo mi się nagle zdało, że taki, jaki jestem dzisiaj, po pięćdziesiątym roku życia, małpuję i wyśmiewam sobą tamtego infantylnego chłystka, którym byłem. A on, nie pozostając mi dłużny, wyśmiewa mój dzień dzisiejszy.

W oddali rozległ się gwizd, na dźwięk którego zbladłem. Nagle żądzę krwi, dzięki której mogłem się wzbić na wyżyny w fachu policjanta, zastąpił zew krwi. Głos natury. Wzywał mnie na wytyczony łożami lejących się ciurkiem z moich obu ócz szlak, który do złudzenia przypominał tor, gdy zamarza. Powtórny gwizd sprawił, że się odwróciłem. Stali, wyczekując. Byli na galowo: starzec od Dubrawskiej, prezes, no i Ewa – w niepojętej dla mnie kombinacji płci.

– Bracia konduktorzy – rzekłem, błędąc bardziej. – Weźcie mnie ze sobą. Ja już wszystko wiem. Pojadę do Zabrza odbyć ten rytuał, który już od dziecka spędzał mi sen z powiek. Dajcie mi ten dziurkacz, lampę, płaszcz i torbę. Niech się ojciec cieszy. Niechby i zza grobu.

Prezes nadął się i podkręcił węża.

– Hola, nie tak szybko! – rzekł, chichocząc w kołnierz. – Każdy by tak chciał. Nie da się na pstryk przenicować życia, trzeba przejść przez... hm... jak to mówią: czyściec. Zmienić priorytety i określić cel, wtedy może coś... Wtedy się pomyśli.

– Właśnie! Święta racja – wtrącił się jak zwykle starzec od Dubrawskiej. – Nie da się na pstryk! Na początek zatem przejdiesz chrzest bojowy jako korespondent. Na trasie przejazdu z Bytomia do Gliwic dzieją się zazwyczaj niestworzone rzeczy, w które wkracza SOK. Przyjrzyj się czynnościom panów mundurowych i zrobisz z tego notatkę. Twoja perspektywa będzie dla nas znakiem, czy dobrze

rokujeś na przyszłość. Ja zaś jak najszybciej, jak będę mógł, zgłoszę się po odbiór tego dokumentu. Rozumiemy się?

Siostra przełożona włączyła latarkę, kierując snop światła w głąb torów.

- Jest już bardzo blisko - powiedziała szeptem. - Przygotować się.

Staliśmy w milczeniu, każdy myśląc o czymś innym, a jednak w poczuciu ojczyźnianej zgody. Że oto, czekając na pociąg, stoją ramię w ramię: prezes ważnej spółki, starzec od Dubrawskiej i przedstawicielka służby zdrowia Ewa, która wbrew przepisom zamiast na obchodzie w sanatorium Turnia w ramach obowiązków, tłucze się po lasach. Niby sobie obcy, ale kolektywnie pod gwieździstym niebem klęski narodowej. Zjednoczeni krwią i żelazem, jak mawiał sam Otto von Bismarck.

Było spokojnie i tylko wiatr zawodził w nagich konarach obumarłych drzew, gdy nagle całkiem blisko rozległ się mrozący krew w żyłach gwizd lokomotywy. Z mgły wynurzyły się światła. I nagle, jakbym już stał się kimś zupełnie innym, nabrałem odwagi. Nie tej powierzchownej, będącej immanentną cechą służb siłowych - zblatowanych z państwem, gdzie bez dania racji można użyć broni - ale głębszej, świadczącej o jej dobrych stronach i pokorze. Nim pociąg zatrzymał się na dobre, spojrzałem w oczy prezesa.

- Weźmie mnie pan na kolej? Z renty trudno wyżyć.

Spojrzał na mnie z góry.

- Nie za dużo chcesz? - huknął niby zły, ale z półuśmiechem, który wprost oznaczał, że wyszło na jego. Że mimo błędzenia po meandrach życia w końcu się zламаłem i przyszedłem w łaskę. Zza pazuchy płaszcza wyjął wizytówkę.

- Tutaj masz mój numer - rzekł tonem łaskawcy, spoglądając z góry - ale nie dzwoń wcześniej, nim wyciągniesz wnioski z wyprawy do punktu wyjścia. Nim się w twojej głowie zrodzi przekonanie, że ze wszystkich innych mundurowych służb tylko kolejowe (z wyłączeniem SOK - bo te też są zbrojne) są w Polsce wartością. Tylko one jedne.

Wtedy się zobaczy. Czekaj... Jeszcze jedno. Pięta... Twoja pięta...
Swędzi cię czasami, kiedy nie potrzeba?

Wyprężyłem się.

- Tak jest, proszę pana! Swędzi tylko wtedy!

Wtedy on dał znak, sygnał do odjazdu, bowiem w międzyczasie stanął przy nas pociąg, w którym już siedziałem, z nosem przyklejonym do zmrożonej szyby. Kiedy się ocknałem, na moim laptopie widniała notatka sporządzona w Wordzie.

Notatka służbowa

Sporządził kapitan M. Konieczko

W nocy z 22 na 23 stycznia w pociągu podmiejskim z Bytomia do Gliwic miało miejsce zdarzenie z udziałem Straży Ochrony Kolei, którego byłem świadkiem. Interweniowano w Zabrzcu. Moim zdaniem zachowanie funkcjonariuszy SOK było nieadekwatne do sytuacji. Widziałem, jak kilku z nich wciąga jednego z pasażerów do pustego przedziału na przesłuchanie. Słyszałem zacieklą kłótnię. Prawdopodobnie przesłuchiwanemu nie pozwolono wysiąść na stacji, na której zamierzał, używając przy tym wulgarnych słów i przypuszczalnie grożąc bronią palną. Co więcej, jeden z sokistów chyba go uderzył. Moim zdaniem przetrzymywany nie zachowywał się agresywnie, a reakcja pracowników SOK była przesadzona. Zbulwersowany działaniem uzbrojonych mundurowych, natychmiast telefonicznie powiadomiłem o tym Policję oraz centralę Straży Ochrony Kolei. Ale zostałem potraktowany bardzo lekceważąco przez obie te instytucje. Co ciekawe, zupełnie inaczej widział to jeden z trójki drużyny konduktorskiej, utrzymując, że zatrzymany mężczyzna w ogóle nie palił papierosów i nie zaśmiewał wagonu puszkami po piwie i folią po słonych paluszkach. I nawet palcem nie tknął strażniczki próbującej go wylegitymować. Dostał mandat, którego grzecznie nie przyjął. Nie była to jedyna sytuacja, w której

musieli interweniować SOK-iści w pociągu. Po kilku dalszych kilometrach jazdy trzech młodych mężczyzn zaczęło ubliżać funkcjonariuszom, w tym ww. strażniczce. Grupa wysiadła w Gliwicach i zaczęła wykrzykiwać: „Śmierć frajerom!”. Wtedy SOK-iści wyskoczyli za nimi, żądając okazania dowodów tożsamości. Doszło do awantury, pracownicy SOK użyli gazu łzawiącego. W pełni bezzasadnie. Widziałem to wszystko z okna. Na stację przyjechał też patrol policji, który sporządził protokół z badania stanu trzeźwości chuliganerii.

Na tym notatkę zakończono i podpisano.

Dalej nie wiem, czy staruch od Zofii Dubrawskiej zapomniał zgłosić się po tę notkę, czy sądził, że wysiadłem wraz grupą opryszków w Gliwicach, czy też co innego miał do roboty, dość że do poranka nie dał znaku życia. Mogło być też tak, że ja sam w tym czasie byłem w innym świecie. Z trzeciej strony kartki.

Rozdział XVIII

BEZ HAPPY ENDU

Dniało, gdy Zofia obudziła się i usiadła na łóżku. Stukot w jej skroniach nasilał się z każdą chwilą. To syrop, to po nim – pomyślała. Od okna powiało lawendą. Powoli wracała jej pamięć... Stażystka... Odzież z torby... Nie była sobą. Naglił ją silny wewnętrzny głos. Kierując się nim, zza kotary wyciągnęła ukrytą tam torbę i dociągnawszy ją do łóżka, zawartość wysypała na koldrę. Z szafy wyjęła wszystkie swoje rzeczy (prócz oranżowej sukni, którą pewnego wiosennego dnia lata temu w słomianym odruchu buntu kupiła w salonie z drożyzną) i wcisnęła je do torby. I dalej, kierując się głosem pochodzącym z wnętrza, wyszła z pokoju, ciągnąc za sobą do windy kraciatą torbę na kółkach.

W tym samym czasie doktor Ladaco odsunął od siebie raport po dyżurze. Nie było tak źle, jak przypuszczał, tylko Ewa, nie wiedzieć gdzie, przepadła na długie godziny. Trzeba ją mieć na oku, dopóki jest tu ten playboy, Dubrawski – pomyślał o Zofii, o której zapomniał w nawale zajęć. Czy się odważy? Oby... Pełen dręczących go obaw powoli podszedł do okna. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w dymie tłącego się jeszcze ogniska zobaczył Zofię, jak rzuca na głównie swą odzież pamiętającą kawał historii Polski. Jej staromodne, zszarzałe rzeczy skręcały się w ogniu w bezsilnej złości na właścicielkę, że traci je bezpowrotnie, ale że przyjdzie jej za to zapłacić, i to wkrótce. Brawo, droga Zofio! – ucieszył się doktor. Wyzbyć się siebie dawnej to akt najwyższej odwagi. Wpierw w sensie ubioru, wszak to druga skóra. Reszta, z pomocą ćwiczeń, zmieni cię

szybciej, niż myślisz. Naprężył się z dumy i odszedł od okna, by się szykować do domu.

* * *

Współlokatorzki wciąż spały, kiedy Bożenka koło południa otworzyła oczy. W powietrzu wisiał nieznosny alkoholowy odór – melanzu żołądkowej gorzkiej, toniku Kinley ze spirytusem i jeszcze czegoś o trudnym do ustalenia składzie. Na szafce przy łóżku nie było jej karty zabiegów. Więc jednak... zabrała kartę. Z trudem zbierała myśli. Wyrzuca, jak nic. Wyrzuca! Zawsze tak robią, jak zabierają kartę. Wspomnienie spięcia przy ognisku z pielęgniarką główną, kiedy ta wytknęła jej stan nietrzeźwości, wzbudziło w niej złe uczucia. W łazience, do której dowlokła się z trudem, w lustrze ujrzała kobietę z opuchłą twarzą w lizajach z czarnego tuszu. Wkrótce w podomce, w której przespała noc, zjawiła się w naszym pokoju, licząc na pomoc Emila. Lecz po Emilu, którego znała, nie było śladu. Stał przed nią urzędnik państwowy w szarej odświętnej koszuli.

– No wiesz, Bożenko – powiedział, gdy przedstawiła swój problem.
– Niewiele mogę w tej sprawie, powiedziałbym nawet, że nic. Tacy jak doktor Ladaco nigdy nie przyjmą łapówki, niektórzy tak mają, choć to rzadki defekt.

Nastąpiła męcząca cisza. Bożenka zagryzła wargi.

– Znaczący... radź sobie sama? – spytała po chwili schrypniętym głosem – Cały ty. Jak całe to gówno w którym siedzisz po uszy. Nie dadzą mi renty, wpiszą na czarną listę. A ty jak ten kundel, ogon pod siebie i „nic nie mogę w tej sprawie”. A jak to się chwalił, co to on nie może... – Bożenka z wściekłości mówiła coraz ciszej.

– Ja coś takiego mówiłem? – postawił się Emil, któremu dyscyplinarna sprawa Bożenki (z uwagi na plany związane z Urszulą) spadła jak gwiazdka z nieba. – A nawet gdyby tak było, to nigdy nie podjąłbym się interwencji w sprawie kobiety, której puszczają hamulce pod wpływem upojenia alkoholowego. Niemniej – w głosie

Emila zabrzmiało zadowolenie z siebie – dotrzymałem swojej części umowy, choć zrywam ją w świetle zaistniałych faktów.

Bożenkę замуrowało.

– Twojej części umowy? – spytała po dłuższej chwili. – A w którym jej punkcie, jeśli można wiedzieć?

– A w tym, w którym mnie prosisz o telefon w sprawie tych twoich bud. Urząd Skarbowy w Sopocie wkroczy tam z kontrolą jutro skoro świt!

– Jakie znowu jutro? Jakie skoro świt? – Bożenka jęknęła. – Wszystko poplątałeś. Mówiłam, by izba skarbową wstrzymała się z tym do czasu, aż nie dam ci znać, że już można. Aż nie dam ci znać, że już można! Emil! Nie było tak? Nie było?

Wzruszył ramionami.

– Oj tam, oj tam. Oj tam! Dzień w tę czy we w tę, wielka mi różnica.

– Jakie „w tę czy we w tę”? Dzwon tam, ale już, i odkręcaj to!

Nadęty, jak z łaski sięgnął po telefon.

– Dobra, niech ci będzie, ale na tym koniec naszych interesów. Przepraszania też!

Następnie z komórką przy uchu okrążył stół parę razy.

– Abonent chwilowo niedostępny – powiedział w końcu. – Pewnie wyjechał na swoją daczę pod Gdańsk i wyłączył telefon, aby mu w weekend nie zawracać dupy. Może na godzinkę włączy go wieczorem. Teraz czas na obiad, a ja jeszcze chciałbym... chciałbym do łazienki, więc chyba rozumiesz...

Po wyjściu kobiety usiadłem na łóżku, zrzucając z siebie koc.

– Stare i mądre przysłowie mówi – rzekłem do Emila – że nie da się trzymać dwóch srok za ogon, ale od razu palić za sobą wszystkie mosty? W czym ci od wczoraj podpadła Unia Europejska?

Zrobił wielkie oczy.

– O czym ty mówisz, do diabła?

Widząc, że to wygląda poważniej, niż myślałem, wstałem z łóżka.

- Emil, no coś ty... Naprawdę nic nie pamiętasz? Nic a nic?

- Powiesz wreszcie?! - Głos Emila przeszedł w histeryczny dyszkanat.

- Dobra, dobra. Już!

Zacząłem mówić, ostrożnie dobierając słowa.

- Wczoraj z dyskoteki wróciłeś przed nocą. Opowiedziałeś z grubsza, co i jak, padłeś na łóżko i zasnąłeś. Musiały cię dręczyć koszmary, bo się rzucałeś w pościeli jak ryba złapana w sieć, wygadując bzdury.

- Marek, zlituj się...

- Ciągle mi przerywasz! - upomniałem go i trochę potrwało, zanim znów zacząłem: - Gdzieś koło północy nagle się ocknąłeś, chwyciłeś komórkę i zacząłeś szaleć. Esemes jeden za drugim na zmianę z nagrywaniem się na sekretarkę: „Pamiętaj, Urszulko! Ostrz pióro, bo ma być ostre! Ma zabijać! Chłostać! Urszulko to... Urszulo tamto...”. I bieganina dokoła stołu. Jak na moje oko była to spóźniona reakcja na stres po wypadku. Ale głowy nie dam. Koło piątej padłeś.

- Nie mogłeś mi tego powiedzieć od razu?! - ryknął z całych sił. - Dać mi komórkę do ręki i kazać czytać te esemesy! Ciśnienie mam pewnie ze dwieście. Gdzie ta komórka? Gdzie ona jest? - Chwycił telefon i zajrzał do wiadomości.

Czytając, czerwieniał i bladł na przemian.

- „Chuj ci w dupę, do widzenia...” - przeczytał na głos swoją ostatnią wiadomość i spojrzał na mnie ze zgrozą. - To wszystko ja? Do Urszuli? Że nie odbiera telefonów? Co ja narobiłem... I co teraz?

- Jak to: co teraz? Biegnij za Bożenką i odkręć choć to. Bo Urszula pewnie to już pieśń przeszłości. Żadna kobieta, do tego wrażliwa poetka jak ona, nie przeszłaby nad czymś takim do porządku dziennego - straszylem go umyślnie.

Pędząc za Bożenką, Emil omal nie minął wnęki, w której się zaszyla uspokoić nerwy. Dostrzegł ją w ostatnim możliwym momencie i z pełnego biegu runął na kolana.

– Nie wiem, co mnie naszło, Bożenko, to stres! To po wstrząsie, tak – gadał jak najęty – tak, tak, to po wstrząsie... Nawet Marek mówił. Zaraz znajdę tego lekarza z karetki. On ci to wyjaśni jako specjalista. On ci to...

– Przestań chrzanić, Emil! – wrzasnęła Bożenka i wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Ty się lepiej módl, aby jak najszybciej zjawił się tu kurier. A teraz dzwoni i odkręcaj tamto, bo inaczej to już nie będzie o czym rozmawiać.

Po kilku minutach Emil był na skraju załamania nerwowego.

– Abonent chwilowo niedostępny, Bożenko, nie chce być inaczej! – wołał strasznym głosem. – Mówiłem, mówiłem ci przecież, że pewnie pojechał pod Gdańsk. Wieczorem na pewno odbierze. Dlaczego by nie miał odebrać?

Ale wieczorem, niestety, było wciąż to samo. Powoli mijają niedziela.

Rankiem w poniedziałek przyszedł esemes: „Weekend, weekend, weekend, no i po weekendzie! – pisał do Emila kumpel ze skarbówki. – Chłopaki, jak chciałeś, są już na Monciaku, czemuś się tak pieklił?”

Miałem dość Emila i jego dramatów. Chociaż z drugiej strony wizja opuszczenia czterech ścian pokoju przerażała mnie jeszcze bardziej. Bałem się powrotu do tego, co było, czasu sprzed mojej wyprawy do lasu, co do wczoraj jeszcze było jakimś żartem, w którym brylowałem, przerwą w życiorysie. Jednak by to zmienić, by ją czymś wypełnić, jakąś świeżą treścią (nic nie lubi próżni), powinienem szybko – najlepiej od razu – spenetrować Turnię od piwnic po dach. Wszystkie ciemne sprawy powyciągać z nor, wszystkie je przeświecić – nie zostawiając niczego domysłem – i dopiero wtedy zgłosić się na kolej. Wtedy ma to sens. Prezes dobrze mówił. Nagle zrozumiałem, jak okrutny byłem i jak gruboskórny, lekceważąc lęki Ilony przed zmianą w jej załganym świecie, w którym mimo wszystko czuła się bezpiecznie. I jak jest bezcenny choćby i najmniejszy jej krok w dobrą stronę, nawet w sferze myśli. To krok heroiczny. Bo czy nie jest tak, że

od myśli często jeden krok do czynu? Zamiast ją w tym wspierać czule i łagodnie, aby mogła przez to przebrnąć w swoim tempie, popędzałem ją jak poganiacz muła batem i ostroga, wyśmiewając przy tym jej niedowład sprawczy i biegiłość w sztuce stosowania uników. Ciekawiło mnie, co by na to rzekł w swej mądrości Guru. W swej powściągliwości pewnie by powiedział, że wyrzucić stary zabazgrany zeszyt i sięgnąć po czysty każdy głupi może. Ale zmienić pismo? To już insza inszość. To już znój i praca, często ponad siły. Często bezowocna. Co prawda, to prawda – przyznałem mu rację. Ale z drugiej strony już Konfucjusz mówił, że „podróż tysiąca mil zaczyna się od pierwszego kroku”. Wziąłem głębszy oddech i wyszedłem.

W holu były pustki. Ludzie na śniadaniu. Tylko za regałem mebli recepcyjnych mignęła mi Anna ścierająca kurz.

– Pani Anno, prosba – zagaiłem wnet. – Zdaje się, że w czwartek, jak dobrze pamiętam, był tu jeden taki, łysy w rogatywce... Chyba na zastępstwo. Mam do niego sprawę. Gdzie on teraz jest?

W wielkich oczach Anny pojawił się błysk.

– Łysy w rogatywce? – spytała, ostentacyjnie strzepując kurz ze ścierki. – Ja tam nie wiem nic!

Było to tak nieoczekiwane, że w pierwszej chwili straciłem pewność siebie. Zmieszany, odszedłem od lady na krok, bełkocząc niewyraźnie coś w rodzaju:

– Skoro tak... Hm... Skoro tak... Bardzo przepraszam.

Z ukłonem wycofałem się o dalsze kilka kroków i tknięty nową myślą puściłem się biegiem do kotłowni. Palacz był na miejscu i ładował węgiel do pieca.

– Pamięta mnie pan? – krzyknąłem od wejścia. – Szukam tego gościa, tego w rogatywce. Który dzięki panu wywinął się śmierci, kiedyś chciał go zadźgać. Kręci się tu gdzieś?

Jakby mnie nie słyszał. Wrzucił szuflę mialu w czarną czeluść pieca i wziął drugą porcję.

Skoczyłem do niego, łapiąc go za wszarz.

- O nie! Tak nie będzie! Teraz pan jest głuchy?! Jakaś epidemia? Ha, ha, ha, ha, ha! Mówi pan czy nie? Gdzie on teraz jest?!

Wyrwał mi się z rąk.

- Panie, co pan robi? - rzekł, podnosząc głos. - Pan powinien raczej siedzieć w wariatkowie, a nie się obracać pośród chorych ludzi! Pan jest niebezpieczny. Teraz proszę wyjść, bo ja muszę palić, aby kuracjusze nie pomarзли w wannach. Zaraz, za pięć minut zaczną się zabiegi!

Zacisnąłem pięści.

- Jeszcze się spotkamy! - krzyknąłem mu w twarz.

Wściekły z bezsilności, nawet nie wiem jak, wpadłem do jadalni.

- Wiecie, że Bożenka z Sopotu wyjeżdża? - Wiadomość, z którą ktoś przybiegł do stołówki, zderzając się ze mną w przejściu, sprawiła, że po niedzielnej stagnacji w ludzi wstąpiło znów życie.

- Należało jej się! - zawołał ktoś z sali. - Śmierć kapitalistom! Na pohybel unii!

Staruszek naprzeciw mnie westchnął i obrócił się z krzesłem do stołu.

- Jak liczę, to będzie już siódma z wilczym biletem do domu - rzekł, spoglądając na mnie z wyrzutem, jakbym to ja był sprawcą. - Ciekawe tylko, że równie przykre konsekwencje nigdy nie dotyczą mężczyzn... Wszystkiemu kobiety są winne! Weźmy taką ciążę... Myślał pan, jak o tym mówi się w kościele?

Nie w głowie mi teraz były jego feministyczne deliberacje.

- Może i myślałem... - odburknąłem cicho. - Kto by to pamiętał.

Babina z rumianą twarzą wsadziła do ust plaster żółtego plastiku udający ser i powiedziała z pełną buzią:

- Doskonały ser.

- To prawda - przyznała Zofia z uśmiechem, który zdumiewał mnie coraz bardziej. - Wygląda smakowicie. Zresztą mi wszystko ostatnio smakuje. Odwykłam od malkontenctwa.

Spojrzałem na nią z ukosa.

- Zdaje się, że od stołówki też pani odwykła - wtrąciłem z przekąsem. - Nie było pani w sobotę, nie było pani i wczoraj! Gdzie to się pani podziewa? - Wciąż udawałem, że nie wiem, co robi i z kim się zadaje po kątach.

Wzruszyła ramionami i wzięła się za jedzenie. Patrzyłem na jej zebrane do góry włosy, spięte ozdobną klamerką z bursztynu, spod której zalotnie wymknęło się kilka loczków. I na stopę - gdy założyła nogę na nogę - w zgrabnym czerwonym pantoflu.

Z racji narastającej we mnie złości skonstatowałem zgryźliwie:

- Przyglądam się, patrzę i choć przecież widzę, podaję w wątpliwość - zawiesiłem głos, aby dać jej szansę rozbrojenia mnie, ale że bez skutku, dokończyłem swoje: - Te fikuśne loczki... Zapinka z bursztynu... No i ten pantofel w krzyczącym kolorze, jak u jakiejś młódki... Jakbym był złośliwy...

Lekce sobie ważąc moje złośliwości, wymierzyła palec w wyszczerbioną wazę.

- Zupa stygnie - rzekła.

Staruszek, kręcąc się na krześle, wciąż wzdychał, przewracał oczami i znacząco chrząkał. A temu znów co? - zdążyłem pomyśleć, kiedy nagle wstał, walnął pięścią w stół i zawołał:

- Jak można bez końca, przepraszam, o żarciu, gdy na naszych oczach dzieje się historia!

Natychmiast zastrzygłem uszami.

- Dzieje się historia? A to mi nowina. Wczoraj obejrzałem dziennik w telewizji. Gdzie się nie obrócić, tam konflikty zbrojne. Weźmy Bliski Wschód...

- Pan nic nie rozumie! - zakrzyknął z rozpaczą.

Zrobiło mi się nieswojo.

- No dobrze, to jaką historię ma pan szanowny na myśli?

- Historię martyrologii polskiej, proszę pana! A choćby i takie powstanie styczniowe, szczególnie bliskie memu sercu - jego głos się złamał w tłumionym wzruszeniu. - Tyle dobrego, że wciąż są ludzie, którym się jeszcze coś chce. Idący po śladach swych przodków, którzy po lasach i polach, nie bacząc na ziąb i brak wygod, ścierali się w walce z Moskałem, póki nie padli od kul... Albo z głodu.

- No właśnie, właśnie... - zainteresowała się nagle babina z rumianą twarzą. - Co oni tam jedli po tych lasach? Bez rolmopsów w occie, placków i pierogów? Bez mielonych zrazów, bo skąd tam maszynka? No i bez racuchów, które, hm... uwielbiam, no bo skąd tam drożdże? Pewnie tylko mięcho z ubitego zwierza, i to półsurowe, bez soli i przypraw, no i bez panierki!

Na twarzy staruszka zjawiła się złość, którą szybko ukrył. Pewnie uznał, że lepsza taka aktywność niż żadna ze strony reszty stołowników, bowiem nie zwlekając, odniósł się do pytań rumianej babiny.

- Jedli, co było pod ręką; jagody, korzonki roślin, rzadko jakieś mięso, gdy zbłąkany zając - też nie w pełni sił - albo nawet dzik wyszedł im na strzał. Jak to w partyzantce... nikt tam nie grymasił, kiedy chłód i głód. I do domu het!

Słuchałem go z wypiekami na twarzy, przebijając nogami pod stołem.

- Skąd pan o tym wie? - wyrwałem się z pytaniem, które już wcześniej załęgło mi się w głowie i jątrzyło.

- Skąd wiem? Od palacza. Kręcił się po Turni bez żadnego celu. Palenia nie było, bo niedziela, weekend, więc siedliśmy sobie w kotłowni na deskach, wzięliśmy po piwku, no i nawet nie wiem, kiedy minął dzień.

A to żmij podstępny! - zezłościłem się, myśląc o kotłowym. Tak mnie zbajerować. Wystrychnąć na dudka! Tyle choć dobrego, że istota sprawy dzięki staruszkowi stawała się zrozumialsza. Zaraz będę

wiedział, co i jak, w szczegółach. Dziadek tylko czeka na dalsze pytania.

– Jak na cały dzień, niewiele pan wie... – rzekłem podchwytliwie.
Zerwał się od stołu.

– Czy ja powiedziałem, że to koniec na tym?

Wobec jego gwałtownej reakcji, na którą przecież liczyłem, prowokując go, rzekłem łagodząco:

– Źle mnie pan zrozumiał, chciałem tylko wiedzieć, co tam dalej było.

– A, to inna sprawa. – Uspokoił się i zamyślił.

Czekałem długo. Zacząłem już wątpić, czy wróci do wątku o powstańcach. Mogła się mu paść pamięć (a miał z nią kłopoty), mógł też gdzieś odpląnąć daleko myślami, mógł być wszędzie. Raptem zaczął mówić.

– No to słuchaj pan... – rzekł, wbijając we mnie gorączkowy wzrok.
– Potomkowie tamtych, prawdziwych patriotów, zjawiają się w Turni grupą historyczną, rok w rok w pełnym składzie, o tej samej porze. Zawsze incognito, w największym sekrecie, by nie robić szumu dookoła sprawy. Dawniej zawsze w styczniu, celując w rocznicę, ale już od lat przyjeżdżają w maju, gdy robi się cieplej. Bo już nie to zdrowie, by znieść śnieg i mróz, który tutaj w górach trzyma jeszcze w kwietniu.

– A kim oni są? Pałac puścił farbę? – spytałem podstępnie.

– Są tu incognito! – zjeżył się staruszek. – Nie słuchał mnie pan!
Roześmiałem się.

– Ha, ha, ha! Ha, ha! Incognito, właśnie! Myślał pan dlaczego? A co do tych przodków... Ludzie wygadują niestworzone rzeczy, byle choć przez chwilę zyskać na prestiżu. Albo poddać próbie miłość do ojczyzny tego czy owego z grona swych kolegów z pracy lub z sąsiedztwa. Wymyślają zatem dziadów i pradziadów i szczycą się nimi przy okazji imprez prawdziwych Polaków. Zresztą powiem panu

- rozpedzałem się - teraz w całej Polsce pełno takich grup. Z różnych epok, powstań, wojen i rebelii. Taka nowa moda. Gdzie jak gdzie, lecz u nas było tego trochę... Mają w czym wybierać. - Postawiłem kropkę, zrywając kontakt z rozmówcą, choć wyrzut na jego twarzy mówił sam za siebie.

Ja jednak musiałem - i to już, w tej chwili! - całą tę historię przemyśleć sobie w spokoju.

Grupa rekonstrukcyjna... Ot i cały sekret!!! Jak mogłem na to nie wpasć! Stąd te nocne schadzki, ćwiczenia w terenie i cała ta konspiracja! Z tego, co wiedziałem, dramatyzm wydarzeń i dbałość o tło historyczne to w takich projektach cel sam w sobie. Sprawa mego życia miałyby aż tak żenujący finał? Chyba mnie na czas wylali z roboty - pomyślałem gorzko, wędrując wzrokiem po sali. Ale z drugiej strony to, co wystawiali, było zbyt realne, było recydywą. Jeden do jednego. Powtórką wydarzeń sprzed dwunastu lat w pociągu podmiejskim Gliwice-Bytom, wziętych z zeznań świadka, i to pod przysięgą, kiedy jego głowę znaleziono później na półce w wagonie. To też w ramach ćwiczeń? Bzdura do kwadratu! Ale znów, skądinąd, wystarczyło zajrzeć do annałów zbrodni w archiwach policji, aby mieć scenariusz, gotowy scenariusz, jasno i w szczegółach. Tylko go odtworzyć. Miałem w głowie mętlik.

Zza kuchennych drzwi wynurzył się K. (z nawyku wciąż nazywałem go K.) z miską kleiku w dłoniach. Na ten widok szturchnąłem Zofię łokciem.

- Pani Zosieńko, niech pani spojrzy na tego tam! - krzyknąłem jej do ucha. - No niechże pani spojrzy! - cisnąłem, zaglądając jej w oczy.

Byłem ciekaw, czy został w nich tamten strach... Ale gdzieżby tam, ani śladu po nim... Był w nich teraz tylko spokój i harmonia.

- Panie kapitanie, proszę dać mi zjeść - zbyła mnie uprzejmie i, musiałem przyznać, z istic anielską cierpliwością.

Tymczasem K. przystanął przy naszym stoliku. Wyglądał jak szkielet obciążony skórą. Że też jeszcze może przebierać nogami -

pomyślałem.

- Smacznego! - powiedział, wbijając wzrok w talerz z serem. - Żółty ser... Delicje... A ja na kleiku, niestety. Do wtorku.

- Niestrawność? - spytałem z arogancją człowieka, który o coś pyta, choć o wszystkim wie. Byłem także ciekaw, czy choć jednym słowem nawiąże do faktu mego uczestnictwa w patriotycznym szoł swojej grupy w lesie. Czy się zdradzi.

Ale gdzieżby tam, nie drgnęła mu nawet powieka, kiedy odpowiedział:

- A tak, tak! Niestrawność. - I zaraz spytał Zofię: - A jak pani zdrówko?

Co to za załgany, śliski typ człowieka! - pomyślałem w duchu. Ale i do Zofii jakby nigdy nic, wszystko ładnie pięknie. Nie dość, że ja odarł z tożsamości żony, to na domiar złego z racji swych powstańczych pokręconych harców bałamuci Ewę. Już ja bym mu dał te zabawy w wojnę. Wziąłbym go za wszarz, kopniak i do domu!

- A dziękuję bardzo, lepsze nie było nigdy - skwitowała Zofia, dając się wciągnąć w rozmowę, jak dla mnie całkiem o niczym.

W dalszych słowach K. zwrócił się z prośbą do Zofii, by mu doradziła, jako specjalistka w zakresie żywienia, czego się wystrzegać, a co wolno jeść, jak odstawi kleik. Nie chce fatygować doktora Ladaco, który i bez tego ma w co ręce włożyć. Na koniec zapytał, gdzie się mogą spotkać celem obgadania tematu w szczegółach, i ze wzrokiem w misce, aby nic nie ułać, powlókł się pod okno do swojego stołu.

Staruszek, sądząc po jego nerwowych ruchach i przewracaniu oczami, tylko na to czekał. Złapał nóż w dłoń i wymierzył w Zofię.

- Nie! Po trzykroć nie! - rzucił jednym tchem. - Niech się pani nie da nabrać na te sztuczki. Że niby to chory, że cierpi - zaśmiał się kąśliwie. Pewnie zerwał z którąś, bo mu się znudziła, a że coś „podłapał”, to ratunku! Rety! Dietę mu układaj! A gdzie był jak dotąd? Powiedział czy nie?

Zofia zachichotała.

– Spokojna pańska rozczochrana!

Że co? „Rozczochrana”? Spojrzałem na Zofię ze zgrozą. Na jej pantofle i biust. Kobieta ma przecież swój wiek... Choć fakt, jakby trochę jej tych lat ubyło... Co ten Ladaco wyczynia? Chce jak Mefisto Faustowi przywrócić jej młode lata? Zaprzedał duszę diabłu? I jeszcze ją w to wciąga?

Mając to na względzie, stanąłem po stronie staruszka.

– Pani Zosieńko, ja wiem, że służba zdrowia nie pyta, kto, co i za ile, tylko jak potrzeba, pędzi na ratunek. Tylko czemu jemu? Takiej kreaturze i nędzy moralnej!

Roześmiała się, a jej oczy rozbłysły figlarnie. Nie no, co to jest? – najeżyłem się, widząc, że poległem w konfrontacji z Zofią, która odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

– Czym się ten kuracjusz tak panu naraził? – rzekła, wciąż z uśmiechem. – Panie Marku, proszę... Trochę więcej serca dla cierpiących bliźnich. Dziś on, jutro pan. Nie masz na tym świecie żadnej pewnej rzeczy.

Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy, no bo co ja mogłem? W końcu to jej mąż. Choć tu incognito, swoje prawa ma. Podziękowałem, wstałem od stołu i wyszedłem.

* * *

Próba wręczenia łapówki doktorowi Ladaco skończyła się dla Bożenki fiaskiem i awanturą na całą Turnię. Wniosek o rentę przepadł. Z wilczym biletem w papierach, stojąc z torbami przed wyjściem z pokoju, obejrzała się jeszcze przez ramię na wdowę, która od wielu, wielu już godzin nie wstawała z łóżka. Przez całą swoją bezsenność, w której prześladował ją obraz licytacji komorniczej pawilonów, Bożenka słyszała dobiegające spod kołdry Urszuli dźwięki telefonu. Pół nocy ktoś do niej wydzwaniał, nagrywał się na sekretarkę i słał esemesy. Ale i ona do kogoś dzwoniła, za każdym razem w odpowiedzi słysząc, że „nie ma takiego numeru”. Tej też nie poszło jak trzeba.

Bożenka westchnęła i wyszła. Czytałem w jej myślach jak w otwartej księdze. Udręka Urszuli była jej udręką. Przejmowała lękiem, napełniała bólem i poczuciem krzywdy. Miałem zatem rację. One wszystkie tutaj, kuracjuszki Turni, swoje drugie ja – bierne i cierpiące – zostawiły w domu, tak jak ja Ilonę. Były tutaj po coś, były w jednym celu. Turnus miał być zmianą. Radykalną zmianą. To coś – coś obcego, narzuconego im w życiu przez innych, jakieś ustępstwo pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym trwające zdecydowanie za długo – miało się rozpaść w kawałki, roztrzaskać się w drobny pył na nowym, ćwiczebnym polu walki. Miało... Cóż, nie wyszło. Ale byłem pewny, że w niejednej głowie rozpoczął się proces, który mówi o tym, że wystarczy ruszyć choćby jeden kamień z fundamentu zła, a upadnie Rzym. Nie dziś, to za tydzień. Nie dziś, to za rok! Podmyć to, osłabić i już tylko czekać, aż wysoko w niebie otworzą się wrota, a ziemia zadrży w posadach.

Stojąc z Emilem na zimnie, przez szybę drzwi tarasowych obserwowaliśmy wymarsz Bożenki.

– No! Nareszcie poszła – ucieszył się Emil. – Teraz do Urszuli czy lepiej odczekać? – zwrócił się wprost do mnie.

– Nie wiem, Emil, nie wiem. Jak zrobisz, tak będzie. Miałem dość swoich problemów, by jeszcze zajmować się nim.

Dałem krok do wyjścia, ale on zniemacka chwycił mnie za rękaw.

– A pójdziesz tam ze mną? – wyskamlął. – Będzie mi raźniej i w ogóle.

Stojąc pod drzwiami pokoju 321, Emil ćwiczył wejście. Pokora w oczach, ugięte kolana i ręce złożone jak do modlitwy miały być oznaką wyrzutów sumienia i przeprosin. W końcu nacisnął klamkę i uchylił drzwi, za które wsunął głowę.

– Pani Urszulko – rzekł słabym głosem. – Mogę wejść? – Cienie i worki pod oczami kobiety sprawiły, że poczuł się śmielszy. To pewnie z żalu – pomyślał. To może być dobra wróżba. Zrobił kilka kroków do przodu i mówiąc: – Przyszedłem prosić o łaskę – przyklęknął przy

łóżku Urszuli. Lecz nim się na dobre rozpedził, nagle zhardział; kłamstwo nasunęło się samo.

– Przeszedłem, choć moja wina jest żadna. Stałem się ofiarą fatalnej pomyłki telefonicznej. Odbiorcą esemesów miała być moja żona – łąał jak najęty – której nienawidzę za to, że donosząc na mnie władzom mojej partii, szkodzi sprawom Polski. Ale że za błędy, nawet te losowe, trzeba w życiu płacić... Trudno, ale błagam, błagam na kolanach, niech na tym nie straci ojczyzna, nasza matka! – zawrzasał na koniec i ukrył twarz w dłoniach, w gęście winowajcy.

Urszula spokojnie wysłuchiwała jego słów. Dopiero gdy zastygł na dobre w przyjętej przez siebie pozie, włączyła pocztę głosową w swoim telefonie. Automatyczna sekretarka przez bite pół godziny odtwarzała wiadomości, wszystkie od Emila, który już w pierwszej chwili nagrania zdjął dłonie z twarzy i wciąż w pozycji na klęczkach szeroko otworzył usta. To było jak cios między oczy. Popęlnił błąd, przejrzawszy wcześniej tylko esemesy. To był jego koniec. Patrzył na Urszulę z przerażeniem w oczach, kiedy powiedziała bez emocji w głosie:

– Pomijając fakt, że wszystkie te wiadomości są jednak do mnie, chyba że pańska żona też ma Urszula na imię i zaliczyła z nami wypadek pod czereśnią, ja, panie Emilu, nie piszę wierszy. O co więc cały ten krzyk i pretensje przez telefon?

– Ale jak to?... Przecież...

– Powtarzam: nie piszę i nigdy nie pisałam wierszy. Musiało się panu coś przyśnić.

Istna schizofrenia. Miałem tego dość! Nie czekając dłużej, wypadłem z pokoju, a za chwilę z Turni, by zaczerpnąć tchu i pozbierać myśli w szaleńczym marszu parkową aleją, pod górę. Ostatnie przeżycia dały mi do wiwatu. Potrzebowałem wytchnienia. A tu do Ilony trzeba by napisać... Tylko o czym... Prawdę? Po to, by ją zabić? Bowiem tutaj wszystko było po staremu. Roman po staremu zebrał u Elżbiety choć o okrucieństwie seksu. Ona po staremu broniła mu

tego, czerpiąc siłę z żartów i wykrętów. W międzyczasie piwo, upojne spacerowanie w gorących uściskach alejkami parku, no i dyskoteka każdego wieczora, z grą miłosną w tle. Wszystko to w klimacie wielkiej obietnicy. Nieziemskiego bum, które miało nastąpić we właściwym czasie i w stosownym miejscu wybranym przez Elżbietę, po wyjeździe z Łądką.

Parkowa roślinność i szybki marsz pod górę przyniosły mi w końcu ulgę. A nogi poniosły do knajpy „U Antka”, gdzie spodziewałem się zastać naszą parę. Istotnie, byli tam. Usiadłem w pobliżu stolika, przy którym raczyli się piwem pośród śmichówchichów, niewybrednych żartów i rozwiązanych słów, kręciłem wideo z ich sam na sam w miejscu pełnym ludzi.

– Roman, zabierz łapę! – Elżbieta strąciła z kolan jego dłoń pod stołem nakrytym obrusem. – Jesteśmy w miejscu publicznym. Nie zapominaj się! – Ale nagle, jakby tknięta jakimś lękiem, jakąś straszną myślą, wyszeptwała ze zgrozą:

– Co z nami będzie, Roman? Co będzie, powiedz?

– Cóż mam powiedzieć, Elżbietko? – Ból w jego głosie był szczery. – Ja ciebie kocham, a ty mnie...? Wątpię. Skończy się turnus, wrócisz do domu, do Rzeszowa... Ja też wyjadę. – I wchodząc na wyżyny swoich możliwości, uderzył w nutę czarnej melancholii: – Ale już na wieki będę nieszczęśliwy, bo rany, których mi nie szczydziłaś, nigdy się nie zablżnią. Nigdy!

Zerwała się z miejsca, rwąc sobie włosy z głowy.

– Przecież ja umrę bez ciebie! To mało? To się nie liczy?! Kocham cię, Roman! Kocham! – krzyczała z zapalem, robiąc krótkie pauzy po każdym kolejnym mocnym wykrzykniku, dla nabrania sił.

Nie szalej, kruszynko... Nie szalej... A co mi z tego, że umrzesz? Dasz dowód miłości i starczy – złowiłem myśli Romana, który nie czekając, aż ona zakończy swój ucieszny występ, powiedział z goryczą:

– Elżbietko, ty kochasz mnie platonicznie, a ja cię pragnę cielesnie. Wszyscy mężczyźni, każdy jeden, pragną cielesnie swych

kobiet. Chyba że nie pociągam cię jako mężczyzna. – Ukrył twarz w dłoniach i załkał.

Usiadła z powrotem na krześle.

– Tylko nie to! – zawyła. – Nie chcę, byś cierpiał przeze mnie!

– Już cierpię! – powiedział, a przez palce przyglądał się wewnętrznej walce, która pojawiła się na pyzatej twarzy.

Komizm tej tragifarsy i egzaltacja Elżbiety sprawiły, że z trudem się powstrzymałem, by nie parsknąć śmiechem. Tylko spokojnie – powtarzałem w myślach. Trzeba to przeczekać. Zaraz się nastroi i będzie zeznawać. Czekałem z właściwą sobie cierpliwością. W końcu stało się. Jej głos mógł poruszyć wszystkich świętych w niebie, gdy zaczęła mówić w czystej desperacji:

– Umieram na samą myśl, że mógłbyś mnie po tym rzucić. Jak wszyscy inni przed tobą. Dostali, co chcieli, a gdy minął turnus, to im też mijało. Wracali do swoich „jędz” i „wariatek”. Tego się boję! Tego!

Oderwał dłonie od twarzy i przeciągle westchnął.

– Ależ ja jestem inny, dziecinko – powiedział z wyrzutem. – Ja nigdy bym cię nie skrzywdził.

Jej głos stał się twardy, kiedy oświadczyła:

– Zerwij więc z Iloną! Dopóki jesteś z nią oficjalnie, nigdy nie będę tą drugą! – mówiąc to, tarła swym udem o udo Romana, luzując zarazem pasek od jego spodni, by zaraz tam zatknąć palce.

– Ilona jest chora... I znikąd pomocy – odparł mdlejącym z rozkoszy głosem. – I jeszcze jedno, pamiętasz? Dałem jej matce słowo, że nigdy jej nie opuszczę. Ona jest jak dziecko: naiwna i głupia. I do tego pije.

– Więc mówi się trudno! – powiedziała twardo. – Albo wyjedziesz stąd ze mną do Rzeszowa, na razie choćby na krótko, albo... Wybieraj: ja albo ona! Tymczasem zostanmy przy kolejeźństwie. – Na przekór tym słowom wsunęła dłoń głębiej w jego w spodnie.

Wywrócił oczami i rzekł:

- Dziecino, wciśnij łapeńkę do końca, bo już nie mogę wytrzymać!

Zrobiła, co chciał, aż jęknął i płynnym ruchem, szukając wygodnej pozycji, zsunął się po oparciu krzesła. Od strony baru ktoś chrząknął. Widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli, Elżbieta wyjęła dłoń ze spodni Romana i rzekła niespodziewanie trzeźwo:

- Zaraz nas stąd wyrzuca.

W drodze powrotnej pęczniała z dumy, że tak stawiając sprawę, czyli Romana pod ścianą, już wkrótce osiągnie swój cel. Gdy ona pęczniała z dumy, mężczyźni pęczniało w rozporku. Widziała głód wyzierający mu z oczu. A sądząc po strużkach potu, które spływały mu z czoła, kapiąc na wąsy i ściekając z brody, była niemal pewna, że droga, którą obrała, była tą najlepszą. Byle nie ulec przed końcem. Byle do soboty.

* * *

W czwartek przy obiedzie trochę dla rozrywki, ale bardziej z nudów podjąłem grę towarzyską z Zofią, w której wciąż byłem górą. Przewagę dawała mi wiedza o dziejących się wokół niej sprawach, które rejestrowałem na bieżąco.

- Piękne ma pani wdzianko - wyraziłem uznanie dla stylowego żakietu Zofii z kraciastej torby na kółkach od doktora Ladaco. - Wykosztowała się pani, trochę się orientuję w cenach. Niewielu bywalców Turni stać na podobny luksus. Do tego ta garstka bogaczy, to przecież nie pani liga... Jest coś, o czym nie wiem, droga pani Zofio?

- Dobra, dobra, dość! - położyła kres mojej błazenadzie. - Może niech pan jeszcze rozpisze ankietę, ile kuracjusze, każdy z nich osobno, wzięli kasy z domu, ile przepuścili, na co i dlaczego...? Pańskie chore wścibstwo wkurza mnie już, wie pan?!

- Ależ pani Zofio - rzekłem, broniąc się. - To nie z racji wścibstwa. Bardziej ze zdumienia, że inne kobitki, proszę się rozejrzeć, pogasły

jak świeczki, a pani odwrotnie, rozkwitła jak krzew gorejący z góry Synaj. Toż to istny cud. Wierzy pani w cuda?

Tym razem zaśmiała się kpiąco.

– Panie kapitanie... – rzekła w odpowiedzi. – Mnie pan o to pyta? To nie ja, a pan jest tu specjalistą od węzłów gordyjskich. To pan, a nie ja, wciąż tu kogoś śledzi, infiltruje, sprawdza... Więc nie mnie orzekać, co z czego wynika. A czy wierzę w cuda? – Zamyśliła się. Cuda się zdarzają, ale nigdy mnie... Taka prawda.

Nie chcąc brnąć w istotę wybiórczości cudów, wycofałem się.

– Pomijając cuda, o czym może później, przy innej okazji – rzekłem więc oględnie – w kwestii tych poczynań, nie zaprzeczam: śledztw, z których, jak tak słucham, pani się natrząsa, zdziwi się paniusia, jakie mam sensacje o tym pani „chorym” zalotniku znikąd; chodzi o tę jego tak zwaną niestrawność i jeszcze parę innych kwestii. Zająłem się nim do gruntu.

Uniosła brwi, tłumiąc śmiech.

– Co pan opowiada – powiedziała drwiąco. – Do samego gruntu? A to jakim cudem?

Naprężyłem piersi.

– Ma się te metody, droga pani Zofio!

Na jej twarzy raptem pojawiła się czujność, którą wnet ukryła pod maską beztróski i prząsnego żartu. Nie czekałem długo.

– Też bym chciała wiedzieć, tak dla ciekawości. Uchyli pan rąbka?

– Pewnie że uchyłę! – ucieszyłem się. – Przecież on chce pani, jestem tego pewien, użyć w niecnym celu. Zatem powiem pani, powiem pani wszystko, by nie było potem. – Mój wzrok powędrował w stronę drzwi stołówki. – Ale już nie tutaj, bo widzę, że idą następnii.

Neony „Las Vegas” na drugim półpiętrze mruczały sennie. Siedząc w zaciszu kawiarni, czekałem na Zofię, która udała się do swego pokoju, mówiąc, że na chwilę i że zaraz wróci. Gdy ją znów ujrzałem, miała na sobie wyjściowe spodnie i modny beżowy blezer. Kurtka,

którą nonszalancko trzymała pod pachą, była najlepszej światowej marki. To się doktor szarpnęła – pomyślałem w duchu. Nie ma co, ma gest!

– Dokąd się pani wybiera w tym stroju? – zapytałem chytrze. – Pójdę z panią, co?

Roześmiała się.

– Może innym razem.

Wziąłem tyk espresso i zacząłem błędzić wzrokiem po suficie.

– Co to, znowuż dąsy? – rzekła wciąż z uśmiechem, który, jak mówiłem, zaczął mnie już drażnić. – Panie kapitanie... A miał pan coś mówić. O tym, jak mu tam... – udawała namysł – ...no ten... jak mu tam...

Odczekałem chwilę, trochę dla zasady.

– Prawda jest straszliwa! – wypaliłem w końcu. Ten nasz „jak mu tam”, powiadają ludzie, to zwyczajna łajza i zwykły arogant! Mówią też, że uwiódł siostrę przełożoną. Pani związek z branżą tylko to potwierdza, że rajcuje go polska służba zdrowia. To jest zwykły świr! Może i zboczeniec!

Pokiwała głową.

– No tak, to możliwe. A arogant czemu?

– A jak nazwać kogoś – zacząłem z impetem – kto bez dania racji ubliża obsłudze i przeszkadza w pracy?! No i raz miał pecha. Trafił swój na swego. Na Hipolita od wanien, znanego z mściwości żuła i brudasa, który za łapówki wpuszcza do kąpeli nosicielei chorób, przenoszących prątki i inne zarazki; pani wie najlepiej, czym jest kąpiel w wannie, gdy obsłudze nie jest po drodze z higieną. – Chciałem nią potrząsnąć od strony zawodowej.

Ale ona tylko odrzekła z uśmiechem:

– Proszę mówić dalej, to jest niezwykle zajmujące.

Nie mogąc dłużej usiedzieć spokojnie, zerwałem się z krzesła, perorując dalej, że nikt go jak dotąd (tego łaźniennego) nie złapał za

rękę w sprawie tych łapówek, więc interes kwitnie mimo zagrożenia dla reszty pacjentów. Choć akurat tego troglodyty wcale mi nie szkoda. Nastawiałem Zofię wrogo do jej męża, sącząc jej jad do uszu.

Najważniejsze jednak zostawiłem na koniec. O tym, jak jej amant wszczął totalną kłótnię z rzeczonym łaźniennym, który z zemsty za to zgotował mu kąpiel z przykrą niespodzianką. Może nie zmienił mu po kimś wody, może coś mu tam wpuścił... Ludzie różnie mówią.

- Zatem, pani Zofio - podniosłem głos ostrzegawczo - nie żaden rozstrój żołądka jest skutkiem diety pani amanta, lecz salmonella w jelitach. Lepiej się trzymać od niego z daleka. Przecież on zaraża!

Zegar nad barem pokazał szesnastą. Zofia wstała, mówiąc:

- Pomyślę o tym, panie Mareczku. Teraz muszę iść.

Byle nie było za późno - burknąłem, idąc jej śladem do wyjścia. Zmierzała prosto do Żupy. Wkrótce stanęła przed wejściem i oparta o mur, nie tracąc czasu, jęła medytować: „O Zofio... O Zofio...”. Nim pograżyła się w tym na dobre, K., który akurat nadszedł, szarpnął ją za rękaw.

- Co to? Nowa kurtka?! I do tego spodnie?! - Jego skrzeczący głos zabrzmiał jak stara płyta. - Za dużo mamy pieniędzy, Zofio?

Roześmiała się.

- Jakże się cieszę, Kazimierz, że widzę cię w dobrej formie - rzekła wciąż ze śmiechem, ignorując jego działania zaczepne. - Ale teraz chodźmy, bo zaraz się zaczniesz.

K. zwołnił przed drzwiami z napisem „Grota solna. Cisza!”.

- Innego miejsca nie było już, Zofio?! - wykrzyczał z wściekłością.
- Tu nawet rozmawiać nie można!

- Lepszego miejsca w Łądku nie znajdziesz - odparła, znosząc z anielskim spokojem jego wybuchy gniewu. - Jod, inhalacje i relaksacja. Tylko korzystać. Nie jęcz.

Stare drewniane leżaki w jaskini solnej skrzypiały przy każdym ruchu układających się na nich wygodnie kuracjuszy uczestniczących

w sesji. Przy śpiewie ptaków, rykach jeleni i odgłosach pracy drwali powoli cichły, niezgodne z regulaminem, głosy.

K. okrył się dwoma kocami i zapadł w drzemkę. Lekko żółta poświata lamp solnych wydobywała z jego twarzy najgorsze cechy mężczyzny: zapadła, ziemistą cerę pokrytą siwą szczeciną zarostu i wąskie zacięte usta, skrzywione w gniewnym grymasie.

Nawet się nie ogolił – pomyślała Zofia. Wkrótce odgłosy z życia kniei i uporczywy zapach lawendy wpłynęły na jej świadomość. Zapadła w sen, z którego dość szybko wyrwały ją czyjeś krzyki. Na środku jaskini stał rozwścieczony K. Trząśł się na całym ciele i kopiąc nogami imitujące piasek pokłady kryształków soli, krzyczał, wygrażając pięścią w kierunku oka kamery umocowanej nad solną rzeźbą u sufitu.

- To ma być relaks czy koncert kocięj muzyki?! Piły, siekiery i rykowisko! Co jeszcze?! Co jeszcze, pytam się! Zamkną wam ten interes, już ja się o to postaram!

Z leżaków obserwowali to półprzytomni, wyrwani ze snu ludzie. Nagle drzwi skrzypnęły i do środka wszedł drobny mężczyzna, który wpuścił ze sobą smugę dziennego światła, a potem włączył wszystkie żarówki.

- Co to ma znaczyć?! - zwrócił się ostro do K. - Co pan wyrabia, dlaczego zakłóca pan seans?

Zofia skoczyła z leżaka. Doktor Ladaco... Jasnowidz - uznała nabożnie, nim dotarło do niej, że przecież doktor jest udziałowcem w jaskini i pewnie miał ich na oku za pośrednictwem kamery.

K. wolno opuścił rękę i zaskrzeczał:

- Doktor Ladaco... Tutaj?

Ladaco popatrzył nań ironicznie.

- A tutaj. Coś nie tak, panie Dubrawski? - odpowiedział ostro.

- Właściwie... Sam nie wiem... Tu prędzej bym się spodziewał śmierci niż pana doktora.

- Panie Dubrawski! - Ladaco wymierzył weń palec. - Gdzie pan, tam kłopoty! O co tym razem chodzi?

- Za bardzo o nic. Ale ci drwale, te piły... Nie znoszę hałasu!

- „Nie znoszę hałasu”... Co pan powie? A co pan znosi, jeśli wolno wiedzieć?

K. spojrział na Zofię, szukając u niej pomocy. Odwróciła wzrok, który mówił: „Na mnie w tej sprawie nie licz”.

Obserwujący ich doktor Ladaco ni stąd, ni zowąd zwrócił się do Zofii.

- Pani Dubrawska, o ile dobrze pamiętam?

- Zgadza się, panie doktorze - odparła Zofia, wchodząc w rolę. - Tylko zazdrościć takiej pamięci.

Przez twarz doktora Ladaco przemknął cień uśmiechu.

- Jak trzeba, to się pamięta.

Stali we troje pośrodku sali niczym podczas przedstawienia ulicznego teatru, mając za gapiów dwa rzędy ludzi na leżakach, zaciekawionych rozwojem akcji.

- No dobrze - przerwał milczenie Ladaco. - Rozumiem, że pan wychodzi i rezygnuje z relaksu? Cóż, pański wybór...

- Ja... ja jeszcze nie wiem - wyjąkał K.

Z twarzy doktora znikł uśmiech.

- *Sorry*, miałem was o to zapytać wcześniej - powiedział nagle, jakby od niechcenia. - ale nie było okazji. Zapytam więc teraz. Oboje państwo mieszkacie w Radomsku, macie to samo nazwisko... Jesteście państwo rodziną? - padło bez ostrzeżenia.

K. skurczył się w sobie. Pod Zofią ugięły się nogi. Więc jednak! Jednak wie wszystko. Niemniej natychmiast poczuła ulgę, klasyczną ulgę schwytanego zbiega, który już nie ma dokąd uciec. Może to i dobrze, starczy tego cyrku - pomyślała.

- Problem z percepcją, panie Dubrawski? - Ladaco zwrócił się wprost do K., który, jakby nagle stracił słuch do reszty,

z zaciekawieniem znawcy przyglądał się solnym lampom. – Panie Dubrawski! Ja czekam! Czekam na odpowiedź!

– Z niczego nie będę się panu tłumaczyć – odburknął K. w końcu ze złością. – Moja rodzina i moje miasto to moja prywatna sprawa!

– To prawda – przyznał Ladaco. – Pańska rodzina i pańskie miasto. Ale siostra Ewa, w sensie podległości, jak najbardziej moja. Chciałby pan coś o tym?

Wszyscy obecni w jaskini wstrzymali oddech. A gdy napięcie sięgnęło zenitu, Zofia spuściła oczy.

– To ja już powiem, panie doktorze – powiedziała szeptem. – Ja i ten pan tutaj jesteśmy parą. To znaczy mężem i żoną.

– Jak mogłaś, Zofio?! – zaskrzeczał K., kiedy już wyszli z jaskini. – Dotknęłaś mnie do żywego! Jak Judasz! Jak stu Judaszy! To, co zrobiłaś, jest wstrętne!

Oczy Zofii rozwarły się szeroko.

– A co ja takiego zrobiłam?

– Wyciągać przed obcym rodzinne sprawy. Aż tak już nisko upadłaś?!

– A, to... – Machnęła ręką. – To szczegół. Doktor Ladaco jest jak spowiednik, nie ma w tym sobie równych.

– Jaki spowiednik, to zwykły podlec! Dajmy na to wczoraj...

– Mam inne zdanie o panu doktorze! – przerwała mu ostro. – Niechby każdy zechciał choćby w małej części być taki jak on, byłibyśmy zdrowsi jako społeczeństwo! Niechby każdy zechciał, choć raz w swoim życiu...

Poczerwieniała z nerwów, podczas gdy szara, zacięta twarz K. z każdym jej słowem coraz bardziej i bardziej wtapiała się w szarość Łądką.

Stojąc w samotności na tarasie Turni, z którego zniknęły leżaki, bo nikt już z nich nie chciał korzystać z uwagi na niepogodę, rozmyślałem o nas: o mnie i Ilonie, która od dwóch dni przestała mnie nękać i ponaglać, a jej odezwania były tak zdawkowe, że można je było wziąć za wyrazy pamięci. „Jak tam? Dalej ziąb? Nic a nic nie ciepłej?” W związku z tym nareszcie, bez poczucia winy, mogłem się poświęcić wszystkim innym wątkom, które rozgrzebane czekały na swoją kolej i zamknięcie. Niemniej wciąż myślałem, co ją tak zmieniło. Istnieją i po męskiej stronie tajemnice, sprawy, do których nikt nie ma wglądu, ale przecież sama, sama mi zleciła dozór nad Romanem, przypominając mi o tym codziennie i domagając się wieści bez względu na okoliczności, porę dnia czy nocy. Co się mogło stać, o czym bym nie wiedział? Myśl, która mnie nagle tknęła, była tak dziwaczna, że sam się z tego uśmiełem, lecz ona wbrew moim wysiłkom wciąż mi się tłukła po głowie. No bo czy zasadna mogła być refleksja, że nagle sprawy Romana przestały Ilonę zaprzętać, a sensu nabrały całkiem inne wątki, może nawet te, którym poświęciłem przez całe życie całą swą energię? Czyżby zapragnęła sięgnąć do przykładów z życia moich mojr, które jej skądinąd podałem na tacy, i wziąć je sobie do serca? Przejść od czczych rozmyślań wreszcie do konkretów, nie oglądając się za siebie? To by było coś! Hmm... Hmm... Skutkiem tych dociekań z wyjątkowo ciężką, rozpaloną głową jakoś dotrwałem do obiadu.

Mieszając chochelką rzadki ciemny sos, zwany tu gulaszem, próbowałem w nim znaleźć choć kawałek mięsa, myślami będąc wciąż przy Ilonie.

– Zostaw pan to już! Zaraz będzie dziura – powiedziała Zofia, poprawiając włosy i zerkając w kierunku drzwi.

Widząc to, z pluśnięciem porzuciłem łyżkę.

– Co? – rzuciłem cierpko. – Patrzy pani za nim? Mogę sobie gadać, a pani i tak robi po swojemu. Byłbym jeszcze w stanie zrozumieć

kobietę, która zamiast mózgu ma rzeszoto w głowie. Ale pani? Pani? Przecież on zaraża!

- Patrzą, bo mam oczy - odgryzła się z miejsca. - A pan z salmonelli, zwykłej salmonelli, robi... nie wiem... Atom! Przecież ta bakteria jest obecna wszędzie. Ludzie rąk nie myją, jajka na surowo... Człowiek coś przekąsi w podejrzanym miejscu... Dałby pan już spokój.

Zareagowałem gwałtownie.

- No to ja się pytam: gdzie on się podziewał przez calutki turnus? I wyskoczył raptem, nie wiadomo skąd! Pani to naprawdę nie interesuje? Nic a nic?! Ni w ząb? A kobieca godność? Gdzie kobieca godność! - krzyczałem w nadziei, że to nią w końcu potrząśnie.

Staruszek z naprzeciwnika zanurzył kromkę chleba w sosie.

- Szkoda naszych nerwów - rzekł, przełknąwszy kęs. - Na to nie ma rady. Nie wie pan, że baby lubią piękne słówka? Nawet kiedy wiedzą, że mężczyzna łże, udają, że wierzą. Zamykają oczy, zatykają uszy i dopiero wtedy, jak się coś wydarzy, czego nawet one nie potrafią znieść, wtedy reagują. A i to nie wszystkie. - Starszy pan przymrużył swe wyblakłe oczy. - Trochę je rozumiem - przyznał i sposepniał - nie chcą żyć samotnie. Chociaż to jest dla mnie, jako feministy, *sorry* za wulgaryzm, powód z dupy wzięty! Ale z drugiej strony mężczyzn coraz mniej... Coraz mniej ich w Polsce dożywa starości. Brawura, alkohol. No i samobójstwa w ucieczce od życia. Słabo sobie radzą.

Myślałem, że skończył, ale wnet dorzucił do swej wyliczanki:

- Nie od rzeczy będzie wspomnieć też o wrzodach i zawałach serca... Tak się sprawy mają, jednym słowem plaża.

Podczas wywodu staruszka bacznie obserwowałem Zofię. Czy będzie reakcja z jej strony? Jakaś mina, grymas... Była, jak najbardziej. Podziękowała i wstała od stołu. Nic na nią nie działa, nic a nic! - piekliłem się w duchu, depcząc jej po piętach w drodze ze stołówki. Stanęła przed jednym z pokoi na pierwszym piętrze. Drzwi były zamknięte na klucz od środka. Dopiero wtedy, jak jąła bić w nie pięściami i szarpać za klamkę, usłyszałem K.

– Kto tam? – spytał gniewnie.

– Otwieraj, ale już! – zawołała w głos. – Przed kim ty się tak chowasz? I dlaczego nie byłeś na obiedzie? Na złość mi robisz czy sobie krzywdę?! – Napadła na niego po wejściu. – Ledwo co stoisz na nogach, a głodowanie ci w głowie. Wracaj na ziemię, bo zaraz ci wszystko wygarnę. A zbiera ci się, oj zbiera.

W kompletnej ciszy głos Kazimierza zabrzmiał jak świst rzemienia.

– Bym nie wygarnął ja tobie, Zofio!

Przez dziurkę od klucza widziałem wykrzywioną furią twarz K., który nad podziw żwawo jak na osobę prowadzącą głodówkę zerwał się z łóżka i chwycił stojącą w pobliżu laskę.

– Świat będziesz zbawiać, ze mną pod pręgierz, a sama...?! – krzyczał, tupiąc nogą i waląc laską w podłogę. – Przypomnieć ci bal zapoznawczy? Mogę przypomnieć, jak chcesz!

Zofia pobladła. Na uchu, policzku i szyi, jak wtedy w tańcu, poczuła lepką, ściekającą wolno ślinę starca z brodą i z długim krawatem. Tylko skąd Kazimierz miałby o tym wiedzieć? Ktoś mu doniósł? Bzdura. Niby jako komu? A może jednak był wtedy na sali, śledząc ją z ukrycia?

– To jeszcze może bym zdzierzył – grzmiał Kazimierz dalej – ale nie ścierpię tego, Zofio, że samowolnie podjęłaś pieniądze z konta i roztrwonilaś na bzdury! – W głosie K. zabrzmiała prawdziwa histeria. – Na szmaty, na cycki! Cycki... Ha, ha, ha, ha! Istny cyrk, doprawdy. Co to znów za moda: cycki jak u panny, i to na wydaniu, a twarz jak rodzynka. Jeszcze bym coś rzekł – nakręcał się, myśląc o mostku żony, ale się wstrzymał w porę, bo wyszłoby na jaw, że wtedy w pokoju chorych, gdy Ewa z Zofią skoczyły sobie do gardeł, nie spał, tylko udawał.

Zofia powoli ruszyła do drzwi.

– Wychodzę – jej głos się załamał. – Na koncie jest tyle, ile było. Na resztę pytań sam znajdź odpowiedź. Wysił się trochę, choć raz.

Wytracony z równowagi po scenie małżeńskiej Dubrawskich wróciłem pędem do swego pokoju. Emil spał pod kocem, spod którego wytknął owłosioną łydkę, wstrząsaną drgawkami pod wpływem sennego koszmaru, z którego wyrwanie oznaczało powrót do jeszcze większego horroru, bo na jawie. Powrót do porażki z dwiema kobietami, z których najpierw jedną wystawił do wiatru, a potem ta druga wystawiła jego. Dla przeciwwagi do snu Emila dołączył Abraham Lincoln, który, jak wiadomo, na swojej politycznej drodze do prezydentury przeżył niejedną porażkę i załamanie nerwowe. Mało kto byłby w stanie znieść tyle co on niepowodzeń. Jednak nie poddał się i w 1861 roku objął najważniejszy urząd w Stanach Zjednoczonych. W tym punkcie sennego marzenia Emil zapanował na dygotem nogi i ukrył ją pod kocem. Sen o Abrahamie dodał mu otuchy, przekonując o tym, że jedna spalona możliwość to nie koniec świata, a jeśli chodzi o niego – przez wzgląd na mocną pozycję w partii – na pewno nie śmierć polityczna.

Siedziałem więc przy Emilu, śledząc jego aurę złożoną z sennych wytworów umysłu tylko po to, by nie zadręczać się dłużej myślami o tym, co kryje się za milczeniem Ilony. Siedząc tak, sam zasnąłem. Ale sny miałem niespokojne, a mianowicie że kończy się turnus, a ja wciąż byłem w lesie, pracując nad zmianą charakteru pisma. Białe kartki z bloku służące mi do ćwiczeń darłem na kawałki, zloszcząc się i klnąc. Bowiem zmiany w moim teraźniejszym piśmie były zbyt pozorne, nazbyt wyrwykowe i niepogłębione. A litery krzywe i rozchwiane. Czyżbym był już w czyścicu, w którym odbywałem swój rytuał przejścia? Sądząc po trudnościach, mogło być i tak. Ale co? W dwa dni, które mi zostały do końca pobytu, miałem zmienić wszystko na pstryknięcie palcem? Toż to nierealne. Nie da się w dwa dni! Niektórym całego życia może być za mało...

Przypomniał mi się nagle makaron z twarogiem z lat dziecińczych, który spożywałem przy kuchennym stole używając widelca, by

podkreślić swoją wczesną samodzielność, i ojciec w mundurze, który stanął w drzwiach.

– Jedz, syneczku, twaróg – rzucił gromkim głosem. – Twaróg da ci siłę! A jak przyjdzie czas, wezmę cię na kolej.

Uderzyłem w płacz.

– Tato, tato, proszę – rzekłem usmarkany i nie wdając się w gadkę o wartości kalorycznej twarogu, przeszedłem szybko do rzeczy: – Mógłbyś, w imię zasług, zasług dla kolei wpłynąć na prezesa, aby dał mi gratis trochę więcej czasu? W dwa dni nie dam rady zmienić swego pisma, mimo że wciąż ćwiczę. Wstaw się za mną, możesz?

– Mój syn nie da rady?! – huknął na mnie z góry. – Bierz się do roboty, bo inaczej wiesz... – zawiesił wymownie głos i spojrzał na pas przewieszony na oparciu krzesła.

– Marek, co ty? Co ty? – Emil stał nade mną, szarpiąc mnie za ramię. – Czemu ty tu siedzisz? Idź się myć i spać!

* * *

Następnego dnia, po krótkim spacerze z milczącą Zofią u boku, wracałem z parku do Turni.

– Przyglądam się pani od wczoraj i jestem szczerze zmartwiony – powiedziałem z troską. – Dopiero co triumf radości i niekończący się chichot, który szczerze mówiąc, działał mi na nerwy, ale już mniejsza z tym, a dzisiaj dół i frustracja. W domu jest z panią tak samo? Raz taki nastrój, raz siaki? Powiem, że zdrowe to nie jest, droga pani Zofio.

– Zdaje się panu – szepnęła.

Uniosłem brwi i zrobiłem grymas.

– Naprawdę? – spytałem kąśliwie. – Wiem więcej, niż pani się zdaje. Do tego myślę, że ma to związek z tym gachem od salmonelli! Tylko co się pojawił, a pani już nie ta sama. Właściwie pojawił się i znów zniknął. Ponownie zamienił godziny posiłków? A pani wygląda za nim i się pogrąża w rozpacz. Tak pięknie już pani rozkwitła,

a teraz? Oczy przygaszone, zgarbione plecy, nieświeża cera... Tyle dobrego, że choć te ciuszki...

- Dość, panie Marku. Wystarczy.

Umilkłem urażony.

- Obiad za dziesięć minut - bąknąłem dopiero w Turni. - Idzie się pani przebrać?

- Przebrać się? A po co? - rzekła retorycznie, z rezygnacją w głosie.
- Zaczekam tu do obiadu.

Spojrzałem na nią spod oka.

- No to i ja zostanę! - zdecydowałem i wskazałem kącik do wypoczynku pod palmą w rogu holu. - Może przejdziemy tam?

Siedząc wygodnie w wytartym fotelu, obserwowałem Zofię.

- Droga pani Zofio - powiedziałem w końcu. - Naturalnie nie wiem, co pani dolega, ale ja jestem taki zawsze, jak pani teraz, kiedy nie widzę dla siebie miejsca w życiu. Wtedy najchętniej bym się położył i nigdy więcej nie wstawał.

Jakby zapomniała na chwilę o smutku, otworzyła usta, a w jej zgasłych oczach pojawił się błysk. Zaraz mi odpowie, aż mi w pięty pójdzie - ucieszyłem się. Ale nie, nic z tego. Znow się zapadła w siebie. Posmutniałem.

Siedzieliśmy dalej, wciąż milcząc. Anna, zwrócona do nas tyłem, porządkowała regał w recepcji. Pod Turnię zajechał ciągnik z warczącym silnikiem, który traktorzysta zostawił na chodzie, pewnie na złość gościom, że on tu haruje, a oni się byczą, kąpiąc się do woli i masując swoje wypasione cielska. Wokół pachniało żurkiem z torebek i piure z ziemniaków instant. Z windy wyskoczył mężczyzna, ciągnąc za sobą bagaż. Zerwałem się z miejsca.

- Pani Zosieńko, patrz pani! Emil! Co to, on wyjeżdża? Tak bez dania racji? I bez pożegnania?

Chociaż w gruncie rzeczy pomyślałem w końcu, co on ma wspólnego z całą tą kuracją. Gdyby nie zapędy pana Kozibąka i sen

o Brukseli, kto by go zobaczył na turnusie w Turni? A tym bardziej teraz, kiedy został z niczym. Może miał już w głowie nowy plan działania, mimo że niewiele czasu mu zostało, aby znów się wkręcić w tę swoją kampanię. Tylko pozazdrościć woli i uporu. No i podatności na sny i sugestie: patrz Abraham Lincoln.

Odprowadziwszy Emila wzrokiem, podałem Zofii rękę.

– Na nas też już czas.

* * *

W dniu wyjazdu zza chmur nad Łądkiem wyglądnęło słońce, a napływ gorących mas powietrza znad równika spowodował nagły skok temperatury. Dla opuszczających Turnię kuracjuszy był to niemały kłopot. Bowiem do przedmiotów (nie licząc pamiątek w typie owczych skór i kubków do picia wody mineralnej), w które kuracjusze obkupili się w trakcie licznych imprez: garnków i pościeli, dołączyły kurtki. Jak to upchać w torbach? Jak to potem nieść? Większość zjawiała się już w holu, stercząc z bagażami na drodze do wyjścia lub obserwując z foteli finalne kwadransy turnusu, tak jak ja. Dzwoniły komórki, panował rejwach, pokrzykiwaniom nie było końca. Z parkingu przed Turnią, w oparach spalin, przy wtórze klaksonów odjeżdżały kolejno auta. Przed wejściem stała dość liczna grupa, czekających na busa do Kłodzka, przez rynek w centrum miasta.

Z windy wysiadła Urszula w czerni. Za nią, zachodząc ją z prawej, a zaraz z lewej strony, podążał facet w jaskrawym golfie. Ale zawzięty – pomyślałem. Do samego końca. Czekałem w napięciu, nie spuszczać oczu z drzwi windy, które w niedługim czasie stanęły znów otworem. Kazimierz Dubrawski wymachujący porywczo laską pojawił się w nich pierwszy. W ślad za nim, ciągnąc za sobą torby, wysiadła Zofia. Nie była już pustynnym krzewem gorejącym z góry Synaj. Była jak Królowa Jednej Nocy (kwiat, którego niezwykle piękno można podziwiać jedynie od zmroku do świtu), zwiędła o poranku. Patrzyłem na to ze smutkiem. Mimo najlepszych chęci, włożonej

pracy i poniesionych kosztów starania doktora Ladaco niestety spełzły na niczym. Cała para w gwizdek. I tak bywa. Ehhh... Ale może kiedyś, kiedy sama uzna... Wtedy ruszy z posad ten swój byle jaki, tłamszący ją świat, choćby nawet rok został jej do śmierci. Ale tylko wtedy będzie to możliwe, kiedy sama uzna...

Dźwignąłem się z fotela i poszedłem schodami do góry. Na trzecim piętrze zaczęło się generalne sprzątanie po gościach. Pod okiem salowych, wyrzekających jak zwykle na każdy kończący się turnus, kręciły się praktykantki z worami pełnymi puszek po piwie i rozmaitych flaszek po mocniejszych trunkach. Przeciągi trzaskały drzwiami, przynosząc im ulgę w złości. Wyjrzałem z wnęki sąsiadującej z pokojem kobiet, w którym kręciła się jeszcze Elżbieta, zbierając po kątach ostatnie rzeczy i pakując je do toreb.

- Kruszyńko, zbieraj się szybciej, taksówka jedzie - ponaglił ją stojący w drzwiach Roman z bagażem.

Poddała mu swoje ramię.

- Uszczypnij mnie Roman! - krzyknęła i jęła kręcić się w kółko, klaszcząc i wołając: - Od dziś na zawsze, na zawsze razem! Na wieki wieków!

Znów wpadła w ten swój nieznośny, przesadny stan egzaltacji. Skłonności do tego nabrała pod wpływem komedii romantycznych, które oglądała na okrągło. *Ja cię kocham, a ty śpisz* obejrzała z pięćdziesiąt razy, jak nie więcej.

- Elżbietko - rzekł Roman, z trudem hamując śmiech. - Może nie całkiem na wieki wieków, bo wieczność to nieskończoność, a my, jak wiesz, śmiertelni. Ale przez część wieczności to tak. To na pewno. Jak tam, gotowa? Idziemy?

- Idziemy! Gdzie ty, Gajuszu, tam i ja, Gaja!

Tym wiernopoddańczym, wyświechtanym tekstem Elżbieta przypominała Ilonę, jeszcze sprzed dwóch dni. Tak z pozoru różne, a jednak tożsame, połączone mózgiem dwa kobiece ciała. Byłem pewny, że bez względu na to, co się stanie potem, nawet gdy zaciągnie

Romana do ślubu, i tak ostatecznie, prędzej czy później, podzieli los Ilony, zważywszy na to, że jej całe życie w ogólnym zarysie było wierną kalką wegetacji tamtej.

To mi przypomniało, że najwyższy czas zajrzeć w zakamarki umysłu Ilony, aby tam poszukać odpowiedzi na to, co ją tak zmieniło w ostatnim okresie. Tylko odprowadzę turnus, zajmę się tym bez zwłoki – pomyślałem.

W kieszeni spodni Romana rozległ się zawodzący sygnał, który towarzyszył nam w drodze, aż do wyjścia z Turni. Ale głowy nie dam, że była to Ilona...

W opustoszałym holu zauważyłem kuriera, który wymachując szarawą kopertą, z głową owiniętą bandażem biegał raz tu, raz tam, od drzwi do palmy w rogu.

– Mam tu przesyłkę dla pani Bożenki z Sopotu! – krzyczał rozdzierająco. – To pilne! To bardzo pilne!

Nagle stanął, a w jego nieszczęsnej głowie zjawiała się myśl: a co, jeśli jej nie ma? Jeśli wyjechała? Zapadł się w fotel i zaczął kiwać się w przód i w tył, objąwszy głowę rękoma. Po czym jął zawodzić:

– Ale to naprawdę nie jest moja wina. Miałem stłuczkę z dzikiem. Jak mogłem zdążyć na czas? Najpierw aktywiści od Animals coś tam chcieli mnie zlinczować, potem służby leśne wzięły mnie na spytki, a już na sam koniec policyjny patrol kazał mi pozostać na miejscu zdarzenia do czasu sporządzenia raportu. A trwało to całe wieki. Nie mogłem więc zdążyć na czas! Nikt by nie zdążył na czas. Po czymś takim nikt!

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi – pokiwałem głową nad perfidią losu, którego ofiarą padli pan posłaniec i bizneswoman z Sopotu. Losu, który wielu z problemami w życiu oferuje sznur jako rozwiązanie.

– Pani Anno droga – powiedziałem wnet, przystając w recepcji. – Chcę przedłużyć pobyt. Muszę tutaj zostać jeszcze jedną noc. Da się tak *ad hoc*?

- Da się, czemu nie - powiedziała Anna. Trzeba będzie tylko uiścić dopłatę. Zaraz, niech policzę... Popatrzyła w sufit. - Licząc na godziny, będzie to nie więcej... Kurczę, nie pamiętam - zezłościła się.

Odetchnąłem z ulgą, ciesząc się ze zwłoki, bo w portfelu miałem ostatnie pięć złotych.

- Mnie tam się nie spieszy - rzuciłem pogodnie. - I tak muszę jeszcze pojechać do miasta. Wrócę za niedługo, to się rozliczymy.

- No i niech tak będzie - zgodziła się Anna. - Ja zaś w międzyczasie poszukam cennika, wie pan, dla pewności. Łóżko, jak rozumiem, to samo? Czy nie?

Zostawiwszy Annę z jej pytaniem samą, pobiegłem na parking przed Turnią, gdzie w sam raz przybyły dwie zdezelowane tutejsze taksówki. Do jednej wsiadła Urszula, odepchnąwszy wcześniej swego fana w golfie, który usiłował wedrzeć się tam za nią, aż nieszczęśnik upadł, kalecząc się przy tym boleśnie. Że jej nawet przy tym powieka nie drgnęła! - pomyślałem sobie z tym uczuciem lęku, który mnie zawsze dopadał na wspomnienie żony. W miejsce odjeżdżającej taryfy nadjechał trzęsący się bus. Kierowca zaciągnął hamulec.

- Ktoś ze mną do Kłodzka? To ruchy, ludziska! Ruchy!

Kupiłem bilet do rynku i siadłem za szoferką. Wkrótce przed opuszczoną szybą kierowcy stanęło małżeństwo Dubrawskich.

- Mógłby pan wysiąść i pomóc wsiąść memu mężowi? - spytała kierowcę Zofia i obróciła się do męża. - Zaczekaj tu chwilę na pana, ja włożę bagaż do schowka.

- Nie potrzebuję, sam wejść! - zaskrzeczał Kazimierz i obszedłszy maskę, wgramolił się do środka przez otwarte drzwi z drugiej strony.

Kiedy Dubrawscy zajęli swoje miejsca i dołączyło do nich kilkoro innych osób, kierowca zatrzasnął drzwi. Ruszyliśmy z rykiem silnika. Na prostej zrównała się z nami taksówka. Elżbieta w otwartym oknie machała do nas obiema rękami, jak do niemych świadków jej zmagania z Romanem i triumfu nad konkurencją. Robiąc cudaczne miny, słała nam całusy, a przy próbie zerwania się z miejsca stuknęła głową

w dach auta, zrywając kontakt z rzeczywistością. Zaczęło jej się wydawać, że razem z Romanem białym mercedesem jadą do największej świątyni w Rzeszowie, by tam sam ksiądz biskup powagą kościoła potwierdził ich związek małżeński i włożył obrączki na palce. Na masce auta siedziała lalka w białej sukience z tiulu, a Elżbieta słała całusy przechodniom, wymachując zerwanym z głowy welonem, trzepoczącym na wietrze. Gdy w końcu kierowca taksówki przyspieszył, wymijając busa, Roman z podręcznej torby wyciągnął butlę z „tonikiem Kinley” i upił z niej kilka łyków. Następnie z dłonią pod tyłkiem podrygującej na nierównościach w asfalcie Elżbiety zaśmiał się do swych myśli.

Odprawiwszy skrajną z moich czterech mojr (bytów przeznaczenia, programowo spójnych od litery B poprzez E i U aż do znaku Z – określających ich imiona), dzięki którym mogłem wykazać Ilonie, że istnieją formy, formy nieskończone, które mimo przeszkód, mimo ograniczeń dokonują czasem aktów heroicznych w drodze do spełnienia swych najskrytszych snów; że gdy czegoś chcą, nawet szukać zemsty na swych krzywdzicielach, robią to, a nie śpią, licząc na erynie – odetchnąłem z ulgą. Niechby i to była nawet gwiazdka z nieba, której, jak wiadomo, nie da się dosięgnąć, warto ją wypatrzeć, jak to robią dzieci w wigilijny wieczór, i wymówić na głos (wtedy ma to sens) jedno swe życzenie.

Wróciłem do Turni po godzinie. Załatwiwszy z Anną resztę formalności, ruszyłem na obchód budynku. Zewsząd docierały do mnie echa rozmów, jęków i niepowtarzalnych zaklęć na różne przypadki: najczęściej na miłość, pieniądze i sprawność psychofizyczną – dopóki Bóg na to pozwoli. Budynek bez kuracjuszy straszyl swym wyglądem. Bez nich nie miał duszy, a jego lata świetności zdawały się odległe o całe wieki, a nie o jakieś marne cztery dziesięciolecia wstecz, z okresu tak zwanej komuny.

Snując się po Turni i jej najbliższym otoczeniu, jak ktoś, kto próbuje rozgryźć tajemnicę, odsłonić kulisy bywania u wód ludzi

z wyższych sfer w ciągu dziejów, nie traciłem z oczu najnowszej historii, wyczekując nocy, której stawką będzie moje być albo nie być.

Wieczór spędziłem u siebie. Nie zapalając światła, przemierzałem pokój od ściany do ściany, powtarzając rolę, którą już tej nocy przyjdzie mi odegrać. Na dworze mrok gęstniał. W zaroślach kot dopadł ptaka, który wydał z siebie terkoczący dźwięk brzmiący jak ostatni, a mgliste szkielety drzew osaczały dom zewsząd. Był środek nocy, kiedy wziąłem laptop.

„Szanowna Pani Ilono!

Dzisiaj cały dzień, cały dzień do teraz zszedł mi na bilansie mej bytności w Turni, także pod kątem naszego kontraktu. Choć ostatnio jakby, moim skromnym zdaniem, temat ten dla Pani stał się drugorzędny. Jeszcze dwa dni temu: «Gdzie są nowe wieści? Za co Panu płacę?!», a dziś o pogodzie? Gdzie w tym jakiś sens? Tak czy siak w dwóch słowach, i przyznam, że ulgą, złożę teraz raport. Raport, który kończy całą tę historię, bowiem powiem pani – i to bez ogródek – jestem nią zmęczony jak koń po gonitwie. Na dodatek finał jest bez happy endu. Chociaż... Kto to wie? Zależy, jak patrzeć. Ale jak na razie Roman wciąż jest głodny, wciąż jest głodny seksu. Nic a nic nie mogło przebić kart Elżbiety. Pani przeciwniczka to taktyczny żmij. Ograła Romana jak jakiegoś chłystka. Wyjechali razem, taksówką spod Turni. Dokąd? Tego nie wiem. Na tym kończę, M. Jutro się odezwę!

PS Honorarium zacne! Kłaniam się, Konieczko”

Nie odpisała od ręki, jak miała w zwyczaju. Nie odpisała w ogóle. Nie no! Spała? Szok! Wobec takich wieści? Niemniej jej reakcja tylko potwierdziła moją hipotezę, że ten temat nagle przestał dla niej istnieć. Dziwne, z dnia na dzień? Widać i tak można, nawet w „pewnym” wieku. Ale też możliwe, że myślała o tym od dłuższego czasu, zbierając siły na finał. Odłożyłem laptop, założyłem kurtkę i cichcem wymknąłem się z Turni.

Rozdział XIX

NIEDOKOŃCZONY RYTUAŁ PRZEJŚCIA

Wyszedłem w noc. Wyszedłem na apel przodków, by wrócić jak syn marnotrawny do ojca i wyznać mu w skrusze, jak bardzo zgrzeszyłem przeciw jego woli myślą i uczynkiem. Wyszedłem, nie protestując, gdy ktoś czający się z tyłu za mną zarzucił mi worek na głowę, zdarł ze mnie kurtkę i resztę wierzchniej odzieży, a potem przebrał w cuchnący od potu mundur mogący być równie dobrze pamiątką powstańców, jak i kostiumem teatralnym, nieoddawanym lata do pralni z powodu ciągłego niedofinansowania świątyni Melpomeny. Na ramionach zaciążył mi nagle płaszcz, a czapka opadła na oczy. Czyjeś mocne ręce zakreśliły mną w kółko (jak w tej dziecięcej zabawie, ciuciubabce) aż do zawrotu głowy i pchnęły w kierunku odgłosów dobiegających od strony nieczynnej stacji kolejowej. Potem czyjeś kroki się oddaliły. Kiedy zdjąłem worek z mej pijanej głowy, byłem już w Bytomiu, na peronie dworca, jakbym oczekiwał przyjazdu pociągu. W konduktorskiej torbie na swoim ramieniu miałem starodawny kasownik biletów i latarkę kolejową (model francuski), którą wyciągnąłem, dając nią sygnały „gotów do odjazdu”. Wyteżyłem wzrok. I choć chmury całkiem przysłoniły księżyc, widziałem wszystko dobrze, bo przyświecałem sobie latarką.

Nagle poczułem potężny podmuch ciepłego, fenowego wiatru, który niemal mnie przewrócił. I wtedy ujrzałem coś ogromnego poruszającego się po torach w moim kierunku. Poczułem taki strach,

że chciałem wrócić tam, skąd przyszedłem. Moja latarka zgasła. Jednak nim zrobiłem pierwszy krok, ogarnęła mnie ciemna, gęstniejąca mgła. Z niej wynurzyły się światła nadjeżdżającego pociągu. Na jednej z platform zauważyłem ludzi. Nie byli to jednak żywi ludzie. Były to szkielety w przypadkowych strojach, z przypadkową bronią prosto z zagranicy – trącąca bylejąkością i oszustwem wojennych spekulantów – zaciśniętą w kostkach trupio białych palców. Ktoś zaintonował smętną pieśń powstańcza: „Tylko grudy zaburczały, chorągiewki zafurczały, śpij kolego, a w tym grobie niech się Polska przyśni tobie”.

Pociąg wolno przesuwiał się przed moim oczami, aż w końcu stanął. Latarka rozbłysła na nowo. Stojąc na stopniu ostatniego wagonu, dałem nią znak do odjazdu. Gwizd – i pociąg ruszył. Wbrew moim obawom wagon był pełen żywych ludzi. Tylko oświetlenie było jakieś takie... Nazbyt skąpe, straszne... Ale wszakże noc jest – pomyślałem raźniej, dodając sobie otuchy. Ludzie przecież sami wyłączają światło. Spać chcą, spać, a nie przyglądać się sobie nawzajem w górnym, rażącym oświetleniu wagonu. Chyba że konduktor, sprawdzając bilety, zaświeci im w oczy latarką. Aaa... To co innego. Zimny dreszcz przeleciał mi po plecach, przypominając, po co tutaj jestem. Do tego miałem wrażenie, że trzech konduktorów skrada się za mną krok w krok, zaglądając mi przez ramię jak komisja egzaminacyjna. Nie było wyjścia. Wyjąłem z torby kasownik i wziąłem się za robotę.

– Bilety do kontroli! Proszę przygotować bilety do kontroli!

Kasując bilety, omijałem pary, grupy wycieczkowe i tych z miesięcznymi, wyszukując singli. Paru ich widziałem – jak na moje oko bez perspektyw, pracy, no i bez bagażu. Spośród nich musiałem dokonać wyboru. Zaraz, jak to było z prapradziadem K.? Który w pewną noc, mroźną noc styczniową, zakleszczony w cielsku stalowego smoka miał usłyszeć słowa: „Po powrocie z frontu będziesz jednym w składzie trójki konduktorskiej na krótkim odcinku

z Bytomia do Gliwic, na terenie Śląska. Będziesz się przemieszczał w tę i w tamtą stronę, trzy dni i trzy noce, sprawdzając podróżnym ważność ich biletów. Ale to nie wszystko, teraz najważniejsze. Na dowód wdzięczności za uratowanie przyjmiesz dodatkowo funkcję werbownika. Werbownika dusz, którym będzie potem twój najstarszy syn, dalej jego syn i tak po kolei, nim ostatni z rodu zemrze bezpotomnie. Twoim więc zadaniem będzie złożyć w ręce wyłonionej z wielu przez ciebie osoby – o kryteriach za chwilę – wszystkie te przedmioty. I odebrać później z przechowalni w Zabrze”.

Mam się tłuc tym złomem trzy dni i trzy noce, i to bez ustanku? Ale co innego w końcu miałem do roboty? Bez rodziny, pracy i bez zobowiązań mogłem sobie jeździć. Wożąc się po torze mego przeznaczenia kilka razy dziennie a to do Bytomia, a to znów do Gliwic, w końcu straciłem rachubę czasu. Za oknami przesuwały się charakterystyczne dla Śląska obrazy, ale – co dziwne – nikt nie wsiadał do pociągu ani z niego nie wysiadał. Skoro tak, to pewnie ten, którego szukam, był tu gdzieś ukryty pośród pasażerów. Przeczyłem go? Ale tyle razy? A gdy już na koniec pomyślałem tylko, że to wszystko lipa i że ktoś się pewnie bawi moim kosztem, zobaczyłem go. Siedział tyłem do mnie. Miał na sobie wszystkie zdjęte ze mnie rzeczy.

– Bilety do kontroli! – krzyknąłem zza jego pleców i dając krok naprzód, zaświeciłem mu w twarz latarką.

To, co zobaczyłem, zabrało mi oddech. Patrzyłem na oblicze, które było moim. Mój nos – długi ponad miarę – moje wydętne czoło (o którym Guru mówił, że myślące), mój podbródek i uszy jakby też moje. Cały ja! To skrzywienie wargi maskujące lęk. I brwi zmarszczone, nie wiedzieć – w gniewie czy w zdziwieniu. Nagle wydało mi się, że jednak nie, to nie mogłem być ja. Ale już za chwilę byłem znów na tak. To był on! Jak ja – bez perspektyw, pracy, no i bez bagażu. Był w zasięgu rąk. Wstrząśnięty symetrią naszej anatomii rzuciłem na ławkę kasownik i torbę i wyjąwszy rękę z tunelu rękawa płaszcza, szykowałem się, by go z siebie zdjąć, kiedy niespodzianie,

jak zwykle nie w porę, zaswędziła mnie pięta. Kiedy się schyliłem, żeby ją podrapać, wówczas mój sobowtór chwycił rzeczy z ławki, pchnął mnie bez pardonu i skoczył do drzwi, gdzie pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Wyskoczył w pełnym biegu prosto w śnieżną zaspę i rzucił się do ucieczki przez pole, kierując się w stronę lasu ciemniejącego na horyzoncie. Skoczyłem za nim, bez namysłu.

Biegł zakosami, omijając ciała zabitych powstańców. Powiewając połami płaszcza, biegłem jego śladem. Wszędzie była krew. Ciemna krew poległych w zrywie narodowym. Gdy wziął ostry zakręt przed padliną łosia i się pośliznął, wtedy go dopadłem. Nie patrząc pod nogi i kręcąc się w kółko w śmiertelnym uścisku, deptaliśmy trupy, które póki mróz, zachowują formę, nim od strony Tatr nie powieje halny, przynosząc ciepło i odwilż. W obłąkańczym tańcu raz on – z kasownikiem i skórzaną torbą – przenikając mnie, tworzył ze mną całość; raz ja – w swoim płaszczu i z latarką podjąwszy się wyzwania – stawałem się nim, jako żywo. Czas płynął, a my wciąż oddzielni, wodząc się za łby, deptaliśmy ciała leżących w śniegu cichych bohaterów narodowych. Zdobywszy raptem przewagę, chwyciłem go za kołnierz.

– Stać mi tu! – huknąłem. – I słuchać tego, co powiem! Weźmiesz, co ci dam, wrócisz do pociągu i wysiądziesz w Zabrze. Zostawisz to wszystko w przechowalni rzeczy i na tym się kończy twój ostatni zryw.

Ale on nie słuchał. Wijąc się jak piskorz, kopał mnie po kostkach, więc z pomocą chwytu stosowanego w służbach w walce z terroryzmem, bez użycia broni, poskromiłem go i już, już ściągałem płaszcz ze swojego grzbietu, aby mu go wcisnąć choćby i na siłę wraz z latarką, kiedy spryciarz jeden rzucił w śnieg kasownik, za nim torbę i... Zanim się spostrzegłem, on już był daleko. Nie udało się... Byłem bliski płaczu, lecz ambiwalentnie poczułem też ulgę. Czy jeszcze nie byłem gotowy?

Od strony pociągu usłyszałem chichot.

- Nie udało mu się! - rzekł, chichocząc, K. - A co, nie mówiłem? Z policjanta nigdy nie będzie konduktor!

- Ale ma potencjał! - Głos prezesa uciął defetyzm tamtego. - Już i tak przeorał sporo w świadomości. Świadczy o tym notka, ta wiesz, o SOK-istach, którą miałeś przejąć, a musiałem ja. Bo ty w borowinie. Wezmę go na kolej, niech się gliniarz uczy. A pani jak myśli, siostra przełożona? - zwrócił się do Ewy.

- Myślę tak jak pan - poparła go z miejsca. - Zawsze to, jak mówią, zastryk świeżej krwi. „Ruch śwędzającej pięty”, meldują z centrali, zaczyna się sypać, i to po całości. Trzeba brać, co jest, a nie kręcić nosem. Zwłaszcza że pan K. ma już swoje lata - dodała po chwili, nie bez złośliwości, co z miejsca nastawiło mnie do niej przychylniej. Też go nie lubiła - ucieszyłem się.

Ostry gwizd pociągu wyrwał mnie ze snu.

W drzwiach pokoju stała siostra przełożona.

- Wstajemy. Wstajemy! - zawołała rażno. - Przyszłam zmienić pościel, bo salowe wszystkie dzisiaj na urlopie, taki mały oddech między turnusami. A tu już kolejni chętni na kurację stoją u drzwi Turni. Już im szykuj łóżka, już układaj menu i grafik zabiegów. I tak to się kręci, panie kapitanie. Póki sił i zdrowia! Póki ducha w narodzie!

Rozdział XX

ŻNIWO FENOWEGO WIATRU

Dzień zapowiadał się piękny. Śnieg, który spadł przed tygodniem, trzymał się dobrze za sprawą wyżu, który z Syberii przesunął się nad Polskę. Do świąt Bożego Narodzenia zostało raptem pięć dni. Może by zająć do Rozalii? – pomyślałam. Może jej czegoś potrzeba? Na dworze ślisko, a ona z tym chodzikiem... Wstrzymał mnie dźwięk esemesa.

„Teraz mamy okres sprawiedliwości i wyrównywania rachunków; nad twoim dłużnikiem wiszą już czarne chmury. Ciebie osłania przychylność energii i pomyślność losu. Reasumując – ludzie czystego serca otrzymują deszcz obfitości, natomiast dłużnicy spłacają swoją karmę, która wraca do nich tak zwanym rykoszetem energetycznym. Niespłacone długi mają to do siebie, że wracają. Zatem bądźmy wolni i szczęśliwi!”

– Sratatatata – mruknęłam pod nosem, włożyłam komórkę w kieszeń i wyszłam z mieszkania, myśląc wciąż o Rozalii, z którą moim zdaniem ostatnio nie działo się dobrze. Na dobre zamknęła się w swoim świecie, odrzucając każdą oferowaną jej pomoc. Przy tym, co dziwne, a co wprost rzucało się w oczy, nie wydawała się słaba, choć tej energii nie było widać na zewnątrz. Jakby gdzieś w niej w środku, bez wspólnej płaszczyzny ze światem dostępnym zmysłom innych ludzi, buzował ogień skrajnych namiętności, których nie mogłam ani nie umiałam nazwać. Ze mną zresztą też nie działo się lepiej. Tkwiłam w zawieszaniu, w konflikcie zmiennych, krańcowo różnych emocji blokujących się nawzajem. Ścierających się sił, będących zarazem siłą sprawczą podtrzymującą ten stan ducha.

W środku tego był Roman, choć bardziej już jako symbol o określonym kształcie niż człowiek z krwi i kości. Nie miałam złudzeń. Dopóki raz tego nie przetnę, tego węzła wzajemnej zależności i wewnętrznego sporu, dopóty będzie tak zawsze, z każdą problematyczną sytuacją w moim życiu.

Siedziałyśmy więc z Rozalią przy herbacie z miodem i cytryną. Każda z nas myślała pewnie o czymś innym. W tej części miasta było o tej porze spokojnie i cicho. Przez okna w mieszkaniu, ponad zardrostkami z jasnego kretonu, widać było odległe dachy domów, rozłożyste korony drzew i nawracającą właśnie ławicę gołębi mieniającą się srebrem i ciemną szarością jak błyskająca w powietrzu metaliczna obręcz. Byłby wśród nich Czarny? Posmutniałam z miejsca w obliczu decyzji, z którą dziś czy jutro przyjdzie mi się zmierzyć. Utrzymując się mróz sprawiał, że desperacji ptaków w walce o jedzenie nie dało się już poskromić byle packą na muchy, jak to było latem i jeszcze jesienią. Wpadały tłumnie na parapet za oknem, gdzie tłukąc skrzydłami o szyby, urządzały bójki o każde jedno ziarnko ryżu, pszenicy czy słonecznika, które tam zostało. Tłukły się do krwi. Czarny w pojedynkę nie miał żadnych szans... Nie da się inaczej – pomyślałam znów. Czas je przestać karmić. Ale to jak wyrok na mego gołębia. Choć jeszcze jesienią kładłam mu przysmaki na parapet wewnątrz, zostawiając otwarte okno. Oswoił się na tyle, że z całej gromady ptaków tylko on jeden wchodził do środka i jadł, ile chciał. Ale w taki mróz otwieranie okien to już jest naprawdę taniec na wulkanie, przy mojej skłonności do stanów zapalnych oskrzeli. Pomyślę o tym po świętach – zdecydowałam w końcu. Może z dnia na dzień przyjdzie ocieplenie? No bo jakże to? Karmić ptaki latem, a skończyć z tym w grudniu przy takiej zimnicy? Toż to barbarzyństwo!

Rozalia wstała od stołu i ciągnąc za sobą nogi, poszła do sypialni. Wróciła z plecakiem przerobionym tak zmyślnie, by pełnił funkcję

klatki, w którym siedziała stara bura kotka, i uchyliwszy drzwiczki, powiedziała swoim cichym, chropowatym głosem:

– To moja Misia. Idę z nią do lecznicy. Wymaga codziennej kroplówki. – W jej zamierającym w chrypcę głosie zamigotało światło. Jakby pod wpływem spięcia w sznurze elektrycznym włączała się i wyłączała żarówka na choince.

– Może ja z nią pójde? – zaproponowałam. – Na dworze ślizgawka, jak na lodowisku. Ale miejskie służby jak to one. Śpią. Nic nieposypane. Pośliznie się pani, złamie rękę, nogę. Trzeba nam kłopotu?

– Dobrze, ale jutro... Dzisiaj i bez tego muszę wyjść do miasta – powiedziała to tak, że mróz przeleciał mi po plecach.

Pchając przed sobą w milczeniu wózek, Rozalia przypominała Guru, mistrza duchowego kapitana Konieczki, bowiem po wyjściu z mieszkania obejrzała się na mnie bez jednego słowa, dając mi sygnał, oszczędny znak oczami, abym za nią poszła. Po mieście niesło się to swoiste podniecenie, koncentracja myśli i uwagi na zakupach, prezentach, ten świąteczny entuzjazm pod błękitnym niebem chrześcijańskiej wspólnoty, która na krótko, przez kilka świątecznych dni w roku, dawała poczucie jedności. Że razem prezydent miasta i woźny z pobliskiej szkoły, i ważny urzędnik ze starostwa, i fryzjer z zakładu za rogiem, i wielu, wielu innych, całkiem sobie obcych, ale przecież swoich, zjednoczonych w Bogu ludzi jednej wiary. I jeszcze ten nędzarz, którego imię i nazwisko nie było im do niczego potrzebne, któremu postawią symboliczny talerz w wieczór wigilijny, aby tym wykrętnym, tanim rytuałem przyćmić głos sumienia; któremu mieli dać parę złotych za przysługę, a nie dali, więc w sumie zrobił, co zrobił, nie doczekawszy się zapłaty, a wszystko to razem, pod kopułą nieba, pod tym błękitem z kryształu bez skazy, przez który srebrne kółko gołębi, niczym aureola, przetaczało się bez ustanku, migocząc i lśniąc nad głowami przelewających się tłumów ludzi.

Lecznica, do której z trudem, bo z trudem, ale udało nam się dojść, była tu bodaj od zawsze. Rozalia weszła przede mną, zdjęła plecak z ramion i wyjąwszy kotkę, posadziła ją sobie na kolanach. Pokryte bielmem oczy dwudziestoletniej Misi – kierując się ku światłu wypływającemu z okna poczekalni jak jezior białej lawy z martenowskiego pieca – sprawiały wrażenie, że widzą i wiedzą więcej, niż wynikałoby to z historii jej choroby. Wtulona w ramiona Rozalii zaczęła lizać jej brzydkie, zdeformowane gośćcem palce. Ściana naprzeciw wejścia wyściełana fototapetą z rudziejącą darnią bezkresnej afrykańskiej równiny, często opisywanej w powieściach przygodowych i reportażach, zdawała się marszczyć pod wpływem żonglerki światłem, które na krótką chwilę zalało ją swoim blaskiem. Rozalia poddała dłonie pieściztom Misi, a później ledwo głaszcząc jej nieforemnie wygięty grzbiet, przy wtórze donośnego mruczenia przymknęła oczy. Uderzała bliskość tej sceny. I czułość. Nie nijaka, mdląca jak wata cukrowa owinięta na patyku, ale pewna swego, cierpliwa jak wędkarz na rybach, choćby jednej ryby od dawna nie było w sadzawce, w której moczył kij. Czułość jako dar, zdobycza ewolucji chroniąca przed obłędem w gąszczu okrucieństwa współczesnego świata. Opatrująca samotność jak plastrem z eliksirem szczęścia. Wręcz błogostan.

Po tym jak Rozalia zniknęła w gabinecie zabiegowym, czekałam tyle, ile trzeba, aby Misia mogła przyjąć swą zwykłą dawkę kroplówki, nim pojawiły się znów. Staruszka zapakowała zwierzątko do klatki, którą zarzuciła sobie na plecy, a potem w otwartych na całą szerokość drzwiach wyjściowych, niczym na prześwietlonej błonie fotograficznej, razem z jej wózkiem i plecakiem przejęła ją jasność i wessała do środka.

Niewielki budynek z kratami w oknach, przed którym stanęliśmy jakiś czas później, swoje lata świetności dawno miał za sobą, sądząc po liszajach na obskurnym tynku i równie sypiącym się dachu, rynnach i kominie. W małej świetlicy-poczekalni zakurzone drzewko

świętecznej potrzeby było przystrojone całkiem bez koncepcji i przytłoczone taką ilością ozdób, że ani tam palca wetknąć. Jakby wiele rąk złożyło się na to, wieszając na nim jak popadnie wszystko to, co każdy przyniósł tu ze sobą w zaciśniętej dłoni, w zniszczonym pudełku czy w ongiś błyszczącej, wytartej tutce z papieru, jak swój największy skarb z niewielkiej walizki schowanej w głębi szafy z numerem inwentarzowym środka trwałego Domu Pomocy Społecznej. Na samej górze zawisł świetlisty anioł zrobiony z folii ozdobnej w srebrne płatki śniegu, dopełniający miary tego swoistego dzieła sztuki, wieży Babel. Wyobraziłam sobie pensjonariuszy, jak strojąc drzewko, myślą o swoich rodzinnych domach, w których dawno temu, patrząc w ciemne okna, wyczekiwali na niebie pierwszej gwiazdki, z życzeniem na swoich drżących z nadmiaru odwagi, drobnych dziecięcych usteczkach.

Gdy ja zajęta byłam myślami, Rozalia nie odrywała wzroku od ciężkich dębowych drzwi, w których po dobrej chwili oczekiwania pojawił się wózek z siedzącym w nim starcem okrytym szarym, przetartym w kilku miejscach kocem do pasa, pchany przez opiekunkę, która powiedziała, zanim wyszła:

- Tylko proszę krótko. Dziś pacjent jest wyjątkowo niespokojny.

Złowieszczy uśmiech rozciągnął usta Rozalii.

- Będzie bardzo krótko - rzekła w odpowiedzi, wbijając się wzrokiem w starca. - Zresztą jak co rok.

Z uśmiechem, który nie schodził jej z ust, z plecaka wyjęła kotkę, zepchnęła z drogi swój chodzik i kocim, skradającym się krokiem, którego nigdy u niej nie widziałam, z oczami, z których bił obłęd, z kotką przyciśniętą do piersi jęła okrążyć wózek, coraz bardziej i bardziej zacieśniając pętlę, aż w końcu stanęła, zajmując pozycję twarzą w twarz z kaleką. I stała tak, dysząc i świdrując go oczami. A potem niespiesznie, jakby chcąc przedłużyć tę szaloną chwilę, posadziła kotkę na jego kolanach i zaczęła mówić z trudną do opisania słodyczą.

– Ile to już lat tak tu sobie siedzisz? Trochę będzie, prawda? No a teraz spróbuj – jej głos nagle stwardniał, a dłoń sięgnęła grzbietu Misi – spróbuj ją stąd spędzić! Co to? Rączek nie ma czy się nie ruszają? Nie ruszają się? To spróbuj się podnieść, wtedy sama spadnie. Nie da się? Oj, szkoda... Ha, ha, ha, ha, ha! – Rozalia uderzyła w śmiech i klaszcząc, podskakiwała w miejscu. Raptem się zatrzymała i nachylona do ucha starca, zasyczała nienawistnie:

– Najgorzej z tymi rączkami... Ni to się podrapać, ni się podetrzeć, co dopiero umrzeć na własnych warunkach... Zatem tylko żyć, ile Bóg pozwoli, oby jak najdłużej, i korzystać z uciech! Ha, ha, ha, hi, hi – znów zaniosła się śmiechem.

Słuchając Rozalii, złowiłam przerażony w najwyższym stopniu wzrok starca w kredowobiałej, ściągniętej zgrozą twarzy. I zaraz ukryłam swoją twarz w dłoniach, a uczyniwszy to, nie mogłam ani na chwilę ich oderwać, jakby przywarły mi do niej na stałe. Moja świadomość nie wytrzymała okropnego ciśnienia na samą myśl, co przede mną, aż zaczęłam się dusić od krzyku, od którego powstrzymywałam się z całych sił, gdyż musiałabym natychmiast po tym oszaleć. Owładnął mną strach przed samą sobą, przed gwałtowną myślą, która w tej jednej chwili załęgła mi się w głowie, powodując dreszcze na przemian z uczuciem zimna i gorąca.

Jakiś dźwięk od wejścia wyrwał mnie z tego stanu. Przez niedomknięte drzwi wślizgnęła się do świetlicy zgarbiona staruszka w peruce z masą ufryzowanych równolegle loków jak z czasów francuskich Ludwików. W dłoniach, jak relikwie, trzymała skrzącą się białym szronem szklaną bombkę i ostrożnie stawiając kroki, podeszła do choinki, usiłując znaleźć – trochę na wycucie – odrobinę miejsca, aby tam umieścić swoją dekorację. Drepcząc wokół drzewka, w starczej bezradności opuściła ręce, kiedy jej wzrok nagle padł na burą kotkę, wózek i Rozalię. Z pojaśniała raptem od uśmiechu twarzą skierowała kroki w naszą stronę. Potem przykucnąwszy przed wciąż

siedzącą na kolanach starca Misią, położyła bombkę pomiędzy jej łapkami, mówiąc drżącym głosem, łamiącym się ze wzruszenia:

- Chcesz, kotku, piłeczkę? Chcesz piłeczkę? Weź...

Misia, która dotąd myła się zawzięcie, wyciągnęła łapkę i dotknęła bombki. Najpierw delikatnie, ale zaraz potem potoczyła nią, bardziej na wycucie, patrząc na staruszkę, która wnet przejęła oszronione cacko i niespodziewanie – wydając z siebie wysoki i przenikliwy dźwięk, przypominający wybuch nieskrępowanego śmiechu mewy śmieszki – z impetem rzuciła nią o podłogę, po czym z równą furją rozgniotła na miazgę pod butem. W eksplozję tego krzyku włączył się znienacka równie przerażający ryk starca, jak bestii w ludzkim ciele po przebiciu jej serca osikowym kołkiem. Nie bardzo pamiętam, co się działo potem... Może tylko to, że na to wszystko do sali wpadła pielęgniarka, ja zaś klatkę z Misią zarzuciłam sobie na plecy i pociągnęłam Rozalię do wyjścia.

Nad miastem słońce zachodziło krwawo, co oznaczało gwałtowną zmianę pogody. Dało się też to wyczuć w cieplejszych podmuchach z południa. Nadciągał halny. „Jak tańczują diabły, w górach wieje halny” – powiadają ludzie, mieszkańcy Podhala. Bo halny wciąż ma tam marną reputację. „Szaleństwo i śmierć zejda z gór lawiną razem z kamieniami” – szepczą z nabożeństwem, pokazując na ciemniejące na horyzoncie, wznoszące się wysoko, poszarpane grzbiety skał. Obłąd rozpoczyna się kilka dni wcześniej. Zabójstwa, samobójstwa, ataki agresji i przemoc wszelakiego rodzaju to pełne rozpaczliwego dramatyizmu, cierpienia i grozy żniwo fenowego wiatru. Halny wszak uwalnia najczarniejsze myśli, sięgając swoimi mackami w głąb ludzkich dusz niczym bezlitosny, zwyrodniały wręcz siepacz sił natury. Ludzie wybuchają z byle powodu, ukazując światu zawarte w nich lęki, szajby i psychozy.

Szłyśmy pchane wiatrem. Od wyjścia Rozalia nie odezwała się ani słowem. Ciągnąc za sobą nogi, bezwładna jak przewieszony przez ramę chodzika, podtrzymywany przeze mnie worek kartofli,

wypalonymi oczami patrzyła na brudny śnieg usuwający się jej spod butów. Potem w mieszkaniu, wciąż milcząc, usiadła ciężko przy stole i wsparłszy głowę na dłoniach, wskazała mi miejsce obok. Misia skoczyła z kanapy i niezbyt celnie, z uwagi na swoją niesprawność i bielmo na oczach, zaatakowała leżącą na podłodze myszkę służącą jej do zabawy. Na twarzy Rozalii pojawił się uśmiech, który szybko zgasł, a nagle opadłe kąciki ust i łzy płynące równymi strugami z oczu zmieniły ją w maskę tragicznego klauna. Raptem utkwiała we mnie uważne i zarazem martwe spojrzenie.

– Weźmiesz ją, gdy umrę? – zapytała szeptem.

Następnie odeszła od stołu, z kredensu wyjęła album ze zdjęciami i jedno z nich bez słowa położyła przede mną. Z wytartej fotografii pałającym wzrokiem szaleńca patrzył na mnie facet koło pięćdziesiątki trzymający w rękę naprężoną smycz, odciętą na zdjęciu na styku z obrozą zapiętą na szyi psa. Gdzie ja widziałam te oczy...?

– Poznajesz? Poznajesz to ścierwo? – Głos Rozalii, zrazu słaby i ochrypły, w jednej chwili stał się twardy i bezduszny, jak tam w DPS-ie, ledwo nadążając za spektrum uczuć staruszki.

Siedziałam sztywno, chłonąc jej w pierwszej chwili brzmiącą zupełnie zwyczajnie opowieść, która bardzo szybko stała się horrorem. Słuchałam boleśnie napięta, nie przerywając jednym słowem, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi wokół wazonika stojącego na stole z wetkniętą weń wiązką sztucznych tulipanów. Chłonełam całą sobą, jakby każde słowo było z Kazania na górze, a pominięcie go – zbrodnią lub co najmniej błędem, odrzuceniem najdoskonalszej wersji chrześcijańskiego życia, po którą powinien sięgnąć każdy czyniący zło grzesznik chodzący po tej Ziemi.

Tymczasem zapadł mrok i samotność, ten swoisty stan doświadczany w pojedynkę – owa kłamliwa samotność, gdy człowiek sam przecież nie jest, lecz w wewnętrznym, czasem bolesnym związku z samym sobą albo i z kimś fizycznie (a przecież dość sam na to, by zwykle czynności życiowe były zupełnie bez sensu) – a zatem

mrok i owa opacznie pojęta samotność uderzały mi do głowy, odrealniając do wtóru opowieści Rozalii, która skończyła ją równie nagle, jak zaczęła, nieruchomiejąc na krześle. Głowa opadła jej na piersi, a ręce zwisły bezwładnie po obu stronach siedzenia.

– Może zawołać lekarza? – zapytałam głucho.

Wstrzymała mnie ruchem ręki.

– Nie trzeba, nic mi nie jest.

Mijały minuty, jedna za drugą, a ona wciąż milczała, wciąż siedząc w tej samej pozycji i nie wstrzymując mnie słowem, kiedy w końcu wstałam i poszłam do wyjścia.

Jeszcze późno wieczorem chodziłam z kąta w kąt po domu, szepcząc bezradnie słowa, których nikt nie słyszał, dopóki zgrzyt klucza w dawno nieoliwionym zamku drzwi wejściowych nie zagnał mnie do sypialni. Nie zapalając światła, przy słabej poświacie ulicznej latarni usiadłam w fotelu, rozpamiętując koszmar, który stał się częścią umysłu Rozalii, i czując, jak łatwo mnie to przenika i wsącza się we mnie każdym porą skóry. Złem człowiek łatwo się zaraża. Do każdego zła można go sobie zjednać i skłonić do każdej zbrodni, a i racja zawsze może być mu przyznana, jeśli całości towarzyszy wystarczająco silny stan wzburzenia, tak zwany afekt. Wtedy wszystko może się zdarzyć i wszystko może zostać przyjęte na słowo, z wszystkiego można wyjść bezkarnym, co więcej – z czystym sumieniem. Bo zdaniem Rozalii – słyszałam to między wierszami w jej opowieści – nikt nie robi niczego pewny tego, że jego postępek jest niezgodny z prawem, przynajmniej nie w chwili kiedy się tego dopuszcza. Przy takim podejściu również to, co się wydarza, tak długo nie wydarza się w pełni i do końca, dopóki się o tym nie mówi. A do tego czasu możliwa jest tylko transformacja zdarzeń w myśl i w retrospekcję. Czyli w nic.

W głowie mi huczało od nadmiaru myśli. Mościły się w niej i rozpychały łokciami, przygotowując grunt na wypadek nagłych, mogących mnie dotknąć koincydencji. Gdyż całokształt zdarzeń

winien tworzyć z sobą harmonijną całość, jak w bezpiecznym sejfie pamięci Rozalii, o którym może by i chciała zapomnieć, ale póki troje uczestników zająć owych mrocznych dni trzyma się kurczowo przeszłości i życia, nic się nie wydarzy – ponad znaną im, pokrętną codzienność w której jest im tak, jak powinno być. Bowiem, moim zdaniem, Rozalię rozpałał, i to do białości, ten obłąkańczy układ, który będzie trwał w myśl znanej zasady naczyń połączonych, póki nie wydarzy się coś, co zrówna z ziemią całą tę konstrukcję, rozsadzając ją od wewnątrz. Najpewniej będzie to śmierć. I bez znaczenia czyja: starca na wózku w DPS-ie, Misi czy samej Rozalii, która najpewniej dopiero wtedy wyzwoli się z tego klinczu – swoistego *teatrum mundi*, komedii *dell'arte*, jak zwał, tak zwał – bez którego jej własne życie okaże się pozbawione sensu. Teraz, w fotelu, gdy strzępy historii staruszki połączone w całość jęły się przesuwać przed moimi oczami, kierując swój przekaz wprost do mnie, miałam tego przedsmak.

Nikt się nie dziwił późnemu małżeństwu słynącej z dziwactw Rozalii z szefem miejskiego schroniska dla bezdomnych zwierząt, o którym mówiono na mieście, że jest postacią tragiczną, zwłaszcza po stracie psa, którego ukochał nad życie, a który pewnego dnia zaginął bez śladu w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Nawet jako mąż człowiek ten jak ognia unikał wzroku Rozalii, a mówiąc, patrzył najczęściej na boki albo na czubki swoich butów. A że i jej zachowanie nie było do końca normalne, nie miała mu tego za złe, wprost przeciwnie, wyzwalał w niej dobre emocje; nawet nie dlatego, że z rzadkim zacięciem w swojej branży oddawał się pracy nad psami z szansą na adopcję, ale że znosił, nie protestując, jej czas spędzany z kotami z okolicznych piwnic, mimo że, jak mówił, nienawidził kotów. Ona nie była mu dłużna, nie protestując, gdy przyprowadzał do domu psy ze schroniska przeznaczone do adopcji, gdy mówił, że tak to powinno wyglądać od strony formalno-prawnej. Bowiem aktywność nad rzeką, gdzie je poddawał tresurze, to jedno,

a dom z mieszkańcami, jako najlepsze miejsce socjalizacji rodzinnej, drugie.

„Pani Rozalio – zaczęli ją sąsiedzi – ludzie mówią, a nawet w gazetach już piszą, że w schronisku pani męża nagminnie znikają psy przeznaczone do adopcji”.

Rozalia może i miała świadomość, że wokół dzieje się coś złego, ale – zajęta pracą i zabierającą jej wiele czasu opieką nad kociakami z podwórka – nie dochodziła prawdy, przyjmując za dobrą monetę słowa męża, że wszystkie psy, które przewinęły się przez ich dom, trafiły w dobre ręce. I że to wszystko, o czym mówią ludzie, to zwykle oszczerstwa i kłamstwa. Lecz zaszedł wypadek, który zmienił wszystko, wtrącając ją w głąb czeluści piekieł, gdzie przebywa dotąd bez poczucia winy i nawet najmniejszej skruchy.

Ostatni miot Misi, burej kotki, żyjącej wówczas w piwnicy, nabawił się jakiejś infekcji i mógł tego nie przeżyć, pozostawiony sam sobie bez pomocy lekarskiej. By zająć się kocim rodzeństwem, Rozalia zapakowała je wszystkie do skrzynki z listewek i przyniosła do domu razem z kocią mamą. A że, jak to mówią, nieszczęścia chodzą parami, stara matka Rozalii wylądowała w szpitalu po wypadku. Do kotów, w roli opiekunki za drobną opłatą, Rozalia zwerbowała sąsiadkę z parteru i ruszyła w podróż do swej rodzicielki, aby o nią zadbać w najgorszym okresie. To, co usłyszała po swoim powrocie z relacji sąsiadki, gdy ta weszła rankiem przemyć oczka kociąt, a zastała cztery kocie martwe ciała zabryzgane krwią – Misia zaś przepadła – było wyrokiem śmierci na jej męża. Rozalia wtedy nie zapytała go o nic, tylko od tamtej pory, zawsze jak wychodził kąpać się nad rzekę z psem do towarzystwa, szła za nim jak demiurg, mroczny anioł śmierci, zimny i przebiegły, wyczekujący cierpliwie chwili, by uderzyć.

Tamtego dnia powietrze było ciężkie i stęchłe jak przed burzą. Mimo to mąż Rozalii nie zawrócił z drogi, ciągnąc za sobą psa i nie patrząc na to, że ten stawiał opór, szarpiąc się na smyczy i skomlał ze strachu. Potem, już na moście – zniszczonym po części przez pożar –

łapiąc za obrozę i szarpiąc się z oszalałym zwierzęciem, nakazał mu skoczyć do wody. Gdy ten się zapierał, piszcząc wciąż ze strachu, zza barierki wyjął wykonany z drewna bejsbolowy kij i uderzył psa w okolice łędźwi. Potem jeszcze raz, ze zdwojoną siłą. A kiedy ten upadł, zrzucił go do wody, która poniosła go daleko. Potem wskoczył za nim, tak jak stał, w ubraniu, w miejscu gdzie płycizna zmieniała się w głębie. Takich miejsc na rzece było co niemiara...

Myśl, którą w tej strasznej chwili powzięła, Rozalia zaczęła realizować z zimną krwią, z benedyktyńską cierpliwością i spokojem. Każdego dnia, gdy mąż był już w domu po eskapadzie nad rzekę, ona szła w to miejsce i gruzem kamiennym i innym surowcem, wszystkim, co dało się unieść w rękach albo potoczyć nogami, wypełniała dół, który miał być grobem oprawcy z bejsbolem. A kiedy wszystko było gotowe, spytała męża pewnego razu: „Pójdziemy nad rzekę poskakać z mostu?”. Nie chciał. Nie chciał za nic. Wykręcał się, jak mógł, tłumacząc że to głupie i pogody nie ma. Jakby coś przeczuwał... Ale dopięła swego, wchodząc mu na ambicję. A przed skokiem mówiąc: „No dalej, pokaż, co potrafisz!”.

Piski, które po skoku wydawał z siebie, można by porównać do skowytu psa lub błazeńskich odgłosów wydawanych przez nieludzką istotę, której pocisk z działa urwał obie nogi i rozerwał brzuch, a ta parska śmiechem, nie pojmując tego, co się tak naprawdę właśnie wydarzyło. Rozalia, słuchając tych wszystkich dźwięków z mostu, ocknęła się dopiero na czyjś donośny krzyk, wszczynający alarm: „Człowiek w rzece! Tonie!”. Kilka godzin później, w drodze ze szpitala, wciąż miała uszy pełne jego pisków. W pobliżu piwnic zaczęła wydawać okrzyki, nawołując Misie, którą jej małżonek – okazało się – pamiętnego dnia wyrzucił przez okno z mieszkania, a jej małe zabił, uderzając jedno po drugim o kant drzwi. A kiedy kotka pojawiła się przy jej nodze, Rozalia wzięła ją na ręce i zaniosiła do domu.

Od tego czasu Rozalia żywi się już tylko słodkim smakiem zemsty, a dzień, w którym jej mąż – po długiej i bezskutecznej terapii, na pięć

dni przed Wigilią Bożego Narodzenia, z trwałym, nieodwracalnym paraliżem ciała – trafił do domu opieki, Rozalia celebrowała jak czarną mszę, z uczestniczącym w niej oprawcą, w sposób, którego byłam świadkiem.

Była trzecia nad ranem, kiedy podniosłam się z łóżka i podeszłam do okna. Na skwerze śnieg szybko topniał, odsłaniając płachty brunatniejącej trawy, na niej zaś wysepki rozmaitych śmieci i odchody psów. Odwilż. Termometr za oknem pokazywał pięć stopni powyżej zera. Z dużego pokoju poprzez niedomknięte drzwi mojej sypialni dały się słyszeć zdyszane jakby pytania, później jęki, stęki i ciężkie oddechy – jednym słowem Roman kopulował w domu; nie wiem, czy z Elżbietą w swoim telefonie, czy wybrał usługę (poprzez esemes) świadczoną przez panie z doświadczeniem w najstarszym fachu świata. Wprawiona w ruch myślą, od której nie było już odwrotu, uchyliłam okno na szerokość ptaka. Wiatr na zewnątrz szalał, przynosząc z sobą ten niepojęty wręcz pociąg do śmierci, a jego siła przytkała mi oddech. Na parapet wewnętrzny położyłam więcej niż zwykle ptasich specjałów, na zewnętrzny zaś sypnęłam garść kaszy i z bijącym sercem wróciłam pod kołdrę, zapadając w stan na przemian drzemki z czuwaniem. Powoli nastawał świt. Słysząc już było trzepotanie skrzydeł ptaków lecących z miejsc noclegowych na poszukiwanie żeru. Ostrzejszy podmuch wiatru wepchnął skrzydło okienne do środka. Zaraz też zjawił się Czarny, który bez chwili wahania, pewnym krokiem wkroczył na parapet, tak że go widziałam, i z wdzięcznym gruchaniem wziął się za jedzenie. Za nim nadleciała reszta głodnych ptaków. Harmider, który temu towarzyszył, wraz z wyciem wiatru w konarach drzew na skwerze, był nie do opisanego. Czekałam pod kołdrą, przygotowana do skoku w każdej chwili.

W salonie Roman z powodu zimna ocknął się z pijackiego snu. Słyszałam, jak klnąc i objając się o meble, a później o ściany przedpokoju, zdąża wprost w paszczę rozszalałego żywiołu. Słyszałam jego kroki coraz bliżej. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Firanke

wydęło, wszystko dokoła trzeszczało jak olinowanie na żaglowcu w czasie sztormu przy dziesięciu w skali Beauforta albo więcej.

- Powinnaś się leczyć! - zawołał Roman od drzwi i ciężkim, niezdarnym krokiem ruszył do okna, a kiedy Czarny zerwał się do lotu, złapał przerażonego w najwyższym stopniu ptaka za skrzydło i szarpiąc nim na boki, aż poleciały pióra, dawał upust gotującej się w nim wściekłości.

To wystarczyło, by w jednej chwili wrócił do mnie obraz rodzinnego domu, gdzie mieszkałam z matką. Gacek - mój gołąbek, młodociany okaz, którego znalazłam wśród śmieci na podwórku, wzięłam do domu i za pomocą zapałki i plastra, najlepiej, jak umiałam, usztywniłam jego złamaną nóżkę, unieruchomiłam bandażem zwichnięte skrzydełko i odkarmiłam, ratując przed pewną śmiercią - miał swoje miejsce w kuchni na szerokiej desce umocowanej do ściany pod oknem. Wciąż przyuczałam go do latania, by mógł w swoim czasie wzbić się ponad dachy i kominy miasta, znaleźć gołębicę - tę jedną jedyłą - i żyć z nią długo i szczęśliwie pośród drzew w naszym parku za pierwszą przecnicą ulicy.

Tamtego dnia, lata temu, wszystko rozegrało się jak na przyspieszonej taśmie filmowej archiwalnych kronik. Kiedy stanęłam w drzwiach kuchni, facet będący przypadkiem (jak każdy jeden) w życiu mojej matki chwycił miotającego się pod lampą w napadzie paniki Gacka i na moich oczach wrzucił do kotła z wrzątkiem stojącego na piecu węglowym, w którym matka wcześniej rozpałała ogień. Ten obraz z dzieciństwa nigdy się nie zatarł, choć zrobiłam wszystko, absolutnie wszystko, by o tym zapomnieć. Z nadzwyczajną siłą wrócił właśnie teraz.

Nie czekając dłużej, wyskoczyłam z łóżka. W kilku szybkich susach dopadłam do okna i jednym zdecydowanym ruchem wypchnęłam Romana z całych sił w tę wietrzność, zaokienne piekło, na które sobie zasłużył w odpowiedzialności zbiorowej za każdą jedną moją chwilę życia spędzoną z takimi jak on i za przegrane życie mojej matki.

W kimś się w końcu musiał ucieleścić sen o dobrej księżniczce i złym królewiczu, prześladowający mnie od dzieciństwa. Rozjechały mu się ręce na kafelkach, których nie przykleił, a przecież obiecał, i w zwolnionym tempie – tracąc równowagę, uderzany zewsząd furia ptasich skrzydeł – zniknął z moich oczu, głową w dół jak kamień, przekrzykując ryk wiatru. W górę zaś frunęły ptasie lekkie piórka, kołysząc się i kręcąc na wietrze. Czy w tej chwili właśnie poszła w drzazgi muszla, ta najbardziej szczelna, skrywająca moje poranione wnętrze? Całą prawdę o mnie? Czy inaczej mówiąc, koniec końców pękł przeżarty rdzą łańcuch w najślabszym ogniwie? Czy też ostatecznie, za jednym dotknięciem, rozpadł się mój własny – nie dość, że niechlujnie, to jeszcze z odpadków, z przypadkowych śmieci utworzony – świat, ciągnący mnie na dół balast? Dość, że w jednej chwili przyszło ukojenie, ulga oraz spokój. Blokujący przepływ korek z mojej głowy wystrzelił w powietrze i zniknął w przestworzach, wyzwalając przestrzeń dla stanu przepływu znaczącego wolność od strachów i lęków. Stanu uskrzydlenia między satysfakcją a dziką euforią, kiedy wszystko inne wydaje się zniknąć i cichnie wewnętrzny dialog, zaś motywacja zewnętrzna przestaje mieć znaczenie. Byłam wolna.

Sygnał esemes. Jaka zbieżność w czasie, zbieżność idealna – pomyślałam ciepło. Kapitan Konieczko napisał:

„Szanowna Pani Ilono!

Właśnie to poczułem! Lepszego końca Pani historii nie mógłbym sam wymyślić, choć jak Pani wie, włożyłem w to całe swoje serce. Pani wyzwolenie jest zarazem moim. Bowiem i mój problem z bezrobotnym życiem kończy *happy end*. Dostałem pracę na kolei, w drużynie konduktorskiej obsługującej odcinek Gliwice–Bytom, po tym jak złożyłem w dziale kadr podanie, napisane ręcznie pismem prostym, równym jakby spod linijki. Pismem człowieka, który dokonał wyboru po latach błądzenia po

omacku. Nie będę zanudzał Pani szczegółami. Dość powiedzieć, że dziś mam pierwszą służbę i zaraz wychodzę. Ale przedtem prośba: może Pani stanąć w łazience przed lustrem i się uśmiechnąć do siebie?

Na zawsze oddany, kapitan Marek Konieczko”.

W drodze do łazienki powtarzałam w myślach słowa wyliczanki znanej mi z dzieciństwa: „Raz, dwa, trzy, wybierasz ty!”. W lustrze zobaczyłam falujący obraz. Rysy mojej twarzy rozmywały się w innej specyfice, tworząc twarz Konieczki ocienioną daszkiem czapki konduktorskiej z wytłaczanym orłem i znaczkiem firmowym kolei. Z jego roześmianych, skrzących się radością młodych raptem oczu było też coś więcej, czego nie mógł ukryć... Ale też nie umiał wyrazić słowami.

- Czy to takie trudne? - zapytałam wprost.

A gdy w odpowiedzi tylko skinął głową, przesunęłam dłonią po zamglonej tafli.

- Kocham cię - szepnęłam do swego odbicia, do wtóru przejmującego sygnału karetki pogotowia i wozu policyjnego podjeżdżających w tej chwili pod okna przedwojennej kamienicy z popękanytnym tynkiem, w centrum miasta, w której przeżyłam lata.

Zakończenie

Po kratkach w oknach budynku szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych w N. wdrapał się księżyc w pełni, nie pozwalając mi zasnąć tej nocy. Ani wielu innym, bo z korytarza dało się słyszeć szuranie kapciami po starej, skrzypiącej podłodze z desek, pośród westchnień i stłumionego płaczu. Czy była to zwykła reakcja pacjentów na leki aplikowane im w końskich dawkach, czy bardziej oznaka tęsknoty za czymś, co stracili, co im odebrano. Czy po prostu nawyk, schematyczny odruch, jakim konsekwentnie poddają się ludzie; który pojawia się na tak zwany pstryk, nie męcząc świadomego umysłu. Ale już ich ilość, z tendencją wzrostową, wraz z upływem czasu zmienia owych ludzi w swoich zakładników, sterując ich życiem po swojemu.

Wstałam i podeszłam do okna. W świetle księżycyca – zza przeciwległych kominów na dachu baraku niżej, tworzącego kąt prosty z budynkiem mojego oddziału – zbliżyły się do siebie dwa czarne koty w białe paski. Jeden z nich przylgnął do czarnej papy kontrastującej z czerwoną dachówką i wyprężył ogon. Po chwili zaczęły wydawać z siebie niekończące się jęki. Widok skojarzył mi się z wystawą fotografii inspirowanej twórczością Schulza, którą przypadkiem obejrzałam kiedyś w Krakowie. Czarno-białe obrazy były wykonane w tak zwanej fotografii czystej, bez manipulacji zniekształcającej rzeczywistość, nad czym z entuzjazmem rozwodził się kustosz oprowadzający grupę, w którą się włączyłam na czas prezentacji. Zwłaszcza jeden poruszył mnie do żywego i skłonił do refleksji. Przedstawiał mężczyznę w sile wieku z siwymi włosami do ramion i długą, podobnie siwą brodą z pokręconych włosów. Stał wewnątrz skleconej z desek wieżyczki dobudowanej na skraju dachu

obskurnego domu, na tle kościoła i wzgórz okalających senne miasteczko gdzieś w Polsce. Miał wyrzucone przed siebie ramiona w kierunku wielkiego białego ptaka z papieru, który wzbił się z jego rąk do lotu z wiatrem. Jeszcze długo potem rozmyślałam nad tym, czy ten ptak mu umknął przez zwykłe gapiostwo, czy ten mężczyzna sam go wypuścił z objęć pod wpływem nagłej emocji. A może darował mu wolność jednak po głębszym namyśle? Tak czy inaczej w jego szeroko otwartych oczach widziałam bezgraniczny zachwyt. Lecz gdy przyjrzałam się im uważniej, biła z nich tylko rozpacz. Do dzisiaj nie wiem, co było w nich tak naprawdę...

We śnie, w który zapadłam dopiero nad ranem, Roman wrywał kartki z mojego zapisanego do końca zeszytu, robił z nich samoloty i puszczał je z wiatrem przez szachownicę kraty w oknie. Nurkującym lotem spadały na dach baraku, płosząc koty.

Turnus

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8219-217-9

© Barbara Tomaszewska i Wydawnictwo Novae Res 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Magdalena Wołoszyn

KOREKTA: MAQ PROJECTS

OKŁADKA: Grzegorz Araszewski, Evgeny Bornyakov / shutterstock.com

ILUSTRACJE NA SKRZYDEŁKACH OKŁADKI: Barbara Tomaszewska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

Świętojańska 9 /4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.